

ZESZYT SZEŚCZDZIESIĄTY ÓSMY

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYZ



LITERACKI

1986

ZESZYT SZEŚĆDZIESIĄTY ÓSMY

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYZ



LITERACKI
1984

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 391

ISBN 2-7168-0048-0

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Radek SIKORSKI

CZŁOWIEK Z ZEWNĄTRZ

Rozmowa z Normanem Daviesem

Norman Davies jest wychowankiem Magdalen College w Oxfordzie, gdzie jego mentorem był kontrowersyjny A. J. P. Taylor. Pracę doktorską napisał na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie uczył się również na obowiązkowe wykłady marksizmu-leninizmu. Rezultatem tych studiów jest jego własna filozofia historii. Jest to synteza, czy też kompromis między determinizmem, przypadkowością i indywidualizmem. Zakłada ona, że prawa historyczne określają granice tego co możliwe, ale że w ich obrębie przypadek i decyzje ludzkie odgrywają wielką rolę. Pessimizm dodaje jego poglądom przekonanie, że ludzie — a szczególnie przywódcy — rzadko dorastają do swej roli a ponadto, jak powiedział Bismarck: „Nikt nie może kontrolować biegu wydarzeń, może tylko niekiedy lekko zmienić ich kierunek”.

Norman Davies jest obecnie dyrektorem wydziału historii w Szkole Studiów Słowiańskich Uniwersytetu Londyńskiego i badaczem w St. Anthony's College w Oxfordzie. Wywiad z nim przeprowadził Radek Sikorski:

RADEK SIKORSKI: — *Jaki był Pana pierwszy kontakt z Polską?*

NORMAN DAVIES: — Miałem pojechać z grupą studentów brytyjskich do ZSSR, ale na dwa dni przed wyjazdem odmówiono nam wiz, więc zamiast zrezygnować z wycieczki pojechalśmy do Polski. Podróżowałem po Polsce przez trzy tygodnie.

R.S.: — *Co spowodowało, że zainteresowała Pana historia Polski?*

N.D.: — To przyszło później. Polska zafascynowała mnie przede wszystkim uczuciowo; jest dla mnie atrakcyjna, pełna życia i bardzo różna od tego, czego mnie kiedyś o niej uczono. Nie miałem sympatii do Niemców, gdyż moja rodzina ucierpiała od nich w czasie wojny. Tuż przed przyjazdem do Polski zatrzymaliśmy się w Berlinie Zachodnim, gdzie byliśmy przedmiotem propagandowego *blitz'u* ze strony urzędników niemieckich, którzy próbowali nas przekonać, że Polacy to potworni ludzie, gdyż zabrali im całe wschodnie Niemcy. To mnie otworzyło na Polskę...

R.S.: — *Jaki był wówczas brytyjski stereotyp Polski?*

N.D.: — Ja niewiele wiedziałem o Polsce. Urodziłem się w czasach, kiedy żyło się w cieniu sojuszu wojennego ze Związkiem Sowieckim. Entuzjazm był taki wielki, że o innych krajach Europy Wschodniej w ogóle się nie mówiło. Rosja pociągała mnie bardzo, aż do czasu, gdy się o niej czegoś więcej dowiedziałem.

R.S.: — *Co więc przyciągnęło Pana do Polski?*

N.D.: — To trudno powiedzieć... Kobieta? Kobiety to najlepszy polski eksport. Myślę, że w pewnej chwili zrozumiałem, że Polska to zupełnie odrębna kultura, nie rosyjska, nie niemiecka lecz zupełnie inna, z długą historią, o której tak mało wiedziałem. Zbiegło się to także z moją metamorfozą religijną. Byłem wychowany w surowej, purytańskiej rodzinie, przeciwko której się w końcu zbuntowałem. Jako młody człowiek byłem chłonny na wszystko co katolickie po prostu dlatego, że było to przeciwne duchowi, w którym mnie wychowano.

R.S.: — *Czy jest Pan teraz wiernym katolikiem?*

N.D.: — Nie, jestem złym, krytycznym chrześcijaninem. Zdaję sobie sprawę z tego, że ciągle mieszka we mnie duch purytanizmu. To zresztą zależy od tego, z kim rozmawiam. Po półgodzinnej rozmowie z jezuitą staję się Cromwellczykiem. Żywię tradycyjną protestancką nieufność do Kościoła jako instytucji. Myślę, że słowa Lorda Actona „Absolutna władza absolutnie demoralizuje” odnosi się tak samo do Kościoła katolickiego jak i do innych instytucji.

R.S.: — *Zaczął Pan uczyć się historii Polski od zera. Jakie napotykał Pan trudności?*

N.D.: — Nie tak zupełnie od zera. Zawsze interesowałem się

językami. Miałem być romanistą. Uczyłem nawet francuskiego w szkole św. Pawła w Londynie. Dla młodego nauczyciela była to jedna z najlepszych prac w Anglii, ale ją porzuciłem. Wróciłem na uniwersytet i zrobiłem drugi dyplom z rosyjskiego. Uczyłem się rosyjskiego i w tym czasie zacząłem czytać o Polsce. Połączyłem swoje zainteresowanie Polską ze znajomością rosyjskiego i napisałem pracę doktorską o wojnie polsko-sowieckiej, która potem ukazała się w książce pt. „Biały orzeł, czerwona gwiazda”. W owym czasie zostałem wykładowcą w Szkole Studiów Słowiańskich w Londynie. Ponieważ mój poprzednik pozostawił po sobie tylko próżnię, w ciągu dwóch lat przygotowałem cykl 90 wykładów z historii Polski, od czasów najdawniejszych do współczesnych. Gdy to zrobiłem, zdałem sobie sprawę, że osiągnąłem coś, czego nie osiągnął dotąd żaden naukowiec w Anglii: znałem już podstawy. To była jeszcze ciągle bardzo prymitywna wiedza, ale więcej niż wiedza przeciętnego brytyjskiego historyka. Skontaktowałem się z wydawcą i zaproponowałem mu publikację tomu esejów o historii Polski. Myślałem, że streszczę po prostu jakieś pół tuzina moich wykładów i wydam je jako zbiór. Napisałem pierwsze sześć i widocznie wydawcy byli nimi zainteresowani, gdyż powiedziano mi: „Po co wydawać tylko część, jeśli pracuje Pan dalej, to wyjdzie z tego cała historia Polski”. Więc przez następne sześć lat ciągnąłem dalej i skończyłem na 42 esejach, 42 rozdziałach tej cegły pt. „Boże igrzysko”.

Od tego czasu napisałem jeszcze książkę pt. „Serce Europy”, która jest obecnie w druku, jak również sporo artykułów. Zgromadziłem też bibliografię historii Polski.

Piszę w zależności od nastroju, przeważnie bardzo szybko. Najpierw przygotowuję się wewnętrznie, chodzę i rozmyślam nad tematem. Wszystko we mnie jakby rośnie, a potem nagle wybucha. Piszę wtedy od 2000 do 5000 słów dziennie, czasem i więcej — jest to naprawdę rodzaj napięcia, które kończy się wybuchem.

R.S.: *Jak zostało przyjęte przez prasę „Boże igrzysko”?*

N.D.: — Spodziewałem się bardzo złego przyjęcia przez Polaków. Już dawniej zetknąłem się z pewną grupą emigracyjną w Londynie, która chciała mnie rozedrzeć na kawałki. Pisanie historii to bardzo niebezpieczne zajęcie. Opublikowałem kiedyś artykuł o emigracji polskiej w czasie pierwszej wojny światowej, za co spotkał mnie szereg prymitywnych ataków ze strony pism emigracyjnych, które ogłosiły, że jestem agentem reżymu. Gdy skonsultowałem się z prawnikiem uniwersyteckim, ten zaśmiał mi się

w oczy. Dowiedziałem się, że i tak mam szczęście, bo inny jego klient, historyk Jugosławii, dostał od emigrantów nożem w plecy.

Tym razem jednak wśród ponad 50 recenzji miałem tylko dwa naprawdę wrogie ataki. Oczekiwałem też napaści ze strony innych grup nacisku, ale np. *Soviet-Jewish Affairs* zamieścił bardzo pochlebną recenzję. Był co prawda dziwoląg w *Polityce* niejakiego Pawła Szurawskiego (oczywiście pseudonim znanego dziennikarza-majora). Powiedziano mi, że decyzja o publikacji została powzięta na najwyższym szczeblu. Czekali przez dwa lata, aż do wizyty papieskiej.

R.S.: — *Jakie napotykał Pan trudności w gromadzeniu materiału na książkę?*

N.D.: — Miałem trudności przede wszystkim dlatego, że nie miałem wzorca, na którym mógłbym się oprzeć. Zarówno marksistowska wersja jak i historia „nacjonalistyczna” były dla mnie nie do przyjęcia. Od samego początku musiałem zajmować własne stanowisko w stosunku do każdego problemu. Miałem dosyć dobrze opanowany wiek XX, potem pracowałem wstecz: wiek XIX, następnie skok aż do Mieszka I, a na koniec wypełniałem luki.

R.S.: — *A jak opanowywał Pan materiał źródłowy? Czy wielu recenzentów zarzucało książce usterki jeśli chodzi o daty, nazwy itp.?*

N.D.: — Gdy pisze się historię tysiąca lat tak wielkiego kraju jak Polska, nie sposób opracowywać materiał tak, jakby to robił zawodowy historyk opracowujący na przykład monografię. Aby napisać historię wojny polsko-sowieckiej, która trwała osiemnaście miesięcy, musiałbym poświęcić na to trzy lata. Aby opisać w ten sam sposób historię tysiąclecia, musiałbym żyć dwa tysiące lat! Jest to niemożliwe.

Kilku recenzentów napisało: „Jak jest możliwe, że historyk Norman Davies nie widzi różnicy między panem Miedzińskim a panem Mędzińskim?” lub „jak mógł napisać Walerian Sławek zamiast Walery Sławek”, albo, że jakiś król był koronowany w 1232 a nie w 1233 i wyliczyli mi długie listy pomyłek. Gdy pisze się tak ogromną pracę, nie można sprawdzić każdego detalu, trzeba opierać się na opracowaniach. I jeśli „Polski Słownik Biograficzny” czy „Encyklopedia PWN” podają, że Łokietek był koronowany 5 stycznia 1320 roku, to tak się pisze. Pewne błędy są nie do uniknięcia. Przyznaję, że są to błędy, ale nie sądzę, aby decydująco wpływały na historię jako całość. Ludzie

myślą, że pisanie historii to to samo co budowanie wielkiego gmachu z faktów. Ja sądzę, że jest raczej na odwrót. Jest to tak, jakby się miało wielki blok kamienny, który trzeba ukształtować, od którego trzeba odłupać śmiecie i wszystkie niepotrzebne detale tak, aby z tego kawałka wyłoniła się rozpoznawalna rzeźba. Na to trzeba wizji tego, co ma się z materiału wyłonić. Rzeźbiarz musi najpierw wyobrazić sobie dzieło, zanim zacznie używać dłuta i młotka. I oczywiście jeśli na stworzenie rzeźby ma się tydzień czasu, to będzie ona toporna i będzie miała sporo kantów. Jeśli ma się rok, to można już zacząć polerować. Gdyby mi dano pięć lat więcej, to mógłbym tę książkę napisać od nowa i poprawić większość drobnych nieprecyzyjności, ale nie sądzę, aby to znacząco zaważyło na jej wartości.

R.S.: — *Musiał Pan zatem unikać śmiecia...?*

N.D.: — Sądzę, że wrogiem, którego miałem ciągle na oku była „nacionalistyczna” wersja historii Polski. Nacjonaliści — zarówno wśród oficjalnych historyków PRL jak i wśród przedwojennych — często twierdzą, że polska nacja ma wyłączne prawo do tego kawałka ziemi zwanego macierzą polską. Co prawda sami nie zawsze zgadzają się co do tego, gdzie się ta „macierz” znajduje, ale odrzucają kategorycznie fakt, że Polska mogła być zamieszkiwana w tym samym czasie przez różne ludy z korzyścią dla wszystkich. Ten pogląd na naród jest do szpiku niemiecki, to po prostu *Blut und Boden*. To jest XIX-wieczna pruska filozofia historii, którą endecja przejęła od Niemców, oczywiście do tego się nie przyznając. Dla nacjonalistów prehistoria jest okresem najważniejszym. Jeśli potrafią udowodnić, że dwa tysiące lat temu był sobie lud „Prasłowianie”, który miał wyłączne prawo do ziem między Odrą a Wisłą, wtedy mogą określić swoje roszczenia i uważać wszystkich innych za najeźdźców i okupantów. Nie mogłem, rzecz jasna, podjąć własnych badań archeologicznych, więc musiałem polegać na tym co pisali inni i odkryłem, że polska wersja prehistorii jest nie do zaakceptowania dla wielu archeologów w innych krajach. Nasunęło mi się podejrzenie, że to może Polacy się mylą, a nie reszta świata. Dlaczego dwa tysiące lat temu Polacy mieliby być jedynym ludem, który zamieszkiwał to olbrzymie terytorium? Było dość miejsca i dla innych. Jak by nie było dawna Bohemia była celtycka. W starożytnych Czechach Słowian nie było, więc dlaczego mieliby być na przykład w Krakowie?

R.S.: — *Kultura łuzyccka?*

N.D.: — To jest chyba punkt kluczowy. Polska szkoła twierdzi, że kultura łużycka była prasłowiańska. Inni archeolodzy twierdzą, że nie ma na to żadnego dowodu. Miałem na ten temat długie dyskusje z ówczesnym prezydentem Światowego Towarzystwa Archeologicznego — Amerykanką, Marią Gimbutas. Niepolscy archeologowie sądzą, że jest to po prostu wytwór polskiej wyobraźni. Z prehistorii wywiedziono argument użyty w 1945 roku na udowodnienie, dlaczego na przykład Szczecin powinien być polski, ale jest to czysta bzdura. Nie mam zastrzeżeń co do tego, aby Szczecin czy Stettin należał do Polski, ale jest to po prostu wynik drugiej wojny światowej, a nie wymyślonej „sprawiedliwości historycznej”.

R.S.: — *Sposób w jaki stosował Pan nazwy miejscowości zirytował niektórych komentatorów.*

N.D.: — Uważam, że historyk powinien używać tej nazwy miejsca, która najlepiej odpowiada czasom, które opisuje. I tak na przykład piszę Wrocław po 1945 roku, Breslau przed 1945 rokiem, a Wratislaw w średniowieczu.

R.S.: — *Jakie warunki pozwoliły Polsce stać się mocarstwem?*

N.D.: — Jest to pytanie natury filozoficznej: czy warunki ekonomiczne wpływają na procesy polityczne? Z pewnością Polska XV i XVI wieku spełniała szereg warunków wstępnych. Miała silną gospodarkę opartą na bałtyckim handlu zbożem, silne miasta, które były źródłem bogactwa i organizacji, atrakcyjną kulturę oraz ustrój konstytucyjny i stanowy, który rozwinął się bardzo wcześnie. Tych rzeczy ziemie położone dalej na wschód nie miały. Społeczeństwo stanowe, mimo krytyk, przez wiele wieków działało sprawnie i podupadło dopiero pod koniec XVII wieku. Było to możliwe również dzięki słabości sąsiadów, szczególnie rozkładowi państw tatarskich i słabości Moskwy.

R.S.: — *Co czyniło kulturę polską atrakcyjną dla innych?*

N.D.: — Przed powstaniem nowoczesnych państw Polska potrafiła wchłaniać różne kultury, umożliwiała różnym wspólnotom religijnym, językowym i narodowym życie we wspólnocie i w dobrobycie, a to było źródłem olbrzymiej siły. Polska była *par excellence* wielokulturowym państwem Europy. Nie było w niej poważnych waśni religijnych; dysydenci byli przyjmowani życzliwie; miała największą w Europie społeczność żydowską; przyjeżdżali do niej protestanci z Anglii, katolicy z Anglii, anabaptyści

z Holandii i różni europejscy sekciarze — krańcowi radykałowie tamtych czasów. Wszystkie te grupy przyjeżdżały do kraju, w którym Niemcy, Ukraińcy i Polacy żyli razem. Każdy mógł tam znaleźć sobie miejsce i państwo nie próbowało nikogo sobie podporządkować. To dawało Polsce wielką siłę i sprawiało, że Polska wieków XV, XVI i XVII była krajem godnym podziwu.

R.S.: — *A więc zgodziłby się Pan z twierdzeniem, że Polska była krajem tolerancji?*

N.D.: — Ja bym tego tak nie określił. Niektórzy polscy historycy sugerują, że Polacy byli w jakiś sposób bardziej tolerancyjni od innych narodów. To nie było tak. Bardzo często, gdy polski biskup, sąd ziemski czy król dostawał w swoje ręce kogoś, kogo uważano za niebezpiecznego heretyka, to palono go na stosie lub uśmiercano w inny sposób, tak jak i w innych krajach. Heretyków palono na Starym Rynku w Warszawie jeszcze w XVII wieku, Żydów tracono za apostazję, tak samo jak Żydzi surowo karali tych, którzy chcieli porzucić judaizm i przyjąć chrześcijaństwo. Polacy niekoniecznie byli bardziej tolerancyjni niż inni, lecz po prostu ich system rządów był tego rodzaju, że uniemożliwiał organizowanie jakichś ogólnych prześladowań. Władza szlachecków w ich własnych folwarkach była tak wielka, że mogli uniemożliwić funkcjonariuszom państwowym czy kościelnym ingerencję w życie religijne ich poddanych. Gdy największy książę Litwy — Radziwiłł — zdecydował się przejść na kalwinizm, wszyscy kalwini w Polsce skupili się pod jego opieką i trudno było ich prześladować. Różnorodność była nie tylko przyprawą życia, lecz także ratunkiem w potrzebie.

R.S.: — *Co spowodowało, że system ten runął?*

N.D.: — Wszystkie państwa rosną w potęgę i podupadają, imperia rozpadają się w proch, tylko w różny sposób i z różnych powodów. Było to wynikiem jednoczesnego rozpadu systemu wewnętrznego Rzeczypospolitej i wzrostu potęgi sąsiadów, którzy byli szczególnie agresywni. Polska miała nieszczęście znaleźć się między nimi.

R.S.: — *Jakie wydarzenie szczególnie naruszyło równowagę sił?*

N.D.: — Moim zdaniem było to za panowania Sobieskiego. Myślę, że równowaga została nieodwracalnie przechylona na stronę Rosji pokojem w Andruszowie, kiedy to Ukraina została oddana Moskwie. Był to układ tymczasowy. Fatalny był dopiero

traktat z 1686 roku, który ambasador polski w Moskwie potwierdził, aby ułatwić dalszą walkę z Turkami. Było to krótko po wiktorii wiedeńskiej. Chciałbym podkreślić, że Polacy nie powinni zbyt hucznie czcić odsieczy wiedeńskiej. Była to czasowa dywersja, która dała Polsce krótkotrwałą chwałę w Europie, podczas gdy za plecami demolowano ich własny dom.

R.S.: — *W Pana opinii kluczowa była utrata Ukrainy?*

N.D.: — O tak, ja zawsze cytuję moim studentom przepis: Moskwa + Ukraina = Rosja. Rosja bez Ukrainy jest bardzo zimnym, głodującym, bezużytecznym kawałkiem terytorium, którym nikt by się nie interesował.

R.S.: — *Jak układały się wtedy stosunki z Niemcami?*

N.D.: — Lansowany oficjalnie mit o wiecznej nienawiści między Polakami a Niemcami to w tej chwili poważny już anachronizm. Jest to przeniesienie współczesnych waśni do przeszłości. Nowoczesne zatargi między Polakami a Niemcami zaczęły się w drugiej połowie XIX wieku i trwały krócej niż sto lat. Ich źródło już nie istnieje. Nie ma Prus, a cała ludność niemiecka na wschód od Odry została wysiedlona. Tak więc, mimo że antagonizmy te — lub nienawiść, jak kto woli — były bardzo intensywne, to zajęły one stosunkowo krótki okres historii. Ogólnie mówiąc stosunki polsko-niemieckie były bardzo dobre przez przeważającą część tysiąclecia. Jak by nie było granica polsko-niemiecka prawie się nie przesunęła od średniowiecza aż do pierwszego rozbioru. Jedyнным wyjątkiem był, jak sądzę, epizod Zakonu Krzyżackiego, który znowu był stosunkowo krótkotrwałym fenomenem — około trzysta lat z tysiąca. Krzyżacy byli wielkimi bohaterami dla nowoczesnych Prusaków. Kaiser Wilhelm zwykł był wkładać blaszany hełm i białą płachtę i udawać, że jest wielkim mistrzem rycerzy teutońskich. Obawiam się, że Polacy niepotrzebnie brali go poważnie. Drugim był Himmler. Wmawiał wszystkim, że hitlerowcy są kontynuatorami Krzyżaków i że wszyscy Niemcy zawsze się w ten sposób zachowywali. To raczej smutne zafałszowanie historii.

R.S.: — *Od kiedy niepodległość Polski była nieodwracalnie stracona?*

N.D.: — Moim zdaniem Polska straciła niepodległość w czasie wielkiej wojny północnej Piotra Wielkiego. Gdybym miał ustalić dokładną datę utraty przez Polskę niepodległości, to powiedziałbym, że było to 31 stycznia 1717 roku, w dniu Sejmu Nie-

mego. Od tego dnia do dzisiaj Rosja trzyma Polskę w stanie większego lub mniejszego poddaństwa. Gdy ma się do czynienia z taką dysproporcją sił, gdy kraj taki jak Polska jest zdominowany przez sąsiada, który jest od niego dziesięć razy silniejszy, wtedy jedyną możliwością uzyskania wolności jest rozpad dominującego mocarstwa. Innymi słowy rozpad Cesarstwa Rosyjskiego w 1917 roku pozwolił Polsce być niepodległą między wojnami i tylko rozpad Imperium Sowieckiego pozwoli Polsce odzyskać niepodległość. Jestem pewien, że to nastąpi, tylko trudno powiedzieć kiedy.

R.S.: — *W czym dopatrywałby się Pan źródeł obecnej sytuacji?*

N.D.: — Nie mam już cierpliwości do urzędników polskich czy ekspertów zachodnich, którzy próbują doszukiwać się przyczyn obecnej sytuacji w polityce ekonomicznej Gierka lub wydarzeniach 1968-1970. Ja sądzę, że podstawowym problemem, który powstał na początku XVIII wieku, jest walka o niepodległość i przetrwanie. Walka ta stale przybiera nową formę, ale to jest sedno sprawy. Dopóki mężowie stanu Europy tego nie zrozumieją, nigdy nie będzie w Polsce spokoju...

Rozmawiał Radek SIKORSKI

Rzym - Oxford
(Wywiad autoryzowany)

Norman DAVIES

GRANICE POLSKI W CZASACH NAJNOWSZYCH*

Narody zamieszkujące wyspy lub subkontynenty mają trudności ze zrozumieniem obsesji terytorialnych narodów państw śródlądowych. Ponieważ nigdy nie stały przed perspektywą scedowania np. Kentu Niemcom lub Kalifornii ZSSR, skłonne są spoglądać z kpiącą obojętności (jeśli nie za pogardą) na tych, którzy gotowi są poświęcić życie za piędź ziemi lub za przebieg przerywanej linii na mapie. Pasje, jakie w czasach najnowszych łączą się z historią granic polskich, są dalekie od głównych spraw absorbujących świat anglosaski, tym bardziej, że poza jednym wyjątkiem nie pozwolono Polakom na samodzielne ustalenie swoich granic. Sto lat temu Polska w ogóle nie posiadała własnego terytorium. „O, Polsko — pisał Cyprian Norwid — jakże jesteś biedna. Nie mogę rozróżnić linii twoich granic. Nic ci nie pozostało poza twoim głosem”. Dzisiaj wszystko uległo całkowitej zmianie. Dusza Polski otrzymała nowe ciało, chociaż proces reinkarnacji nie był wcale łatwy. Stanowiło to problem i kłopot dla europejskich mężów stanu w ciągu całej pierwszej połowy dwudziestego wieku i stało się jedną z najbardziej skomplikowanych kwestii podczas regulacji terytorialnych, jakich dokonywano po obu wojnach światowych.

Międzynarodowa dyskusja na temat granic polskich została zapoczątkowana 29 stycznia 1919 pamiętnym *tour de force* Romana Dmowskiego, głównego delegata Polski na Konferencję

* Rozdział z książki *God's Playground: A History of Poland*, tom II, str. 492-535. Wyd. Oxford University Press, Oxford 1981. Przekład za zgodą wydawcy.

Pokojową w Paryżu. Przemawiając najpierw świetną francuszczyzną, a następnie (nieskazitelnie) po angielsku, zaszokował audytorium zarówno treścią swojej mowy jak i jej techniczną doskonałością. Od samego początku było jednak jasne, że chodziło o dwie całkowicie odmienne i nie dające się ze sobą pogodzić koncepcje. Podczas gdy Dmowski mówił o terytorium opartym o historyczne granice sprzed rozbiorów, które obejmowały wszystkie narody zamieszkujące ten ogromny obszar, większość jego słuchaczy myślała w kategoriach małej, jednonarodowej Polski, ograniczonej do terenów zamieszkałych przez etnicznych Polaków. Podczas gdy Polacy uważali się za panów swego losu, zdolnych do swobodnego decydowania o swoich granicach na równej stopie z wielkimi mocarstwami — większość obserwatorów zagranicznych uważała, że państwo polskie jest klientem, którego żądania muszą być ukrócone zgodnie z interesami jego protektorów. W obu przypadkach obie strony myliły się całkowicie. W wyniku zmian jakie zaszły w ciągu dziewiętnastego wieku restauracja unowocześnionej wersji dawnej Rzeczypospolitej okazała się zupełnie niemożliwa, a jednocześnie, skutkiem przemieszania się grup etnicznych, nie sposób było wytyczyć prostą granicę etnograficzną. W sferze politycznej stanowisko przywódców polskich, modelujących swoje zachowanie na wzór ustabilizowanych potęg było równie nierealistyczne jak przekonanie mocarstw, że Polacy po prostu zrobią to, co im się każe. Przez 25 lat dyskutowano *ad nauseam* — z niewielkim skutkiem — wszystkie *pro* i *contra*. Krzywdy wynikłe z rozwiązań terytorialnych po pierwszej wojnie światowej dostarczyły pretekstu do rozpętania drugiej. Niestrawne raporty niezliczonych komisji i zwalczające się nawzajem argumentacje polskich, czeskich, niemieckich i rosyjskich apologetów zapełniły półki bibliotek i strony gazet. Nazwy nieznanych prowincjonalnych miejscowości od Olsztyna do Zbrucza trafiły pod zachodnioeuropejskie strzechy. Ludzie tylko czasem odczuwali ulgę, kiedy dowiadywali się na przykład, że nawet premier brytyjski przyznał się, że nie słyszał nigdy o Cieszynie i że sądził, iż Śląsk leży gdzieś w Azji Mniejszej. Zgodnie z samą istotą problemu nie można go było rozwiązać stosując konsekwentnie jedną zasadę. Wszystkie decyzje dotyczące polskich granic zostały podjęte *ad hoc*, przypominając w sposób z lekka tylko zawołowany międzynarodowy handel końmi. Żadna z prób przystosowania granic do życzeń ludności nie powiodła się, aż wreszcie, z sowieckiego poduszczenia, postanowiono w latach 1944-1945 przystosować ludność do arbitralnie wytyczonych granic.

W ciągu owych 25 lat sporów i konfliktów polskie pretensje terytorialne znajdowały mało sympatii na Zachodzie, a już najmniej w Wielkiej Brytanii i USA. Szybko zaczęto żałować zmian terytorialnych poczynionych kosztem Niemiec w Traktacie Wersalskim. Ustanowienie „polskiego korytarza”, wyłączenie Gdańska z Rzeszy i podział Śląska uważane były w szerokich kręgach za źródło uzasadnionych pretensji niemieckich. Żądania graniczne wysuwane przez Polskę pod adresem Rosji były także przedmiotem drwin Zachodu. Domaganie się przez Polskę restauracji „historycznej Polski” było potępiane jako „małomocarstwowy imperializm”, chociaż jednocześnie żądania restauracji historycznych ziem korony św. Wacława były w dziwny sposób uważane za coś zupełnie uzasadnionego i do przyjęcia. Jak zauważył Gaythorne-Hardy (w tonie jak najbardziej charakterystycznym dla swojej generacji), „nowa Polska... zdawała się wyróżniać bardziej brawurowym i prawie szaleńczym patriotyzmem niż dyplomatyczną rozwagą, jakiej wymagało jej tak trudne położenie”. Patrząc z perspektywy, nietrudno wytłumaczyć taką postawę. Anglosaski punkt widzenia (a brytyjski w szczególności) podyktowany był nie tylko tradycyjną troską o *Balance of Power*, lecz — w większym jeszcze stopniu — logiką tradycyjnych sojuszków. W obu wojnach światowych Wielka Brytania była sprzymierzona najpierw z Rosją, a potem z ZSSR i liczyła na rosyjskie zasoby ludzkie i rosyjskie ofiary, które pokonają armię niemiecką. Właśnie dlatego Brytyjczycy nie widzieli niczego śmiesznego w ustanowieniu Czechosłowacji w jej średniowiecznych granicach, bo przecież w końcu odbywało się to kosztem pokonanych Państw Centralnych. W latach 1918-1919 Anglicy nie mieli zbyt wielu obiekcji wobec włączania do państwa czechosłowackiego licznych mniejszości niemieckiej i węgierskiej. Jednocześnie nigdy nie mogli pozwolić sobie na poparcie podobnych pretensji polskich, gdyż doprowadziłoby to do konfliktu z wielkim sojusznikiem rosyjskim, od którego zależało w ostatniej instancji ich własne ocalenie.

Południowa granica Polski jest jedyną, która przypomina barierę naturalną. Przez tysiąc lat grzbiet środkowych Karpat oddzielał ziemie polskie od Basenu Dunajskiego i od domeny Węgier. Stanowił on granicę zarówno Rzeczypospolitej jak i austriackiej Galicji. W latach 1918-1919 natychmiast został uznany za naturalną granicę pomiędzy Polską i Czechosłowacją. Na przestrzeni ponad 400 mil istniały tylko trzy wyłomy działów wodnych — na Spiszu, na Orawie i w Cieszynie. Każda z tych „szkłańek” wody stała się powodem długotrwałych burz.

Spisz — po czesku Spis, po słowacku Spissko, po węgiersku

— Szepesseg, po niemiecku — Zips, po łacinie — Scepusium — leży w dolinie górnego Popradu, dopływu Wisły, który żłobi głęboki wąwóz w głównym łańcuchu Karpat na wschód od Podhala. Jego średniowieczna historia datuje się od roku 1108, kiedy to przeszedł w posiadanie węgierskie jako posag córki Krzywoustego, Judyty. W 1412 roku trzynastcie miast w północnej części Spiszu — Nowa Wieś, Włochy, Podegrodzie, Poprad, Wielka, Sobota, Straże, Maciejowice, Biała, Wierzbów, Lubica, Ruskinowice, Twarożna — powróciło do Korony Polskiej jako zastaw za pożyczkę, która nigdy nie została spłacona. Odtąd przez następne trzy stulecia znajdowały się pod zarządem polskiego starosty jako enklawa w granicach Królestwa Węgier. W czasach nowszych Spisz był pierwszym terytorium zagarniętym przez Habsburgów w 1769 roku, w przewidywaniu pierwszego rozbioru. Fakt ten i pragnienie naprawienia spowodowanej nim krzywdy stanowił podstawę roszczeń wysuniętych przez delegację polską na Konferencji Pokojowej w Paryżu. Z etnicznego punktu widzenia ludność miejscowa była bardzo mieszana. Górale z górskich wiosek uważali się za odrębną rasę i nie obchodzili ich zbyt politycy z nizin, niezależnie od tego, czy była to Warszawa, Budapeszt, Bratysława czy Praga. Miasta posiadały silną domieszkę mówiących po niemiecku Saksończyków i również sporą warstwę byłych żołnierzy i urzędników węgierskich. Z praktycznego punktu widzenia problem został przesądzony przez nieproszoną obecność armii czechosłowackiej. Po licznych i bezowocnych próbach arbitrażu w tej oraz innych kwestiach spornych Alianci postanowili 27 lipca 1920 narzucić Polsce i Czechosłowacji swoje własne rozwiązanie, w wyniku którego 5/6 obszaru Spiszu przyznano Czechosłowacji, a tylko 1/6 Polsce. Polacy poddali się temu z najwyższą niechęcią i odmówili przekazania wsi Jaworzyna, aż do czasu, gdy kolejne orzeczenie Ligi Narodów z grudnia 1923 zostało wydane na ich niekorzyść. Podział Spiszu zarządzony przez Aliantów pozostawał w mocy od marca 1924 do października 1938 i został przywrócony w 1945.

Orawa — po czesku Orava, po słowacku Oravsko, po węgiersku — Arva — leży około 40 mil na zachód od rzeki o tej samej nazwie, łączącej się z południowym działem wód. Porozumienie z lipca 1920 roku pozostawiło tylko jedną wieś, Jabłonkę, po stronie polskiej.

Księstwo Cieszyńskie — po czesku Tesin, po niemiecku Teschen — leży w środku Bramy Morawskiej. Stanowi klucz do jedyne dogodnego przejścia górskiego (poza przełęczami) pomiędzy Morzem Czarnym i Bawarią. W okresie przed 1918 two-

rzyło wschodnią połowę Księstwa Troppau und Teschen, powszechnie znanego jako Śląsk austriacki. W Boguminie (po czesku Bohumin, po niemiecku Oderberg) znajdowała się kluczowa węzłowa stacja kolejowa kolei transkontynentalnej Berlin - Bagdad; w Karwinie (Karvinna) cenne zagłębie węglowe, a w Witkowicach (Vitkovice) i w Trzyńcu (Trynec) ważne huty stali, świeżo nabyte przez spółkę francuską. Na południu, w dolinie Jabłunków, austriacki spis ludności z 1910 roku zanotował najczystsze skupisko (bez obcych domieszek) ludności polskiej w całym Cesarstwie. W listopadzie 1918 roku, po wycofaniu się austriackich urzędników, miejscowi przedstawiciele ludności polskiej i czeskiej osiągnęli przyjazne porozumienie i uzgodnili przebieg linii demarkacyjnej, która podzieliła Księstwo wzdłuż linii etnograficznych. Niestety porozumienie okazało się nie do przyjęcia zarówno dla Pragi jak i dla Warszawy. Rząd czechosłowacki zgłosił pretensje do Księstwa motywując to potrzebami gospodarczymi, a 25 stycznia 1919 rozkazał swojej armii zajęcie siłą całego obszaru przemysłowego. Przez osiemnaście miesięcy panował całkowity chaos. Projekt niepodległości Cieszyna, poparty przez miejscowych Niemców, których nikt nie brał pod uwagę, został odrzucony przez Konferencję Pokojową. Przygotowania do plebiscytu musiano przerwać w związku z falą rozruchów, strajków, terroru i kontrterroru. Międzyparlamentarna Komisja Plebiscytowa, na czele której stał Francuz, hrabia de Manneville, znosiła obelgi i oskarżenia ze strony i Czechów i Polaków, aż wreszcie, po przeżyciu oblężenia swojej siedziby, która mieściła się w zabytkowym „Hotelu pod brązowym jeleniem”, czym pręcej zawiesiła działalność. Impas na konferencji w Spa spowodował przekazanie sprawy Radzie Ambasadorów, która ogłosiła swój werdykt o godzinie 5-tej dwadzieścia pięć po południu w dniu 28 lipca 1920 roku. Większa, zachodnia część Księstwa, obejmująca cały obszar przemysłowy i o wiele więcej Polaków niż Czechów, została przyznana Czechosłowacji. Miasto Cieszyn zostało podzielone dokładnie wzdłuż swego centrum, a granica przebiegać miała przez środek rzeki Olzy. Rynek i kościół ewangelicki pod wezwaniem Chrystusa miały znajdować się w Polsce, a stacja kolejowa miała należeć do Czechosłowacji. Opinia publiczna w Polsce była rozświeczona. Paderewski podpisał traktat dopiero po trzech dniach zwłoki, zakładając przy tym protest. Sądził, podobnie jak większość jego rodaków, że czechosłowacki *coup de force* opłacił się i że Benesz narzucił Aliantom swoją politykę, wykorzystując słabość Polski stojącej w obliczu natarcia Armii Czerwonej na Warszawę; polscy górnicy z Cieszyna zostali poświęceni na ołtarzu

interesów alianckich kapitalistów. Uraza była pielęgnowana przez cały okres międzywojenny, aż wreszcie podczas kryzysu monachijskiego została pomszczona. Od 1935 roku Beck nieustannie domagał się ulżenia losowi Polaków z Zaolzia. 2 października 1938 roku zdecydowano nie dopuścić do zdobycia przez Wehrmacht kontroli strategicznej Bramy Morawskiej i nie mogąc powstrzymać się od pokusy, armia polska przekroczyła Olzę, zajmując jednocześnie Spisz i Orawę. Jedenaście miesięcy później miażdżące natarcie Wehrmachtu poprzez Cieszyn stanowiło jedno z ramion kleszczy, które zniszczyły skazaną na śmierć Rzeczpospolitą Polską.

Polsko-czechosłowackie spory ożyły podczas wojny i toczone były przez oba rządy na wygnaniu w Londynie; rozstrzygnął je dopiero Stalin, który traktował argumentacje swoich rywalizujących ze sobą klientów z obojętną pogardą. Smutny komentarz do tego jednego z symptomatycznych sporów wschodnioeuropejskich stanowi fakt, że sowiecki dyktator nie był w stanie wymyślić żadnego lepszego rozwiązania niż to, do jakiego doszło na rozkaz Rady Ambasadorów 25 lat wcześniej. W 1945 roku Cieszyn jeszcze raz został brutalnie podzielony przez sam środek. Odmalowano linię graniczną biegnącą w poprzek środkowego łuku miejskiego mostu, która pozostaje tam po dziś dzień.

Mogłoby się wydawać, iż północna granica Polski zbiega się całkiem naturalnie z pobrzeżem Bałtyku. W rzeczywistości jedyny odcinek brzegu morskiego, jaki w czasach nowożytnych zachowywał ścisły związek z głównym korpusem ziemi polskich, znajdował się przy ujściu Wisły. Od wczesnego średniowiecza Pomorze Zachodnie związane było silnie z ziemiami niemieckimi, podczas gdy wschodnia część Prus, zdobyta przez Krzyżaków na autochtonicznych Bałtach, nigdy nie była terenem polskiego osadnictwa. Kształt „korytarza polskiego” — tak jak został on wytyczony w Traktacie Wersalskim — odpowiadał z grubsza granicom Rzeczypospolitej z 1772 roku i zaspokajał w dużej mierze polskie roszczenia. Chociaż niemiecka opinia publiczna odnosiła się do „korytarza” z najwyższą niechęcią, delegacja polska mogła zakwestionować decyzję Konferencji Pokojowej jedynie w trzech ograniczonych rejonach — chodziło o Gdańsk, Olsztyn i Kwidzyn w Prusach Wschodnich. 130 kilometrów brzegu bałtyckiego przyznanego Polsce w Wersalu przeszło pod kontrolę polską z chwilą wejścia w życie Traktatu z 20 stycznia 1920 roku. Tego właśnie dnia odbyła się po raz pierwszy ceremonia „zaślubin z morzem”. Żołnierze i cywile wkroczyli w lodowate fale Bałtyku i z wzniesionymi rękami czcili odnowienie prastarych polskich „zaślubin z morzem”.

Roszczenia Polski do Gdańska opierały się głównie na argumentach ekonomicznych. W okresie rządów pruskich niemiecka ludność miasta zatraciła wszelkie ślady dawnej lojalności wobec państwa polskiego, a w latach 1930-tych miała dostarczyć wielu zapalonych adeptów ruchu nazistowskiego. Nie było żadnych poważnych wątpliwości, iż w wolnym plebiscycie przygniatająca większość wypowie się na rzecz ponownego połączenia z Rzeszą. W tym świetle nalegania Lloyd George'a podczas Konferencji Pokojowej na utworzenie z Gdańska Wolnego Miasta muszą być traktowane jako koncesja poczyniona pod wpływem nacisków polskich. W praktyce stanowiło to kamień obrazy zarówno dla Niemców jak i dla Polaków i dostarczyło Hitlerowi konkretnego pretekstu do napaści na Polskę we wrześniu 1939 roku. Problem został rozwiązany raz na zawsze przez ucieczkę lub wypędzenie niemieckich gdańszczan w ostatnich dniach drugiej wojny światowej.

Ziemie otaczające Olsztyn i Kwidzyń leżą na południowych krańcach Prus Wschodnich. Przynależność obu została poddana pod głosowanie plebiscytowe pod auspicjami Aliantów w lecie 1920 roku. Polskie zarzuty przeciwko oszustwom niemieckim, a szczególnie przeciw fałszowaniu wyborów nie mogły przesłonić przemożnego pragnienia ludności (włącznie z częścią mówiących po polsku protestantów) pozostania obywatelami niemieckimi. Ogłoszone 11 lipca 1920 wyniki wykazały miażdżącą przewagę 460.000 (96,52 %) głosów na rzecz Niemiec wobec 16.000 (3,47 %) na rzecz Polski. Garnizon wojsk alianckich, składający się z Włochów i Irlandczyków z oddziałów Inniskillen Fusiliers został pośpiesznie wycofany w obawie przed polityczną zarazą niesioną przez Armię Czerwoną, która w tym właśnie momencie zbliżała się od wschodu. W tych nielicznych pobliskich miastach — takich jak Działdowo (Soldau) — które Armia Czerwona zajęła przed swoim gwałtownym odwrotem sierpniowym, dowódcy sowieccy dawali wyraz przekonaniu swego rządu, że te „prastare ziemie niemieckie” powinny powrócić do swoich prawowitych właścicieli. Władza niemiecka panowała tam niezachwianie do roku 1945.

Zachodnia granica Polski stanowiła dużo poważniejszy problem. Na początku XX wieku rzeka Odra, jedyna wyraźna linia graniczna pomiędzy Wisłą i Łabą, płynęła przez środek całkowicie niemieckich ziem. Element niemiecki miał zdecydowaną przewagę we wszystkich miastach i miasteczkach oraz w wielu rejonach wiejskich. Pomimo tego na wszystkich tych obszarach bliskość niepodległej Rzeczypospolitej Polskiej wywoływała napięcia,

które dawały się odczuć przez następnych 30 lat. Spowodowało to jedno powstanie zbrojne w Wielkopolsce i trzy na Górnym Śląsku. Przy końcu drugiej wojny światowej zachodnia granica Polski została ustalona na samym końcu i to w najbardziej arbitralny i kontrowersyjny sposób.

Powstanie Wielkopolskie przerodziło się w małą wojnę domową. Zostało wywołane 26 grudnia 1918 roku przyjazdem (w drodze do Warszawy) Ignacego Paderewskiego, co spowodowało załamanie się kruchego podziału władzy w mieście pomiędzy miejscowym niemieckim *Soldatenrat*'em i polskim Komitetem Obywatelskim. Demonstracje i kontrdemonstracje wkrótce doprowadziły do zaciekłych walk ulicznych i do gwałtownej polaryzacji obu grup ludności. W przeciągu tygodnia polska Naczelna Rada Ludowa (NRL) objęła kontrolę nad miastem i otaczającą okolicą, lecz nie powiodły jej się próby porozumienia z rządem w Berlinie. Jej działalność spowodowała szybkie zwarcie niemieckich szeregów i natarcie oddziałów *Grenzschutz*'u. 8 stycznia 1919 roku Rada ogłosiła swą niezależność. Walki, które pociągnęły za sobą kilkuset rannych w Chodzieży (8 stycznia) i w Szubiniu (11 stycznia), ciągnęły się przez cztery tygodnie, aż do chwili uznania NRL przez Międzypolanką Komisję Kontrolną w Niemczech za „siłę sprzymierzoną”. Niemiecka Reichswehra, prowadząc działania z bazy w Kołobrzegu (Colberg), nie porzuciła swoich ofensywnych planów aż do chwili podpisania Traktatu Wersalskiego, który przyznał Polsce całość byłego Księstwa Poznańskiego. NRL we wrześniu 1919 roku formalnie przekazała swoje uprawnienia „Ministerstwu do spraw byłego zaboru niemieckiego” w Warszawie.

Powstania Śląskie wybuchły jako protest przeciwko warunkom Traktatu, narzucającym plebiscyt w trzech rejonach położonych najbardziej na południe. Pierwsze powstanie, które trwało przez osiem dni od 16 do 24 sierpnia 1919 roku, koncentrowało się wokół Rybnika i zostało brutalnie stłumione przez Reichswehrę. Jednym ze skutków było przybycie garnizonu Sprzymierzonych złożonego z oddziałów brytyjskich, francuskich i włoskich. Drugie Powstanie, trwające od 19 do 25 sierpnia 1920 roku, zbiegło się z punktem kulminacyjnym wojny polsko-sowieckiej. Niemieccy demonstranci, przedwcześnie świętujący zdobycie Warszawy przez Tuchaczewskiego, zostali zepchnięci do defensywy przez falę strajków i odwetowych potyczek, które wkrótce ogarnęły cały rejon górniczy. Trzecie Powstanie — z pewnością najpoważniejsze — zostało wywołane przez Polaków, którzy odmówili uznania wyników plebiscytu. W głosowaniu, które odbyło się 20 marca 1921 roku, 702.000 (59,4 %) głosujących optowało za Niemcami,

a 479.000 (40,5 %) za Polską. Ogólnie rzecz biorąc rezultat stanowił znaczny sukces sprawnie przeprowadzonej niemieckiej kampanii wyborczej. Konkretnym wynikiem, szczególnie w rejonach przemysłowych, było znalezienie się wielu niemieckich enklaw w otoczeniu polskiego morza. Wojciech Korfanty (1873-1939), długoletni poseł do pruskiego Reichstagu, a wówczas komisarz z ramienia Rzeczypospolitej Polskiej, zdecydowany był na opór. Jego przemówienia stanowiły zachętę dla około 40.000 robotników i partyzantów (wielu z nich należało do POW Piłsudskiego), którzy chwycili za broń. Od 3 maja do 5 lipca walczyli oni na równej stopie z siłami niemieckimi i zdołali obronić obszary przemysłowe przed wszystkimi atakami. Zacięte walki, które przeszły już do legendy, toczyły się na Górze św. Anny (od 21 do 25 maja) i wzdłuż Kanału Kłodnickiego (od 4 do 5 czerwca). Chociaż przywódcy Powstania nie zdołali pociągnąć za sobą wszystkich ugrupowań polskich na Górnym Śląsku (komuniści i socjaliści argumentowali, że odcięcie przemysłu śląskiego od tradycyjnych rynków niemieckich będzie miało katastrofalne następstwa) przekonali Sprzymierzonych, że wynik plebiscytu jest nie do przyjęcia. 20 października 1921 Rada Ambasadorów orzekła, że Górny Śląsk powinien zostać podzielony według nowych zasad. 61 % całego obszaru plebiscytowego miało pozostać w Niemczech, podczas gdy większa część zagłębia węglowego — włącznie z Katowicami i Chorzowem — miała przypaść Polsce. Decyzja ta, szeroko potępiana w Polsce jako zdrada, stanowiła w oczach jej autorów koncesję na rzecz interesów polskich.

Granica polsko-niemiecka jątrzyła się przez cały okres międzywojenny. O jej rewizję zabiegali w latach dwudziestych demokratyczni przywódcy niemieccy w rodzaju Stresemanna, a w latach trzydziestych także Adolf Hitler. Rażące pominięcie w Traktacie Lokarneńskim z 1925 roku jakichkolwiek gwarancji *status quo* granicy Niemiec z Polską, w przeciwieństwie do zagwarantowania granic z Francją i Belgią, stworzyło trwałe zarzewie podejrzeń pomiędzy Polską i mocarstwami zachodnimi. Sprawa eksportu poprzez nową granicę węgla śląskiego do Niemiec leżała u źródeł polsko-niemieckiej wojny celnej w latach 1925-1929. Chociaż Konwencja Śląska, opracowana przez Ligę Narodów dla załatwienia obopólnych problemów, funkcjonowała całkiem dobrze, nie było wątpliwości co do tego, że Niemcy będą dążyć do radykalnej rewizji układów. To właśnie uczyniono bez najmniejszego wahania w 1939 roku, kiedy to wszystkie obszary należące przedtem do Prus zostały inkorporowane do Rzeszy.

Powstały w 1945 roku pomysły ustanowienia granicy polsko-

niemieckiej na Odrze i Nysie Łużyckiej i zrekompensowanie polskich strat terytorialnych na wschodzie w drodze przyznania Polsce zachodnich i północnych terytoriów pozabawionych całkowicie ich poprzednich niemieckich mieszkańców zasadniczo należy przypisać polityce sowieckiej. Chociaż angielscy i amerykańscy negocjatorzy dość szybko zaakceptowali linię Odry w rejonie Frankfurtu, bardzo długo nie godzili się na jej przedłużenie na zachód do Nysy Łużyckiej, w odróżnieniu od biegnącej na wschód Nysy Kłodzkiej. Chociaż wszystkie ugrupowania polskie chętnie myślały o uzyskaniu Gdańska, niewielu miało nadzieję na Wrocław, a już nikt nie myślał o Szczecinie. Zwłaszcza Mikołajczyk zdawał sobie sprawę z ciężaru aneksji, która mogłaby wskrzesić rewizjonizm niemiecki i związać Polskę ze Związkiem Sowieckim po wsze czasy. Jednakże i on, i wszyscy, którzy podzielali jego zastrzeżenia, zostali przegłosowani przez oficjalnych reprezentantów w PKWN i TRJN, którzy lojalnie podkreślali żądania swoich sowieckich protektorów. To ostatnie rozstrzygnięcie, które wcale nie było zamierzone jako ostateczne, znalazło swój wyraz w komunikacie z Konferencji Poczdamskiej z 2 sierpnia 1945 roku:

„Szefowie trzech rządów są zgodni co do tego, że zanim nastąpi ostateczne określenie granicy Polski, były niemieckie terytoria na wschód od linii biegnącej od Morza Bałtyckiego bezpośrednio na zachód od Swinoujścia i stąd wzdłuż rzeki Odry do miejsca, gdzie wpada zachodnia Nysa, i wzdłuż zachodniej Nysy do granicy czechosłowackiej łącznie z tą częścią Prus Wschodnich, która nie została oddana pod administrację ZSSR (...) i włączając obszar byłego Wolnego Miasta Gdańska, powinny znajdować się pod zarządem państwa polskiego i pod tym względem nie powinny być uważane za część sowieckiej strefy okupacyjnej Niemiec”.

Z praktycznego punktu widzenia nie miało większego znaczenia, że zamierzona konferencja pokojowa nigdy się nie odbyła. Granica na Odrze i Nysie została uznana 6 lipca 1950 roku przez Niemiecką Republikę Demokratyczną, która powstała w byłej sowieckiej strefie okupacyjnej. Tak więc „Ziemie Odzyskane” stały się integralną częścią Polski na długo przed międzynarodowym uznaniem tego faktu; Danzig stał się Gdańskiem, Breslau — Wrocławiem, a Stettin — Szczecinem.

Wschodnie granice Polski były źródłem największych kontrowersji. Ich losy wiązały się z krwawą historią Kresów, gdzie wśród mieszkańców było względnie niewielu Polaków i żadnych Rosjan, a które były przedmiotem sporu pomiędzy Polską a Rosją przez całe stulecia. W dwudziestym wieku najdalej sięgające roszczenia polskie zostały wysunięte przez Dmowskiego na Konferencji Pokojowej, kiedy to zażądał granicy z 1772 roku. (Nawet

Dmowski wykazał pewien umiar i unikał wspomniania najdalej sięgającej na wschód granicy Rzeczypospolitej z 1634 roku). Tradycyjne rosyjskie roszczenia wysuwane przez reżymy carski i sowiecki zbiegały się z opartą na Bugu granicą rosyjskiego „Kraju Nadwiślańskiego” sprzed 1912 roku. Między tymi dwoma skrajnymi biegunami rozciągały się ogromne połacie tzw. obszaru ULB (Ukraina, Litwa, Białoruś) i cmentarzysko krótkotrwałych compromisów. Oprócz sugestii mniejszej wagi, w latach 1919-1945 wysunięto co najmniej osiem zasadniczych propozycji rozwiązania problemu:

1. Zmodyfikowana tymczasowa linia demarkacyjna, zaproponowana 8 grudnia przez polską komisję na Konferencję Pokojową w Paryżu. Ponieważ dotyczyła ona wyłącznie propozycji podziału terytoriów byłego Cesarstwa Rosyjskiego, zatrzymywała się na dawnej granicy rosyjsko-austriackiej i nie obejmowała Galicji Wschodniej. Nigdy nie została przyjęta przez Radę Najwyższą Sprzymierzonych i nie została formalnie zaproponowana ani Polakom, ani Sowietom.

2. Linia Dryssa-Bar, opisana w sowieckiej nocie pokojowej z 28 stycznia 1920. Zaspokajała ona w większym stopniu polskie roszczenia terytorialne niż linia demarkacyjna Sprzymierzonych i została rekomendowana do akceptacji w raporcie Komisji Spraw Zagranicznych Sejmu, przedstawionym Naczelnikowi Państwa. Z powodu zerwania w kwietniu 1920 roku stosunków pomiędzy obiema stronami, nie stała się nigdy przedmiotem oficjalnej dyskusji.

3. Linia ustalona na Konferencji w Spa została uzgodniona 10 lipca 1920 roku w dyskusjach pomiędzy brytyjskimi i polskimi premierami, Lloyd Georgem i Władysławem Grabskim. W myśl tego porozumienia granica polsko-rosyjska miała przebiegać zgodnie z tymczasową linią demarkacyjną w jej północnej części i frontem polsko-sowieckim w Galicji Wschodniej w części południowej. Pozostawiała Lwów po stronie polskiej.

4. Linia Curzona, zaaprobowana (zgodnie z instrukcjami ustalonymi w Spa) przez brytyjskiego ministra spraw zagranicznych Lorda Curzona i opisana w telegramie przesłanym przez Foreign Office z Londynu do Moskwy w dniu 11 lipca 1920 roku — została odrzucona po tygodniu przez rząd sowiecki. Dziwnym zbiegiem okoliczności zawierała poważną rozbieżność, sprzeczną z intencjami jej patronów. Opis przebiegu proponowanej granicy w jej południowej galicyjskiej części („na zachód od Rawy Ruskiej i na wschód od Przemysła w kierunku Karpat”) nie zgadzał się z warunkami uzgodnionymi w porozumieniu ze Spa i pozostawiał Lwów po stronie sowieckiej. Rozbieżność ta, spowodowana najprawdopodobniej przeoczeniem personelu dyplomatycznego w Londynie, który posługiwał się mapami i notatkami opracowanymi wcześniej przez Lewisa Namier, była powodem poważnego zamieszania w kręgach dyplomatycznych Aliantów, kiedy odkryto ją w zmienionych okolicznościach w 1943 roku.

5. Linia zaproponowana przez delegata sowieckiego Adolfa Joffe na początku negocjacji polsko-sowieckich w Rydze w dniu 24 września 1920 roku. Stojąc wobec klęski militarnej rząd sowiecki był gotów do poczynienia Polakom koncesji niewiele odbiegających od granicy z roku 1772, pod warunkiem zawarcia zawieszenia broni w ciągu

10 dni. Za radą Stanisława Grabskiego, członka Narodowej Demokracji, delegacja polska odrzuciła szczerą ofertę Joffego, opowiadając się za linią graniczną „prowadzącą w większym stopniu do dobrosąsiedzkich stosunków”.

6. Końcowa linia Traktatu o zawieszeniu broni, podpisanego w Rydze 12 października, uzgodniona przez Joffego i Dębskiego. Stanowiła ona podstawę klauzul terytorialnych Traktatu Ryskiego z 18 marca 1921 roku i służyła jako formalna granica pomiędzy Rzeczpospolitą Polską i ZSSR do roku 1939.

7. Hitlerowsko-sowiecka linia demarkacyjna z 28 września 1939 roku pokrywała się bardzo ściśle z granicami dawnego Królestwa Kongresowego.

8. Granica polsko-sowiecka z 1945 roku.

Ze wszystkich tych linii granicznych jedynie linia ryska posiadała znaczenie moralne. Uzgodniona w swobodnych warunkach pomiędzy układającymi się stronami, wolna była od jakichkolwiek zewnętrznych uwarunkowań. Jej pogwałcenie przez Armię Czerwoną w dniu 17 września 1939 roku stanowiło oczywisty przypadek międzynarodowej agresji. Nie należy jednakże zapominać o tym, że Traktat Ryski dokonał faktycznego podziału Litwy, Białorusi i Ukrainy bez uprzedniej zgody ludności tych krajów, wobec czego rząd polski zobowiązany został do porzucenia wszelkich myśli o zorganizowaniu federacji niepodległych państw leżących na jego wschodnich granicach.

Negocjacje w sprawach terytorialnych pomiędzy Polską i ZSSR ulegały częstym zakłóceniom spowodowanym istnieniem na obszarach granicznych ruchów separatystycznych, których dążenia i pragnienia nie zbiegały się ani z pragnieniami Polaków, ani też Rosjan. W okresie przejściowym pomiędzy wycofaniem się Cesarstwa Rosyjskiego w 1915 roku a utworzeniem ZSSR w roku 1922 kilka narodów skorzystało ze sposobności — tak jak czynili to Polacy — ustanowienia swoich własnych, niepodległych państw. Republika Litewska utrzymała się przez 23 lata, od 1917 do 1940 roku; Zachodnio-Ukraińska Republika Ludowa tylko przez dziewięć miesięcy, od listopada 1918 do lipca 1919. Obie znalazły się w bezpośrednim konflikcie z Rzeczpospolitą Polską.

Konflikt z Litwą koncentrował się wokół sprawy przyszłości Wilna (po litewsku — Vilnius, po rosyjsku — Wilna, po niemiecku — Wilna). Jakkolwiek silne więzy uczuciowe z Litwą istniały we wszystkich kręgach polskiej opinii społecznej, a w niektórych nawet nadzieje na federację, nie było żadnego poważnego sprzeciwu w związku z utworzeniem litewskiego państwa narodowego. Kłopoty zaczęły się na dobre, kiedy rząd litewski w Kownie (Kaunas) nie tylko zgłosił pretensje do Wilna, ale ogłosił je stolicą Republiki Litewskiej. Ponieważ element litewski w mieś-

cie nie przekraczał 5 %, reakcja polskiej większości nie dała na siebie długo czekać. (Analogiczna sytuacja może powstać w celtyckich rejonach Wielkiej Brytanii, jeśli walijskojęzyczny ruch separatystyczny zechce pewnego dnia zgłosić pretensję do Cardiffu, a gaelicka Republika Szkocji wysunie roszczenia do starożytnej stolicy w Edynburgu). Co więcej, podczas gdy armia niemiecka popierała litewskich nacjonalistów, Sowieci wspierali litewskich komunistów, a armia polska walczyła z nimi wszystkimi. Po pierwszym zajęciu Wilna przez Polaków Rada Najwyższa Sprzymierzonych zaproponowała tak zwaną linię Focha, która miała rozgraniczać wojska polskie i litewskie podczas toczących się negocjacji, lecz jej interwencja nie przyniosła spodziewanego rezultatu. Podczas lokalnej wojny domowej i wojny polsko-sowieckiej Wilno było kolejno zajmowane przez niemieckie Oberkommando Ost, przez nacjonalistyczną litewską Tarybę (1917-1918), przez polską Samoobronę (od grudnia 1918 do stycznia 1919), przez komunistyczną Litewsko-Białoruską SSR (od stycznia do kwietnia 1919), przez armię polską (od kwietnia 1919 do lipca 1920) i wreszcie przez rosyjską Armię Czerwoną, która 14 lipca 1919 roku szybko przekazała miasto Litwinom. Jego los został rozstrzygnięty na dłużej 9 października 1920 roku, kiedy to Piłsudski zorganizował fikcyjny bunt oddziałów armii polskiej, aby odzyskać miasto dla Polski bez otwartego wyzywania Sprzymierzonych, którzy ostrzegali przed takim rozwiązaniem. Po dwóch latach nominalnej niepodległości świeżo utworzone państwo Litwy Środkowej przeprowadziło wybory, które miały zdecydować o jego przyszłości. Wyrażone w nich pragnienie wcielenia do Rzeczypospolitej Polskiej zostało zaakceptowane przez Sejm w Warszawie w marcu 1922 roku, a następnie uznane przez Radę Najwyższą Sprzymierzonych; rząd litewski w Kownie nigdy się z tym nie pogodził. Dwadzieścia lat później władze sowieckie postąpiły w podobny sposób, chociaż dużo brutalniej. Zająwszy siłą Litwę, deportowały prawie 1/4 obywateli uprawnionych do głosowania, po czym zorganizowały fikcyjne wybory mające potwierdzić, że Litwa chce zostać przyłączona do ZSSR.

Spór Polski z Ukraińcami był tak samo złożonym konfliktem lokalnym, który ostatecznie został rozwiązany w identyczny sposób — przez sowiecką przemoc. Również i w tym przypadku, chociaż opinia polska odnosiła się przychylnie do utworzenia niepodległej Ukrainy, wystąpiły silne zastrzeżenia co do jej właściwych granic. Głównym motywem politycznym wyprawy kijowskiej Piłsudskiego było umocnienie „Dyrektoriatu” Petlury jako zapory buforowej przed Rosją. Z ukraińskiego punktu widzenia tragedią

był fakt, iż Polacy byli gotowi poprzeć utworzenie państwa ukraińskiego na ziemiach byłego Cesarstwa Rosyjskiego, ale nie w obrębie Galicji. W rezultacie ukraiński ruch narodowy został zgnieciony przez Rosję — najpierw przez „białych” Denikina, a potem przez bolszewickich „czerwonych” — podczas gdy Ukraińcy w Galicji zostali zgniecieni przez Polaków. Choć Polacy wynieśli z tego czasową korzyść — na dłuższą metę skorzystała jedynie Moskwa.

Galicja Wschodnia — dla Polaków Małopolska Wschodnia, a dla Ukraińców Zachodnia Ukraina — była bezsprzecznie obszarem zamieszkałym w większości przez Rusinów. W ostatnich latach rządów austriackich była to główna baza i oparcie dla ukraińskiego ruchu narodowego. Jednak struktura zasiedlenia, jeśli przyrzeć jej się bliżej, była piekielnie skomplikowana. W miastach, ze Lwowem włącznie, Polacy posiadali zarówno liczącą przewagę jak i korzystną pozycję społeczną i ekonomiczną. W mniejszych miastach i miasteczkach przeważali Żydzi. Na wsi — wioski wyłącznie polskie i katolickie często sąsiadowały z wioskami czysto ruskimi, unickimi lub prawosławnymi. W takiej sytuacji nie sposób było przeprowadzić żadnej sensownej linii rozgraniczającej polski i ukraiński stan posiadania. Co gorzej, stwarzając od samego początku prawne fakty dokonane, przywódcy ukraińscy unicestwili wszelkie szanse współpracy lub kompromisu. Poprzez jednostronne proklamowanie 1 listopada 1918 roku we Lwowie Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej (ZURL) sprowokowali Polaków do działań odwetowych, które nie osłabły póki nie zakończyły się podbojem całej prowincji. Kampania ta, trwająca do lipca 1919 roku, absorbowała w owym czasie gros polskich sił; od tej chwili granica polska na Zbruczu trzymała się mocno. Została uznana przez Dyrektoriat Ukraiński (24 kwietnia 1920 roku) jako cena za marsz Piłsudskiego na Kijów, a potem 18 marca 1921 roku przez delegację Ukraińskiej SSR na konferencji pokojowej w Rydze. W 1923 roku jej niechętne ratyfikowanie przez Radę Ambasadorów pozwoliło na formalne przekazanie Galicji Wschodniej Rzeczypospolitej Polskiej. W niecałe dwadzieścia lat później oczywiście i ta umowa została pogwałcona. W październiku 1939 roku w ramach porozumienia z hitlerowcami, tak jak w latach 1944-1945 w ramach przetargów z Churchilllem i Rooseveltem, przywódcy sowieccy zdołali z powodzeniem zapewnić sobie wcielenie całej Galicji Wschodniej do ZSSR.

W 1945 roku polskie granice wschodnie zostały narzucone przez sowiecką politykę. Ich polscy zwolennicy ograniczali się

do działaczy PKWN, TPRP i TRJN, którzy zostali zobowiązani do przyjęcia rozwiązań sowieckich protektorów; posłuszeństwo w tej sprawie stanowiło warunek ich nominacji. Akceptacja wschodnich granic przez Mikołajczyka nastąpiła dopiero w wyniku najsilniejszych nacisków dyplomatycznych. „Jesteście na krawędzi unicestwienia” — oświadczył mu Churchill. „Jeżeli nie zaakceptujecie granicy, jesteście przegrani na zawsze. Rosjanie przewalą się przez wasz kraj i wasza ludność zostanie unicestwiona”. Mocarstwa zachodnie potwierdziły w Jałcie uznanie granic w oparciu o Linie Curzona. Znaczny obszar położony wokół Grodna został zaanektowany przez Związek Sowiecki. W owym czasie był to problem jedynie czysto akademicki, podjęto już bowiem decyzje, na mocy których wszyscy Polacy mieszkający na wschód od nowej granicy mieli zostać wysiedleni do Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, a wszyscy nie-Polacy mieszkający na zachód od niej — deportowani do ZSSR. Ludzie mieli dostosować się do granic, a nie granice do ludzi.

Reasumując, historia granic Polski w czasach najnowszych stanowi smutną lekturę dla kogoś, kto chciałby sobie wyobrazić, że mapa współczesnej Europy została nakreślona według kryteriów czy to wielkoduszności, czy też dokładności. Zasada narodowego samostanowienia była gwałcona z cyniczną monotonią. W wyniku sojuszków mocarstw anglosaskich z Rosjanami w obu wojnach światowych nie pozwolono nigdy Polakom na luksus goszczenia w obrębie swego państwa mniejszości narodowych w takim zakresie, jaki uznano za całkowicie odpowiedni dla Brytyjczyków, Rosjan czy choćby Czechów. W 1919 roku odmówiono im Gdańska z powodów etnicznych, tak jak odmówiono Cieszyna z powodów ekonomicznych. Przemysłowy rejon Górnego Śląska został przyznany Polsce pomimo wyraźnego zwycięstwa niemieckiego w plebiscycie. Nie liczono się zupełnie z pragnieniami ludności Lwowa czy Wilna w 1945 roku, tak jak nie liczono się w roku 1939 czy 1919. Mogłoby się wydawać, iż nie było wypadku, w którym zwycięstwo odniosłaby zwykła sprawiedliwość. Jedyny ślad konsekwentnej ciągłości daje się zauważyć w celach polityki rosyjskiej, a następnie sowieckiej. W 1914 roku carski minister spraw zagranicznych Sazonow ujawnił swoją wizję przyszłości Europy Wschodniej. Wysunął postulat przywrócenia starej granicy Królestwa Kongresowego na Bugu, rozbioru Prus Wschodnich i podboju Galicji Wschodniej, scedowania Gdańska na rzecz przyszłego państwa polskiego zjednoczonego z Rosją i wreszcie przesunięcie Polski nad Odrę. Na krótką metę plany jego nie doczekały się urzeczywistnienia; na dłuższą metę znalazły wyko-

nawcę w osobie Stalina, który zrealizował je z niesamowitą dbałością o szczegóły.

Wiele przemawia za obecnymi granicami Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Są one zwarte, wygodne do obrony wojskowej, opierają się głównie o linię gór, morza i głównych rzek. Po raz pierwszy w historii obejmują państwo polskie zamieszkałe prawie wyłącznie przez Polaków, poza którymi nie ma żadnych liczebnie ważnych mniejszości nie-polskich. Można powiedzieć, że ten stan rzeczy byłby dobry i całkowicie godny pochwały, gdyby nie morze krwi i cierpień oraz potoki sofistycznych argumentów, jakie wyłano przed jego osiągnięciem.

Płynność granic Polski stała się przyczyną fascynujących powikłań w dziedzinie onomastyki. Obfitość polskich nazw miejscowości traktowana jest często jako dobry pretekst do zajęcia się jakąś inną częścią naszego kontynentu. Postawiony od samego początku przed mnóstwem raczej nic nie mówiących i pozornie nie dających się wymówić nazw, rozbawiony Anglosas popada w czarną rozpacz, kiedy odkrywa, że każda ma dwie, trzy, cztery a nawet pięć odmian. „Wrocław” wydaje się być tą samą miejscowością co Breslau; „Wilno” ukrywa się czasem pod nazwą „Vilna”, a w chwili obecnej „Vilnius”; „Lwów” w trudny do wytłumaczenia sposób może też być nazywany „Leopolis” „Leopol”, „Lemberg”, „Lvov” lub „Lviv”. Różne autorytety preferują różne wersje, z powodów, które nie zawsze wydają się jasne. Badacze poszukujący „poprawnej wersji” gubią się w mgłę sprzecznych sugestii, dopóki ktoś nie powie im wreszcie, iż w odpowiednim kontekście każda z tych odmian jest równie właściwa.

Naturalnie problem ten nie ogranicza się tylko do Europy Wschodniej. Anglosasi mają skłonność do przerażania się po prostu dlatego, że na ogół nie uświadamiają sobie podobnych zjawisk u siebie, i ponieważ normalnie domagają się przekładania wszelkich obcych informacji na język angielski. Bardzo niewielu Anglików zdaje sobie sprawę z tego, że dla niektórych mieszkańców Wysp Brytyjskich „London” to „Llundain”, „Oxford” to „Rhydychen”, a „Cambridge” — „Caergrawnt”. Prawie nikt nie zadaje sobie trudu, żeby dowiedzieć się, dlaczego protestanci z Ulsteru mówią o „Londonderry”, podczas gdy ulsterscy katolicy o „Derry”, czy też dlaczego „Kingstown” przekształcił się w „Dun Laoghaire”. Nie wszyscy Amerykanie wiedzą, że ich największa metropolia rozpoczęła swoją karierę jako „Nieu Amsterdam” lub że stolica Teksasu znana jest połowie mieszkańców tego stanu jako „Agostino”. Widząc powyższe przykłady, nie

trzeba posiadać dogłębną znajomości obcych języków, aby uznać że odmiany użycia nazw zależą po części od punktu widzenia ludzi, którzy ich używają, a po części od upływu czasu. I tak stolica Wielkiej Brytanii, która niegdyś była „Londinium”, teraz jest „London”, dla Walijczyków „Llundain”, dla Francuzów i Hiszpanów „Londres”; dla Włochów „Londra”; a dla Polaków „Londyn”. W ten sam sposób stolica Śląska, która niegdyś nazywała się „Vratislav”, pod rządami czeskimi przekształciła się w „Vraclav”, pod Habsburgami i Hohenzollernami w „Breslau”, a pod polskimi rządami od czasów drugiej wojny we „Wrocław”. Dla latynistów ciągle jest to „Vratislavia”, natomiast dla Niemców jest to „Breslau”, tak jak dla Polaków na zawsze już „Wrocław”.

Duża część kłopotów z polskimi nazwami miejscowości pochodzi stąd, że wiele zmian dokonało się dopiero w ostatnich czasach, a także ponieważ rywalizujące ze sobą ruchy narodowe poczytywały posiadanie swego własnego nazewnictwa za punkt honoru. Konferencja Pokojowa w 1919 roku była otwarciem puszki Pandory, z której wysypały się miasta i prowincje; niektórych z nich nie udało się już odnaleźć. Członkowie delegacji polskiej podobnie jak i innych, magnetyzowali publiczność swoimi listami miejscowości, o których nikt nigdy nie słyszał. Ponieważ nie wystarczało im ogólnikowe potępienie państw zaborczych, sprzeciwiali się używaniu powszechnie przyjętych i znanych nazw miejscowości, w mniemaniu, iż ich roszczenia wobec byłych terytoriów niemieckich lub rosyjskich ulegną w pewien sposób dyskredytacji poprzez samo użycie nazewnictwa niemieckiego lub rosyjskiego. W kilku wypadkach arbitrzy Sprzymierzonych byli zmuszeni do tworzenia wersji neutralnych, takich jak „Teshen”, lub do wskrzeszania archaicznych anglicyzmów, takich jak „Dantsick”, a wszystko po to, by uspokoić wzburzonych petentów. Pod koniec 2-ej wojny światowej nie bawiono się w tego rodzaju subtelności. Pozwolono Sowiетom na narzucenie takiego nazewnictwa, jakie najlepiej odpowiadało im samym oraz ich protegowanym. Jeśli idzie o polskie Ziemie Odzyskane, wykorzystywano każdą sposobność, aby odsunąć w zapomnienie nazwy niemieckie, traktując to nie tylko jako symbol zwycięstwa nad hitlerowcami, lecz także jako (fałszywą) próbę udowodnienia, że to Niemcy fałszowali historię. Wszystkie polskie nazwy na byłych terytoriach polskich zaanektowanych przez ZSSR uległy oficjalnemu wymazaniu.

W takiej sytuacji obowiązek historyka polega niewątpliwie na zwróceniu uwagi czytelnika na punkty, w jakich terażniejszość różni się od przeszłości. Najbardziej powierzchowny rzut oka na

jakikolwiek dziewiętnastowieczny tekst pokaże nam, jak odmienne były wtedy rozmaite „polskie” miejscowości od tego, czym stały się od tamtej pory. Jeśli np. przeczytamy u Baedekera opis Wrocławia (ówczesnego Breslau), trudno nie zadać sobie pytania, czy kładziony w sposób widoczny akcent na pruskie i niemieckie powiązania miasta nie wypływa z własnych proniemieckich sentymentów autora. Powinniśmy się także zastanowić, czy minimalna obecność odniesień do polskości wypływa z braku w owym czasie jakichkolwiek poważniejszych polskich wpływów. O ile nie uznamy Baedekera za kompletnego szarlatana — o co raczej trudno wobec jego międzynarodowej reputacji — bezstronny czytelnik odniesie wyraźne wrażenie, że Wrocław (Breslau) mógłby być wtedy całkowicie niemieckim miastem. Stąd też, mając na myśli ów okres, nie byłoby rzeczą nierozsądną mówić o nim raczej jako o Breslau niż jako o Wrocławiu.

Jeśli weźmiemy do ręki podobny tekst polski opublikowany w 1970 roku, nie sposób nie przyznać, że obraz zmieniony jest nie do poznania. Przeczytawszy „Przewodnik po Polsce” możemy postawić zasadne pytanie, czy widoczny nacisk na polskie powiązania miasta nie wypływa z faktu, że książka została zredagowana i wydana przez oficjalną agencję Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Powinniśmy się także zastanowić, czy minimalna obecność odniesień do niemieckości spowodowana została uprzedzeniami autorów czy też brakiem w owym czasie jakichkolwiek poważniejszych niemieckich wpływów. O ile nie uznamy autorów za kompletnych szarlatanów (co jest mało prawdopodobne), odniesiemy wrażenie, że Wrocław w roku 1970 był pewnie całkowicie polskim miastem. I stąd też mając na myśli okres powojenny byłoby rzeczą rozsądną mówić o nim raczej jako o Wrocławiu niż jako o Breslau.

Przewodniki zaledwie napomykają o katastrofalnych wydarzeniach, które przemieniły Breslau we Wrocław. W styczniu 1945 roku, w obliczu zbliżającej się armii sowieckiej, Hitler rozkazał, aby Festung Breslau była broniona do ostatniego człowieka. Mieszkańcom, którzy składali się wyłącznie z Niemców, rozkazano porzucić domy i wyruszyć w środku zimy w głąb Niemiec. Wielu z tych bezbronnych uchodźców znalazło śmierć w płomieniach Drezna, bombardowanego przez naloty RAF-u. W trzy miesiące później, kiedy oblężone niedobitki wrocławskiego garnizonu skapitulowały, większa część stolicy Śląska była już zrównana z ziemią. Rodzimych mieszkańców nie było, ruiny miasta zostały zajęte przez oddziały sowieckie i polskie, a następnie przekazane administracji Ziemi Odzyskanych. Mikołajczyk, omawiając w

1944 roku sprawę Wrocławia ze Stalinem, zauważył, że jest to „miasto czysto niemieckie”. Stalin odparł, że w dawnych czasach było to miasto słowiańskie i że „nic nie stoi na przeszkodzie, aby powróciło do swej poprzedniej tradycji historycznej”. (W rozmowie tej Stalin mówił właściwie o „Borysławiu”). W latach 1945-1947 miasto zostało całkowicie zaludnione przez polskich uchodźców. Wielu z nich przybyło tutaj ze Lwowa, gdzie doznali z rąk sowieckich podobnego losu do tego, jaki Niemcom z Wrocławia zgotowali hitlerowcy. Uniwersytet, Biblioteka, Ossolineum, razem z tysiącami pracowników oraz ich dobytkiem, wszystko to zostało przetransportowane do Wrocławia *en bloc*. Później także i inni Polacy dotarli tutaj ze zdewastowanych części kraju. Tak więc można uważać Wrocław bardziej za częściową reinkarnację Lwowa niż za kontynuację miasta „Breslau”. Dzisiaj miasto kwitnie i pulsuje polskością. Starsi mieszkańcy mówią śpiewnym akcentem kresowym, który zdradza ich pochodzenie; młodzi, którzy stanowią ponad 50 % mieszkańców, wszyscy urodzili się już tutaj. Jako polscy wrocławianie uważają się za bezpośrednich potomków tych dawnych Słowian, którzy mieszkali w tym samym miejscu ponad 700 lat temu. Ich przekonanie, jakkolwiek zrozumiałe, jest z pewnością mylne. Podobnie jak ich starzejący się niemieccy poprzednicy, dożywający swoich dni na gorzkim wygnaniu w Republice Federalnej Niemiec, są tylko ofiarami i produktem drugiej wojny światowej.

Podobnie rzecz się ma z prawie wszystkimi miastami Ziemi Odzyskanych i z prawie wszystkimi dawnymi miastami polskimi wcielonymi do ZSSR. Szczecin, Koszalin, Gdańsk, Olsztyn, Zielona Góra, Jelenia Góra, Kłodzko, Opole są całkowicie nowymi społecznościami, których nowe polskie nazwy sygnalizują zerwanie ciągłości z ich dawną niemiecką przeszłością. „Vilnius”, stolica Litewskiej SSR, mieści tylko drobny ułamek rodzin, które mieszkały tam w czasach przedwojennych. Obecni władcy usiłują zbagatelizować pięć wieków jego łączności z Polską, przedstawiając je jako nienormalne zaburzenie w naturalnym rozwoju miasta. Lwiv, jedno z głównych miast Ukraińskiej SSR, mieści tylko drobny ułamek rodzin, które mieszkały w międzywojennym Lwowie lub austriackim Lembergu. Natomiast współcześni Ukraińcy często mówią o nim w taki sposób, jakby było to zawsze, od niepamiętnych czasów „ich miasto”.

W rzeczywistości sowiecki Lwiv został tak samo sztucznie sfabrykowany (i z tych samych powodów) jak polski Wrocław. Baedeker, pisząc w latach 1890-tych, czyli w epoce galicyjskiej autonomii, przedstawił obraz miasta o przeważająco polskim cha-

rakterze, gdzieniegdzie upstrzonego oficjalnymi austro-niemiec-
kimi akcentami. W trzydzieści lat później, w roku 1927, dyrektor
rządowego biura turystycznego mocniej podkreślił związki z Pol-
ską. W swoim opisie głównych atrakcji miasta dr Orłowicz zwracał
uwagę swoich czytelników na Plac Mariacki z pomnikiem
Mickiewicza autorstwa Popiela (1905 r.), na Muzeum Sobieskiego
w Kamienicy Królewskiej na Rynku (dawny „Ring”), na kościół
Wołoski (1580 r.), i na Cmentarz Łyczakowski z jego specjalną
kwaterą poświęconą Orłętom, młodocianym obrońcom Lwowa w
latach 1918-1919. Oprócz szczegółowego opisu polskiej sztuki
i polskich zabytków autor pieczołowicie wymienia arcydzieła
sztuki ukraińskiej w Zbiorach Dzieduszyckich, w Muzeum Ukraiń-
skim założonym w 1912 roku, w Katedrze Unickiej św. Jura
(1746 r.) i w Kościele św. Piatnicy (1643). W trzydzieści pięć
lat potem, w 1962 roku, współczesny przewodnik sowiecki łączy
w całość ukraińską i sowiecką wersję historii miasta:

„Na północnych krańcach wschodnich Karpat, nad dopływem
Bugu rzeką Połtą, leży jedno z najpiękniejszych ukraińskich miast,
starożytny, siedemsetletni Lwiv.

Bogata i sławna jest jego historia. Założony został w połowie
XIII wieku przez księcia Danię Romanowicza i nazwany tak na
cześć jego syna Lwa; wraz z zamkiem położonym na szczycie wzgó-
rza miasto stanowiło punkt oporu przeciwko falam Tatarów i Mon-
gołów atakujących Europę. W XIV wieku ziemie Halicza i Wołynia
ucierpiały od najazdów polskich, węgierskich i litewskich feudałów.
Osłabione walkami z Tatarami, Księstwo nie było w stanie stawić
oporu sąsiednim agresorom.

W połowie XIV wieku zachodnioruskie ziemie wraz ze Lwivem
zostały podbite przez polskich feudałów wspieranych przez rzymskiego
papieża, jako baza do propagowania na wschodzie wiary katolickiej.
Do roku 1772 ziemie halicko-wołyńskie znajdowały się pod panowa-
niem szlacheckiej Polski, aż do zajęcia 'Halyczyny' przez Austrię.
Lwiv znajdował się pod rządami austriackimi do roku 1918. Po
Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej wzniesiono w górę
czerwony sztandar wolności, jednakże wskutek niesprzyjających oko-
liczności historycznych Lwiv znalazł się w niewoli polskich panów,
którzy cofnęli nawet te prawa, jakie lud pracujący Zachodniej Ukrai-
ny posiadał za czasów austriackich. Lwiv stał się ośrodkiem walki
o wyzwolenie robotników Zachodniej Ukrainy i o zjednoczenie z So-
wiecką Ukrainą. Idee Wielkiego Października i sukcesy władzy
sowieckiej stanowiły natchnienie w walce robotników Zachodniej
Ukrainy o wyzwolenie społeczne i narodowe.

Nadszedł niezapomniany rok 1939. Narody Związku Sowieckiego
wyciągnęły pomocną dłoń do robotników Zachodniej Ukrainy; Lwiv
stał się miastem sowieckim”.

Taki jest współczesny los Lemberga-Lwowa-Lwiva. Nigdzie
nie jest jasno powiedziane, że jedynym państwem do którego mias-

to nie należało przed 1939 rokiem jest Rosja. Nigdzie nie ma wyjaśnienia, dlaczego w oficjalnych publikacjach sowieckich używa się najczęściej rosyjskiej nazwy miasta — Lvov. Nigdzie nie ma najmniejszej wzmianki o wcześniejszej obecności Polaków i Żydów. Nigdzie, nawet żartem, nie ma najmniejszej sugestii, że właściwą nazwą miasta jest Wrocław.

Gwałt zadany prawdzie historycznej jest równie widoczny jak kłamliwe są opowieści o „niezapomnianym roku”, w którym za pomocą magicznych sztuczek dokonano najbardziej gwałtownej zmiany charakteru miasta.

Zawodowi historycy mogą uważać, że zajmowanie się popularnymi przewodnikami jest poniżej ich godności. Jeśli rzeczywiście tak myślą, są w błędzie. Prace Baedekera i jego następców wszelkiej maści dostarczają podstawowych informacji, na których opiera się wiedza szerokiego ogółu o Europie Wschodniej. Uprzedzenia, błędy, selektywność i oczywiste zmyślenia mogą być bardziej zrozumiałe, lecz są niemniej szkodliwe od podobnych wad, których pełno w pracach naukowych.

Dla studenta lub historyka, który nie chce przy tym upiec swojej własnej pieczeni ani nie przedkłada szczególnie jednego języka wschodnioeuropejskiego nad inne, pozostaje jednak problem praktyczny. Wobec takiego bogactwa zmiennych nazw onomastycznych w sposób naturalny wyłania się pytanie, której z nich używać w danych okolicznościach. Nie może tu być żadnej prostej odpowiedzi, chociaż nasuwają się pewne ramowe uwagi ogólne. Po pierwsze, jest rzeczą zasadniczą zdać sobie sprawę, że nic w tej materii nie jest absolutne ani wieczne. Nazwy miejscowości należy traktować tak, aby podkreślały następujące ciągle zmiany. Idealnym rozwiązaniem byłoby takie, w którym „nazwa” odzwierciedlałaby zawsze dominujące w danym „miejscu” i danym okresie związki kulturalne i polityczne. Jeżeli miałyby to oznaczać mówienie w rozdziale 3-cim o „Vratislavie”, w 20-tym o „Breslau”, a w 23-cim o „Wrocławiu”, nie powinniśmy się tym zniechęcać, skoro zależy nam na precyzji. Po drugie, należy przyjąć do wiadomości fakt, że konwencje językowe zmieniają się z większymi oporami aniżeli polityczne. Jeśli mówimy po niemiecku, dużo prościej jest mówić o „Breslau” niż o „Wrocławiu”, z tego prostego powodu, że niemieckojęzyczna literatura naukowa na ten temat zawsze używała tej właśnie formy. Jeśli mówimy po polsku, zawsze prościej jest — z powodów czysto językowych — mówić o Wrocławiu. Niemiec, który woli używać niemieckiej formy, wcale nie ma przez to na myśli, że

współczesny Wrocław jest miastem niemieckim, podobnie jak Polacy mówią o Lipsku lub Dreźnie, nie chcą przez to powiedzieć, że Lipszig czy Dresden są miastami polskimi. Po trzecie, ważną rzeczą jest pamiętać, że wersje neutralne, angielskie lub łacińskie, często odzwierciedlają zniekształconą rzeczywistość, co też może prowadzić do poważnych nieporozumień. Oczywiście, że dla uczonych piszących po angielsku „Warsaw” jest dużo wygodniejsza od rodzimej „Warszawy”, ale w pełni zanglizowane formy tego rodzaju są niezmiernie rzadkie. Większość z nich trafiła do języka angielskiego z niemieckiego lub rosyjskiego i stała się znana czytelnikowi anglosaskiemu w specyficznych warunkach, które przestały już istnieć — np. „Cracow” został zapożyczony w odległej przeszłości z niemieckiego „Krakau”, kiedy to większość jego mieszkańców mówiła po niemiecku. I wreszcie nie wolno zapominać, że źródłem „legitymizacji” wszystkich nazw miejscowości są cele, dla jakich je wynaleziono. W obrębie swojej własnej sieci odniesień wszystkie one są jednakowo właściwe. Stosowność ich użycia w danej sytuacji może być poddana sprawdzeniu tylko wówczas, kiedy historyk bada, dla jakich celów mają być użyte i w czym interesie. Należy więc zawsze pamiętać o wszystkich ich odmianach.

Jednej rzeczy można być pewnym. Kulturalni dzikusci buszujący po źródłach historycznych i cmentarzach ziem polskich i wymazujący z nich polskie, niemieckie, żydowskie, rosyjskie lub ukraińskie nazwy w nadziei przystosowania wielobarwnej rzeczywistości do swoich własnych monotonnych fantazji zasługują na politowanie. Cenzorzy, którzy usuwają obraźliwe nazwy miejscowości z map i źródeł, udając, że obecna sytuacja równa się wiecznemu wyrokowi historii, oszukują samych siebie i źle służą swojej sprawie. Podobnie jak w bardziej podniecających kwestiach, człowiek rozsądny zawsze musi dojść do wniosku: *vive la différence!*



Cokolwiek można powiedzieć o rozstrzygnięciach dokonanych w 1945 roku, nie ulega wątpliwości, że są one ostateczne tylko w takim stopniu, w jakim mogą być nimi jakiegokolwiek porozumienia polityczne tego rodzaju. Ich „ostateczność” nie płynie z mądrości autorów, lecz z ich bezwzględności. Problemy graniczne zostały nie tyle rozwiązane, co unicestwione. Mniejszości narodowe na całym obszarze Europy Wschodniej — jakkolwiek by rozważać ich odpowiedzialność za wzajemne kłótnie i napięcia

— zostały poprzesuwane jak klocki. Z punktu widzenia współczesnych rządów i supermocarstwa, które dominuje obecnie nad całym rejonem, rezultat końcowy odznacza się prostotą i ładem. Osiągnięto go kosztem straszliwych cierpień ludzkich.

Dla historyka rozstrzygnięcia poczynione w 1945 roku stanowią dziwny paradoks. W rzeczywistości były one radykalnym zerwaniem z przeszłością, arbitralnym odwróceniem rzeki historii. Były olbrzymim dziełem inżynierii politycznej, a jednak w prawie każdym kraju wschodnioeuropejskim są interpretowane jako kulminacja naturalnego procesu historycznego i poddawane ciągłej racjonalizacji poprzez odniesienie do odległych wypadków historycznych, prawdziwych lub zmyślonych. Wszyscy wiemy, że powołując się na historię możemy usprawiedliwić wszystko, cokolwiek nam się żywnie podoba. W tym wypadku skomplikowany ceremoniał historyczny, za pomocą którego ideologowie usiłują uświęcić decyzje z 1945 roku jest równie zapierający dech jak same wspaniałe rozstrzygnięcia. To tak, jakby budowniczowie Kanału Sueskiego lub tamy Grand Coullée czuli się zobowiązani do tłumaczenia swych dzieł naturalnym biegiem wypadków, zwykłym działaniem słońca, przyptywów morza i geologii. W powojennej Polsce wychowano całe pokolenie w przeświadczeniu, że obecne granice Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej obejmują terytorium, na którym naród polski rozwijał się od niepamiętnych czasów. Umacnia się wiarę w to, że polska „macierz” zawsze zajmowała to samo określone miejsce, chociaż tak się złożyło, że duże obszary były zamieszkałe przez całe stulecia przez dużą ilość „obcych”, a granice polityczne przebiegały zupełnie inaczej. Według oficjalnego poglądu Polacy zawsze mieli niepodważalne i wyłączne prawo do zachodnich i północnych Ziem Odzyskanych, tyle że *force majeure* uniemożliwiła jego realizację. Według tej samej logiki ich własna obecność w jakimkolwiek okresie historii, na jakimkolwiek kawałku lub piędzi ziemi położonej poza obecnymi wschodnimi granicami ustalonymi na Konferencji Poczdamskiej musi być traktowana jako haniebne naruszenie praw innych narodów (nawet jeśli niektóre z nich w ogóle wówczas nie istniały). Krótko mówiąc, Polska Rzeczpospolita Ludowa ma być widziana jako naturalny produkt historii. Jej kształt został nakreślony przez ludzi, których narady (pod sowieckim kierownictwem) ożywione były duchem naukowych zasad, co pozwoliło im nie tylko stworzyć nową Polskę, lecz również wskrzesić starą. Pod wieloma względami jest to bardzo romantyczny obraz; w 1945 roku zręczni mężowie stanu odrestaurowali klasyczne arcydzieło, oczyszczając płótno z nagromadzonego brudu i niezdar-

nych retuszów stuleci, po to, aby odsłonić starożytną mapę Polski w jej całym pierwotnym splendorze. Pomimo wszystkich tych pretensji do naukowości argumentacja ta ma charakter czysto teleologiczny. Jej atrakcyjność dla narodu, który zaznał tak długich okresów braku poczucia bezpieczeństwa jest zrozumiała z emocjonalnego, lecz nie z racjonalnego punktu widzenia.

Wszyscy wschodni sąsiedzi Polski zostali wcieleni do ZSSR. Z czysto terytorialnego punktu widzenia zyskali na tym dużo. Litwini mają swoją Litewską SSR i od 1940 roku stolicę w Wilnie. Białorusini mają swoją Białoruską SSR, która rozciąga się od Dźwiny aż po Prypeć i od Brześcia nad Bugiem do Witebska, Mohylewa i Homla. Ukraińcy mają swoją Ukraińską SSR, która obejmuje „Wielką Ukrainę od Sanu do Donu”. Jednak patrząc na to z innego punktu widzenia, wszystkie te sowieckie narody mają mało powodów do radości. Ich wcieleniu do ZSSR towarzyszyła fizyczna likwidacja wszystkich niezależnych przywódców narodowych i masowe deportacje całych warstw ludności. Zachowując nominalnie swój język, kulturę i terytorium narodowe, zostały poddane monopolistycznej władzy ogólnozwiązkowej partii komunistycznej, która działa jako instrument scentralizowanego, autokratycznego i zdominowanego przez Rosjan imperium. Ich prawa konstytucyjne są żałosną fikcją, a zniewolenie aż nadto rzeczywiste. Z wyjątkiem członków rządzącego aparatu mają skłonność do spoglądania na swe dawne więzi z Polską z mieszaniną żalu i zazdrości.

Litwini w szczególności muszą często potrzasać z konsternacją głowami. W okresie międzywojennym ich obsesyjne zaabsorbowanie kwestią Wilna (w którym nie mieszkał wówczas prawie żaden Litwin) było przyczyną nie tylko zerwania z rządem polskim, lecz, co więcej, unicestwiło wszelkie plany utworzenia bloku obronnego państw ze sobą sąsiadujących. Jakby tego było jeszcze mało, pchnęło ich też do wątpliwego sojuszu politycznego z Sowietami. Obietnica Wilna była przynętą, która wciągnęła ich w sowiecką pułapkę. Smutne rezultaty dały o sobie znać w latach 1939-1940. Zgoda sowiecka na przekazanie Wilna Litwie stanowiła tylko preludium do wkroczenia Armii Czerwonej w czerwcu 1940 roku i gwałtownego zniszczenia niepodległości litewskiej. W pewnym stopniu wszystkie narody wschodnioeuropejskie były winne uganiania się za wąsko egoistycznymi celami kosztem stosunków dobrosąsiedzkich i wspólnego bezpieczeństwa. Litwini stanowią tego klasyczny przykład. Wymknęli się ze skwierczącej polskiej patelni tylko po to, aby obiema nogami wskoczyć w rozszalały ogień sowiecki.

Białorusini mieli mniej okazji aniżeli Litwini do wywierania wpływu na swe losy. Ich niepodległa republika narodowa (BNR) w Mińsku istniała zaledwie dziewięć miesięcy, od marca do grudnia 1918 roku. Zajęta najpierw przez Armię Czerwoną a potem przez wojska polskie, została podzielona Traktatem Ryskim pomiędzy Związek Sowiecki i Polskę. W 1939 roku zjednoczeniu zachodniej i wschodniej części w Białoruską SSR towarzyszył najazd Armii Czerwonej, przypominający „plagę szarańczy”, tudzież masowe czystki. Według opinii jednego z nielicznych niezależnych historyków białoruskich jakiegokolwiek porównanie pomiędzy polityką polską i sowiecką wobec Białorusi musi wypaść zdecydowanie niekorzystnie dla reżymu sowieckiego.

Ukraińcy, którzy w przeszłości mogli najwięcej skorzystać na dobrym porozumieniu z Polakami, mają też największe powody do żalu. Podobnie jak Litwini żądali pełnej i natychmiastowej realizacji swoich praw narodowych i w rezultacie nie uzyskali prawie nic. Ukraiński ruch narodowy ze swym sloganem „Ukraina dla Ukraińców” zajął sztywną i bezkompromisową postawę w kwestiach terytorialnych. Przypominał w tym dokładnie analogiczną postawę Narodowych Demokratów Dmowskiego, z którymi zderzył się w bezpośrednim starciu. W czasie krótkiego okresu niepodległości ukraińskiej — w latach 1918-1921 — nie pojawiło się żadne poważniejsze ugrupowanie, które mogłoby być partnerem dla polskich federalistów Piłsudskiego lub umiarkowanych konserwatystów. Ukraińcy nie mogli dojść do porozumienia z polskimi nacjonalistami z powodu konfliktowych i wykluczających się nawzajem roszczeń terytorialnych. Nie mogli też porozumieć się z polskimi federalistami z powodu zadawnionej niechęci, sięgającej czasów stosunków feudalnych w dawnej Rzeczpospolitej, ani też z polskimi konserwatystami, gdzie na przeszkodzie stały świeże doświadczenia z Galicji. W rezultacie musieli walczyć ze swoimi głównymi wrogami — Rosjanami (białymi i czerwonymi) w całkowitym osamotnieniu. Jednostronne zajęcie przez nich Lwowa w listopadzie 1918 roku, w czasie kiedy miasto to posiadało jedynie nieznaczną mniejszość ukraińską, doprowadziło do dziewięciomiesięcznej wojny z wojskami polskimi i do utraty Zachodniej Ukrainy na rzecz Polski. Odzyskanie Kijowa w maju 1920 roku w wyniku zaimprovizowanego układu atamana Petlury z Piłsudskim nastąpiło za późno, aby zapobiec kontribulizacji przeważających sił bolszewickich. W każdym bądź razie przymusowe uznanie przez Petlurę pretensji polskich do Zachodniej Ukrainy, które stanowiło cenę wyznaczoną przez Piłsudskiego za pomoc armii polskiej, zdyskredytowało atamana w

oczach jego bezkompromisowych rodaków. Wobec takiej sytuacji, podzielone wewnątrz i atakowane z zewnątrz, Ukraińskie Państwo Narodowe (UNR) upadło i nigdy już nie pojawiła się szansa jego wskrzeszenia. Traktat Ryski dokonał podziału Ukrainy pomiędzy Polaków i Sowietów, podobnie jak miało to miejsce z Białorusią. W okresie międzywojennym cała furia Ukraińców zwrócona została przeciwko Polakom. Ponieważ ruchy narodowe były do pewnego stopnia tolerowane w Polsce (ale nie w ZSSR), Zachodnia Ukraina stała się centrum dla takich organizacji ukraińskich, które mogły tam działać. Nie uzyskano jednak niczego. W okresie poprzedzającym współpracę sowiecko-hitlerowską w latach 1939-1941 oraz wojnę sowiecko-hitlerowską w latach 1941-1945, zarówno Ukraińcy jak i Polacy stracili wszelką nadzieję wspólnej akcji przeciwko wspólnym wrogom. W 1939 roku ukraińskiemu ruchowi narodowemu pozostał już tylko jeden potencjalny sojusznik — hitlerowcy. Kiedy Hitler odsłonił swoje prawdziwe oblicze, rozpętując krwawe represje wobec wszelkich niezależnych organizacji w okupowanej Ukrainie, ruch znalazł się w całkowitej izolacji. Ci Ukraińcy, którzy przyłączyli się do niemieckiej dywizji SS Galizien, zostali zdziesiątkowani na froncie wschodnim. Jedną z ostatnich tajemnic „ostatniej tajemnicy” jest fakt, że niedobitki z SS Galizien ucalały od deportacji do ZSSR i pewnej śmierci dzięki powołaniu się na obywatelstwo polskie. Ci, którzy wstąpili do Ukraińskiej Armii Powstańczej (UPA) Stefana Bandery, spędzili resztę wojny prowadząc rozpaczliwą walkę na trzy fronty przeciwko Armii Czerwonej, niemieckiemu Wehrmachtowi i polskiej AK. Pomimo całej waleczności, ich beznadziejne położenie było skutkiem nierealistycznych postaw politycznych i nadmiernej nieufności wobec wszystkich sąsiadów. W 1947 roku zostali oni w końcu osaczeni i rozbici w Bieszczadach przez połączone siły wojskowe ZSSR, Czechosłowacji oraz Polski. Po tylu smutnych klęskach uczucia Ukraińców wobec Polski są w nieunikniony sposób mieszane. Kwestia ta nie może być otwarcie dyskutowana ze Związkiem Sowieckim, a w Polsce Ludowej rzadko tylko pojawia się na forum publicznym. W kołach emigracyjnych na Zachodzie często wywołuje gwałtowne reakcje uwarunkowane przedwojenną lub wojenną wrogością. Większość Ukraińców mieszkających poza granicami swego kraju została wychowana w starej tradycji nacjonalistycznej, według której wyłącznie posiadanie maksymalnie rozległego terytorium narodowego uważane jest za jedyne i najwyższe dobro. Z tego też powodu publikują swoje mapy „Wielkiej Ukrainy”, której granice sięgają jeszcze dalej niż granice Ukraińskiej SSR, i nadal

uskarżają się na „polską okupację” Przemysła i Chełmu. Tylko w niewielkim stopniu zdają się uświadamiać sobie, jak bardzo ich stanowisko przypomina stanowiska znieprawdopodobnych przez nich wrogów-stalinowców i polskich nacjonalistów. Ich historycy ciągle jeszcze trzymają się kurczowo starej ideologii nacjonalistycznej, która traktuje naród i jego ojczyznę jako trwałą rzeczywistość istniejącą w ciągu całej udokumentowanej historii. Owa ideologia z konieczności wywołuje niechęć do tych, którzy dopuścili się przestępstwa przeciwko niemożliwemu do urzeczywistnienia, jałowemu, ahistorycznemu ideałowi. Prawie w ogóle nie uświadamiają oni sobie, że stanowią prawie dokładnie echo komunistycznych propagandystów. W szkołach Ukraińskiej SSR i w klasach szkół emigracji ukraińskiej nadal uczy się dzieci, że Polacy, którzy niegdyś władali Kijowem oraz stanowili najliczniejszą grupę etniczną w okolicach Lwowa, Stanisławowa (Iwanofrankivsk) i Tarnopola, byli „cudzoziemskimi ciemżycielami”, „obcymi najeźdźcami” lub „imperialistycznymi panami”. *Mutatis mutandis* przedstawia się ten sam obraz, jaki staromodni nacjonałiści polscy (i ich następcy wśród komunistycznych ideologów) malują przedstawiając obecność Niemców na Zachodzie. A wszystko to obliczone jest na to, aby podtrzymywać przy życiu stare antagonizmy.

Jednakże powoli zaczynają się wyłaniać nowe spojrzenia. Pojawiają się uczeni, którzy więcej uwagi poświęcają prastaremu wspólnemu dziedzictwu Polaków i Ukraińców, aniżeli rozbieżnościom czasów nowszych. Tysiąclecie stosunków polsko-ukraińskich zbliża się szybkimi krokami i można się spodziewać, że w ramach jego obchodów ktoś dokona podsumowania wszystkich *pro* i *contra* za ostatnie tysiąc lat, od chwili kiedy książę Wołodimir (Włodzimierz) wyruszył w 981 roku z wyprawą przeciwko „Liachom”. Trzeba będzie odrzucić dwa szkodliwe mity: jeden, według którego rola Polski na wschodzie była wyłącznie pozytywna, oraz drugi, który utrzymuje, że rola ta była wyłącznie negatywna. Istnieją obecnie historycy, którzy gotowi są dyskutować o tym, czy dawne państwo polsko-litewskie było matką czy też macochą zarówno dla Polaków jak i dla Ukraińców. Są też historycy, którzy żałują niepowodzenia Unii Hadziackiej tak bardzo, jak inni cieszą się z sukcesu powstania Chmielnickiego. Istnieją historycy, którzy zwracają uwagę na uderzające podobieństwo pomiędzy udanym wchłonięciem Ukrainy przez Cesarstwo Rosyjskie w latach 1654-1787, realizowanym stopniowo poprzez kolejne etapy patronatu, ograniczonej autonomii i pełnej integracji, a paralelną — aczkolwiek jeszcze nie sfinalizowaną — polityką Rosji wobec Polski w roku 1717. Wszystkie te prace zapo-

wiadają zmianę tonu w stosunkach polsko-ukraińskich. Przede wszystkim zachęcają Ukraińców i Polaków do zbadania ukrytych uwarunkowań nacjonalizmu, który tak długo panował nie tylko w ich historii, ale i w ich historiografii. Mogą służyć pokazaniu, że ani Naród ani Naród-Państwo nie są same w sobie nosicielami wartości moralnych, lecz stają się nimi wówczas, gdy rozwijają się wspólnie z podstawowymi wartościami etycznymi takimi jak miłość, ludzkość i szacunek dla jednostki. „Panowie, w imię czego pragniecie mieć narodowe, niepodległe, suwerenne państwo?” Oto być może centralny problem w najnowszej historii i polityce Europy Wschodniej. W rękach nietolerancyjnych aktywistów nacjonalizm może być równie gnębielski, równie okrutny i odrażający, jak imperializm i absolutyzm, których niesprawiedliwości i krzywdy powołały go do życia. Wkład historyka do procesu reewaluacji musi polegać na przedstawieniu minionej rzeczywistości w jej całej wielostronnej różnorodności. Zbyt długo przeważały jednostronne i pesymistyczne uprzedzenia. Jeśli chodzi o Polaków, najszerzej znanym cytatem na temat historii stosunków polsko-ukraińskich jest świetne zdanie zamykające „Ogniem i mieczem”: „Nienawiść wzrosła w sercach i zatrąła krew pobratymczą”. Wydaje się teraz, że można znaleźć inne, bardziej pojednawcze cytaty. Nawet w okresie, kiedy antagonizm polsko-ukraiński był podsycany przez rywalizujące ze sobą ambicje w Galicji, Pantelejmon Kulisz pisał o „pożałowania godnym pojedynku i diabelskim szale upartego Rusina i jego nieubłaganego wroga od tysiąca lat” — pojedynku, z którego „żaden z ich potomków nie będzie dumny”. A jeszcze wcześniej Taras Szewczenko ostrzegał swoich rodaków przed pokusą cieszenia się klęskami Polski: „Chwalicie się, że kiedyś zadaliście Polsce klęskę; tak było, i Polska upadła, ale wy również zostaliście zmiażdżeni przez jej upadek”. W następnych latach zbyt rzadko pamiętano o takich wspianiałościach słowach.

Likwidując przedmiot odwiecznego sporu terytorialnego, rozstrzygnięcia z roku 1945 przemocą doprowadziły do tego, czego Polacy i Ukraińcy nie byli w stanie osiągnąć na drodze wzajemnego porozumienia. Dwie spokrewnione rodziny, które przez wieki mieszkaly pod tym samym dachem, zostały przemocą rozłączone i zmuszone do zmiany miejsca zamieszkania. Niektórzy potępili to przymusowe rozdzielanie bez najmniejszego wahania, inni znów porównali je do „nieuniknionego rozvodu”, który, aczkolwiek nieprzyjemny sam w sobie, stanowi mniejsze zło w porównaniu z wieczną niezgodą nieudanego małżeństwa. Wszyscy muszą przyznać, że dzięki temu obie strony zyskały okres wy-

tchnienia i czas do refleksji nad błędami przeszłości i perspektywami na przyszłość.



Jednak ze wszystkich sąsiadów najwięcej uzasadnionych powodów do kwestionowania oficjalnej wersji historii Polski w wydaniu warszawskim mają Niemcy. Niezależnie od tego, jakie żywią uczucia w związku z nieodwracalną utratą swoich prowincji wschodnich — a wydaje się, że przyjęli to mieszaniną poczucia winy, resentymentu i obojętności — nie mogą skazać tak ważkiej części swego historycznego dziedzictwa na zapomnienie. Według historyków niemieckich starej szkoły, trwałe związki Pomorza i Śląska z ziemiami niemieckimi datują się od roku 1138, natomiast Prus od momentu przybycia Zakonu Krzyżackiego w roku 1226. Dzisiaj, chociaż dowiedziono fałszywości niektórych bardziej skrajnych uroszczeń niemieckich, żadne sofistyczne sztuczki nie zmieniają faktu, że element niemiecki dominował na tych ziemiach w ciągu ostatnich sześciuset lat. Nikt nie może zaprzeczyć temu, że ludność „polskich prowincji” Prus odegrała zasadniczą rolę w epoce największego rozkwitu w nowożytnej historii Niemiec. Nikt, kto posiada choćby elementarną znajomość kultury niemieckiej nie może przejść obojętnie obok wkładu w jej rozwój jaki wnieśli „ludzie ze wschodu”, z miast i prowincji wcielonych niedawno do Polski.

Gdyby skłonność władz polskich do wznoszenia pomników upamiętniających bitwy stoczone na polskich ziemiach łączyła się z poczuciem sprawiedliwości, do pomników stojących na polach Legnicy i Grunwaldu dołączyłby się szereg innych. Powinny one stać w Ścinawie (Steinau-am-Oder), gdzie stoczył bitwę Wallenstein; w Puławsku (Ostenberg), Punicach (Punitz) i Wschowej (Fraustadt), gdzie Karol XII odnosił zwycięstwa nad Saksończykami. Szereg miejscowości zostało upamiętnionych zwycięstwami Fryderyka Wielkiego: Malujowice (Mollwitz, 1741), skąd uciekł w niepotrzebnej panice; Dobromierz (Hohenfriedburg, 1745), Sarbinowo (Zorndorf, 1758) i Lutynia (Leuthen, 1757), a przede wszystkim jego wielkimi klęskami: pod Gross Jägersdorf (1757) i Kunowicami (Künersdorf, 1759). Wszystkie te bitwy uważane są w Polsce za część „obcej”, a nie miejscowej historii, chociaż zwiedzający ich miejsca turyści polscy mogliby cieszyć się z ich wyników. W umyśle wykształconego Niemca nazwa „Künersdorf” wywołuje uczucia pokrewne tym, jakie Anglicy łączą z „Recessional” Kiplinga, a Francuzi z opisem bitwy pod Waterloo w „L'Expiation” Wiktora Hugo. Künersdorf było świadkiem naj-

większej klęski Prus, grożącej całkowitym zniszczeniem Hohenzollernów przez Rosjan, miejscem straszliwej rzezi i przedmiotem znakomitej „Elegii” Christiana Tiegde, zwróconej do „Ludzkości masakrowanej przez Urojenie na Ołtarzu Krwi”. Obecnie (co za ironia) — jako Kunowice — jest to polska stacja graniczna na głównej linii kolejowej łączącej Berlin z Warszawą. Na miejscu byłoby wzniesienie innych pomników chwały wojennej, upamiętniających obronę Kołobrzegu (Colberg) przez Gneisenau’a w 1806; zwycięstwo Napoleona pod Iławą (Eylau) w 1807; rozbitcie przez Hindenburga dwóch armii rosyjskich w bitwie nad jeziorami mazurskimi we wrześniu 1914 oraz powstrzymanie przez Piłsudskiego planowanego marszu Armii Czerwonej na Niemcy w sierpniu 1920 roku. Olbrzymi pomnik Hindenburga wzniesiony w Pszczółkach (Hohenstein) na pamiątkę jego zwycięstwa nad Rosjanami został zniszczony przez hitlerowców w 1944 roku w obawie przed jego zbezczeszczeniem przez zbliżającą się armię sowiecką, a mały pomnik w Radzyminie wraz z dziwnym napisem „KOŚCIUSZKO — RODACY 1920 r.”, jest jedynym śladem upamiętniającym zwycięstwo Piłsudskiego w Bitwie Warszawskiej.

Podobnie, gdyby powojenne władze polskie chciały uczcić pamięć wszystkich sławnych synów i córek „Ziem Odzyskanych”, powinny umieścić tablice upamiętniające następujące osoby: Szczecin — Katherina von Anhalt-Zerbst (1729-1796), późniejsza caryca rosyjska; Gdańsk — browarnik-astronom Johann Hevelius (1611-1687), fizyk Gabriel Fahrenheit (1686-1736), filozof Artur Schopenhauer (1788-1860), bracia von Schellendorf, kolejni ministrowie wojny za czasów Bismarcka; Poznań — historyk Heinrich Graetz (1817-1891), przywódca narodowych liberałów Edward Lasker (1829-1894), feldmarszałek i prezydent Paul von Benckendorf und Hindenburg (1847-1934), feldmarszałek Hans von Kluge (1882-1944); Wrocław — sekretarz Metternicha i teoretyk „Balance of Power” Friedrich von Gentz (1764-1832), teolog Friedrich Schleiermacher (1768-1834), malarze historyczni Karl Lessing (1808-1890) i Adolf Menzel (1815-1905), socjalista Ferdinand Lassalle (1825-1864), feldmarszałek Hermann von Eichhorn (1848-1918), śpiewak, dyrygent i założyciel Boston Symphony Orchestra Sir George Henschel (1850-1934), brytyjski uczonec i laureat Nagrody Nobla Max Born (1888-1970); Morąg (Mohrungen) — filozof historii, historyk mitologii i zbieracz pieśni ludowych J. G. Herder (1744-1803); Zeblin k. Koszalina (Köslin) — pruski żołnierz i poeta poległy pod Künersdorf, Christian von Kleist (1715-1759); Metschkau (Mieczków) na Śląsku — pruski minister oświaty i autor *Kulturkampf* Adal-

bert Falk (1827-1900), Kostrzyń (Küstrin) — miejsce uwięzienia młodego Fryderyka II i urodzenia admirała Alfreda von Tirpitz (1849-1930) oraz feldmarszałka Teodora von Bock (1880-1945); Belchau k. Torunia — generał Erich von Falkenhayn (1861-1922), Pokój (Carlsruhe) k. Opola — geograf i badacz Chin Ferdinand von Richthofen (1833-1905) oraz jego równie żądny przygód wnuk, as lotniczy z czasów pierwszej wojny światowej, „Czerwony Baron” Manfred von Richthofen (1892-1918); Wąbrzeźno (Briesen) k. Grudziądz — odkrywca Trzeciego Prawa Dynamiki Walter Nernst (1864-1941). Krzyżowa (Creisau) k. Świdnicy została podarowana feldmarszałkowi Helmuthowi von Moltke (1800-1891) w uznaniu jego zasług w wojnie austriacko-pruskiej 1866 roku; w późniejszych czasach, jak dom prawnuka feldmarszałka, Helmutha von Moltke (1907-1945), powieszzonego przez hitlerowców, stanowiła schronienie dla grupy spiskowców antyhitlerowskich z tzw. Kreisauer Kreis. Skyren k. Krosna (Crossen) nad Odrą związane jest z Leonem hr. Caprivi (1831-1899), a Haynau (Chojnów) z Georgiem Michaelisem (1857-1936); obaj byli w swoim czasie kanclerzami Rzeszy. Racibórz (Ratibor) był centrum posiadłości ks. Hohenlohe, największej fortuny ziemskiej w Europie Środkowej, a Tarnowskie Góry (Tarnowitz) siedzibą Donnersmarcków. Z wybitniejszych postaci drugiej wojny światowej, generał Heinz Guderian (1888-1954) urodził się w Chełmnie (Kulm) nad Wisłą, SS Obergruppenführer i pacyfikator Powstania Warszawskiego Erich von dem Bach-Zelewsky (1899-1972) w Łęborku na Pomorzu, a dowódca nazistowskiej *Ordnungspolizei*, generał SS Kurt Daluge (1897-1946) w Kluczborku (Kreuzberg) na Śląsku. Lista ta ciągnie się w nieskończoność i zajmuje więcej miejsca w encyklopediach niż niektóre narody. Kto ma prawo decydować o tym, że tyle wybitnych nazwisk oraz wielowiekowe społeczności niemieckie, z których się wywodzą, zostały teraz oderwane od miejsc swego urodzenia? W jaki sposób mogą być zapamiętane ich czyny — zarówno złe jak i szlachetne — skoro po prostu usuwa się je z kart historii?

Ale hasła w encyklopediach niewiele znaczą. Naprawdę uderzającą cechą niemieckiego życia na Wschodzie stanowi intensywność, z jaką niemieckość ludności łączyła się z jej ścisłą ojczyzną. Dokładnie to samo poczucie braku bezpieczeństwa, jakim odznaczają się dzisiaj ich polscy następcy sprawiało, iż patriotyzm i zapal kulturalny Niemców ze wschodnich rubieży był tym większy, ponieważ wystawieni byli na niebezpieczeństwa jakie wiązały się z zamieszkiwaniem spornych terytoriów pogranicznych. Pod wieloma względami Niemcy z Wrocławia lub Poznania byli żarli-

wiej lojalni wobec niemieckiej kultury i niemieckiego państwa niż wielu ich rodaków mieszkających w innych częściach Niemiec (tak jak „lojaliści” z Belfastu dużo bardziej demonstracyjnie kultuwują swoją brytyjskość niż inni mieszkańcy Zjednoczonego Królestwa). Niezależnie od faktu, że niekiedy patriotyzm ten miał agresywny charakter — o czym Polacy aż za dobrze pamiętają — stanowił również natchnienie dla wielu nadzwyczajnych osiągnięć we wszystkich dziedzinach ludzkiej działalności. Szereg osób spośród uczonych i profesorów niemieckiego uniwersytetu we Wrocławiu (który ustępował palmy pierwszeństwa jedynie uniwersytetowi berlińskiemu) uzyskało w dziedzinie nauk światowy rozgłos.

Przyjrzyjmy się bliżej byłym niemieckim ziemiom wschodnim. Od krzyżackich zamków Marienburg (Malbork) i Neidenburg (Nidzica), gotyckich wieżyczek szczecińskiego Pieterkirche i gdańskiego Marienkirche, renesansowych budowli Hirschbergu (Jelenia Góra), Bad Landeck (Łądek Zdrój) czy Neisse (Nysa), kwiecistego baroku Grussau (Krzyszów) i Lublin (Lubiąż) aż do niezliczonych gmachów publicznych z epoki wilhelmińskiej, polskie Ziemie Odzyskane pełne są dzieł architektury należących do skarbnicy niemieckiej (a nie polskiej) twórczości. Stare teatry, sale koncertowe i galerie Wrocławia, Poznania, Szczecina i Gdańska należą do świata nie polskiej, lecz niemieckiej kultury.

Lecz przede wszystkim wkład niemieckich „kresów wschodnich” zaznaczył się w olbrzymim stopniu w niemieckiej literaturze. Już w trzynastym wieku dwór księcia śląskiego Henryka V (1266-1290) był kwitnącym ośrodkiem twórczości *Minnesänger*ów. W epoce renesansu i kontrreformacji protestant wrocławski Johann Hesse (1490-1547) i konwertyta katolicki Johannes Scheffler (1624-1677), znany jako Angelus Silesius (Anioł Ślązak) tworzyli hymny i dzieła religijne studiowane przez niemieckich chrześcijan wszystkich wyznań. Reforma literacka siedemnastego wieku została zapoczątkowana przez Martina Opitz von Boberfelda (1597-1639), rozwinięta przez Friedricha von Logana (1604-1655) — obaj byli urzędnikami dworu śląskiego — i znalazła swój pełny wyraz w twórczości Andreasa Gryphiusa z Fraustadt (Wschowa). Osiemnastowieczną odnowę reprezentuje świetnie dzieło von Kleista, którego wiersz *Frühling* figuruje w prawie każdej antologii poezji niemieckiej. Do rozwoju ruchu romantycznego przyczynił się znacznie E. T. A. Hoffman (1776-1822), którego „Opowieści fantastyczne” powstawały w ramach ucieczki od nudnych obowiązków urzędnika pruskiego w Płocku i Warszawie. Surowe realia mieszczańskiego życia we Wrocławiu

zostały dokładnie odtworzone przez Gustawa Freytaga (1816-1895), którego *Soll und Haben* została uznana za archetypiczną powieść niemiecką dziewiętnastego wieku. Podobny tytuł do sławy zdobył później Arnold Zweig (1887-1968) z Glogau (Głogów) swoją *Der Streit um den Sergeanten Grischa*. Ale prawdziwą siłę wyrazu „szkoły śląskiej” można znaleźć w poezji lirycznej Josepha Freiherr von Eichendorffa (1788-1857), urodzonego w Lubowitz (Lubomia), a zmarłego w Nysie, oraz Gerharda Hauptmanna (1862-1946), który żył i tworzył w Agnetendorf (Jagniątków) w Riesengebirge (Karkonosze). Proste i melodyjne liryki Eichendorffa, opisujące ponure wzgórza, ciemne lasy i księżycowe noce, dostarczyły licznych inspiracji pieśniom Schuberta, Schumannna i Wolfa. Tematy jego wierszy takich jak *Lust* („Nostalgia”), *Heimat* („Ojczyzna”), *Waldeinsamkeit* („Samotność w lesie”), wywołują te same bolesne uczucia u niemieckich „wypędzonych” z okresu powojennego co u jego współczesnych. Jeśli gdziekolwiek, to właśnie tutaj żyje wygnana dusza niemieckiego Śląska:

*Łomocze młyńskie koło
I chłodne wody biegną.
Najmilsza mnie nie woła,
Odeszła do innego.*

*O doliny, wyżyny,
Radość z bólem się plecie:
Zbożny to wypoczynek
W pięknym zielonym lesie.*

*Świata drogi się kłębią
Wśród gwaru i w niezgodzie —
O zamknij się nade mną
Zielony mój namiocie.*

*Niebawem cię odbiegę,
Obcy wśród obcych teraz,
By w barwnym ulic ściegu
Zobaczyć życia teatr.*

*A w lesie mi pobrzmiwa
Poważny cichy ton —
Co czynić nam potrzeba
I gdzie człowieczy dom.*

*Tajemnie jak złodzieje
Gnębią nas ból i nędza,*

*Bo miłość i nadzieja
Na zawsze nam odjęte*

Z dzisiejszego punktu widzenia wyrafinowana nostalgia Eichendorffa stanowiła zapowiedź zgubnego losu niemieckiego życia na Wschodzie, wyrażając to z niemniejszą siłą od apokaliptycznych scen „Wojny” w poetyckich przeczuciach innego Ślązaka, Georga Heyma (1887-1912):

*Nad łuną ruin unosi swoje potężne moce,
Po trzykroć rzuca pochodnię w głąb oszalałych niebios...
Poprzez wyniosłe błyski rozbukanego morza,
W śmiertelne mroki zlodowaciałej rozpaczy,
Rażąc z daleka ogniem i przerażeniem noc,
Gdy płomień i siarka niweczą i pochłaniają Gomorę.*

Zarówno Niemcy jak i Polacy muszą dopiero pogodzić się z wewnętrznymi zmianami zaszły mi po 1945 roku. Podobnie jak w przypadku stosunków polsko-ukraińskich, narzucone przemocą rozdzielanie obu narodów dało okazję do wytchnienia i refleksji. Ale rany polskie i niemieckie, jeśli nie są starsze, są jednak głębsze i do ich zagojenia potrzeba więcej czasu. Historycy obu stron rozpoczęli dzieło naprawy przeinaczeń, które w przeszłości stanowiły pożywkę dla nacjonalistycznych uprzedzeń. Na tym polu najdalej posunęli się uczeni zachodni Niemcy, nie będąc skrupowani względami ideologicznymi, jak to ma miejsce w przypadku ich kolegów z Polski Ludowej lub NRD. Także literatura zachodniemiecka obfituje w tematykę polską. Twórczość Günтера Grassa (urodzonego w roku 1927 w Gdańsku), którego „Trylogia gdańska” — *Die Blechtrommel* (1959), *Katz und Maus* (1961) i *Hundejahre* (1963) — zalicza się do arcydzieł współczesnej literatury, świadczy o tym, że dawna *Polenlyrik* jeszcze nie zginęła. Jako świadek katastrofy wschodnich Niemiec, Grass nie może pisać o Polsce w sentymentalnej tonacji swoich dziewiętnastowiecznych poprzedników, ale jego słowa, pełne ironii i wieloznaczności, przyczyniają się do obalenia wrogich stereotypów, jakie dominowały w Niemczech jego młodości:

PAN KISZOT (tytuł po polsku)

*Mówię to zawsze, Polacy mają dar.
Zbytek mają darów, na co im dary,
Obdarowani rękami, całują ustami,*

*dary i takie mają: melancholię, kawalerię;
przyszedł Don Quichotte, Polak wielkich darów,
stał pod Kutnem na pagórku,
mając za sobą łunę wieczoru
pochylił dar bieli i czerwieni u lancy
i pocwałował bezdarnym zwierzętom,
zdanym na motory,
prosto w mundur, we flankę..*

*I prysnął dar, bezdarni całowali
— nie wiem, były to owce wiatraki lub czołgi —
całowali Panu Kiszotowi ręce,
wstydzili się, zaczerwienił od daru;
nic nie wymyślę — Polacy mają dar.*

Pomimo to stare stereotypy nie umierają tak łatwo. Narodowe antypatie są nadal silne. Mit o tysiącletniej walce pomiędzy Germaninem a Słowianinem i myśl o tym, że któregoś dnia jeden z nich może odnieść ostateczne zwycięstwo są ciągle jeszcze żywe. Ale zwykłe poczucie ludzkości wymaga, aby Niemcy i Polacy nauczyli się myśleć o sobie jako o wspólnych ofiarach wzajemnej wrogości i aby zdali sobie sprawę, w czym interesie leży podtrzymywanie i podsycanie tej wrogości. W rzeczywistości stosunki polsko-niemieckie nigdy nie były ani tak konsekwentnie wrogie, ani tak proste, jak można byłoby sądzić na podstawie wydarzeń drugiej wojny światowej czy powojennej propagandy. To właśnie mając na uwadze, zauważmy jak interesujące jest ściśle pokrewieństwo „Elegii” Tiegdego z nastrojem najwybitniejszych elegii z osiemnastowiecznej poezji angielskiej. Myśli Christiana Tiegde, spacerującego po polu bitwy pod Künersdorf, w niesamowity sposób przypominają myśli Thomasa Graya na cmentarzu Stoke Pages. W 1945 roku pycha pruskiej władzy znalazła swój nieunikniony kres i obecnie już tylko niewielu Niemców może nie zdawać sobie sprawy, dokąd prowadzi ścieżka wojennej chwały. Każdy podróżnik przekraczający nową granicę Polski w Kunowicach może z pożytkiem dla siebie odczytać linie wiersza Tiegdego, ułożone dokładnie w tym samym miejscu ponad sto lat temu. Epitafium poety, wystawione wielkiemu „zdobycy świata” w momencie przejściowej kłęski domu Hohenzollernów, przychodzi z jeszcze większą siłą na myśl o totalnej kłęsce świata Adolfa Hitlera:

*Już bardziej sobie nie mogą złorzeczyć:
Oni tu leżą, rękami spleceni.*

*Ich dusze mogły pospólnie odlecieć
W upojną krainę ukojonych cieni:
Tam się odplaca za miłość miłością,
Tam się braterski pokój ucieleśnia,
Bo tylko rozum ludzką bezmyślnością
Niebo od ziemi oddziela boleśnie.*

*Wzniosłe jest gardzić larowym zwińczeniem.
I godność ducha nad sławę podgza,
Czaszką się staje głowa, gdzie wiemieć,
A ziemia skroni i laurów pożąda.
Jak liść od wichru strącony opada,
Tak runął Cezar w mroczny dzień marcowy,
I Macedończyk to prochu kaskada,
I leży Frydryk w ciemnocie grobowej.
Jakże znikomy jest świata gwałtownik,
Ogień i robak zewłok jego czernią,
I wszystko zgasto, jak piorunu głownia,
A wielkorządcy dzielą już imperium.*

Norman DAVIES

*(Z angielskiego przełożył Tadeusz KADENACY;
Wiersze z niemieckiego — Witold WIRPSZA)*

Paweł MORGA

KOR — SZKOŁA WOLNOŚCI

W całej Europie Wschodniej KSS „KOR” ma już swoją czarną legendę: jawi się — według definicji *Literaturnej Gazety* — jako „nieczysta siła”, tajna organizacja powiązana z obcymi wywiadami, podważająca przy pomocy ukrytych sprężyn socjalistyczny porządek. Korowcy chcą wieszać komunistów i palić partyjne komitety. To aroganccy Żydzi o brudnej przeszłości, niewyżyci politycy marzący o władzy, brutalni i podstępni zarazem, przekupujący dolarami robotników, aby ich słuszny gniew wykorzystać do celów sobie tylko wiadomych. Trzeba ich zniszczyć, w interesie spokojnych obywateli, pracujących mas. Niewiele przecież brakowało, by utopili Polskę w morzu bratniej krwi, albo — co gorsza — przywrócili kapitalizm.

Nieważne, że oskarżenia te są absurdalne. Wszyscy wiedzą — i to się liczy — że na KSS „KOR” ciąży klątwa największej i najbardziej bezwzględnej siły w tej części świata. Komuniści nauczyli wielu ludzi, że nawet gdy się walczy o własne prawa, lepiej z tą (grupą? organizacją?) nie mieć nic wspólnego.

Część oskarżeń służby bezpieczeństwa podjęli „prawdziwi patrioci”. W październiku 1979 podziemne piśmko *Przedmurze* twierdziło, że KOR dąży do zniszczenia „szczególnej u Polaków wrażliwości moralnej, która pozwala nam wręcz naczule rozróżniać dobro od zła... Świat dzisiejszy opanowały siły zła i dlatego Naród nasz, rodzący Papieża, stał się dla nich groźny, bo zaczął emanować pewien rodzaj imperializmu moralnego...”. I dalej o tym, że „światowe żydostwo, rękami KOR-u...”.

Nawet gdy się pogardza totalitaryzmem i antysemityzmem,

ten ryk nienawiści z tak różnych stron stwarza u wielu pewien dystans wobec ludzi, którzy to wszystko rozpętali — do ludzi z KOR-u. I zawsze można sobie powiedzieć: to w końcu nie jest całkiem moja sprawa. Tamci — podjęli działania polityczne przeciw komunistom. Za to poszli do więzienia. W ustroju takim jak nasz — to normalne.



Było to chyba pod koniec 1978 roku. Spotkałem jednego z redaktorów pisma wydawanego poza zasięgiem cenzury, mego dobrego znajomego. Wziąłem od niego parę odbitych na powielaczu numerów, i ciesząc się już na lekturę, zadałem mu przy okazji, z czystej ciekawości, pytanie: „Słuchaj, właściwie to dlaczego was nie zamykają, nie wytaczają procesów?” Zaskoczony, pewnie nawet niemile, taką bezpośredniością, zaczął mi tłumaczyć, że nie ma podstaw prawnych do zamykania redaktorów niezależnych gazet, że konstytucja zapewnia wolność słowa, itp. Nie pytałem więcej, myśląc sobie: ależ on naiwny. Ja, dziennikarz z pisma cenzurowanego, wiedziałem doskonale i stale miałem to w pamięci, że dla tej władzy żadne prawa się nie liczą, może dowolnie interpretować istniejące, a także napisać sobie w każdej chwili takie, jakie będą jej wygodne.

To że piszę teraz ten artykuł pod pseudonimem, że władza zdecydowała się jednak wsadzać do więzienia tych, którzy z prasą podziemną mają cokolwiek wspólnego i wielu innych jeszcze — to wszystko mogłoby dowodzić, że miałem wówczas rację, że wyszło na moje. Naprawdę jednak — muszę przyznać — to jego racje okazały się w sumie znacznie bardziej istotne. W końcu nie ja jego przeciągnąłem do swojej prasy, tylko on mnie do swojej. Z prasy niezależnej do zależnej nie przeszedł prawie nikt, podczas gdy drogę odwrotną przebyło bardzo wielu.



Cały KOR zaczął się w gruncie rzeczy od upominania się o prawa. Listy protestujące przeciw wpisywaniu do ustawy zasadniczej naszego podporządkowania partii i wierności Związkowi Sowieckiemu wywoływały nie tylko wściekłość władz, lecz i uśmiechy politowania u osób, które co do władz nie miały żadnych złudzeń: „A cóż to ma za znaczenie jak w tym ustroju wygląda konstytucja? Konstytucji Kraju Rad niczego nie można zarzucić, a popatrzcie co się tam dzieje!”

Wobec wszechmocy totalitarnego państwa KOR wydawał się w pierwszym okresie przedsięwzięciem nieprawdopodobnie naiwnym, wręcz niepoważnym. Władza spędza na stadiony setki tysięcy ludzi, którzy na rozkaz piętnują gromko „warcholów z Ursusa i Radomia” — a tu kilkanaście osób zakłada (23 września 1976 roku) Komitet Obrony Robotników, tych samych właśnie, z Radomia i Ursusa „w celu — jak głosiło oświadczenie — niesienia pomocy prawnej, finansowej i lekarskiej represjonowanym po czerwcowych strajkach i demonstracjach, (...) ujawnienia pełnych rozmiarów zastosowanych represji i wszystkich innych okoliczności związanych z protestem robotniczym 25 czerwca 1976 roku, ujawnienia i ukarania osób winnych naruszania prawa, torturowania...”. Kuroń, Jan Józef Lipski, ksiądz Zieja i Halina Mikołajska każą się partii tłumaczyć z jej niegodziwości oraz na oczach władzy zaczynają pomagać jej ofiarom! Poza wszystkim — każdy widział dobrze, jakie to niebezpieczne.

W KOR-ze było najpierw piętnaście osób, potem przyłączali się inni, skład samego komitetu nie przekroczył jednak nigdy osób trzydziestu pięciu. Zbierali się raz na miesiąc, zwykle w mieszkaniu prof. Edwarda Lipińskiego, nadzianym zresztą przez SB mikrofonami. Umawiali się na spotkania przez telefon. Stale byli obserwowani przez SB, która raz ich zostawiała w spokoju, kiedy indziej wkraczała do akcji, aresztując jednych, innym zagrażając drogę. Aresztowanych, a właściwie — zatrzymanych na 48 godzin — często bito, i to jak!

O tym także się wiedziało, choć raczej mgliście, chętnie zapominając. W moim środowisku przeważała opinia, że dobrze, że istnieje coś takiego jak KOR — choć my się tam nie wybieramy. Ale inni, młodszy, nie ryzykujący swą — ważną przecież dla kultury — pozycją zawodową, czemu nie? Zachęcałem kiedyś pewną młodą dziewczynę, która nie wiedziała co zrobić z życiem, żeby związała się z młodą opozycją. Ich życie wydaje się ciekawe i ma sens — mówiłem. Odpowiedziała mi, że oglądała niedawno dwóch swoich kolegów, którzy rozdawali jakieś ulotki i zostali tak pobici przez milicję, że ledwie ich poznała. Ona tego nie chce. Wtedy dotarła do mnie dwuznaczność moich życiowych wskazówek, całkowicie sprzecznych, jak potem zrozumiałem, z etosem KOR-u, który każe przede wszystkim s a m e m u coś zrobić, gdzieś pójść, zwłaszcza, jeśli to niebezpieczne.

Tymczasem KOR istniał, działał w atmosferze rozluźnionego terroru, niepewnej liberalizacji drugiej połowy lat siedemdziesiątych. W mieszkaniu profesora Lipińskiego ustalano najbardziej

ogólne sprawy, zatwierdzano komunikaty, które były jedynym oficjalnym wyrazem stanowiska całego Komitetu. Poza nimi — każdy członek KOR-u mógł występować tylko we własnym imieniu, na równych z innymi prawach, nie było tu bowiem ani przewodniczącego, ani sekretarza. Wszystkie decyzje zapadały po długiej dyskusji, w demokratycznym głosowaniu. (Początkowo istniało tu nawet prawo weta, z którego jednak zrezygnowano).

Ustalenia dotyczyły zawsze pomocy represjonowanym: do kogo się o nią zwrócić, jak ją wykorzystać, jakie wybrać formy protestu. Nikt nie formułował żadnych politycznych programów — poza programem obrony ludzi przed bezprawiem, obrony prowadzonej w oparciu o istniejące kodeksy.

Sprawy Radomia i Ursusa, którym KOR nadawał rozgłos, do tego stopnia psuły paternalistyczny wizerunek gierkowskiej władzy, że rząd PRL zdecydował się wreszcie na amnestię i uwięzieni robotnicy, a także uwięzieni w międzyczasie członkowie i współpracownicy KOR-u wyszli na wolność. Ale sprawa wygasła tylko pozornie i tylko dla tych, którzy w łaskawym wycofaniu się z części bezprawia chcieli ujrzeć pełną praworządność.

W tym czasie jednak Biuro Interwencyjne KOR-u miało już tylu interesantów z całej Polski, tylu ludzi proszących o pomoc, tyle konkretnych danych o codziennej rutynie aparatu ścigania i wymiaru sprawiedliwości, gdzie „z milicją nikt nie wygra”, a sąd jest „sądem dyspozycyjnym” — że po prostu tak tego nie można już było zostawić. 26 września 1977 roku członkowie Komitetu uznali za konieczne rozszerzenie jego zadań i działalności: postanowili przekształcić KOR w Komitet Samoobrony Społecznej. KSS „KOR” miał odtąd walczyć o przestrzeganie praw obywatelskich w Polsce, głównie poprzez pomoc w organizowaniu się ludzi dla obrony przeciw wszechmocy totalitarnego państwa.

10 października 1978 roku KSS „KOR” ogłasza „Apel do społeczeństwa”. Czytamy tu między innymi: „W społeczeństwie polskim są ogromne rezerwy inicjatyw, aktywności i energii, zdolne przełamać obecny kryzys. Warunkiem ich wyzwolenia jest umożliwienie powstania rzeczywistego przedstawicielstwa wszystkich środowisk społecznych. (...) Tylko przy spełnieniu tych warunków (współpracy władz ze społeczeństwem) możliwe jest opracowanie szczegółowego programu naprawy systemu gospodarczego i sytuacji społecznej. Program ten powinien zostać sformułowany w szerokiej dyskusji, z udziałem niezależnych ekspertów. Bez realizacji tych warunków wszelkie próby nawiązania kon-

taktu ze społeczeństwem muszą się przekształcić w dialog władzy samej z sobą”.

Po pięciu latach, po tym, co się w ciągu tych lat zdarzyło, po uroczystym rozwiązaniu się KOR-u na I Krajowym Zjeździe Delegatów NSZZ „Solidarność” — „rzeczywistego przedstawicielstwa wszystkich środowisk społecznych”, po wojnie wydanej narodowi przez władzę — słowa te są w zdumiewający ale i tragiczny sposób aktualne. Aktualne jest — prawdę powiedziawszy — wszystko, czego KOR chciał; wszystkie jego metody działania sprawdziły się w stopniu niezwykłym, przejęte zostały przez „Solidarność”, potem przez „Solidarność” podziemną i dziesiątki innych niezależnych ugrupowań.

Teraz sytuacja jest jednak inna. Niewydolność i bezprawie „realnego socjalizmu” widać jak nigdy dotąd, ale i stopień represji wydaje się trudny do porównania z tym, jaki pamiętamy z końca lat siedemdziesiątych. Czterem członkom KOR-u wytoczono absurdalny proces, oparty na nieprawdziwym i niewiarygodnie brzmiącym oskarżeniu o to, że „działając w celu obalenia przemocą ustroju i osłabienia mocy obronnej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej poprzez zerwanie jedności sojuszniczej ze Związkiem Radzieckim, podjęli w porozumieniu z osobami objętymi osobnymi postępowaniami, czynności przygotowawcze zmierzające do urzeczywistnienia tego celu...”.

Wyroki w tym procesie będą na pewno wysokie. Minister policji Kiszczak powiedział już: dziesięć lat.

Wygląda, że rozbitciu uległo to, co po KOR-ze zostało. Przemoc usunęła z życia najbardziej aktywnych, a piękna zasada jawnej działalności w obronie praw ludzkich wydaje się w dzisiejszej Polsce niebezpiecznym anachronizmem.

W tym miejscu trzeba jednak powiedzieć wyraźnie, że KOR — to nie organizacja, nie „siatka”, którą można „zlikwidować”, lecz po prostu ludzie. Nie tylko członkowie samego Komitetu, lecz i współpracownicy — z różnych środowisk, różnych pokoleń przede wszystkim młodzi. Swego czasu coś ich połączyło; trochę styl życia, a trochę pewien instynkt społeczny, który każe się interesować losami innych, a jednocześnie nie tylko zabrania kłamać, lecz także i milczeć, kiedy dzieje się coś bardzo złego. Chodziłoby więc tutaj zarazem o instynkt moralny, bardziej może ze społecznym związany, niż to się zwykle przyjmować w naukach społecznych, zwłaszcza marksistowskich.

Styl życia, sposób postępowania tych, o których się mówiło „opozycja demokratyczna”, w kręgach *establishment*'u budził zgorznienie. Kiedy Dominik Horodyński nazwał w *Trybunie Ludu*

ich głódówkę w kościele św. Marcina „ekshibicjonizmem politycznym” — niejeden zgadzał się z tym skrycie, będąc nawet całą duszą po stronie opozycji, a przeciw *Trybunie Ludu*. Nie wiadomo kiedy nauczono nas bowiem, że przekonania polityczne ujawnia się tylko w sposób konwencjonalny: zebranie, głosowanie, skandowanie, przemawianie. A tutaj ktoś miesza do polityki swą prywatną solidarność z uwięzionymi i manifestuje to całym sobą, własnym ciałem, tym, że nic nie je. Ten intymny wymiar polityki wydawał się z odległości nadużyciem, łamał bowiem reguły gry, sprowadzał „wielką politykę” do sprawy ludzkich postaw, do kategorii takich jak poświęcenie, determinacja, zdolność współodczuwania.

Publicyści z obozu władzy także i dzisiaj starają się z tego rodzaju manifestacjami przekonania walczyć szyderstwem, co tydzień wykpiwając „wszystkie te krzyże, kwiaty, msze, śpiewania”. Są to jednak szyderstwa bezsilne. Po pierwsze: tego jest bardzo dużo — różnych w formie, prywatnych manifestacji pokojowego protestu. Tak dużo, że policja często nie reaguje. Po drugie: nauczyliśmy się rozumieć ten prywatny język niezależności, przestał być on dla nas szokiem i przestał być egzotyką. To Passent i Górnicki wydają się nam dziś przybyszami z innej planety, skoro nie są w stanie pojąć ludzi otwarcie broniących się przed niewolnictwem.



W środowisku tym najbardziej aktywni byli ludzie z określonego pokolenia: pierwszego pokolenia urodzonego po wojnie. Swego czasu przypominano im stale, że oni i Polska Ludowa — to jedno. Kiedy część z nich zaczęła brać to na serio, tworząc kluby „raczkujących rewizjonistów”, „badaczy sprzeczności”, usiłując naprawiać ustroj — trafili akurat w samo centrum wielkiej partyjnej dintojry, nawinęli się władzy pod rękę w jej wewnętrznej brudnej wojnie. W marcu 1968 roku dostali wielkie bity. Prasowi bojówkarze wyśmiewali ich właśnie za to, że „poczułi się odpowiedzialni za Polskę Ludową”. Zobaczyli z bliska załamywanie się ideałów lewicy, antysemityzm. Za próbę obywatelskiego działania w imię zasad socjalizmu bito ich, wsadzano do więzień. Przez wiele miesięcy szczekała na nich cała niemal prasa.

Tym, których to wszystko nie załamało, pozostało oburzenie moralne, gorzkie doświadczenie pokrzywdzonych, poczucie solidarności z takimi jak oni. Bardzo wiele zrozumieli w czasie rozpraw własnych i swoich przyjaciół, w korytarzach sądu na Świerczewskiego, gdzie całej tragifarsie dyspozycyjnego sądu przeciwstawić

można tylko własne sumienie, świadectwo prawdy, ludzką solidarność. Najprostszy gest staje się wtedy ratunkiem i symbolem — jak ta czekolada, którą pewien czekający na przesłuchanie student, dzisiaj wybitny publicysta, dostał na korytarzu w pałacu Mostowskich od nieznanego sobie wtedy starszej koleżanki.

Potem sami obserwowali procesy innych: bardzo wysokie wyroki w procesie „Ruchu”, młodzieńczej organizacji antykomunistycznej. Wyrok śmierci na braci Kowalczyków — za samo zniszczenie sali, gdzie miała się odbyć milicyjna uroczystość! Uczyli się wtedy, jak w takich sprawach podnosić krzyk i jak nakłaniać do tego innych. To oni zbierali podpisy pod listami dotyczącymi zmian w konstytucji.

Środowisko to rozrastało się, wzbogacało o najrozmaitszych ludzi odrzuconych przez władzę za nieposłuszeństwo albo takich, którzy sami odchodzili, zbrzydzeni, od *establishment*'u, i takich wreszcie, którym komunistyczny porządek prawnoumowy był zawsze obcy. W ostatnim przypadku chodzi o młodzież i inteligencję katolicką. Między tą młodzieżą, a niedawnymi „rączkującymi rewizjonistami” zawiązywały się przyjaźnie, porozumienia. Katolicy zaczęli myśleć w kategoriach bardziej społecznych, wychowankowie marksistowskich szkół i uniwersytetów zobaczyli nagle, że istnieje i zawsze istniał świat wartości moralnych — poza racjami „walki klasowej”.

Otrzymali przecież sami praktyczną lekcję, do czego prowadzi nieuchronnie marksistowski relatywizm moralny: jedynym i ostatecznym prawem staje się interes tych, którzy mogą sobie pozwolić na stosowanie przemocy. Wiadomo: przemoc rodzi przemoc, i tak dalej. Otóż chodzi o to, by ten łańcuch przerwać, bo uwłacza ludzkiej godności. W naszym środowisku — jak mi powiedział jeden z nich — „źle się mówiło o Czerwonych Brygadach”. Mówiło się także źle o Tupamaros i o całej lewackiej retoryce rewolucyjnej, która usprawiedliwia zło przyszłym „ostatecznym zwycięstwem”.

Jedna z przedstawicielek tego środowiska opublikowała w 1976 roku w londyńskim kwartalniku *Aneks* napisany wcześniej „List do przyjaciół” — relację z tej przemiany ideowej, tego przestoczenia się młodych rewizjonistów marksizmu — w poszukiwaczy wartości, znajdujących w innym już świecie. Czytamy tam, że „... nabiera sensu postawa, którą najlepiej można nazwać określeniem zaczerpniętym z chrześcijaństwa — dawanie świadectwa. Oznacza ono aktywną wierność zasadom moralnym (podkr. — P.M.), będącą pośrednim dowodem ich siły i wartości. Oznacza otwarte spełnianie ich,

bez względu na sytuację. Nie narzuca wyznawanych prawd, lecz szczepi je w ludzkich umysłach. Wymaga, by być człowiekiem prawym wśród bezprawia, wolnym wśród zniewolenia, mężnym pośród strachu i by w sytuacjach ostatecznych podjąć przegraną walkę. Przegraną nie tylko dlatego, że trzeba stanąć po stronie słabych, skrzywdzonych i bez szans, ale i dlatego, że dla reprezentujących omawianą postawę żadna walka w gruncie rzeczy nie może być ostatecznie zwycięska. Gdyż celem ich jest nie triumf jakiegoś modelu sposobu życia, lecz obalenie barier uniemożliwiających realizowanie wartości, do których człowiek ma prawo” (Anna Chmielewska, „List do przyjaciół”, *Aneks* nr 12/1976).

Z taką świadomością, z takimi zasadami moralnymi środowisko to wchodziło w rok 1976, w czas „wypadków w Radomiu i Ursusie”. Gardzili przemocą do tego stopnia, że radykalnie obca była im również idea odpowiadania przemocą na przemoc. Kiedy na korytarzu sądu w Radomiu esbecy udający „oburzonych robotników” bili Mirka Chojeckiego, ten krzyczał do rzeczywistych robotników, biegnących mu na pomoc z pięściami: „Nie wolno stosować przemocy!”.



Przypomnijmy: w czerwcu 1976 rząd PRL ogłosił zrujnowanemu kryzysem narodowi drastyczną podwyżkę cen na artykuły pierwszej potrzeby. W Radomiu i w Ursusie odbyły się desperackie strajki i manifestacje robotników, doszło do zamieszek ulicznych. Rząd podwyżkę odwołał, przyznając się tym samym do błędu. Jednocześnie, w ukryciu, rozpoczęło się wykonywanie milicyjno-sądowej zemsty na buntownikach.

Przede wszystkim łamano ich fizycznie wyjątkowo brutalnym biciem; wtedy właśnie rozpowszechniły się „ścieżki zdrowia” — przepędzanie przez szpaler bijących pałkami milicjantów. Następnie trzeba było robotniczy protest okryć hańbą: zatrzymanym dawano do ręki zabrane ze sklepów przedmioty i biciem zmuszano, by się przyznali do rabunku. Potem w sądzie świadkami byli milicjanci — i sędziom nic nie przeszkadzało, że ten sam funkcjonariusz opowiada o wydarzeniach, które miały miejsce jednocześnie w różnych punktach miasta; że za ten sam czyn skazuje się kolejno różnych podsądnych.

Młodzi ludzie ze środowiska, które się już wtedy rozrosło, a o którym wyżej była mowa — ci bardziej od innych wrażliwi na społeczną krzywdę, nie statystyczną, lecz ludzką — zaczęli

chodzić na procesy robotników z Ursusa do gmachu sądów na Świerczewskiego. Znali ten gmach, jego sale i korytarze: niejednego z nich prowadzono tutaj w 1968 roku w kajdankach. Zabierali ze sobą znanych aktorów, intelektualistów. Wiedzieli, że to jednak krępuje dyspozycyjny sąd i że oskarżonym potrzebna jest ludzka twarz — na widowni.

Rodziny oskarżonych siedziały na korytarzach sterroryzowane, zagubione, osobno. Zaczęli do nich podchodzić i rozmawiać. Okazało się, że ci ludzie w ogóle nie znają przysługujących im praw, bezprawie uważają za rzecz normalną. Nie mają pieniędzy na adwokatów, na lekarzy — a dzieci są chore, stare matki niedołężne, nie ma pracy, nie ma butów, nie ma co jeść. Zwykle ludzkie nieszczęścia, tyle że skumulowane i spotęgowane grozą sądowej zemsty.

Wiem, że wygląda to na czytanekę — opis harcercskich dobrych uczynków. Może nie przypadkiem: część z nich wywodziła się z harcercskich drużyn. Otóż swe działania zaczęli od tego, że dali rodzinom sądzonych wszystkie pieniądze, jakie mieli przy sobie, łącznie z drobnymi. Zebrali pierwsze adresy potrzebujących pomocy — starych matek, chorych żon, pobitych i pozbawionych pracy kolegów. Już wtedy esbecy zaczęli im to utrudniać, podsłuchiwać, straszyć ludzi, uniemożliwiać dostęp do kartki na drzwiach — „wokandy”.

Są to mało typowe i nie bardzo efektowne początki opozycyjnej działalności: przynieść wodę chorej staruszce, postarać się o lekarza i lekarstwa, znaleźć adwokata. Pytano ich: co tu ma do roboty adwokat? Przecież wyroki i tak zapadają poza sądem. Odpowiadali: tak, ale adwokat lepiej zorientuje się w rozmiarach dziejącej się grandy, będzie mógł coś o tym powiedzieć. A poza tym — oskarżony nie stanie przed sędziowskim stołem sam. Nie można dopuścić, by człowiek czuł się samotny wobec obcej mu, mściwej władzy. A robi ona wszystko, by tak właśnie było, by człowiek bał się pomóc człowiekowi napiętnowanemu niełaską rządzących. Wolność zaczyna się w momencie, gdy przerwana zostaje samotność człowieka w społeczeństwie, gdy jeden zaczyna bronić drugiego, choćby nie było żadnej szansy.

Wtedy właśnie, na sądowym korytarzu, zawiązał się KOR — ze zwykłego ludzkiego współczucia i ze świadomości dziejącej się krzywdy. Zaczęli jeździć do Radomia, gdzie — jak się okazało — milicja była jeszcze bardziej okrutna, sędziowie bardziej cyniczni niż w stolicy, całe miasto — oddane we władanie milicyjno-sądowego bezprawia. Przybywających z Warszawy radomscy esbecy zaczęli bić, aresztować, szantażować, zrzucić ze schodów.

Nastąpił podział zadań: jedni zjawiali się jawnie w sądach, inni — kryjąc się przed esbekami — szukali rodzin, rozdawali pieniądze, odzież, lekarstwa, sprowadzali lekarzy. Prześladowani rośli, jednak pieniądze — mimo całej ofiarności najszerszych kręgów znajomych — zaczęło brakować. Powstała idea stworzenia komitetu społecznego, jawnego, w skład którego weszliby ludzie z wielkim autorytetem, także międzynarodowym. I tak 23 września, po trzech miesiącach od „wypadków czerwcowych”, ukonstytuował się Komitet Obrony Robotników. Fakt ten obwieszczono publicznie, podobnie jak program KOR-u, nazwiska jego członków wraz z telefonami i adresami. Zwrócono się o poparcie i pomoc do wszystkich ludzi dobrej woli.



Z punktu widzenia komunistycznej doktryny był to skandal na miarę niewyobrażalną. Ktoś ośmiela się bronić robotników przed PZPR — robotniczą partią, głoszącą przeciw zasadę „dyktatury proletariatu”. Gorzej: ci ludzie, państwowi poddani, zakładają sami jakiś Komitet i czynią to jawnie, powołując się na prawo — jakby prawem nie było wyłączenie to, co partia sama za prawo uznaje.

Był to pierwszy w historii PRL i pierwszy w naszym „bloku” niezależny od państwowego przyzwolenia związek wolnych obywateli. Nie tajna organizacja, spiskująca przeciw władzy, lecz zespół znanych wszystkim osób, stworzony dla pomagania tym, którzy pomocy potrzebują, dla obrony prześladowanych.

Trudno przecenić fundamentalne znaczenie tego aktu, mimo całej jego niepozorności, prywatności. Był to właściwie koniec omnipotencji państwa, bo omnipotencja kończy się z chwilą, gdy okazuje się niepełna, niekompletna — gdy napotka na świadomy i zorganizowany opór. Państwo nasze od najwcześniejszych lat przekonuje obywateli, że to ono decyduje o ich losie, utrzymuje w całkowitej zależności od siebie, wmawia, że tak musi być, wszystko inne jest mrzonką. Jeśli ktoś pokaże, że może być inaczej, jeśli powstaje choćby jedna strefa ostentacyjnej wolności, i ludzie widzą to — zaczynają się zmieniać w ludzi wolnych.

Do tego momentu ubezwłasnowolnienie obywateli postępowało stale naprzód, choć z najrozmaitszymi przeszkodami. Wpatrzni we władzę, śledziliśmy tylko jaką przybiera ona twarz — czy mniej, czy bardziej ludzką. Co najwyżej usiłowaliśmy ją przy pomocy różnych sztuczek nakłonić, by się zmieniała na lepsze, bo

od tego przecież wszystko miało zależeć. Z chwilą zawiązania KOR-u ten proces zaczął się odwracać, ludzie spojrzeli jedni na drugich z większą uwagą i zaczęli między sobą załatwiać swoje sprawy, bez oglądania się na władzę.

Ona natomiast nie dawała o sobie zapomnieć: kontratak z jej strony nastąpił natychmiast i był wyjątkowo zaciekły. Członkowie KOR-u jak Halina Mikołajska, Jerzy Andrzejewski, Jacek Kuroń, Stanisław Barańczak otrzymywali setki anonimowych listów z pogrozkami, paczki z obrzydliwościami w środku. Halinę Mikołajską usiłowano wpłatać w kradzież jakiegoś kozucha, nasyłano na jej mieszkanie bandy „prawdziwych robotników”, ostro protestujących przeciw „nieproszonej pomocy”.

Nękanie i prześladowano każdego z korowców, a także samą ideę KOR-u. Ścisłej: początkowo usiłowano rzecz całą przemilczeć, dopiero kiedy się nie dało dziennikarze tacy jak Misiorny starali się KOR i wszystkie jego działania pomniejszyć, ośmieszyć, zbagatelizować, uczynić czymś niegodnym uwagi, a tym bardziej zaufania. Jeszcze wtedy nie było agenturalnej wersji powstania KOR-u, wersji wyraźnie sowieckiego pochodzenia. Istniała ona tylko w domyśle, jako ewentualna pogrożka, coś co w każdej chwili można wyciągnąć z zanadru.

A tymczasem Jacek Kuroń organizował konferencje prasowe, spraszał zagranicznych dziennikarzy, którzy początkowo bali się przychodzić. To także był wielki wyłom w obyczajach; przyznanie sobie prawa do takich „zagranicznych kontaktów”, na jakie ma się ochotę. W systemie, gdzie władza decyduje co jest a co nie jest tajemnicą, kto jest a kto nie jest szpiegiem, wymagało to wielkiej odwagi.

Patrzyliśmy na to wszystko z coraz większym napięciem. W kręgach władzy można było czasem usłyszeć zdanie, że „demokratyczna opozycja” stała się częścią naszego politycznego krajobrazu, należy do polskiej „specyfiki”. Nieraz starano się w prywatnych rozmowach przedstawiać KOR jako nieszkodliwą gromadkę zdzieciniałych staruszków i postrzelonych młodzieńców. Tymczasem jednak — o czym wiedzieliśmy doskonale — od początku trwała nieustępliwa, coraz bardziej brutalna walka. Tutaj każdy widział o co chodzi.



Agenci puszczali w obieg sfabrykowane oświadczenia nieistniejących „fili” KOR-u, oskarżając Komitet o defraudację powierzonych mu funduszy. Inni agenci robili najścia na mieszkania korowców, rewizje, a znalezione pieniądze po prostu odbierali.

Przez cały czas, na szczęście bezskutecznie, esbecy szukali kartoteki Biura Interwencyjnego KOR-u, gdzie Zofia i Zbigniew Romaszewscy zapisywali dane dotyczące osób objętych pomocą: adresy, rodzaj potrzeb — ze wszystkimi szczegółami. Korowcom chodziło o to, by pomoc jak najsprawniej zorganizować, żeby nie było w niej nic z gestu, a tylko sama skuteczność. Władzy ludowej chodziło natomiast o zniszczenie dróg, którymi szła ta pomoc, o jej udaremnienie. Agenci SB odwiedzali rodziny swych ofiar i opowiadali, że przyjdą tu szpiedzy z Zachodu, dadzą pieniądze, a potem zażądamy współpracy, a więc należy ich od razu złapać lub przynajmniej — zatelefonować gdzie trzeba.

Kilkadziesiąt osób płci obojga, czasem studenci, a czasem młodzi pracownicy naukowcy po doktoracie, jeździło do Radomia autostopem, aby nie wpaść w ręce SB na dworcu. Chodzili po mieszkaniach, gdzie niektórzy z nich po raz pierwszy mieli zobaczyć jak naprawdę wygląda nędza i jak wygląda świat, w którym każdy agent policji może z każdym zrobić co mu się podoba. Rozmawiali z rodzinami zmasakrowanych, zabitych. Opiekowali się na przykład kilkunastoletnim chłopcem, opóźnionym w rozwoju, który na komisariacie nie mógł zrozumieć, że milicjanci chcą od niego, by przyznał się do niepopelnionego rabunku z 25 czerwca; stłukli mu pałkami na miazgę palce u rąk i nóg. Korowcy sprowadzali lekarza, starali się załatwić rentę.

Potem — powroty w szoferce jakiejś ciężarówki; ulga, że się udało, przynajmniej tym razem. Bo była to robota, prawdę powiedziawszy, ciężka i ponura. Nikt się w niej nie wyżywał, nie grał roli filantropa. Niektórzy otwarcie przyznają, że nie cierpieli tych wyjazdów, ale inaczej nie mogli. Skoro się do nich ktoś zgłosił i to zaproponował, trzeba było jechać.

Jeden z tych jeżdzących, Jan Kelus, napisał piosenkę. Z melancholią wspomina tamten czas, ale cała jego „Ballada o szosie E 7” zmierza ku pytaniu: „I tylko nie wiem czy będę umiał znowu pojechać szosą E-ileś, gdy przyjdzie pora, i co odpowiem, gdy ktoś mnie spyta: gdzie wtedy byłeś?” Jeżeli ludzie zaczynają sobie stawiać takie pytania — nie o własne bezpieczeństwo, taktykę, skuteczność, lecz o to, czy zdołają posłuchać nakazów moralnych, zapisanych we wspólnym etosie znaczy to, że państwo naprawdę traci nad nimi władzę.

Skończył się Radom i okazało się, że Biuro Interwencyjne, które przecież nigdy biurem nie było, ma jeszcze więcej roboty niż dawniej. Zgłaszali się zewsząd pokrzywdzeni, ale i zgłaszali się ludzie do pracy, tak przecież niewdzięcznej. Każda sprawa

to co najmniej miesiąc czyjśgoś straconego czasu. Trzeba było jeździć, sprawdzać dane, rozróżniać między czymś pieniactwem a rzeczywistym naruszeniem prawa, załatwiać adwokatów, czasem lekarzy, uciekać przed policją, na koniec opisywać wszystko w istniejącym już wówczas *Biuletynie Informacyjnym KOR*.

Powoli jawił się prawdziwy obraz policyjnego państwa. Tutaj już nie chodziło o intelektualistów, którym zaledwie nie wydawano książek. Korowcy spisywali opowieści zwykłych obywateli PRL. Mówi np. Piotr Wójcik: „... rzuciło się na mnie pięciu i przykuli mnie do kaloryfera, bili mnie wszyscy naraz tak, że szybko straciłem przytomność... używali pałek bijąc rączką, która miała zatopiony ołów, kopali mnie po całym ciele. Czasem biło mnie trzech, a nawet pięciu. Większość z nich była pod alkoholem”.

Kiedy się raz zetknęło z tego rodzaju obrazem rzeczywistości, można albo uciec gdzieś w zakamarki *establishment*'u, albo pomagać ludziom dalej, bez względu na sytuację, na represje, zmęczenie. Współpracownicy Biura Interwencyjnego patrzyli ze smutkiem, jak zadbane, miłe mieszkanie Romaszewskich staje się czymś w rodzaju poczekalni, niszczeje coraz bardziej.

Po Sierpniu Biuro Interwencyjne KSS-KOR przeszło całe, wraz z kartoteką i ludźmi, do „Solidarności”.



W „Apelu do społeczeństwa” z 10 października 1978 czytamy o tym, jak spełnia się już sformułowany wcześniej program samoorganizacji społeczeństwa: „Obronę interesów robotniczych podjął dwutygodnik *Robotnik*. Wobec kompromitacji oficjalnych związków zawodowych powstały grupy założycielskie Wolnych Związków Zawodowych na Śląsku i w Gdańsku”. Mało kto wierzył wtedy, że z tego może coś wyjść, a już nikt chyba nie wyobrażał sobie, że przed upływem dwóch lat powstanie w Polsce niezależny i samorządny związek zawodowy, liczący blisko 10 milionów członków.

Bezpośredni wpływ korowców na organizowanie się „Solidarności” był duży i różnorodny, nie taki jednak, jak go sobie wyobrażają ci, którzy w KOR-ze widzą spiskową organizację. Po prostu ludzie z tego środowiska, przyzwyczajeni do życia w pewnej strefie wolności, przechodzili tam, gdzie niezależnie, choć w dużej mierze za ich przykładem, zaczęła powstawać nowa strefa wolności — nieporównanie szersza, bardziej skomplikowana. Tworzyli prasę związkową, Agencję (informacyjną) „Solidarność”.

ci”, wydawnictwa związkowe. Organizowali kursy dokształcające, służyli jako doradcy.

W przytoczonym wyżej „Apelu” mówi się w dalszym ciągu o innych niezależnych inicjatywach społecznych, które zrodziły się w środowisku KOR-u — o Studenckich Komitetach Solidarności, Towarzystwie Kursów Naukowych, Niezależnej Oficynie Wydawniczej, prasie poza zasięgiem cenzury.

Zadna z tych inicjatyw nie była wynikiem jakiegoś z góry powziętego planu, który ktoś komuś każe wykonać na jakimś odcinku — jak to się dzieje w partii. KOR nie był partią i nikt tam nie wydawał rozkazów. Pewni ludzie, na przykład Jacek Kuroń, Adam Michnik, mieli więcej pomysłów niż inni, ale podchwytывali te pomysły tylko ci, którym się one podobały.

Oto przykład. Trzeba było wydawać (ściślej: przepisywać na maszynie w większej ilości egzemplarzy) *Komunikaty KOR-u*. Dołączało się do nich krótkie bieżące informacje. Po pewnym czasie młoda dziennikarka zaczyna krytykować ich redagowanie, mówi, jak można by to było robić. Jacek Kuroń powiada jej: a więc rób. I tak powstał *Biuletyn Informacyjny* — pierwsze w PRL stałe pismo poza zasięgiem cenzury, od wiosny 1977 roku zawierające już nie tylko informacje, lecz i część publicystyczną.

Po trzydziestu latach rządów cenzury, kiedy wszyscy niemal uznali, że bez niej życia umysłowego kraju nie można sobie wyobrazić — parę osób zebranych w prywatnym mieszkaniu pokazuje, że jednak można. Wiosną 1978 roku było już dziesięć pism poza zasięgiem cenzury. Dzisiaj, wiosną 1984 roku, mamy takich pism w całym kraju setki i wciąż powstają nowe. Ich wpływ na świadomość społeczeństwa jest ogromny. A wszystkie te pisma zawdzięczają w jakiejś mierze swe istnienie tamtej tak prostej przecież decyzji. Oraz tym paru latom wydawania *Biuletynu* — mimo rewizji, aresztowań.

Podobnie było z poligrafią. Pewnego dnia Mirek Chojecki powiedział, że „*Biuletynu* nie trzeba już przepisywać na maszynie” — zdobył powielacz. Było to wiosną 1977 roku. Niedługo potem oświadczył, że ma zamiar na tym powielaczu wydawać książki; to już prawie nikomu nie wydawało się możliwe. Wątpliwości nie zniknęły, kiedy wreszcie przyniósł pierwsze egzemplarze „*Nierzeczywistości*” Kazimierza Brandysa — niestety prawie nieczytelne. Ale wtedy, w tym momencie, powstała Niezależna Oficyna Wydawnicza — NOWA. Potem były dziesiątki aresztowań, najść SB, konfiskat powielaczy, brawurowe ucieczki z powielaczem przez miasto, proces wytoczony Chojeckiemu i współ-

pracownikom pod fałszywym zarzutem kradzieży państwowego mienia. Mimo to poziom poligrafii poprawiał się stale i w ciągu paru lat istnienia NOWA wydała ponad sto pozycji książkowych. Były to zwykle dzieła wielkiej klasy. Wystarczy przypomnieć, że jeszcze przed przyznaniem Miłoszowi nagrody Nobla NOWA jako jedyne wydawnictwo krajowe opublikowała kilka jego książek.

Jesienią 1978 roku istniał już, założony z inicjatywy KOR-u i przezeń (z funduszu Samoobrony Społecznej) finansowany TKN — Towarzystwo Kursów Naukowych. Kilkudziesięciu wybitnych uczonych prowadziło w wielu miastach kraju, w mieszkaniach prywatnych, wykłady z historii, socjologii, nauk politycznych, literaturoznawstwa, pedagogiki. Przekazywali swą wiedzę bardzo nieraz wąskiemu gronu słuchaczy — ale była to wiedza pełna. Widocznie ta porcja odwagi intelektualnej była dla władz czymś szczególnie nienawistnym, bowiem wykłady TKN zaatakowane zostały z wyjątkowym — trudno tu o inne słowo — bestialstwem. Najpierw przychodziły na nie bojówki młodych partyjnych aktywistów, którzy przerywali dyskusje krzyżąc coś o Żydach i dolarach. Wykładowców zatrzymywano na 48 godzin. Wreszcie zaczęto bić — coraz częściej, coraz zajadlej, pod okiem otaczającej dom milicji.

21 marca 1979 roku do mieszkania Jacka Kuronia, gdzie miał się odbyć wykład, a odwołany został ze względu na krytyczny stan zdrowia ojca Jacka, wtargnęła kilkudziesięciosobowa bojówka i zaczęła bić wszystkich obecnych, metodycznie, jak się bije na komisariatach. Rezultat — dwa wstrząsy mózgu. Wzywana milicja nie interweniowała, wzywane pogotowie nie przyjeżdżało. Niedługi czas później TV pokazywała, jak Edward Gierek wręcza legitymację partyjną Jerzemu Folcikowi, studentowi AWF, najbardziej brutalnemu wśród bojówkarzy z 21 marca.

Wykłady TKN zostały wkrótce zawieszono ze względu na bezpieczeństwo uczestników. Był taki zwyczaj, że korowcy narażali się sami, właściwie bez przerwy — ale nie przyznawali sobie prawa narażania innych.



W numerze *Biuletynu Informacyjnego* z lutego-marca 1979 r. znaleźć można artykuł Jacka Kuronia zatytułowany „Kto był u mnie?”. Powstał on przed opisanym wyżej najściem, na podstawie wrażeń z poprzednich wizyt bojówkarzy, wówczas jeszcze operujących nie pięścią, lecz sloganami, krzykami, strzępami argumentów. Widać tu cały charakter Jacka Kuronia, który stara się zrozumieć przeciwnika, poznać jego sposób myślenia, porozma-

wiać z nim jak z człowiekiem, nie zwyciężyć, lecz przekonać. Czytałem ten artykuł najpierw z poczuciem, że wiem więcej. Po prostu wiem „kto u niego był” — jacy to ludzie, kto ich przysłał i po co. Niezależny intelektualista chce dyskutować z wyćwiczoną, wytresowaną bojówką.

I rzeczywiście: artykuł zawiera *post scriptum*, pisane już w nocy z 21 na 22 marca, w zagubieniu myśli, widać nawet — w rozpacz. Odnosi się ona nie tylko do ojca, który omal nie umarł, nie tylko do pobitej żony, syna i przyjaciół, lecz także do sprawców tego wszystkiego: „Co się dzieje w duszach tych ludzi, jeśli je mają?” Ani śladu myśli o zemście, potrzebie odwetu — bo przecież nie o to chodzi, lecz o ten trudny do określenia dramat, który staje się udziałem ludzi uznających wartości moralne, gdy stykają się z ludźmi, którzy tych wartości nie uznają. Jacek Kuroń ten dramat widział doskonale i szukał dlań rozwiązania. Choćby i przez próbę rozmowy z tymi, którym kazano krzyczeć i bić.



Niczego nie można zrozumieć z ludzkiego fenomenu, jakim stał się KOR, szeroko pojęty, jeśli się nie przyjmie, że to musiało być środowisko bardzo sobie wzajemnie życzliwe, wielki krąg przyjacielski, gdzie wszyscy — mimo normalnych tarć i swarów — stale pomagali sobie w sprawach drobnych i w sprawach najtrudniejszych, spotykali nieustannie i poznawali wciąż na nowo w najróżniejszych okolicznościach: przy redagowaniu pisma, na sali sądowej, w drukarni podziemnej, na hucznych przyjęciach z okazji imienin i ślubów. Niektórzy co prawda narzekali na te przyjęcia: że zbyt się tam wiele mówi o powielaczach, procesach i ucieczkach przed policją — takie jednak było ich życie. Wolne życie w totalitarnym kraju musi mieć pewne minusy.

Przez cały czas poza tym ktoś siedział przy telefonie 39-39-64 (telefon Kurońów) i przyjmował wiadomości, prośby, pogróżki, alarmy fałszywe i prawdziwe.



W czasach między Sierpniem a Grudniem, kiedy ludziom wydawało się, że już mają w rękę jakąś porcję wolności, której im nikt nie odbierze, kiedy zawarli z władzą Porozumienia — u wielu powstał lęk przed własną odwagą, przed tym, że „Solidarność”

może „pójść za daleko”. Zwłaszcza, że władza obiecywała tyle w zamian za pozbycie się „ekstremistów” z KOR-u.

Dlaczego wielu uwierzyło, wiedząc przecież doskonale, jak władza zawsze kłamie, że KOR — to jednak „ekstremiści”? Przecież sławne stało się powiedzenie Kuronia, że nie należy palić komitetów, lecz zakładać własne. Nawet środki masowego przekazu informowały, że Michnik uspokajał roznamiętniony tłum w Otwocku, że Kuroń „gasił strajk” w Hucie Warszawa. Nikt nie może im udowodnić, że wzywali do przemocy. Przeciwnie: cała historia KOR-u, nie tylko deklaracje jego członków i współpracowników, dowodzi, że oni wiedzieli doskonale, iż najlepszą odpowiedzią na przemoc jest nieugiętość.

Otóż właśnie dlatego. To jest droga najtrudniejsza: nie jeden akt desperacki, nie pojedyncza szarża, która zawsze w wyobraźni prowadzi do „ostatecznego zwycięstwa”, lecz natychmiastowa i ostateczna decyzja życia w wolności bez względu na sytuację i układy. To okazuje się dla wielu czymś stanowczo zbyt śmiałym, niepojętym, nie do przyjęcia. Im bardziej korowcy odrzucają myśl o przemocy, nie rezygnując przy tym z niczego w dziedzinie wartości moralnych — tym bardziej wydają się tym, którzy zawsze skłonni są do ucieczki od wolności — niebezpiecznymi ekstremistami. Skupiają na sobie nienawiść władców i niewolników. Nie tak trudno się w końcu przyzwyczaić do myśli, że KOR jest wyjęty spod prawa, bo tak być musiało w systemie takim jak nasz, gdzie „można sobie wynegocjować pewne korzystne układy z władzą, ale trzeba znać granice”. I trudno się w końcu dziwić, gdy komuś palą dom, skoro podobno odbywały się tam zebrania KOR-u.

Jedni są w więzieniach, inni za granicą, inni jeszcze muszą się ukrywać. Każdy niemal jest inwigilowany, nachodzony przez SB. Władzy najwidoczniej chodzi o to, by ich fizycznie unicestwić, a przynajmniej unieruchomić osaczeniem.

Tylko że jest już naprawdę za późno. Legenda KOR-u podjęta została przez dziesiątki tysięcy nowych opozycjonistów i tutaj przechodzi swe przeobrażenia. Wolność, zwłaszcza pojmowana tak głęboko jak korowcy ją pojmowali, jest zaraźliwa. Tym bardziej, że historia KOR-u mówi nie tylko o życiu pełnym poświęceń, lecz i całkiem po ludzku szczęśliwym, a często zabawnym.



Jan Józef Lipski, członek KSS „KOR” i autor książki o KOR-ze, mówił niedawno w pewnej rozmowie, że czegoś w tej

książce zapomniał jednak napisać — czegoś tak oczywistego, że uszło uwadze autora. Tego mianowicie, że dla jego przyjaciół i dla niego samego wszystko stawało się mniej ważne, gdy kogoś aresztowano i trzeba go było wyciągnąć z więzienia. Mógł nie wyjść nowy numer *Biuletynu Informacyjnego* czy *Zapisu*, jeśli papier potrzebny był na druk ulotek w tej sprawie. Mogło się nie odbyć spotkanie czy wykład, jeśli trzeba było radzić na temat znalezienia adwokata, dostarczenia paczki, albo chodzić i zbierać podpisy pod protestem.

Nie jest to zwykły rys obyczajowy; chodzi o główny nakaz w etosie KOR-u, zawierający w sobie wszystkie inne nakazy, całą filozofię i strategię tego środowiska: nie można pogodzić się z tym, że władza prześladowa ludzi. Prześladowanie, terror nie powinny oddalać ludzi jednym od drugich, lecz przeciwnie — przybliżać ich wzajemnie. Skrzywdzonym przez totalitarną władzę trzeba przychodzić z pomocą, bez względu na zagrożenie, poczucie beznadziejności, lęk.

Jest to ta szczególna forma obrony praw człowieka, gdzie obrońca znajduje się w nie mniejszym niebezpieczeństwie niż ofiara. Historia KOR-u wykazała, że zwykle nawet — w większym. Zdecydował się bowiem samym sobą *d a w a ć ś w i a d e c t w o* temu, że człowiek może pozostać człowiekiem nawet gdy całe imperium każe mu o tym zapomnieć.

Paweł MORGA

Tadeusz LEPKOWSKI

MYŚLI O HISTORII POLSKI I POLAKÓW*

Część pierwsza:

DŁUGIE TRWANIE

Między wschodem i zachodem

Polska jest krajem zachodnim, przynależnym do cywilizacji śródziemnomorskiej, mającym swe korzenie kulturowe w Rzymie cesarskim, a religijne w papieskim. Takie przeświadczenie, uważane za bezdyskusyjną oczywistość, zakorzeniło się wśród polskiej szlachty i inteligencji od dawna, a z czasem zeszło też do warstw ludowych. Czy jest prawdziwe? I tak, i nie. Polska była i jest krajem geograficznie, geopolitycznie, kulturowo, świadomościowo pogranicznym, przejściowym. Stanowi tyleż pomost, co forpocztę Zachodu w regionie na w pół wschodnim. Polska „wschodnia zachodniość” jest źródłem zarówno naszego duchowego bogactwa i jedności niezbędnej do przetrwania, jak zacznem wewnętrznych podziałów, pogłębionych w XIX i XX wieku. Nasza „przejściowość” bywała nierzadko istotą niepowodzeń, klęsk i rozterek.

Spójrzmy na mapę cesarstwa rzymskiego w V wieku. Dzieliło się ono, jak wiadomo, na część zachodnią (rzymską) i wschodnią (grecką, a następnie bizantyńską). Przedłużmy linię graniczną, dzielącą cesarstwo na dwie wyodrębnione części ku północy, aż do Bałtyku. Rozdzieli ona nasz kraj na dwie części. Śląsk,

* Wyd. CDN, Warszawa 1983.

Wielkopolska, większość Pomorza pozostanie po stronie zachodniej, Mazowsze, Podlasie, Małopolska i wschodnie krańce Pomorza znajdują się na wschodzie. Taka operacja nie ma oczywiście waloru dowodu, daje wszakże wiele do myślenia.

Zauważmy, że nawet klimat na ziemiach polskich należy do przejściowych. Kresy wschodnie, a nawet szerzej obszary na wschód od Wisły, leżą w strefie kontynentalnej, wschodnioeuropejskiej, a zachodnie połacie kraju zaliczyć można do terenów o klimacie łagodnym, na wpół morskim, „zachodnioeuropejskim”.

Przytłaczającą większość terytorium polskiego stanowi otwarta nizina. Jako teren migracji i wędrówek ludów lub naturalny teatr działań wojennych niż polski nie posiada właściwie barier naturalnych. Ruchy podróżnych i kupców a także wojsk odbywać się mogą na naszych ziemiach stosunkowo swobodnie w obie strony, a nawałnice przewalać w obydwu kierunkach. Nizina polska jest oczywistym przedłużeniem niżu wschodnioeuropejskiego idącego od Uralu i Kaukazu aż do centralnych ziem niemieckich (Łaba, Góry Harzu). Tak jak Półwysep Iberyjski i po części Apeniński to przedłużenie Afryki, a Bałkany — Azji, tak niż środkowoeuropejski stanowi przedłużenie wielkich, bezkresnych nizin azjatyckich i wschodnioeuropejskich.

Polska (i polskość) w swym rozwoju dziejowym obejmowała różne zakresy terytorialne, lecz nigdy nie dokonywała ekspansji na południe, poza góry (Spisz to tylko drobny wyjątek potwierdzający regułę), natomiast przesuwała się i obejmowała swym kulturowym i demograficznym zasięgiem obszary położone wyłącznie na osi wschód - zachód. Od Odry po Dniepr, Dźwinę i Morze Czarne, równoleżnikowo, rozciąga się historyczna polskość. Gdy sięgała daleko na wschód, mawiano z dumą, że przesuwała granice Zachodu ku Azji, lecz nie doceniano tego, że jednocześnie sama się orientalizowała. Gdy zmuszona była się cofać, Bizancjum — symbolicznie oczywiście — postępowało na zachód, na którym brakło już miejsca na wielką Polskę.

Ogromna większość słowiańszczyzny, do której — czy chcemy tego, czy nie — należymy, reprezentuje cywilizację wschodnioeuropejską. Zachodni Słowianie, ściślej Polacy i Słowacy, bo nie Czesi, nie posiadali nigdy ostro zarysowanej granicy ze Słowianami wschodnimi. Miało to swój determinujący wpływ na naszą kulturę. Polacy nigdy nie byli w pełni uznawani za część Zachodu przez sam Zachód, choć bardzo gorliwie o to zabiegali. Natomiast potężni Słowianie wschodni a zwłaszcza Rosjanie traktowali nas jako niepewną i niepokorną, przeżartą ambicjami zachod-

ności, część świata, w którym z racji liczebności prymat należał się Wielkorosom.

Zmienić naszego położenia geograficznego nie możemy. Powtórzyć wypada więc tylko jedno. Polska nigdy nie była i nie będzie całkiem „zachodnia” i całkiem „wschodnia”. Będzie sobą. To trochę tak jak w wierszu Gałczyńskiego o naszym narodowym sztandarze, o chorągwi, która nigdy nie będzie biała i nigdy nie będzie czerwona. Jest i będzie, i nie może być inaczej, biało-czerwona. Można nasze dziedzictwo „prześciowe” przeklinać, lecz nie można się odeń wyzwolić czy oderwać. Tkwi w nim smutek, i wielkość, i swoistość, i niepowtarzalność. Polska nie powinna kopiować ani Zachodu, ani Wschodu. Gdy to czyniła, podporządkowując się, ponosiła klęski. Polska skazana jest na oryginalność. Obawiam się, że jest też skazana na samotność pośród żywciołów bliskich a zarazem obcych.

Między potęgą a niebytem

Mawiano dość często w XIX i XX wieku, że Polska może być albo wielka albo żadna. To nieprawda. Polska jako państwo bywała albo wielka, albo średnia, albo mała, albo w istocie jej nie było wcale. Potrafiła być wielka i bezwolna, fikcyjna w świecie państw dobrze zorganizowanych i ekspansywnych, potrafiła być mała i silna a w każdym razie relatywnie silna. Najtrudniej jej było i jest być państwem średnim. Polska była niegdyś wielką potęgą i była też wymazana z mapy Europy. Polacy nie mogą zapomnieć ani czasów wielkości, ani czasów niewoli i państwowego niebytu. Może dlatego nie umieją zadowolić się „średniością”, może nie wierzą w jej szanse, bo też „średnia” Polska lat 1918-1939 była niepodległa lecz krótkotrwała, a „średnia” Polska po 1945 roku nie jest niepodległa i nie chce być w tym kształcie długotrwała.

Przyjrzyjmy się losom wielkości i małości naszego kraju w ciągu ponad 1000 lat jego historii. Polska piastowska, poza krótkim błyskiem potęgi w czasach Bolesława Chrobrego Wielkiego, była państwem (a częściej państwami: rozbitcie dzielnicowe), małym, skierowanym ku zachodowi, lecz spychanym na wschód, przez większość czasu zależnym, formalnie lub faktycznie (albo zarówno faktycznie jak formalnie) od cesarstwa niemieckiego, Krzyżaków, Czechów, a w XIV wieku od Węgrów. Wydawało się, że za Kazimierza Wielkiego staje się niezależnym, dobrze zorganizowanym i gospodarnym, średnim krajem późnośredniowiecznej

Europy. Niebawem, i to na dwa i pół stulecia, stała się — w unii z Litwą — wielką potęgą. Czasy Jagiellonów i pierwszych królów elekcyjnych przyniosły cenne doświadczenie i wizję, dały nam dziedzictwo Polski, organizatora kilku państw środkowo-wschodniej Europy, jako rękojmi istnienia, siły i rozwoju naszego kraju między Wschodem i Zachodem. Myśl o „federalnym międzymorzu”, podejmowaną i w XX wieku, można streścić następująco. Polska mała lub średnia nie ma większych szans przetrwania w izolacji, samoograniczeniu i samotności, a sojusz z jednym z wielkich sąsiadów to tylko wybór hegemonu. Polska sferderowana z krajami „pośrednimi” szansę istnienia i podmiotowości posiada. Czy idea ta jest przebrzmiała, nieaktualna, utopijna? Nie spieszymy się z odpowiedzią. Politycy polscy, zwłaszcza w XVII i XX wieku realizowali ją wadliwie, lecz sama koncepcja ta nie jest żadnym ponadczasowym błędem i nierealistycznym wydumkiem — jak to, ze zrozumiałych powodów, przedstawia „historyczna” publicystyka i propaganda w PRL — a czymś, co nie całkiem jest martwe i ma szanse odrodzenia w nowym kształcie przyszłej Europy.

Za Sasów i Stanisława Augusta Polska stała się protektoratem będąc państwem wielkim acz bezsilnym. Wielkość terytorium, którą tak łatwo się sugerujemy, nie miała żadnego odpowiednika w sile państwa. Okres porozbiorowy zaczął się od czasów cząstkowych państw polskich: Księstwa Warszawskiego i konstytucyjnego Królestwa Polskiego. To także były protektoraty. Wielu oburza się na taką pejoratywną nazwę w odniesieniu do Księstwa, a to z uwagi na rozpowszechniony u nas sentyment (żeby nie powiedzieć kult) do Napoleona. Gwoli prawdzie jednak stwierdzić trzeba, że był to jednak protektorat, tyle że większy od Królestwa i odeń oczywiście ekonomicznie słabszy. Przykład Królestwa lat 1815-1830 wart jest podkreślenia. Bo było to państwo miniaturowe ale dobrze zorganizowane i ekonomicznie silne. Powstanie Listopadowe wykazało to aż nadto wyraźnie.

Po 1831 roku zapadamy się w państwową nicość, aż do roku 1918 (choć faktycznie odradzanie się państwa polskiego trwało lat kilka, od 1916 do 1921 roku). W myśl reguły naszej historii, czyli szamotania się między potęgą a nicością, między zupełną niezależnością a protektoratem, między wielkim, średnim i małym obszarem państwowym, Druga Rzeczpospolita była państwem średnim o wyraźnych ambicjach mocarstwowych. Dziwna to była „potęga”, zależna ekonomicznie od państw wysoko rozwiniętych, wciśnięta między dwa militarystyczne i powołujące się na ich misję dziejową mocarstwa, dążące do panowania nad światem.

Po drugiej wojnie światowej powstała Polska Ludowa, państwo nawiązujące do terytorium i jedнопlemienności piastowskiej, średniej wielkości twór zależny, znów więc protektorat, tyle że największy w Europie wśród satelitów ZSSR, dysponujący relatywnie rozwiniętym — w obrębie obozu — potencjałem ekonomicznym.

Wspomniałem już, że granice państwa polskiego rozszerzały się i zwężały równoleżnikowo, ze wschodu na zachód. Na tej osi maksymalna rozpiętość między początkiem XI wieku (najdalszy zasięg w kierunku zachodnim) a pierwszą połową XVII wieku (najdalszy zasięg w kierunku wschodnim) jest ogromna, bo licząca około 1.800 km. Przypomnę, że rozciągłość PRL na osi wschód-zachód wynosi 690 km., a więc zaledwie 38 % rozciągłości maksymalnej.

Terytorium państwowe polskie na schyłku panowania Bolesława Chrobrego wynosiło 250 tys. km², za Łokietka (początek zjednoczenia państwa) tylko 106 tysięcy, za Kazimierza Jagiellończyka (Polska i Litwa) 1.115 tys. km², w końcu XVII wieku około 733 tys. km², Księstwo Warszawskie liczyło w 1810 roku 154 tys. km², a Królestwo Polskie zaledwie 127 tys. km². Obszar Polski państwowej w końcu XIX wieku wynosił 0 km². Rzeczpospolita Polska w 1938 roku była średnim państwem europejskim o obszarze 390 tys. km². Terytorium Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej wynosi, jak wiadomo, blisko 313 tysięcy km².

Pomijając czas bezpaństwowy terytorium Polski wahało się między 100 a 1.100 tys. km². Proporcja 1 do 11. Nic podobnego w Europie nie wydarzało się, może poza Austrią i Węgry. W historii państw trwających tysiąc lat występowały duże rozpiętości terytorialne, lecz zazwyczaj „po linii wznoszącej się”. Amplituda wahań jest w przypadku Polski zupełnie wyjątkowa. Wnioski ze swych doświadczeń państwowych wyciągają Polacy bardzo różne, najczęściej skrajne (być albo wielkim albo zachować choćby trochę). Nikt prawie nie lubi środka. A na to jesteśmy chyba skazani.

Polskość, wielonarodowość, regionalizm

Od lat trzydziestu powtarza się nam z dumą, że po wielu wiekach znów jesteśmy państwem i krajem jednonarodowym. Ową jednolitość narodową wynosi się w PRL pod niebiosa, łącząc zachwyty nad naszym neomonolityzmem (sami swoi u siebie) z mądrą i dalekowzroczną myślą polskich komunistów którzy, dzia-

łając w sojuszu ze słowiańskim ZSSR, doprowadzili do zwycięstwa nad hitlerowskimi Niemcami i nawiązali do starej piastowskiej jedności narodowej w dawnych piastowskich granicach państwowych. Przymiotnik „piastowski” zrobił w propagandzie oficjalnej niebywałą karierę, tak wielką, że niektórzy rodacy na ów dźwięk krztuszą się z irytacji. Swojskość i rodzimość słowiańsko-piastowska stać się miała synonimem istotnego dobra. W obrębie cykliczności dziejowej (w tej sprawie marksizm nie obowiązywał) powróciliśmy oto do prawie ideału. Powstała przecież — mówiąc słowami Edmunda Osmańczyka — Rzeczpospolita Polaków (oprawa książki tego autora była — chyba nieprzypadkowo, koloru złotego: symbol odnalezionego „złotego wieku”). Cykl dziejowy zamknął się triumfalnie: państwo w granicach piastowskich, jednolite narodowo, bez antagonizmów społecznych (też jak za Piastów?), a z bezcenną jednością moralno-polityczną.

Przejdźmy jednak od ponurych mitów użytkowanych socjotechnicznie do rzeczywistości dziejowej. Nie ma w Europie narodów „jednoplemiennych”, homogenicznych etnicznie. Do tragicznych konsekwencji doprowadzały powtarzające się próby nacjonalistyczno-szowinistyczne szukania „czystości” rasy i narodu. Jeśli jednak w niektórych krajach północnej i zachodniej Europy migracje i przemieszki etniczne są (do ostatnich dziesięcioleci) stosunkowo słabe, to w Europie wschodniej, środkowo-wschodniej i południowo-wschodniej sytuacja przedstawia się zupełnie odmiennie. W tych regionach (większość europejskiego kontynentu!), a więc i na ziemiach polskich, przez długie wieki powstawała istna mozaika etniczna, narodowa i religijna. Poszukiwanie jednorodności i „rdzenności” nie ma — z punktu widzenia nauki — żadnego sensu. Mimo to czyniono tak z powodów politycznych niejednym razem.

Na zwartym — historycznie zmiennym — polskim terytorium etnicznym (narodowym) dwa czynniki narodowo-kulturowe odegrały rolę bardzo istotną: niemiecki i żydowski. Polskość współżyła i przenikała się przez tysiąc lat z żywiołem niemieckim i żydowskim. To samo — warto to sobie uprzytomnić — dotyczyło Czech, Węgier, Rumunii, Ukrainy, Litwy, Łotwy, Białorusi a także Rosji. W każdym z wymienionych krajów sytuacja przedstawiała się jednak odmiennie (proporcje liczebne między narodem dominującym a mniejszościami; wkład do miejscowej kultury; charakter wzajemnych stosunków). Kontakty Polaków z innymi narodowościami nie mają tak długiej metryki i takiej intensywności. Na dobrą sprawę dopiero od XV wieku zaczynamy nawiązywać ściślejsze stosunki, tak pokojowe jak antagonistyczne, z Ru-

sinami (Białorusinami i Ukraińcami) oraz Litwinami, znacznie później z Rosjanami, przez czas pewien też — choć to już mniej ważne — utrzymujemy je z Turkami i Tatarami, Ormianami i Mołdawianami (Rumunami). Dodać wypada jeszcze kontakty intensywne ale stosunkowo krótkotrwałe (Szwedzi) lub „regionalne” (Węgrzy i Czesi w Galicji). Wreszcie wspomnieć trzeba o starych acz liczbowo marginalnych związkach z Włochami i Francuzami, istotnych w niektórych zawodach, zwłaszcza artystycznych czy szerzej w środowiskach inteligenckich.

Terytorium narodowe polskie nigdy właściwie, aż po czasy najnowsze, nie miało ostro zarysowanych granic etnicznych. Ważnym więc fenomenem była polskość kresowa, zwłaszcza wschodnia, ale też zachodnia. W języku i obyczaju wyodrębniały się strefy pograniczne (polsko-białorusko-litewska, polsko-ukraińska, pomorska a więc polsko-kaszubsko-niemiecka, śląska, polsko-czeska i polsko-słowacka). Niektóre z nich odegrały w dziejach kultury polskiej ogromną rolę, wpływając na kształt kultury ogólnopolskiej, inne, jak kaszubska, śląsko-cieszyńska czy góralska, pozostawały nader dłużej na uboczu.

Pewne specyficzne elementy mentalne i obyczajowe zostały wprowadzone do historii Polski w XX wieku za sprawą procesów reemigracyjnych, związanych z trudnymi dziejami naszego wychodźstwa (powroty z USA, Niemiec, Francji, Wielkiej Brytanii a nawet Belgii, Rumunii, Szwajcarii czy Węgier). Repatrianci przywozili do starej ojczyzny coś z ojczyzny przybranej, a nieraz kogoś, czyli współmałżonka.

Najdłużej — jak już wspomniałem — żyli Polacy w symbiozie z Niemcami i Żydami. Mam tu na myśli tereny o zwartej większości polskiej, choć podobnie było na kresach wschodnich. W miastach (choć żywioł niemiecki silny był też i na wsi w zachodniej części Polski) współistnieliśmy na stałe i na co dzień z Niemcami i Żydami. Historia polskich Niemców i polskich Żydów — wbrew licznym niestety w naszej nacjonalistycznej historiografii fałszom „rodzimości” i rzekomej odrębności etnicznych przebiegów dziejowych — jest integralną częścią naszej historii i samej polskości. Nasze miasta od samego prawie początku, a na pewno od XII-XIII wieku aż po lata czterdzieste XX wieku były wielonarodowościowe, wieloreligijne i wielokulturowe. Trzeba stale o tym pamiętać. Po długich wiekach współżycia pozostały trwałe ślady w dzisiejszym obyczaju polskim, w języku, w nawykach zawodowych, w folklorze. Nie jest słuszne jednostronne podkreślanie negatywnych skutków tego stanu rzeczy, ani antagonistycznego charakteru etnicznych skupisk w polskich miastach.

Konfliktów nie brakło ani w dawnej Rzeczypospolitej, ani w okresie międzywojennym, lecz w większości wypadków przeważało pokojowe, nieantagonistyczne współistnienie, wzajemne wzbogacanie się kulturowe, uznanie naturalności takiego stanu rzeczy.

Z wielokorzeniową kulturą polską kontrastuje zwycięska monotonia narodowa PRL. Ustrój głoszący uroczyście swoje internacjonalistyczne zasady zunifikował narodowo nasze miasta i wsie. Komuniści uczynili to przemocą, a więc nie całkiem „nieantagonistycznie”: deportacje Niemców, przymusowe przesiedlenia Ukraińców, ograniczenie praw Litwinów i Kaszubów, niedawne próby „spolszczenia” ukraińskich i białoruskich nazw miejscowości, pogromy i prześladowania Żydów (pogromy: Rzeszów i Kraków 1945, Kielce 1946; brutalna kampania antysemicka 1968 roku i exodus większej części resztek spolonizowanych Żydów). Czyniono to w imię neo-nacjonalistycznej teorii „moczarystwu”, powołując się na „ideologiczne ozdoby” (walka ze syjonizmem, imperializmem, rewizjonizmem zachodnoniemieckim). Kontynuację „moczarystwu” stanowi antysemicki, ksenofobiczny nacjonal-komunizm „Grunwaldu”.

Równoległe do wielonarodowości, w jakiej a po części z jakiej wyrastała wielobarwna polskość, istotną rolę odegrał w naszych dziejach regionalizm. Wyróżniam dwa typy regionalizmów: „wielki” i „lokalny” (obydwa odrodziły się w zadziwiający sposób w strukturach „Solidarności”).

Co godzi się nazywać regionalizmem wielkim? To mianowicie, co pozostało z wewnętrznego podboju dokonywanego przez wielopolskich Piastów i zorganizowania przez nich średniowiecznej Polski: podział, oparty o warunki naturalne, strukturę gospodarczo-społeczną i czynniki językowe i kulturowe, na Wielkopolskę, Śląsk, Małopolskę i Mazowsze. Nieco odrębnie wypada potraktować zawsze mocniej wyodrębnione i zamieszkałe przez naszych bliskich krewniaków Pomorze, niemal od zarania zresztą wewnątrznie podzielone na zachodnie i wschodnie (później gdańskie).

Począwszy od XV wieku tworzy się, okazując wielką trwałość, kolejny podział na wielkie regiony, zbudowany po części na dawnych podziałach a po części na nowych, administracyjnych i etnicznych. Układa się on dwustopniowo. Największe regiony (ale i państwa) to Korona i Litwa. Poniżej tego podziału nadrzędnego (jego ślad pozostał w XX stuleciu jako podział na Królewaków, Poznaniaków i Galicjan z jednej strony a „kresowiaków” z drugiej) uformował się podrzędny. Litwa stanowiła obszar podzielony na Białoruś, Żmudź i Ruś Czarłą a także In-

flanty. Korona natomiast dzieliła się na Wielkopolskę, Mazowsze, Małopolskę, Prusy Królewskie i ziemie ruskie. Poza państwem polsko-litewskim pozostawał jeszcze Śląsk i słabo zauważalne w polskiej świadomości Pomorze Zachodnie.

Obok regionalizmu wielkiego i w jego ramach żył własnym życiem regionalizm „mały”. Powiśle czy Kujawy, Ziemia Dobrzyńska czy Łowickie, Krajna czy Kociewie, Podhale czy Kurpie i wiele innych małych ale specyficznych jednostek społeczno-kulturowych lub etnograficznych, jak się to dziś nieraz nazywa, tworzyło małe, lokalne ojczyzny. Stopniowo i Śląsk podzielił się na wyodrębnione, małe Śląski: Górny („czarny” i „zielony”), Opolski, Cieszyński i Dolny.

Zwykło się umniejszać znaczenie podziałów wprowadzonych przez zaborców. Niestłusznie. Wielkie osiągnięcie, jakim było zespolenie przez Drugą Rzeczpospolitą ziem i ludności dawnych zaborów, nie zamknęło całej sprawy. Granice zaborcze i podziały wewnętrzne poszczególnych zaborów poprzecinały dawne granice regionalne i dodatkowo skomplikowały polską mozaikę. Cechy a także stereotypy Królewiana i Galicjanina utrwaliły się na długo i ujawniają się do dziś w różnych odrębnościach i rywalizacjach. Gdy dziś mówi się o „tradycyjnych” cechach Wielkopolan, to przecież nie nawiązuje się do XVI wieku, lecz do tego co wyrosło w Poznańskim w latach 1815-1918. „Region” Litwy i ukraińskiej części Korony utożsamiał się z pojęciem kresów wschodnich. Na wschód od Kongresówki zaczęli mieszkac nie Litwini, lecz „bracia zza Bugu”. Z czasem Galicja podzieliła się w świadomości polskiej na wschodnią i zachodnią. Rozpoczęły się nieznanne uprzednio kłopoty z Wielkopolską. Historia Wielkiego Księstwa Poznańskiego narzuciła ludziom nazewnictwo oboczne (Poznańskie-Wielkopolska) tak silnie, że do dziś prawie Polak z Gniezna czy Środy Wielkopolskiej „nie uznaje” za Wielkopolanina mieszkańca ziemi kaliskiej, bo ta pozostawała przez kilka pokoleń „rosyjska” podczas gdy większość Wielkiej Polski nabyła cech „pruskości” nie w sensie aprobaty oczywiście lecz specyfiki polskich na tym obszarze zachowań i stylu życia.

Wędrowki Polaków po drugiej wojnie światowej, ich przemieszanie i nowe zakorzenienie ujednoliciły ostatecznie kraj i społeczeństwo. Tak się przynajmniej wydawało. Niewątpliwie unifikacja zaszała daleko i przyniosła wiele pozytywnych skutków. Ultracentralistyczne państwo, jakim jest PRL, wprowadzając nowe, nieraz arbitralne, podziały administracyjne i nowopolską mowę, rozbudowaną, posługującą się jednolitym żargonem biurokrację i identyczną, odindywidualizowaną szkołę, zmierzało do

całkowitego zamordowania pluralizmu i regionalizmów, które w naszych dziejach nie były w większości wypadków czynnikiem dezintegrującym, lecz tylko różnicującym i wzbogacającym polskość. Okazało się wszakże, że nuda ujednolicania nie całkiem wygrała, co poświadczyło dobitnie 16 miesięcy „Solidarności”. Polskość pozostała regionalnie wielobarwna, gdyż samo społeczeństwo polskie stanowi jedność (to wartość!) w różnorodności (to też wartość!). Nawet centralistyczne i opresyjne państwo nie potrafiło biurokratycznie „zniwelować” żywej społeczno-kulturowej tkanki polskości.

Ciekawym fenomenem w dziejach Polaków jest przedziwne łączenie lokalizmów i regionalizmów z nadrzędną jednością języka i kultury. Mimo ruchomości granic państwa i jego zaniku przez kilka pokoleń, mimo sporej rozległości terytorium narodowego, język polski pozostał w Europie jednym z najmniej zróżnicowanych i najbardziej jednolitych. Ponad regionalizmami i różnicami dialektologicznymi od kilku wieków trwa jako mowa ogólnonarodowa. Zupełnie inaczej rzecz się ma np. z językiem niemieckim czy włoskim.

Zauważmy, że od dawna, mimo pewnych różnic gwarowych i dialektologicznych, Polak potrafi zrozumieć innego Polaka i porozumieć się z nim. W wielu innych krajach tak nie jest. Piszę o tym dlatego, że w polskich warunkach dziejowych, w kraju podzielonym przez ponad 120 lat (biorąc pod uwagę I-szy rozbiór 150 lat), germanizowanym i rusyfikowanym, uwzględniając też rodaków odciętych od Polski przez wieki, ta jednolitość języka jest czymś doprawdy wspaniałym i niezwykłym. Słowo polskie stało się jednym z ważkich czynników sprawczych przetrwania i rozwoju narodu i jego kultury.

W ostatnich kilku dziesięcioleciach mowa ojczysta ulegała i nadal ulega ogromnym przeobrażeniom. Na ogół uważamy, że język nasz ubożeje, udrętwia się, traci bogactwo i barwę, elastyczność i gibkość. Istotnie tak jest. Język polski w PRL kształtował się i kształtuje pod przemożnym wpływem wszechobecnego państwa, biurokracji i technokracji, pod presją okropnych wzorców środków masowego przekazu, a zwłaszcza języka telewizyjnego. Nie bądźmy wszakże zbyt wielkimi pesymistami. Po pierwsze, podobnym przemianom podlegają i inne języki, nawet w krajach, które mają możliwość rozwoju w atmosferze demokracji i wolności. Jest to wysoka cena, jaką się płaci nowej zautomatyzowanej i nieludzkiej niekiedy cywilizacji współczesnej. Po wtóre, ożywczo wpłynął na naszą mowę, rozwiązując języki

i nawiązując do dawnych świętych wzorów, okres istnienia i działania „Solidarności”.

Skoro mowa o języku polskim, jego losach i znaczeniu, nie można pominąć pewnego zjawiska o wielkim znaczeniu. Mam tu na myśli długotrwałość wielojęzyczności w dziejach narodowych Polaków. Przecież dopiero od niespełna 40 lat wszyscy mówimy tylko po polsku w obrębie własnego kraju (nie zapominam o mniejszościach narodowych, lecz są one obecnie marginalne). Przez wiele wieków słyszało się w naszym kraju, zwłaszcza w miastach, ale przecież i na wsi, kilka języków. Były to — obok dominującego polskiego — przede wszystkim: niemiecki, żydowski (jidisz), białoruski, ukraiński, rosyjski i litewski. Wpływały one na rozwój naszej mowy, wzbogacały ją, rozszerzały horyzonty pojęciowe ludzi, jednocześnie jednak zachwaczały i deformowały język. Wielu Polaków — z chęci, potrzeby lub przymusu — było wielojęzycznych we własnym kraju, zwłaszcza na jego kresach, ale nie tylko.

Długotrwałe przenikanie się wielu narodowości i języków na obszarach zamieszkiwanych przez Polaków miało swoje istotne skutki, widoczne do dziś. Polskie nazwiska mają nierzadko brzmienie niemieckie, ukraińskie, rosyjskie. Na zasadzie wzajemności nazwiska polskiej proweniencji nie są rzadkością w Niemczech i Rosji. Nie jest to, jak się niekiedy myśli, wynik tylko przemocy, zaborów, deportacji i zesłań. Nader często stanowi skutek pokojowego sąsiedztwa, przenikań, mieszanych małżeństw. W polskiej kulturze, nauce, życiu politycznym mamy wielu wybitnych „obcych”, którzy są przecież jak najbardziej „nasi”.

Polska wieloetniczność, wielojęzyczność, mozaikowość regionalna legła u podstaw dwóch przeciwstawnych tendencji, przeciwstawnych ale współistniejących: otwartości i tolerancji z jednej a ksenofobii i nacjonalistycznej wyłączności z drugiej strony. Nie upajajmy się samouspokojeniem i pychą, mówiąc, że przede wszystkim lub wyłącznie byliśmy i jesteśmy tolerancyjni (kraj bez stosów, wolni z wolnymi). Nie samoudręczajmy się też akceptacją bezkrytyczną zarzutów o naszym oszalałym nacjonalizmie i szowinizmie (kraj antysemityzmu i pogromów czy poczucia wyższości wobec azjatyckiej Rosji). Rzeczywistość była i jest o wiele bardziej skomplikowana.

Wtedy, gdy w naszych dziejach dominowały okresy i postawy tolerancyjne, polskość przyciągała, wchłaniała na stałe obce żywioły. Ale przecież i odpychała, tak dalece, że nieraz przeciwstawiając się nam tworzyły się dopiero nowe narody i nowe nacjonalizmy (Litwini, Ukraińcy). Przez czas dłuższy polonizowały się

tylko warstwy wyższe narodów, z którymi współżyliśmy. Dopiero w XIX wieku, wtedy gdy nie stało własnego państwa, nasze masy ludowe polonizowały obcych przybyszów z warstw ludowych. Nawet w czasach zaborów szczycić się mogliśmy siłą atrakcyjną polskiej kultury.

Niechętnie piszemy i mówimy o drugiej stronie medalu czyli o wynaradawianiu się Polaków. W XVIII-XX wieku (ale i wcześniej) wielu naszych rodaków uległo — nie zawsze z przymusu — germanizacji, rusyfikacji czy ukrainizacji (rzadko czechizacji lub litwinizacji). Nie ulega żadnej wątpliwości, że zwłaszcza niemiecność posiadała dużą siłę atrakcyjną, stąd też wielkie straty na kresach zachodnich poczynając od średniowiecza aż po wiek XX.

Państwo, społeczeństwo, jednostka

Naszą siłą a zarazem słabością (zapewne groźną w polskim położeniu geopolitycznym) było to, że nigdy właściwie nie lubiliśmy i nie lubimy despotyzmu i nie mamy własnych tradycji absolutystycznego państwa. Natomiast nie jest prawdą, iż Polacy sprzeciwiają się silnym rządóm i odrzucają wszelką dyktaturę. W naszej tradycji leży akceptacja władzy silnej ale służącej narodowi, przezeń wybranej i popieranej. Mieliśmy w najcięższych czasach narodowych dyktatorów (ale nie despotów i tyranów) z woli narodu: Kościuszko, Chłopicki, Krukowiecki, Mierosławski, Traugutt, Piłsudski... Odrzucaliśmy ich, gdy w oparciu o naród chcieli rządzić wbrew jego woli, gdy oszukiwali społeczeństwo lub gdy utrzymywali się przy władzy najwyższej dłużej niż tego wymagały nadzwyczajne okoliczności. Nie uznajemy natomiast samozwańcych lub narzuconych dyktatorów bez mandatu społecznego, choćby się stroili w arcynarodowe piórka i szermowali patriotycznym frazesem. Nasza dewiza jest prosta: wyrosła ze społeczeństwa władza silna lecz praworządna, szanująca prawa jednostki — tak, wszelka inna — nie.

Zauważmy, że niewątpliwie silne ręce pierwszych Piastów stworzyły jednak państwo paternalistyczne raczej niż despotyczne. Już monarchia stanowa późnego średniowiecza stworzyła pewien system kontroli społeczeństwa nad władzą, choć kontrola, przyznając, jest tu zapewne słowem zbyt wielkim. Jednocześnie, już w średniowieczu, uformował się system przywilejów szlacheckich, obejmujący liczne rzesze ludzkie. Około 15 % dorosłej ludności męskiej zaczęło brać udział w życiu publicznym, w rządzeniu. Stopniowo powstała nowa, oryginalna koncepcja państwa służebnego wobec poddanych-obywateli, a później już tylko obywateli.

Podstawa społeczna demokracji szlacheckiej była szeroka, zwłaszcza w XVI i początkach XVII wieku. Demokracja ta kształtowała przez czas dłuższy kulturę polityczną i filozofię życia nie tylko urodzonych, lecz w pewnej mierze i mieszczaństwa, a nawet — w XVI wieku — części chłopstwa, zanim to oligarchia magnacka nie sprowadziła demokracji do kategorii czysto dekoracyjnej, do pustych słów i wolnościowego dyskursu.

Demokratyczne tradycje polskie XV-XVIII wieku są dziedzictwem niejednorodnym, zawierającym elementy pozytywne i negatywne, zazwyczaj ściśle ze sobą splecione. Nikt właściwie nie neguje wyrodzenia się polskiego sejmowładztwa pod wpływem magnaterii i za sprawą *liberum veto* w jego antytezę: samowolę (zamiast rządności), nienawiść wyznaniową (zamiast tolerancji), bezrząd (zamiast obywatelskiej troski o państwo). Jednakże nadmiernie krytykując ciemne strony szlacheckiego gminowładztwa przechodzi się często do potępienia w czambuł całej szlachty i jej wolnościowych tradycji oraz oskarżenia narodu szlacheckiego o doprowadzenie Polski do upadku. Umniejsza się w ten sposób rolę szlachty w odrodzeniu Rzeczypospolitej, w budowie porządku Konstytucji 3 maja. Cała ta historyczno-propagandowa operacja interpretacyjna doprowadzić ma do wniosku błędnego, lecz dla zwolenników tendencji antydemokratycznych cennego: Polska nie ma starych i szczytnych tradycji demokratycznych („brzydka” szlachta uciskała zresztą chłopów i inne narody!). Tradycja szlachecko-demokratyczna nadaje się tylko do odrzucenia, gdyż wiąże się ze „złotą wolnością”, anarchią, sobiepaństwem, frymarczeniem narodowymi interesami, a później jeszcze — po rozbiorach — z *liberum conspiro*.

Chłoscząc polski demokracizm szlachecki unika się na ogół optyki porównawczej z innymi państwami. A tymczasem demokracja brytyjska była u swych narodzin i jeszcze później systemem o bazie społecznej znacznie węższej niż polska. Nikt też nie ma do Brytyjczyków pretensji o to, że demokratyczna klasa rządząca uciskała chłopów a później i robotników (i jak jeszcze!), że bardzo powoli budowała swoje demokratyczne państwo. Nikt wreszcie nie wyolbrzymia znaczenia przekupstw wyborczych, „zgniłych miasteczek” itd.

Wróćmy wszakże do spraw polskich. Ustrój demokracji szlacheckiej (rządy parlamentarne; kontrola władzy; praworządność; wolność słowa i sumienia; prawa jednostki) funkcjonował dobrze przez kilka pokoleń. Później wyrodził się, a dominacja magnaterii posługującej się szlachtą gołątą doprowadziła do osłabienia rządu, samorozbrojenia się i obumierania państwa.

Jednakże ustroj ten miał w sobie system samoregulujący. Demokracja szlachecka uległa wprawdzie degeneracji, lecz — jak się okazało pod koniec XVIII wieku — była reformowalna. Dowiodły tego czasy stanisławowskie, Sejm Wielki i Konstytucja 3 maja. Było już jednak za późno. Układ sił w Europie i przymoc potężnych sąsiadów nie pozwoliły na to, by — używając słów Lelewela — „Polska odradzająca się” stała się na trwałe Polską odrodzoną. Była to tragedia, gdyż ustroj majowy, dynamiczny, wychylony w przyszłość, samoreformujący się, mógł doprowadzić do zrównoważenia kilku naraz czynników: nadrzędnego interesu państwowego, realizowanego w sposób demokratyczny, praw grup społecznych i szerokiej lecz samoograniczającej się wolności jednostki.

Rzeczpospolita swoim systemem wolnościowym, ustrojem opartym o służebność, podrzędność władzy wobec zorganizowanego społeczeństwa i stałość kontroli społecznej (nic o nas bez nas) egzaltowała wybujały indywidualizm etosu szlacheckiego. Wartościami stały się: swoboda i posunięta nieraz do absurdu autonomiczność jednostki, wolność słowa, godność człowieka i obywatela. Państwo służyć ma suwerennemu narodowi (szlacheckiemu, ale to oczywiste), a nie naród państwu. Tu zbliżamy się do sprawy dyskutowanej gorąco aż po dziś dzień: szlacheckiego bezrządu i nieufności wobec państwa (władzy). Nie zamierzam polemizować z propagandą PRL, która notorycznie czyni z rzekomego anarchizmu pałkę przeciw każdej samodzielności myślenia, niepokorności czy opozycji, a chłoszcząc „anarchizm” uderza w demokrację, jakkolwiek by była (w propagandzie PZPR „tendencje anarchistyczne” oznaczają zazwyczaj po prostu wszelki demokratyzm, a punktem wyjścia tzw. konstruktywnej krytyki jest „demokratyczny centralizm”). W szlacheckim pojęciu wolności indywidualnej i stanowej zawarte były pewne elementy anarchizmu. Państwo jako wyodrębniony aparat przymusu traktowano w istocie, zwłaszcza od schyłku XVII do połowy XVIII wieku nieprzychylnie, jeśli nie wrogo. Bano się panicznie tego, co można by nazwać niewolnictwem państwowym (diabelski upiór *absolutum dominium*). Można określić to, co tkwiło w głowach niejednego szlachcica jako nie domyślaną do końca koncepcję demokracji bezpośredniej, społeczeństwa-państwa a nie państwa-społeczeństwa poddanych. Negatywne konsekwencje takiej koncepcji są oczywiste, lecz nie należy zapoznawać demokratycznego jądra tego sposobu rozumowania. Demokratyczny ekstremizm zmierzał nie tylko w polskiej demokracji szlacheckiej i jej republikanizmie ku ograniczaniu państwa. Do zniszczenia lub obumierania pań-

stwa i budowy różnych form społecznej samorządności zmierzał zarówno anarchizm w różnych jego odmianach, jak... liberalizm — ten konsekwentny — i komunizm (choć ten ostatni rychło o tym zapomniał i przeszedł do apologii państwa i jego panowania nad społeczeństwem).

Indywidualizm i demokratyzm szlachecki (i postszlachecki) na długo wpłynął na postawy polityczne Polaków. Po III-cim rozbiore narastała wśród warstw oświeconych a później i warstw ludowych nienawiść do państwa obcego, opresyjnego, zaborczego. Wprawdzie walczono o niepodległość a więc o odrodzenie własnego, polskiego państwa, i to państwa silnego na wzór ustroju majowego, lecz państwo to nie istniało. „Zastępowało” je zorganizowane społeczeństwo-naród. Podmiotem narodowej historii nie było zatem — jak gdzie indziej — organizujące naród państwo, lecz bezpaństwowy naród zmierzający do odzyskania państwa.

Szkołę nowego państwowego myślenia stanowiło Księstwo Warszawskie i konstytucyjne Królestwo Polskie. Usiłowano w latach 1807-1830 — z lepszym czy gorszym skutkiem — kojarzyć interes państwa, społeczeństwa i jednostek. Była to szkoła cenna, lecz nie we wszystkim. Wymienione organizmy państwowe, przy całym ich społeczno-organizatorskim dorobku, stanowiły po części obcy przeszczep do polskiej kultury politycznej. A ponieważ zarówno Księstwo jak Królestwo były protektoratami, więc też protektor lękał się specyficznego polskiego demokratyzmu i ducha niepodległości. Stąd też piękne, liberalne konstytucje były metodycznie gwałcone, a życie polityczne manipulowane. Przeważał arbitralny styl rządzenia. Rządzący uczyli nas dyscypliny. Znamienne, że powtórzy się to w nowych warunkach w innym protektoracie, jakim jest PRL. I tu przecież konstytucja jest demokratyczna i ludowa, a władza totalitarna i antyludowa.

Rządzący nami w XX wieku wciąż powtarzają, że wiedzą, iż Polakami nie można kierować siłą, że trzeba się liczyć z ich zdaniem. Wciąż też powtarzają ze złością, że naród się nie sprawdza, a mimo to usiłują rządzić bez narodu. Było tak po uchwaleniu autorytarnej konstytucji 1935 roku, jest tak w PRL w całej rozciągłości i brutalności, zwłaszcza po grudniu 1981 roku. I tu drobna uwaga: idealizacja relacji między państwem, społeczeństwem i jednostkami w Drugiej Rzeczypospolitej, zrozumiała dziś, jest w istocie szkodliwa, bo sprzeczna z historyczną prawdą. Jest jednak jeden ważki argument za podkreśleniem jakościowej różnicy w tym zakresie między RP i PRL. Pierwsza była niepodległa, druga nie. W pierwszej rządzą (nawet po 1935 roku) miały, choć-

by ograniczony, mandat społeczeństwa, w drugiej tego mandatu nie posiadają wcale.

Czego się Polacy nauczyli od zaborców gdy idzie o stosunek między państwem, społeczeństwem a jednostką? Zależy gdzie i kiedy. W zaborze pruskim przyswoili sobie niewątpliwie szacunek dla władzy, nawet obcej, i kult praworządności, bo jednak państwo zaborcze było w zasadzie praworządne. Wykorzystując prawo i stosując samodyscyplinę Polacy nauczyli się gospodarczej i społecznej samoobrony. Zetknęli się też z biurokracją, nader sprawną w porównaniu z rosyjską czy urzędolaniem austriackim.

Wpajano Polakom w trzech zaborach ideę „służby dla państwa”, hierarchiczności, uświadamiano marność jednostki stojącej w obliczu rządu i władzy. Oczywiście były istotne różnice między carskim samodzierżawiem a austriackim liberalizmem doby autonomicznej i konserwatywną, surową atmosferą militarystycznych Prus. Polacy w zaborze pruskim nauczyli się racjonalnych zasad organizacji społeczeństwa.

Czy te przymusowe nauki zostały emocjonalnie i rozumowo zaakceptowane? Tylko częściowo i na niektórych terenach. Generalnie odrzucili Polacy antydemokratyczny i antypluralistyczny system rosyjski, uznali po części austriacki, gdzie czuli się nienajgorzej, sprzeciwiali się pruskiemu (choć im imponował) walcząc z nim jego własną bronią. Ogólnie rzecz biorąc nie zagubili w swej zbiorowej i indywidualnej samoobronie oraz chronieniu tożsamości narodowej i tradycji demokratycznej ani indywidualizmu, ani tęsknoty do pluralizmu. Nigdy, do dziś, nie dali z siebie zrobić stada niewolników państwa, wyżej stawiali społeczeństwo od awansu w urzędniczej hierarchii posłuszeństwa państwowego, wielość postaw od zorganizowanej jedności, solidarność od patrzenia ku górze z karnym (lub na baczność) wyczekiwaniem rozkazu, samorządność od rygoru wojskowego i liturgii państwowej. Polacy pozostali wierni dawnemu hasłu: nic o nas bez nas oraz wysokiej ocenie wartości ludzkiej jednostki, człowieka i obywatela.

Część druga:

GENEZA WSPÓŁCZESNOŚCI I DZISIEJSZOŚCI

Epoka zależności

Trudny i długi okres w dziejach Polski, rozpoczęty u progu XVIII wieku i trwający do dziś, nazwać trzeba — czy się to nam

podoba czy też nie — epoką zależności. Zależność to coś znacznie większego i groźniejszego od polityczno-państwowej podległości (braku niepodległości). To strukturalne, wszechogarniające (ekonomiczne, układy społeczne i polityczne, kultura, obyczaje i mentalność) podporządkowanie — często widoczne, a niekiedy ukryte i słabo dostrzegalne — obcemu centrum (centrom) dominującemu (dominującym). Zależność wreszcie to trwałe ograniczenie podmiotowości organizmu gospodarczego i społeczno-politycznego, to kształtowanie z zewnątrz jego losów, choć w wielu wypadkach wydaje się, iż to on sam kształtuje i modeluje swe losy. Zależność można oczywiście obalić lub osłabić, lecz jest to niezwykle trudne i nie stanowi aktu jednorazowego. W naszej historii okres między dwiema wojnami światowymi wydaje się w sposób bezdyskusyjny czasem niepodległości a więc i zupełnej niezależności. Nieco niżej postaram się wykazać, że była to epoka znacznego wprawdzie osłabienia, lecz nie likwidacji zależności w jej strukturalnym rozumieniu.

W naszych polskich warunkach zależność oznaczała zacofanie i niedorozwój, brak autonomicznej i autentycznej dyspozycji losami politycznymi, podległość jednemu lub kilku centrom dominującym. Praktycznie rzecz biorąc strukturalna zależność w historii Polski i Polaków oznaczała kiepski i długi feudalizm, a następnie słaby i zależny, peryferyjny kapitalizm ze wszystkimi wynikającymi zeń nieszczęściami, oznacza wreszcie nie przystający do naszych realiów i sprzeczny z wolą większości społeczeństwa „zależny socjalizm”. Łatwo wyciągnąć smutny wniosek o zależności jako polskim przekleństwem. Nie należy wszakże popadać w skrajny determinizm i zagłębiać się w czarnej rozpacz. Zależność nigdy nie determinowała w stu procentach naszych losów. W zależności tkwi zresztą, choć to mało pocieszające, większość krajów i społeczeństw świata. Wejście w status zależności wtedy, gdy poziom rozwoju społeczno-kulturowego danego kraju jest niski oznacza popadnięcie prawie w beznadziejność. Przypadek Polski jest inny i to nie tylko dlatego, że „punkt wejścia w zależność” był nie najgorszy. Polacy przez większą część dotychczasowych dwustu kilkudziesięciu lat zależności walczyli różnymi sposobami (nie oszukujemy się jednak: nie wszyscy i nie wszędzie) przeciw zależności, o jej zniesienie, a w każdym razie o jej ograniczenie. W tym fakcie odszukać można sporą dawkę optymizmu. Lecz powróćmy do konkretów, do historycznej anatomii zależności.

Począwszy od XVII wieku Polska znajduje się — tak jak inne kraje położone na wschód od Łaby — w strefie wtórnego poddaństwa i zintensyfikowanej pańszczyzny, w Europie „feudalizmu B”,

w Europie wschodniej. Oznacza to, że staje się pozbawionym autodynamizmu gospodarczego zapleczem surowcowo-rolnym szybciej rozwijających się i stopniowo industrializujących, rozszerzających swój rynek wewnętrzny krajów zachodnioeuropejskich. Agraryzacja gospodarki i upadek miast wpływają zasadniczo na ewolucję struktur społecznych i zwiększenie dystansów społecznych. Ma to w konsekwencji ogromny wpływ na procesy narodotwórcze i modele kultury.

W późnym feudalizmie polskim nastąpiły trwałe społeczne podziały i rozdarcia. Mówiąc w uproszczeniu, szlachta była „zachodnia”, a lud wiejski „wschodni”. Podział ten kształtowany był na modłę kolonialną przez zachodnie centrum. Zarówno klasy posiadające jak nie posiadające pozostawały w zależności od rynków zachodnich (wywóz płodów rolnych i leśnych), od zachodniej technologii, kapitałów i kultury. Szlachta uważała się za zachodnią, lecz podtrzymywała apologię własnej oryginalności i wyjątkowości. Coraz mniej — w związku z marazmem ekonomicznym i dezurbanizacją — potrzebowała importu i wymiany dóbr kultury. Zachód też nie potrzebował. Rwały się więzy i kontakty intelektualne. Pozostawały pozory oglądy i rosnąca ignorancja. Autentyczny związek z europejską kulturą zachowała nieliczna szlachecka elita. Chłopów, co normalne we „wschodnim feudalizmie”, dzieliła od szlachty — zwłaszcza w centrum i na wschodzie Rzeczypospolitej — rosnąca przepaść. Powstawały „dwa narody”. Ostre przeciwstawienie chłopskie na „my i panowie” (Polacy), znane w XVIII wieku, umocniło się w czasach późnego, zależnego feudalizmu (XVIII-XIX wiek). Odzywało się jeszcze, i to silnie, w XX wieku (pańskie wojsko, pańska Polska).

Powolne przejście do kapitalizmu przypominało u nas — jak w obecnym Trzecim Świecie — częściową modernizację zależnych peryferii i półperyferii przez centrum (centra). Obce kapitały i obca technologia „drugiego sortu”, częściowo obce kadry techniczne, powolna i płytka rewolucja przemysłowa, wysoka stopa zysku i superwyzysk siły roboczej — oto charakterystyka biednego polskiego kapitalizmu. Aby mieć porządną, twórczą kapitalizm, należy dysponować silnym mieszczaństwem, ba — trzeba wychować silnego burżuazji. Tymczasem u nas nigdy nie było burżuazji z prawdziwego zdarzenia, a ta niby burżuazja, którą dysponowaliśmy (?) niezbyt była nasza (często obca pochodzeniem, sterowana z zewnątrz, mająca swe interesy poza Polską). I trudno się dziwić. Po kiepskim, zależnym feudalizmie można dobić się jedynie słabego i zależnego kapitalizmu, wyrosłego nadto na zachwaszczonych glebie obcej dominacji politycznej.

Polski kapitalizm trwał krótko, niespełna sto lat, był wyspowy (kilka twierdz przemysłowych i robotniczych w morzu agrarnym) i podzielił Polskę na trzy strefy zależne od trzech centrów (w najważniejszym z nich, rosyjskim, była to zależność piętrowa, gdyż kapitalizm rosyjski również był zależny). Parę innych cech wyróżniało polski kapitalizm. Po pierwsze, ogromna przepaść między miastem i wsią; po drugie, znaczne różnice rozwoju gospodarczego wewnątrz kraju („subkolonie”); po trzecie, duża rola warstw pośrednich.

Co wyróżniało „narodową” fazę polskiego kapitalizmu? Odpowiedź jest prosta: istnienie niepodległego państwa. A jednak zależność nie została obalona. Podległość wobec obcego kapitału (wyrażna w latach dwudziestych, mniejsza w trzydziestych) pozostała. Wzrost gospodarczy był słaby. Struktura produkcji i handlu zagranicznego (eksport surowców rolnych) utrzymała się bez istotnych zmian. Wielka depresja — bardzo w Polsce długa — żywo przypominała przebieg wielkiego kryzysu w krajach zależnych i półkolonialnych. Dystanse gospodarcze i społeczno-cywilizacyjne między poszczególnymi regionami były nadal ogromne (przepaść między Wielkopolską i Polesiem). Struktura społeczna i stosunki międzyklasowe i międzyśrodowiskowe stanowiły w znacznym stopniu kontynuację układów z początków stulecia. Podejmowane próby etatyzacji gospodarki nie osiągnęły (nie mogły? nie zdążyły?) celu, jakim było zbudowanie specyficznego modelu silnego państwa „narodowego kapitalizmu”. Zachodnioeuropejskie centra systemu światowego nie okazały się nazbyt chętne ani zainteresowane w umocnieniu zależnego od nich pół-peryferyjnego państwa, natomiast wysoko rozwinięte, dynamicznie rozwijające się Niemcy lat trzydziestych pragnęły likwidacji niepodległego państwa polskiego i pełnego uzależnienia gospodarki polskiej (plan maksimum) lub okrojenia Rzeczypospolitej i uczynienia jej swym wasalem politycznym i ekonomicznym (plan minimum). W końcu niezależny naród w niepodległym państwie nie mógł przewyciężyć ciągnącej się od dawna strukturalnej zależności gospodarczo-społeczno-cywilizacyjnej.

Rok 1945 rozpoczął nową, trzecią już fazę systemu zależności. Polska stała się zależnym państwem w bloku państw zdominowanych przez ZSSR.

Polityczne podporządkowanie Polski idzie w ostatnich dziesięcioleciach w parze z systemowym podporządkowaniem ekonomicznym. Jeszcze nigdy od ponad dwustu lat nasz kraj nie znalazł się w tak dławiącej obręczy uzależnienia. Do 1939 roku światowy

system komunistyczny redukował się do jednego państwa — ZSSR (Mongolii i — przez czas pewien — Tuwy można nie brać pod uwagę). W wyniku drugiej wojny światowej świat stał się dwubiegunowy, a i system zależności uprościł się (ta konstatacja, mogąca irytować niejednego czytelnika, nie ma charakteru ocenego; piszący te słowa doskonale wie, że zależność np. Włoch od USA to nie to samo co zależność Czechosłowacji od ZSSR, natomiast zależność Salwadoru lub Korei południowej jest w pewnym stopniu porównywalna z zależnością „satelitarną” w obrębie bloku sowieckiego), a co za tym idzie stało się trudniejsze niż uprzednio już nie tylko przezwyciężenie zależności, lecz nawet jej osłabienie. Centra stały się „czujniejsze”, szczególnie zaś centrum sowieckie. O polskich próbach wydobywania się z zależności będzie jeszcze mowa. Wszystkie one, jak wiemy, skończyły się niepowodzeniem.

Zależność, w jakiej tkwi Polska w ostatnim prawie czterdziestoleciu, jest zjawiskiem dziwnym. Nie oznacza marazmu, nie da się bowiem zaprzeczyć, iż kraj uległ bardzo głębokim przeobrażeniom gospodarczym i społecznym: industrializacja, urbanizacja, powstanie nowych i przeobrażenia wszystkich właściwie klas i warstw społecznych. Wszystko to jednak nie zmienia jednego ważkiego faktu, a mianowicie przejęcia narzuconych, obcych wzorów systemowych. Nowopowstałe biurokratyczne państwo stało się istotną siłą zmieniającą struktury społeczne i zachowania ludzkie, zarażając ludzkie umysły duchem niewolnictwa. Nawet odruchy buntu nie potrafiły zazwyczaj oderwać się od rozumowania kategoriami niewolnictwa wobec zależnego od obcego centrum państwa. Swoista etatyzacja umysłów i świadomość „fizycznej” potęgi ZSSR stała się czynnikiem utrudniającym wyzwolenie. Atomizacja i zerwanie więzi społecznych działają nieuchronnie na rzecz zależności. Robotnicy w systemie „komunistyczno-zależnym” nie pracują lecz wykonują państwowy plan, a państwo, czyli PRL, wykonuje plan obozowy, czyli zalecenia centrum. Totalna, systemowa zależność obejmuje wszystko: ekonomikę, system zarządzania, organizację społeczeństwa, oświatę, kulturę. Złamanie takiej zależności było i pozostaje zadaniem niebywale trudnym.

Sprawa niepodległego państwa: między Niemcami a Rosją

Problem istnienia niepodległego państwa polskiego wiąże się jak najściślej ze sprawą stosunków z naszymi dwoma wielkimi sąsiadami. Położenie między Niemcami i Rosją stało się i jest nadal prawdziwą obsesją historiografii politycznej i publicystyki,

przedmiotem niekończących się dyskusji w każdym polskim domu, przemyśleń każdego Polaka. Nikt nie może podważyć kapitalnego znaczenia tego problemu, nawarstwiło się też wokół niego wiele mitów, stereotypowych pseudo-odpowiedzi wszystko rzekomo wyjaśniających, schematycznych „wyjaśnień z przeszłości” oraz arbitralnych „pewników” futurologicznych. Co gorsze, wszyscy posiłkując się tzw. naukami historii, sprowadzając rzecz do problematyki międzynarodowej gry politycznej, a pomijając nadrzędną i skomplikowaną problematykę funkcjonowania zależności, nie zawsze i nie tylko sprowadzającej się do dwóch potężnych sąsiadów, ograniczają się do stwierdzeń dość banalnych. Oto wieki całe mieliśmy do czynienia z podstępny *Drang nach Osten* z jednej strony, a sprytnym i brutalnie zakłamanym zdobywaniem Europy przez Rosję z drugiej. Na drodze Niemców ku spichrzom wschodnioeuropejskim i terenom kolonizacji leżała Polska. Na drodze ku rosyjskiej hegemonii w Europie i na świecie też leżała Polska. W toku wielowiekowej historii odnosiliśmy wprawdzie sukcesy (Cedynia i Psie Pole, Grunwald i bardziej już dyskusyjny, gdyż byliśmy „na przyczepkę”, Berlin 1945, a z drugiej strony Kłuszyn, zdobycie Moskwy, raz samodzielnie, a drugi raz „przy Napoleonie”, rok 1920), lecz częściej ponosiliśmy ogromnie ciężkie klęski, które mogły nieraz wydawać się ostateczne. Dlatego zabiegi o polską niepodległość między Niemcami a Rosją ograniczają się w XVIII-XX wieku do trzech właściwie możliwości: postawić na Niemcy (bywało to dość rzadkie), postawić na Rosję (znacznie częstsze), być niezależnym a więc na tyle potężnym, by móc przeciwstawić się obu sąsiadom naraz. Wybór trzeciego wariantu oznaczał zazwyczaj albo oparcie się o państwa zachodnioeuropejskie, albo o sojusz (związek) państw między Niemcami a Rosją, albo kombinację tych dwóch strategii.

Spróbujmy rozpatrzeć problem nieco szczegółowiej. Zacząć wypadnie od Niemiec. Otóż Niemcy jako kraj-państwo i państwowonaród nie istniały do początków drugiej połowy XIX wieku. W tym sensie przez długi czas stosunek Niemiec do Polski oznaczał stosunek różnych Niemiec do nas i naszego kraju. Nie mogło być i nie było państwowej polityki Niemiec a więc i państwowej polityki *Drang nach Osten* w średniowieczu i czasach wczesnonowoczesnych. I niech nikt nie mówi, że taką świadomą i długofalową politykę prowadziło Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego. Nie rzutujmy pojęć i koncepcji politycznych XX wieku na odległe epoki historyczne. Jest oczywistym nadużyciem, któremu w znacznej mierze ulegliśmy, utożsamianie Krzyżaków i Brandenburczyków a później Prus z Niemcami w ogóle. Stosunki między Polakami

i Niemcami (mam na myśli tak jednostki i grupy, jak wspólną językowo-kulturową) bywały nader często niekonfliktowe lub nawet przyjazne i to aż po wiek XIX. Kolonizacja niemiecka (a w każdym razie nie wszystkie jej etapy) nie może być utożsamiona z konsekwentną polityką państwową. Pamiętajmy, że my również prowadziliśmy począwszy od XV wieku parcie na Wschód, kolonizując i polonizując kulturowo Litwę, Białoruś i Ukrainę. W XIX wieku sami sprowadzaliśmy niemieckich kolonistów (Królestwo Polskie 1815-1830).

A teraz Rosja. Przede wszystkim historia naszego z nią „styku” jest nader świeża. Do początków XVIII wieku właściwie, a z pewnością do połowy XVII stulecia mamy do czynienia na wschodzie początkowo z państwem litewskim (ściślej litewsko-ruskim), z różnymi państwami ruskimi, wśród których stopniowo dominującą pozycję zyskiwała sobie Moskwa, a także z Turkami i Tatarami. O ile niemal od początku sąsiadowaliśmy z Niemcami, o tyle nie stykaliśmy się bezpośrednio z Rosjanami. Z państwem rosyjskim, a więc organizmem, w którym dominowali Rosjanie, sąsiadujemy — my, Polacy oraz spolonizowani Litwini i Rusini — dopiero od początków XVIII wieku. I od razu jako naród podporządkowany i państwo-protektorat ekspansywnego imperium.

Zauważmy, że tragiczny los Polski ściśniętej między Prusami (później Niemcami) a Rosją rozpoczyna się na dobre wraz z początkiem epoki zależności i jest tej zależności wynikiem.

Zanim powrócę do spraw kluczowego polskiego problemu — niepodległości narodowo-państwowej — kilka uwag o stosunku Polaków do mieszkańców obu potężnych państw sąsiedzkich, a więc do Niemców i do Rosjan. Jest to o tyle ważne, że aż po dziś dzień rzutuje on na koncepcję polskie w przedmiocie ułożenia stosunków z sąsiadami. Otóż czy to się nam podoba czy nie, Niemcy w ekspansji kulturowej i polityczno-militarnej na wschód byli czynnikiem sprawniejszym, „rozwinęty” i lepiej zorganizowanym od nas. (Nie muszę nawet wprowadzać ocen wartościujących, np. takich, że Niemcy reprezentowali wyższą kulturę, umiejętności czy technologię, choć przecież tak w znacznej mierze było). Dlatego nasz stosunek do Niemców był i w znacznym stopniu pozostał nieufny, niechętny a zarazem „niższościowy”. Wiele się od nich uczyliśmy, ale też lękaliśmy się wchłonięcia przez nich, utraty ziemi, języka i tożsamości. Nienawidziliśmy, choć nie wolno tego uczucia historycznie, geograficznie i topograficznie generalizować, ale jednocześnie Niemcy nam imponowali.

W pewnym stopniu rzec by można, iż z Rosjanami było odwrotnie. Przecież to my szliśmy na wschód, to my im imponowaliśmy przez długi czas, to oni bali się, że ich spolonizujemy. Nic też dziwnego, że Polacy, nawet aż nadto świadomi rosyjskiej potęgi, zwłaszcza w XIX i XX wieku, mieli do Rosjan stosunek „wyższościowy”, a niekiedy nawet lekceważący. Mieliśmy się i dotąd mamy za kulturowo wyższych i powołanych do pełnienia kulturowej misji niesienia na zacofany Wschód dziedzictwa rozwiniętego Zachodu. Tym bardziej może, iż przeczuwaliśmy, nie mówiąc o tym głośno, że nasza zachodniość nie jest bynajmniej stuprocentowa.

W początku XX wieku sytuacja uległa pewnej zmianie. Definitywny podział Europy środkowej na dwie strefy dominacji zmuszał niekiedy do jasno wyrażonego wyboru. Jeszcze w XIX wieku ów podział artykułował się w słowach Moskal (to wróg i Azjata) i Prusek (wróg i Europejczyk). U progu naszego stulecia, zwłaszcza w zaborze pruskim, Rosjanin stał się Słowianinem, z którym można się porozumieć i wejść w sojusz, w odróżnieniu od Niemca, który zmierza ku unicestwieniu polskości. Postawy te wyzyskano „państwowo” dopiero po drugiej wojnie światowej, kiedy to hekatomba, jaką przeżyliśmy pod rządami hitlerowskich Niemiec w naturalny nieomal sposób rzuciła wielu Polaków w ramiona wielkich braci Słowian. Niektórzy wręcz godzili się na protekcję rosyjską, będącą koniecznością a w każdym razie mniejszym złem. Takie postawy ujawniały się częściej — rzecz jasna — w Bydgoszczy lub Poznaniu gdzie dobrze znano imperialne Niemcy, lecz nie doświadczono imperialnej Rosji, niż w Lublinie czy Warszawie, gdzie doświadczenia były odmienne.

Jakimi dysponowaliśmy możliwościami politycznego manewru między Berlinem i Petersburgiem w XVIII i pierwszej połowie XIX wieku? Czy Polska upadająca i podzielona, Polska częściowych państwowości mogła sama uzyskać niepodległość w oparciu o jedno z państw sąsiedzkich? Nie, choć podejmowano takie próby i to wyłącznie przeciw Rosji w porozumieniu z Prusami (sojusz polsko-pruski w 1790 roku; efemeryczne próby w dobie Wiosny Ludów wojny Polaków wespół z demokratycznymi Prusami i Niemcami przeciwko Rosji). Nie, dlatego, że w tym czasie Prusy i Rosja niemal stale pozostawały ze sobą w antypolskim sojuszu.

Na omawiany okres przypada jedyna częściowo i na krótko udana próba odrodzenia Polski w oparciu o Zachód czyli o imperium napoleońskie. Trudno przecenić znaczenie Księstwa Warszawskiego dla utrzymania polskości i wiary w odrodzenie w przyszłości niepodległego państwa polskiego. A jednak to powodze-

nie w poczynaniach wyzwoleńczo-narodowych pod protekcją zjednoczonego Zachodu (bo tak należy rozumieć ówczesną napoleońską Francję) jest jednocześnie naszym przekleństwem. Od czasów Napoleona Bonaparte aż po dziś dzień — i to właśnie dlatego, że raz efektywnie pomógł nam Zachód — ciągnie się pasmo politycznie złudnych koncepcji sprowadzających się w gruncie rzeczy do jednego: to się powtórzy, to się musi powtórzyć, trzeba wciąż stawiać na Zachód i to obojętnie czy nazywa się on Napoleonem III, Chamberlainem, Churchillem, Rooseveltem lub Reaganem, bo tylko ów Zachód może nam pomóc w odzyskaniu pełnej niepodległości. Dlaczego była to i jest ułuda? Dlatego, że wciąż — mimo trzeźwych i rozsądnych studiów na tematy napoleońskie — popełniamy ten sam lub podobny błąd. Uważamy mianowicie (w głębi serca oczywiście), że cesarz Francuzów pomógł nam z samej sympatii, nam i tylko nam („Bóg jest z Napoleonem, Napoleon z nami”). Gdybyśmy natomiast przyjęli zgodnie z prawdą, że sprawa polska stanowiła tylko część określonego globalnego urzędzenia nowej Europy, to i wnioski musiałyby być inne. Jeśli Zachodowi (czytaj konkretnemu a zmieniającemu się centrum dominującemu na Zachodzie) zależy na całkowitej zmianie systemu europejskiego, wtedy może być mu Polska gospodarczo i politycznie potrzebna jako integralna część tego systemu. Jeśli natomiast zastany lub przewidywany system może się obyć bez niepodległej Polski, wtedy nigdy nie nastąpi altruistyczna pomoc dla nieszczęśliwego kraju nad Wisłą. Nie ma co na to rachować. Zwłaszcza, że w XX wieku liczy się przede wszystkim rola i siła Niemiec i Rosji, nie zaś Polska.

Na początku XX wieku, kiedy to rozpadł się sojusz trzech cesarzy i pojawił się obraz dwudzielny, a zwłaszcza podczas Wielkiej Wojny, świadomie działający Polacy próbowali opowiedzieć się albo za Niemcami (opcja austriacka była w ostatecznym rachunku niemiecka) albo za Rosją. Czy w oparciu o jedno lub drugie mocarstwo można było uzyskać pełną niepodległość, to pytanie, na które trzeba odpowiedzieć tylko negatywnie. Nie można się jednak dziwić, że starano się uzyskać coś, gdy nie miało się zupełnie nic. Wyniki pierwszej wojny światowej, splecione z konsekwencjami rewolucji europejskich lat 1917-1918, wytworzyły niebywałą wprost, graniczącą z cudem, koniunkturę polityczną, którą walczący o swą niepodległość Polacy wykorzystali własnym czynem: odważnie, rozsądnie i twórczo. Nie było ich winą, że stworzony po wojnie system europejski, zwany wersalskim, nie gwarantował Polsce trwałej stabilizacji. W końcu nie na wiele zdały się równolegle podejmowane przez rządy Rzeczy-

pospolitej Odrodzonej próby budowania bloku małych państw położonych na osi północ-południe między Niemcami a ZSSR i własnego systemu trwałych sojuszy z Zachodem, wprawdzie tylko z Francją, a później również z Wielką Brytanią. Europejski system wersalski, w którym było miejsce na Polskę, nie okazał się o wiele trwalszy niż europejski system napoleoński, w którym znalazło się miejsce na Księstwo Warszawskie. I jeden i drugi dał nam jednak wiele i — co najistotniejsze — uniemożliwił ponowne wymazanie Polski z mapy Europy i wyłączenie sprawy polskiej z polityki międzynarodowej. Trwałość istnienia Polski-protektoratu po zawaleniu się wspomnianych systemów była proporcjonalna do wielkości odrodzonej państwowości. Krótka po 1815 roku, długa po 1945.

Porozumienie między Niemcami i ZSSR, a następnie kolejny rozbiór Polski przez jej potężnych sąsiadów i okupacja niemiecka postawiły nasz kraj w obliczu niebezpieczeństwa unicestwienia. Nowy układ sił na starym kontynencie po klęsce Trzeciej Rzeszy sprawił, że przestał istnieć polityczny system ogólnoeuropejski. Powstały dwie Europy, a państwo polskie, w formie organizmu zależnego pod nazwą PRL, znalazło się — z woli Wschodu i Zachodu — w bloku sowieckim czyli Europie wschodniej.

Mogłoby się wydawać, że w pewnym sensie skończył się dla nas po 1945 roku problem „między Niemcami i Rosją”, bo z częścią Niemiec jesteśmy w tym samym bloku, a RFN z Polską nie graniczy. Sprawa jednak jest — jak sądzę — bardziej skomplikowana.

Jesteśmy bardziej między ZSSR i Europą Zachodnią niż między ZSSR i Niemcami. Czy zatem po 1945 roku minęło bezpowrotnie zagrożenie dla niepodległości i integralności terytorialnej Polski ze strony Niemiec? I tak, i nie. Tak, gdyż Niemcy nie kwestionują prawa Polski do niezawisłości. Nie, gdyż — mimo układów z 1970 roku — nasze granice zachodnie są nadal kwestionowane przez niektóre zachodniemieckie siły polityczne. Tak, gdyż nie widać żadnych szans na to, by RFN, przy całej jej potędze, stała się sama (co innego EWG) samodzielnym centrum równoważnym z USA, ZSSR i ewentualnie Chinami. Nie, gdyż uzależniona Polska nie mogłaby przeciwstawić się ewentualnemu przehandlowaniu przez ZSSR części jej terytorium za cenę zjednoczenia i zneutralizowania Niemiec.

Propaganda rządowo-partyjna w PRL wykorzystuje codziennie, co minutę, zadawnione konflikty polsko-niemieckie i nieufność Polaków wobec Niemców, przywołując groźbę niemiecką, straszne wspomnienia okupacji, egzekucji i kacetów, całą — w

dużym stopniu podfałszowaną — historię Niemiec (bez historii kultury niemieckiej) a także stosunków polsko-niemieckich dla „zintegrowania narodu” wokół władzy i wsparcia idei przyjaźni polsko-sowieckiej, a więc zależności od Moskwy („ZSSR nas uratował przed zagładą”; „Berlin to wspólne zwycięstwo ZSSR i Polski”; „Przed nowym *Drang nach Osten* i utratą Ziem Zachodnich chroni nas tylko ZSSR”...). Idzie o to, by manipulując historią udowodnić, że problem rosyjski przestał istnieć (ZSSR gwarantuje trwałą niepodległość Polski), podczas gdy sprawa zagrożenia ze strony Niemiec jest wciąż aktualna.

W rzeczywistości na plan pierwszy wysunęła się sprawa Rosji (ZSSR). Już w XIX wieku było rzeczą oczywistą, że głównym frontem walki o odrodzenie niepodległego państwa, m.in. walki powstańczej, jest front rosyjski. Druga połowa XIX wieku potwierdziła to z całą mocą. Każde „rozluźnienie” w bloku sowieckim zmniejsza naszą zależność. Jednakże sądzić należy, iż tylko nowy układ czy system europejski zaprzeczający Jąćcie może dać nam szansę niepodległości w jej nowoczesnym, demokratyczno-federalnym kształcie.

Sprawa narodu: dziedzictwo chłopskie

Narody, które trwale posiadają własne państwo, uważają ten fakt za rzecz daną, naturalną, normalną. Nic dziwnego zatem, że rozumują zazwyczaj w kategoriach państwa-narodu, nie zaś w kategoriach wspólnoty narodowej, narodu-ludu. W Polsce, począwszy od schyłku XVIII wieku, naród stał się dla wszystkich ludzi aktywnych i świadomych dobrem najwyższym i wartością nadrzędną. Nie można było nawet marzyć o odrodzeniu państwa, bez ukształtowania dojrzałego, świadomego swej tożsamości narodu.

W specyficznej sytuacji polskiej sprawa narodu wysuwała się i wysuwa na plan pierwszy. Nawet dawne, wydawałoby się przebrzmiałe już dylematy dziejów narodu, te sprzed stu lub więcej lat, odradzają się na naszych oczach, żyją intensywnym życiem, bo wciąż Polska jest zależna, a jeśli nie ma państwa lub nie jest niepodległe, to naród musi zachować kulturową i duchową niezależność, by móc zachować nadzieję.

Naród szlachecki sam nie mógł odzyskać niepodległości. Głównym budulcem nowoczesnego narodu, jak wszędzie prawie, musieli być i w istocie byli chłopi. O tym rewolucyjne i patriotyczne grupy szlachty polskiej wiedziały już na przełomie XVIII i XIX

wieku, lecz miały się wiele razy przekonać, że unarodowienie chłopca jest procesem długim, bolesnym i tragicznym. I znów wypada powrócić do struktury społeczeństw zależnych, w których dystanse między chłopem i panem są ogromne, słabo natomiast funkcjonuje tkanka łączna: klasy pośrednie na czele z burżuazją. W Polsce XIX wieku głównymi figurami na scenie narodowej byli Kordianowie i chamy. Nie stał między nimi i nie jednoczył ich — jak we Francji, Niemczech czy Anglii — trzeźwy mieszcza- nin i zdobywca burżuazji.

Przez długie lata Kordianowie chcieli się bratać z chamami, mówiąc „wyście Polacy tak jak i my”, a chamy odnosiły się z nieufnością do panów-Polaków, od których dzieliło ich jakże wiele. Musiała zabrzmieć groźna pieśń „O cześć wam, panowie magnaci”, musiała się połączyć krew w galicyjskiej rabacji, musieli ginąć powstańcy styczniowi za Polskę i wyzwolenie chłopów, musieli kosynierzy wielkopolscy wespół z panami ścierać się z pruskim wojskiem, musiało upaść poddaństwo i zniknąć pańszczyzna, musiała znaczna część szlachty zostać ubogą inteligencją, musiał chłop mieć swoją upragnioną ziemię, by jego syn stał się w pełni Polakiem. Przez niemal cały pierwszy wiek niewoli narodowej chłop pozostawał „wschodnioeuropejski”, a szlachcic należał do Zachodu. Pod koniec ubiegłego wieku spotkali się w pół drogi.

I tu od razu należy powiedzieć wyraźnie. Nawet wtedy gdy chłop się unarodowił, gdy stał się Polakiem, nie zginął w jego świadomości podział na lud i panów, chłopów i szlachtę. Echa podziału na Polskę pańską i ludową słyszalne są do dziś. Nieraz się je odrzewa w myśl zasady rządzących dziel i rządź. Bardzo długo przetrwała nieufność chłopstwa do miastowych, lecz mocniej znacznie — poza niektórymi obszarami polski zachodniej — głupia nienawiść do panów. I nic dziwnego, skoro słowo „dziedzic” przeszło do dykcjonarza archaizmów dopiero w połowie lat czterdziestych naszego stulecia.

Nową i nowoczesną świadomość społeczną i narodową nabyli chłopcy polscy — wraz z uwłaszczeniem i postępami oświaty — w drugiej połowie XIX wieku i na początku XX stulecia. Pierwsi w tym procesie byli Wielkopolanie, później Galicjanie i Królewianie. Dopiero wtedy można było mieć pewność, że naród polski ma szansę przetrwania i rozwoju, choć proces ostatecznego unarodowienia chłopów zakończył się w niektórych regionach w okresie międzywojennym.

Polskość i ojczyzna dla chłopów to była początkowo ziemia, język i wiara, później dopiero narodowa tradycja, solidarność ponadklasowa, kultura ponadśrodowiskowa i wreszcie dążenie do

posiadania i obrony własnego narodowego państwa. Stopniowo lud wiejski przyjmował świadomie za swoją dewizę wyprzedzającą czas w chwili jej powstania w XVIII wieku: „żywią i bronią”. Wtedy też, gdy potrafił się samoorganizować, uprzytomnił sobie, że jest potęgą i basta.

Określone cechy i wartości etosu chłopskiego, kształtujące się wiekami, lecz ostatecznie dojrzałe w XIX wieku, są po części typowe dla wielu warstw chłopskich w różnych krajach, po części zaś specyficznie polskie. Styl życia, zachowania i wartości chłopskie zregionalizowała historia, zwłaszcza zaś historia porozbiorowa. Wyróżniają się wszakże pewne właściwości prawie powszechne legitymujące się bardzo dawną metryką. Należy do nich niewątpliwie indywidualizm i rozwinięte poczucie godności. Wydaje się, że nawet w antyfeudalnym ruchu chłopskim ujawniały się te specyficzne cechy. W Polsce, zwłaszcza na ziemiach wschodnich, sporą rolę grały wystąpienia zbiorowe (wspólnota, okolica, wieś, gromada), jednakże czynnik oporu indywidualnego okazał się silny, zapewne pod wpływem postaw szlacheckich. Zaliczam do tej kategorii zbiegostwo, zbójnictwo a w XIX wieku ruch „burzycieli chłopów”. Te cechy, które tradycyjnie przypisuje się szlachcie (fantazja, dziarskość, brawura, wybujały indywidualizm i poczucie honoru), nie są obce włościaninowi, choć ujawniają się i artykułują odmiennie jako hardość, zadziorność, bitność, „honorność”. Nie przeczy im często występujące aż po XX wiek zahukanie, pokora lub czapkowanie przed silniejszym (to ostatnie znała zresztą nieźle znaczna część szlachty).

Indywidualizm chłopski ostatnich stu lat ujawniał się, a była to rozbudowana w nowych, powłaszczeniowych warunkach kontynuacja, w stosunku do ziemi i własności w ogóle. Polski rolnik rozumie siłę solidarnej zbiorowości, umie się stowarzyszać, lecz do spółdzielni, kółek czy organizacji zgłasza akces jako niezależna jednostka. Stąd też jego zdecydowany antykolektywizm i antywspólnotowość. Chłop polski nie uznaje nadrzędności gromady nad indywidualium. Kocha „swoje”, jest i chce być gospodarzem i panem u siebie. Uznaje dyscyplinę w wojsku, umie podporządkować się państwu (nie biurokracji), lecz odrzuca bezduszny kolektywizm sprowadzający go do roli robotnika pracującego na cudzym, pańskim czy państwowym, a więc wyzutego z własności.

Chłop polski zachował do dziś wysokie poczucie życiowej konkretności i politycznego realizmu. Nie lubi wielosłownia i pięknych deklamacji. Jest nieufny i trudny do „poruszenia”, a przy tym — gdy jest do czegoś przekonany — konsekwentny w działa-

niu i uparty. Na sprawy narodu i państwa patrzy trochę tak, jak na swoje gospodarstwo. Ceni pracowitość, cierpliwość i systematyczność, kompetencję i dbałość o własność, o wypracowane dobro. Nie znosi pouczania i manipulowania przez władzę.

Pewne cechy chłopą jako jednostki i chłopów jako zbiorowości występowały w jednym regionie rzadziej, a w innych częściej. Wysoka fachowość, gospodarność, zmysł organizacyjny i dyscyplina cechowały z pewnością znacznie bardziej rolnika wielkopolskiego niż chłopą mazowieckiego czy podlaskiego. Bojowość klasowa i wyłączność wiejskiego etosu występowały bodaj częściej w Małopolsce niż np. na Pomorzu, gdzie przeważał narodowy i społeczny solidaryzm.

Działalność organizacyjna chłopów w dziedzinie społeczno-zawodowej, kulturalnej, samorządowej i politycznej daje się zaobserwować począwszy od lat sześćdziesiątych XIX wieku w Wielkopolsce i przełomu wieków w Galicji i Kongresówce. Niebawem obserwujemy istny wybuch aktywności chłopskiej. Masowy ruch chłopski rozwijał się w istocie błyskawicznie. Jedno pokolenie wystarczyło, by ruch ludowy stał się — w latach trzydziestych naszego wieku — największą siłą polityczną w kraju.

Dorobek organizacyjny chłopów w okresie poprzedzającym wrzesień 1939 roku okazał się bardzo poważny. Kółka rolnicze, spółdzielczość różnego typu, uniwersytety ludowe i amatorski ruch artystyczny utworzyły w ciągu kilku dziesięcioleci gęstą sieć, obejmującą znaczną część polskiej wsi. Awans ludności wiejskiej był bezsporny, jakkolwiek wiele jeszcze pozostawało enklaw zacofania.

Interesujące są losy politycznego ruchu chłopskiego. W jego obrębie rozmaite ujawniały się nurty, nigdy też ruch ludowy nie był naprawdę scalony, mimo formalnego zjednoczenia u progu lat trzydziestych naszego stulecia. Ludowcy jako reprezentanci chłopów żywo przypominali w polityce, stylu i sposobie jej uprawiania szlachtę i inteligencję. Cechowała ich swarliwość, zmienność i niekonsekwencja w działaniu, po trosze demagogia, regionalizm i personalizm. Stąd podziały i secesje, „kupowanie” i „przeciąganie” działaczy, powstawanie i znikanie stronnictw i grup politycznych w ruchu ludowym, stąd wzięte od namiętnie piętnowanej szlachty sejmikowanie a nawet swoiste politykierstwo, ujawniające się już w czasach poprzedzających pierwszą wojnę światową a trwające do naszych dni. Bo przecież spory w ruchu ludowym, nawet tak sterowanym, zależnym i pozornym jak w okresie po drugiej wojnie światowej, trwały w najlepsze, odradzały się przy okazji każdej odwilży i odnowy. Chroniczność

kłótni personalnych, regionalnych, frakcyjnych, ideowych dała o sobie znać bardzo wyraźnie nawet w 1981 roku w ruchu „Solidarności Wiejskiej”. Tylko wtedy, gdy znalazł się człowiek na miarę Wincentego Witosa, można było osiągnąć jako taką jedność i efektywność politycznego działania.

Jedną z ważnych przyczyn niestabilności wewnętrznej ruchu ludowego był brak spójnej ideologii, teorii politycznej, a także odwoływanie się ruchu do interesów różnych grup ludności wiejskiej. Hasło „ziemia, władza, oświata dla ludu” to nie ideologia. Ruch ludowy raz zerkał ku endecji i chadecji, raz ku socjalizmowi a nawet komunizmowi. Jedni jego członkowie byli nierzadko zakamieniałymi antyklerykałami (ostatnio chętnie zapomina się o historycznie ważnym antyklerykalizmie chłopskim, a raczej — jak mówią złośliwi — chłopsko-chłopskim, bo kobiety zawsze stawały bliżej kruchty), inni działali pod przemożnym wpływem duchowieństwa. Jedni bronili do upadłego indywidualnej własności, inni — jak np. radykalni wiciowcy — myśleli o różnych formach uspołecznienia czy uspołdzielczenia wsi. Agraryzm, jako próba znalezienia ideologicznej podstawy ruchu, zawiódł w gruncie rzeczy oczekiwania jego zwolenników.

Chłopi i zorganizowany przez nich ruch ludowy w najszerszym, nie tylko politycznym znaczeniu, stale szukali sojuszników i nieraz ich znajdowali wśród miejskiej inteligencji, drobnomieszczactwa, niekiedy nawet ziemiaństwa. Stosunkowo najtrudniej było im znaleźć wspólny język z robotnikami i ich reprezentacjami politycznymi. Wypisywany na wielu sztandarach, nie tylko czerwonych, „sojusz robotniczo-włościański” realizowany był w praktyce rzadko. Nieufność chłopa wobec robotnika miała różne, nieraz społeczno-obyczajowe, korzenie i różnych zewnętrznych inspiratorów. W PRL rządzący aparat wiele zrobił, by skłócić miasto i wieś. Robi to zresztą po dziś dzień z pewnym pozytywnym dla siebie skutkiem, mimo iż (a może dlatego?) w ostatnich dekadach nastąpiło poważne ujednoczenie warstwy chłopskiej. Nie trzeba dodawać, że nieufność chłopska wobec robotników ma swój odpowiednik w nieufności robotniczej. Bo też znaczna część aparatu państwowego, partyjnego i zawodowej kadry wojskowej wywodzi się z szeregów chłopstwa... Do tego tematu wypadnie jeszcze powrócić niżej i w innym kontekście.

Sprawa narodu: dziedzictwo robotnicze

Mimo wszelkich przemian i przeobrażeń chłopstwo było warstwą historycznie i geograficznie „ciągłą”. O robotnikach po-

wiedzieć tego nie można. W Polsce w ciągu 100-120 lat występowało kilka a może i więcej „klas robotniczych”. W dziejach polskich robotników kontynuacja splatała się stale z dyskontynuacją. Raz po raz odradzały się różne klasy robotnicze i nic w tym dziwnego. Narodziny klasy robotniczej przypadły na okres rozbiorowy, a industrializacja przebiegała rozmaicie w różnych zaborach i częściach zaborów, stąd też struktura i cechy socjopsychologiczne zbiorowisk robotniczych okazywały się odmienne. Po 1914 roku dwukrotnie (1914-1921 i 1939-1945) klasa robotnicza uległa rozproszeniu i częściowemu zanikowi. Do 1945 roku robotnicy stanowili klasę wielonarodowościową, a dopiero później a więc od niedawna stali się pod względem narodowym jednolici.

Dadzą się łatwo wydzielić trzy wielkie epoki w dziejach polskich robotników: półwiecze poprzedzające wybuch pierwszej wojny światowej, okres międzywojenny i ostatnie prawie czterdziestolecie. Każda z nich jest wewnątrznie zróżnicowana.

Pierwsza epoka obejmuje okres ostatecznego ukształtowania się i okrzepnięcia klasy robotniczej (używam tego terminu oczywiście umownie, dla ułatwienia sobie pisania, gdyż właściwsze byłoby — jak już zaznaczyłem — posługiwanie się liczbą mnogą). Większa część klasy robotniczej mieszkała i pracowała w zaborze rosyjskim (Królestwo Polskie i okręg białostocki) oraz na Górnym Śląsku. W zaborze austriackim i pruskim (poza wspomnianym już okręgiem węglowym) trudno właściwie mówić na serio o klasie robotniczej, istniały bowiem zaledwie jej załączki, można by rzec — drobne wysepki robotnicze. Po prawdzie również w zaborze rosyjskim klasa robotnicza stanowiła wyspy w morzu chłopstwa i licznego, mimo industrializacji, proletariatu rzemieślniczego, a każda z nich miała swoją wyraźną specyfikę. Do wielkoprzemysłowej klasy robotniczej zaliczyć było można właściwie tylko włóknarzy, metalowców i górników. Pierwsi grupowali się wokół Łodzi i Białegostoku, drudzy w warszawskim regionie przemysłowym, trzeci w Zagłębiu Dąbrowskim. Ci ostatni stykali się bezpośrednio z górnikami Górnego Śląska i Zagłębia Krakowskiego. Ten styk był bardzo charakterystyczny dla sytuacji polskiej klasy robotniczej. Oto bowiem jeden w istocie region kopalnictwa, „ciągly” w znaczeniu przestrzennym, dzieliła granica państwowa. Jej trwałość wystarczała zupełnie, by oddzielić od siebie trzy różne klasy robotnicze. Górnik spod Bytomia różnił się od swego towarzysza spod Będzina czy Jaworzna dialektem, obyczajem, przekonaniem politycznymi, stosunkiem do „obcych” i do religii.

Pochodzenie robotników różniło się w zależności od regionu. W Królestwie proletariat wielkoprzemysłowy był chłopsko-rzemieślniczo-szlachecki, w Wielkopolsce raczej rzemieślniczy, w zaborze austriackim rzemieślniczo-chłopski. Poza ukształtowaną już klasą robotniczą wielkich ośrodków pozostawała masa robotników drobnych zakładów w małych miasteczkach i na wsi (przemysł rolno-spożywczy), ludzi pozbawionych ścisłej więzi i świadomości klasowej, niepiśmiennych (poza zaborem pruskim), zahukanych, nie wyróżniających się z masy plebejsko-chłopskiej. Można powiedzieć, że tak jak w ogólnym schemacie ustrojów zależnych tworzona przez kapitalizm zależny klasa robotnicza dzieliła się na wielkie centra o charakterze w istocie klasowym i peryferie co najwyżej paraklasowe. Znaczna część robotników przemysłowych uważała się, jeśli posiadała określone kwalifikacje, za rzemieślników. Reszta to byli zwykli wyrobownicy lub po prostu robotnicy, kategoria najniższa, zbliżona do pozycji społecznej, jaką zajmowali wiejscy parobkowie i służba. Robotnicy wykwalifikowani (zwłaszcza najbardziej wykształceni, często pochodzący z szeregów spauperyzowanej szlachty metalowcy) czuli swoją wyższość wobec chłopów, a przejście do wielkoprzemysłowej, miejskiej klasy robotniczej uważali za oczywisty awans.

Robotnicy należeli do różnych narodowości. Język, wyznanie i poczucie narodowe dzieliły ich wyraźnie. Oczywiście istniały działy przemysłu i regiony, w których dominował element polski, lecz i w tych wypadkach majstrowie byli zazwyczaj cudzoziemcami (najczęściej Niemcy). W regionie łódzkim klasa robotnicza składała się z Polaków, Niemców i Żydów, w Białostockiem z Polaków, Niemców, Białorusinów i Żydów, na Górnym Śląsku z Polaków i Niemców, na Śląsku Cieszyńskim z Polaków, Niemców i Czechów, w środkowej i wschodniej Galicji z Polaków, Ukraińców, Żydów i po części Niemców. Podziały wyznaniowo-narodowościowe odgrywały znaczną rolę w codziennym życiu klasy robotniczej, w jej samowiedzy i kulturze. One — podobnie jak inne, wymienione już czynniki — sprawiły, iż pod wieloma względami istniała co najwyżej sfederowana, złożona z różnych autonomicznych członów, lecz niejednolita klasa robotnicza.

W sytuacji podziału kraju, istotnych różnic w strukturach ekonomicznych, położeniu socjalnym, prawnym i politycznym oraz dywersyfikacji narodowościowej następowały wśród robotników nieuniknione starcia między rodzącą się świadomością klasową i narodową. Można śmiało powiedzieć, że w całej Polsce robotnicy polscy najpierw nabierali świadomości narodowej a później dopiero klasowej. To co narodowe było na ogół nadrzędne, to co klasowe

podrzedne. Zapewne, różnice ujawniały się dość wyraźnie. W Poznaniu, Bytomiu czy Krakowie robotnik był przede wszystkim Polakiem, a sprawa klasowa posiadała mniejsze znaczenie, podczas gdy w Kongresówce dla liczącego się odłamu robotników, zwłaszcza u progu XX wieku, przynależność do międzynarodowej klasy robotniczej, a zwłaszcza solidarność z proletariatem cesarstwa rosyjskiego miała niewiele mniejsze znaczenie niż przynależność do narodu polskiego.

Wzmoczone tempo industrializacji pod koniec XIX i na początku XX wieku, umocnienie się klasy robotniczej i podniesienie się jej poziomu kulturalnego a zwłaszcza wielki wstrząs 1905 roku ukazały siłę i mimo wszystko jedność polskiego proletariatu (czwar-te wielkie powstanie narodowe i zarazem pierwsza rewolucja objęły wprawdzie tylko zabór rosyjski, lecz odbiły się głośnym echem w pozostałych częściach podzielonej Polski). Proletariat polski stał się „klasą narodową”. Relatywnie nieliczny, odgrywać zaczął w społeczeństwie nader ważną rolę. Najbardziej świadomi robotnicy zdawali się to już wiedzieć. W dobie rewolucji „Czerwony Sztandar” tak pisał: „To my, spracowani, my, ze zgrubiałymi rękami, my, wydziedziczeni, stanęliśmy dziś na przedzie społeczeństwa, my klasa robotnicza, jesteście dziś w Polsce przewodnikami narodu”. Było w tej eksklamacji nieco przesady, lecz jednak więcej realnej oceny sytuacji. W początkach XX stulecia bez robotników, mających coś do powiedzenia w sprawach publicznych nie mogło być nowoczesnego społeczeństwa i narodu, nie było też perspektyw rozwojowych dla Polski.

Wielka Wojna przyniosła ze sobą postępującą pauperyzację proletariatu, jego rozproszenie i częściowy rozpad. Ewakuacja Królestwa przez ustępujące wojska rosyjskie sprawiła, że niemała część polskiej klasy robotniczej znalazła się chcąc nie chcąc w głębi Rosji.

Mimo znacznego liczebnego osłabienia i ciężkiego położenia polska klasa robotnicza, która — podobnie jak w wielu krajach Europy — zaktywizowała się społecznie i uległa radykalizacji politycznej w latach 1918-1923, odegrała istotną rolę w pierwszych latach odrodzonego państwa polskiego, współkształtując jego demokratyczne oblicze. Jednakże, mimo iż klasa robotnicza stała się w pełni „narodową” i „państwową”, że wywalczyła sobie wiele praw, to w niejednym przypominała swoją poprzedniczkę z okresu rozbiorowego. Odrodziła się wraz z odbudową przemysłu, lecz nie zmieniła się w istotny sposób jej siła liczebna. Dopiero budowa Gdyni i utworzenie COP oraz powstanie w latach trzydziestych nowych przemysłów doprowadziły do zwiększenia roli klasy robot-

niczej i wzrostu liczby centrów proletariackich w kraju. Nadal utrzymał się wielonarodowościowy charakter środowiska robotniczego a mimo godnych podziwu wysiłków władz naczelnych RP i społeczeństwa unifikujących państwo i naród nie zostały do końca wyznaczone ze świadomości granice zaborcze. Można powiedzieć, że w średnim i starszym pokoleniu klasy robotniczej utrzymywały się głębokie podziały o starej metryce. Jednocześnie pokolenie młode, wchodzące w życie w końcowym okresie międzywojnia, stanowiło już nową, w znacznej mierze jednolitą klasę robotniczą, zwłaszcza w nowych zakładach i nowych lub modernizowanych regionach przemysłowych.

Wybuch drugiej wojny światowej kończy nie tylko drugą epokę w życiu polskiej klasy robotniczej, lecz w jakimś sensie również jedną, długą epokę w jej życiu politycznym. W dobie kapitalizmu ukształtowały się też pewne cechy polskiego robotnika i opcje polityczne, które — mimo głębokich transformacji w okresie późniejszym — utrzymały się niekiedy aż do dziś.

Wbrew różnym uparcie utrzymującym się legendom robotnik polski był na ogół pracownikiem rzetelnym, umiejącym dobrze pracować, przywiązany do swego warsztatu, dbałym o swoją godność zawodową i ludzką, ceniącym wiedzę i kwalifikacje zawodowe, starającym się kształcić samemu i kształcić swoje dzieci. Robotnicy polscy wyznania rzymsko-katolickiego, w ogromnej większości wierzący, w większości praktykujący, lecz nie klerykałni (poza może częścią Ślązaków, Wielkopolan i robotnic z regionu łódzkiego), różnili się nieco — jak się wydaje — od mniej podatnych na wpływy religijne, bardziej „zlaicyzowanych” robotników niemieckich, żydowskich czy ukraińskich. Przywiązanie do katolicyzmu (luteranizmu, mozaizmu) nie było jednak w większości wypadków uważane za przeszkodę w wiązaniu się z ruchami typu socjalistycznego. Wydaje się, że w latach trzydziestych procesy laicyzacyjne czyniły widoczne postępy. Robotnicy polscy — tak jak chłopci — byli niewątpliwie indywidualistami, zwolennikami pluralizmu światopoglądowego, politycznego i kulturowego. Obcy im był instynkt stadny, właściwe natomiast poczucie honoru, klasowej godności i solidarności. W sensie bojowości rewindykacyjnej (w płaszczyźnie klasowej i narodowej) byli zdecydowanie rewolucyjni. Robotnicy wykazywali odwagę, ofiarność, zaciętość i upór. Umieli iść na barykady i strajkować solidarnie i zawzięcie w najgorszych nawet warunkach. Nie jest rzeczą przypadku, że stosowany przez nich (np. w okresie międzywojennym) strajk okupacyjny zyskał sobie nazwę strajku polskiego. Podejmowali też nieraz strajk głodowy, zwany niekiedy czarnym.

Polityczny ruch robotniczy narodził się na ziemiach polskich dość wcześnie, wyprzedzając m.in. ukształtowanie się rosyjskiego ruchu proletariackiego. Niemal od samego początku był rozbity pod względem narodowym (ruch polski, żydowski, niemiecki, ukraiński) choć odłamy narodowe w wielu wypadkach ze sobą współpracowały, zwłaszcza gdy idzie o nurty lewicowe. Co ważniejsze jednak począwszy od schyłku XIX wieku rozbity był ideowo. Ucisk narodowy przed 1918 rokiem i rządy zaborcze a także wielonarodowy skład klasy robotniczej sprawiły, iż ruch ten w jego odłamie socjalistycznym był albo niepodległościowy, uczulony na sprawę narodową, albo internacjonalistyczny, któremu był nieobcy nawet nihilizm narodowy i jawna niechęć do niepodległego państwa polskiego. Nurt pierwszy, symbolizowany przez pepesowskie hasło „niepodległość i socjalizm”, zakorzeniony był znacznie silniej wśród robotników (zwłaszcza narodowości polskiej) niż drugi, który w pierw postulował ścisłą współpracę z rosyjskim ruchem robotniczym, później zaś wysunął hasło Polskiej Republiki Rad. Nie należy, nawet uwzględniając nazbyt często pomijany przez historyków chrześcijańsko-nacjonalistyczny odłam polskiego ruchu robotniczego, umniejszać niemal do zera roli nurtu komunistycznego (SDKPiL, KPP). Mimo narodowego ucisku, mimo okrutnych doświadczeń robotników i całego społeczeństwa pod zaborem rosyjskim, mimo roku 1920 i udziału polskich komunistów w walce przeciw Polsce Odrodzonej, komuniści polscy mieli lokalne sukcesy polityczne, głównie w byłym zaborze rosyjskim i pewne wpływy w związkach zawodowych. Generalnie stwierdzić jednak można, że wśród robotników polskich, w polskim ruchu robotniczym zdecydowaną przewagę miały nurty socjalistyczne różnych odcieni (PPS nigdy nie była „monolityczna”) oraz — w mniejszym stopniu — chrześcijańsko-demokratyczne, że nurt komunistyczny, zwłaszcza po 1918 roku, był marginalny i traktowany zazwyczaj jako obca agentura, a większość ruchu robotniczego, politycznego i związkowego nastawiona była antykomunistycznie i antysowiecko.

Okres drugiej wojny światowej przyniósł ze sobą częściowe wyniszczenie klasy robotniczej i jej rozproszenie (egzekucje, wywózki do Niemiec i ZSSR, obozy). Eksterminacja Żydów zlikwidowała ostatecznie niemały odłam klasy robotniczej, zatrudnionej zwłaszcza w drobnych zakładach przemysłowych. Jednocześnie w procesie pauperyzacji, egalitaryzacji i proletaryzacji społeczeństwa polskiego na robotnicze stanowiska pracy napłynęli liczni inteligenci i ludzie z różnych odłamów klas pośrednich. Podziały polityczne z czasów okupacji stanowiły w znacznym stopniu kontynuację układów sprzed 1939 roku. Rozbiór Polski w 1939 roku i

wydarzenia 1944 roku znacznie pogłębiły antykomunistyczne nastawienie większości klasy robotniczej, choć przestawienie się ruchu komunistycznego po 1941 roku na tory antyhitlerowskie, „narodowe” i „niepodległościowe” sprawiło, że zachował on swe marginalne pozycje a przy wydatnej pomocy ZSSR przeszedł pod koniec wojny do generalnej ofensywy.

Rok 1945 rozpoczyna zupełnie nową epokę w historii polskich robotników. Intensywna industrializacja, dokonana w kilku kolejnych etapach, doprowadziła do ogromnego liczebnego wzrostu klasy robotniczej. W związku z rozbudową przemysłu w różnych częściach kraju środowisko robotnicze straciło charakter wyspowy, a na miejsce „twierdz proletariatu” powstała ogólnopolska klasa robotnicza, po raz pierwszy jednonarodowa. Wzrosło znacznie wykształcenie robotników i ich poziom kulturalny, a granice między wykwalifikowanymi robotnikami modernizującego się przemysłu a kadrą inżyniersko-techniczną i naukowo-techniczną zaczęły się stopniowo zamazywać. Ujednoczeniu położenia ekonomicznego (mimo poważnych różnic regionalnych i branżowych), prawnego, kulturowego, obyczajowego, światopoglądowego i politycznego klasy robotniczej służyło „upaństwowienie” ogromnej większości ludzi pracujących poza rolnictwem. Owo ujednoczenie przez wszechobecne państwo, które stało się pracodawcą-monopolistą, działało niejako w dwie strony: podporządkowywało robotników kształtując ich nawyki i postawy (samo pojęcie pracy zmieniło swój sens; robotnicy organizowani są poprzez „wykonywanie planu” nie przez nich ustalane, a ich działalność produkcyjna, pozbawiona w znacznej mierze autentycznej motywacji i głębszego uzasadnienia społeczno-moralnego, nie znajduje oparcia w elementarnych prawach rozwoju gospodarczego), a zarazem przeciwstawiało ich państwu, planowej opresji, systemowi „dziel i rządź”, alienacji i ubezwłasnowolnieniu, dokonywanemu przy akompaniamencie demagogicznych i cynicznych pochwał pod adresem przodującej klasy, podstawy władzy ludowej.

Łatwo zauważyć, że w historii PRL było kilka kolejnych klas robotniczych. Pierwsza, ta z lat 1944-1949, stanowiła bezpośrednią kontynuację, pod względem kadrowym i świadomościowym, okresu międzywojennego i czasu okupacji. Ona to uruchomiła zniszczone fabryki, ona też znacjonalizowała przemysł, sądząc po trosze, że go uspołecznia. Druga, liczna i ekspansywna, stanowiła owoc rewolucji przemysłowej „sześciolatki” (1950-1955) i w pewnym sensie zaprzeczenie kilku generacji swych poprzedników. Chłopska i młodzieżowo-zetempowska („Człowiek z marmuru”), czuła swój błyskawiczny i dotykalny awans. Umiała być po-

słuszna, ale choć stanowiła niezbyt określoną magmę społeczną, potrafiła powiedzieć swoje „nie”. Trzecia, specyficznie „przejsiowa” formacja robotnicza to robotnicy lat sześćdziesiątych. Bardziej ustabilizowani jako zbiorowość i bardziej wykształceni, stanowili jednak kontynuację klasy robotniczej lat pięćdziesiątych w warunkach „małej stabilizacji”, dreptania w miejscu i utraty reszty złudzeń i swych młodzięcych nadziei. Czwarta klasa robotnicza PRL, otwarta na świat, ambitna i relatywnie nowoczesna (wykształcenie, horyzonty i zaciekawienia poznawcze), ujednoliciła się w dużym stopniu w toku nabywania nowej świadomości: siły, znaczenia w społeczeństwie, nieznośnego statusu podległości, konieczności walki o głębokie reformy społeczne i odnowę moralną. To właśnie „czwarta klasa robotnicza” była autorem Sierpnia.

Ogromna rola robotników w historii PRL jest bezdyskusyjna. Niemniej daleki jestem od apologetycznego spojrzenia na tę klasę. Pewne właściwości i cechy przejęli współcześni robotnicy od swych poprzedników, mimo tak wyraźnie jak rzadko gdzie występującej dyskontynuacji i nieciągłości ich dziejów. Byli i pozostali indywidualistami uczulonymi na sprawy honoru i godności robotniczej, prawa człowieka i obywatela. Podobnie jak dawniej, ale przecież po nowemu, rozumieli moralno-duchowe wartości religii katolickiej i odczuwali ją głębiej i intensywniej. Nie przeczyło to ich poczuciu i realizmu i trzeźwemu spojrzeniu na sprawy i ludzi. Ich obsesją była sprawiedliwość społeczna i sprawiedliwość w ogóle, nieodłączna siostra wolności. Solidarność, poświęcenie i bojowość w dążeniu do osiągnięcia realizacji celów i wartości tak indywidualnych jak zbiorowych, społecznych cechowała ich (a zwłaszcza — co podkreślam — robotników największych ośrodków przemysłowych) w nader wysokim stopniu. Robotnicy są klasą, której motywacje działania odnajdują się w patriotyzmie. A jednocześnie występowały i występują cechy jednoznacznie negatywne, szczególnie na obrzeżu wielkoprzemysłowej klasy robotniczej. Mam tu na myśli plagę alkoholizmu, cwaniactwo, sobkostwo, nierzetelność a nawet lenistwo, brak kultury politycznej. Często, ale nie zawsze, cechy te i zachowania stanowiły wynik destruktywnego działania systemu politycznego i działań władzy. Robotnicy PRL, będący w końcu nową, nieokrzepłą klasą, ulegali nieraz wpływom nacjonalistycznego czadu, dawali się dzielić, naciągali nastrojami antychłopskimi i antyinteligentkimi, nie potrafili też wyzyskać i utrwalić osiągniętych z trudem, w walce, sukcesów. Klasa robotnicza to wielka siła, pełna jednak wewnętrznych słabości i sprzeczności. Klasa ta na przekór wszystkiemu jest nadzieją narodu na lepszą przyszłość.

Sprawa narodu: dziedzictwo szlachecko-inteligencje

O inteligencji polskiej, o jej przywarach i cnotach, o sile i bezsilności, o roli w dziejach narodu mówiono i pisano bardzo wiele. Dyskusja o inteligentach, o ich koncepcjach, o wzniosłościach i śmiesznościach ich działań i porywów trwa właściwie bez przerwy. Wytworzył się ciąg bezkresny określeń, hasel, ocen i pomówień: tromtadracka szlachetczyzna, honor i brawura, romantyczny gest i pozytywistyczne społeczeństwo, intelekt i snobizm, megalomania i kabotynizm, czyn i gadulstwo, rząd dusz i oportunizm, wichrzycielstwo i „służba państwu”, bunt przeciw władzy i „przy Tobie najjaśniejszy Panie...”, karierowiczostwo i bezinteresowne poświęcenie, miękkość i hart ducha. Inteligentom bez przymiotnika lub z nim, pisarzom, poetom, studentom, artystom i intelektualistom przypisywano (i sami sobie nieraz przypisywali) wszystko już wymienione i jeszcze wiele więcej.

Spróbujmy uporządkować nieco — po historycznemu — te skomplikowane sprawy. Sam fakt istnienia inteligencji i jej relatywnie dużej roli społecznej jest nader znamienity. Otóż jednym z „dowodów na trzecioświatowość” jest właśnie społeczne funkcjonowanie specyficznej warstwy, jaką stanowi inteligencja. W krajach wysoko rozwiniętego kapitalizmu nie istnieje pojęcie i zjawisko inteligencji. Jest prężna burżuazja, jest drobnomieszczaństwo, są klasy średnie, są wreszcie intelektualiści, lecz nie ma inteligencji. Znamienne, że obecne nauki społeczne na Zachodzie używają w swoich językach słowiańskiego słowa inteligencja (inteligentsia), nie mając własnego.

Dużo się mówi o pochodzeniu polskiej inteligencji, podkreślając przy tym jej szlachecki rodowód. Jest to pewne uproszczenie, gdyż proveniencja z grona „urodzonych” dominowała, lecz tylko w XIX wieku. W naszym stuleciu część inteligencji wywodziła się wprawdzie z rodzin ziemiańskich, lecz coraz częściej pojawiali się na społecznej scenie członkowie „klasy umysłowej” z rodowodem robotniczym, chłopskim (najwcześniej chyba w Galicji lub — po 1918 roku — byłej Galicji) i drobnomieszczańskim. W okresie po drugiej wojnie światowej inteligencja albo reprodukuje się sama, albo wyrasta ze środowiska robotniczego i chłopskiego. W rozważaniach o inteligencji ważne jest nie tylko jej pochodzenie, lecz pewne cechy oraz zachowania indywidualne i zbiorowe inteligencji i intelektualistów. Otóż inteligencja wiele dziedziczyła po szlachcie, nawet ostatnimi czasy, kiedy to szlachecka formacja społeczno-kulturowa odeszła w bezpowrotną przeszłość. Przejście w szeregi inteligencji (w pierwszej połowie

XX wieku uzyskanie matury, w drugiej zaś połowie tytułu magistra lub równoznacznego) uważa się nadal za wielki awans a nawet swoistą nobilitację, rodzaj wkroczenia do kręgów elity, do sfery kulturalnego i narodowego wyższego wtajemniczenia, co pociągać ma za sobą nabywanie prawa do pełnienia ważnej misji społecznej i narodowej. Jedno jest pewne. Ta forma awansu rozmywa się w ostatnich dziesięcioleciach. Coraz częściej tradycyjną, zmitologizowaną zresztą rolę dawnej „szerokiej” inteligencji — przewodniczki narodu przejmują — mniej lub bardziej udatnie — intelektualiści.

Pierwsze generacje inteligentów, od schyłku XVIII wieku po połowę XIX stulecia, wywodziły się w zdecydowanej większości ze szlachty. Studenci, pisarze, artyści, oficerowie, nauczyciele i uczeni kontynuowali tradycje i ambicje szlachty dawnej Polski. Chcieli się uludowić, nieraz nawet roztopić w masach chłopskich i plebejskich (Dembowski), ale przecież wierzyli wciąż w misję szlacheckiego narodu, nawet wtedy, gdy się od niego odzęgnywali. Chcieli, zwłaszcza ludzie pióra i szabli, sprawować rząd dusz, przechować i wzbogacić skarbiec narodowej kultury, odzyskać niepodległe państwo. Pierwsze generacje polskich inteligentów nie potrafiły (poza drobną garstką związaną z aparatem cząstkowych państwowości lat 1807-1831) rządzić, administrować, organizować gospodarki, rozwijać techniki, choć osiągnięcia polskich inżynierów pierwszej połowy XIX wieku były niemałe. Wierzyli przede wszystkim w słowo i walkę, męczeństwo i wolność niedookreśloną a upajającą. Polskim „rządem cieni” byli wieszczowie. Ich słowo nie docierało jeszcze do mas ludowych, w znacznym stopniu niepiśmiennych, ale miało dotrzeć szeroko później, umacniając niebezpieczny mit a zarazem realną społeczną potęgę poezji. Słowo Mickiewicza i Słowackiego docierało do manifestantów 1861 roku, do uczniów, robotników i chłopów pod koniec XIX i na początku XX wieku, do kolejnych pokoleń Polaków, do młodzieży z Szarych Szeregów a ostatnio do stoczniovców Gdańska w sierpniu 1980 roku i członków „Solidarności” walczących przeciw dyktaturze po 13 grudnia 1981 roku.

Nieco odmienna od insurekcyjnej była inteligencja polska czasów powstaniowych (1865-1918). Zmienił się wyraźnie jej rodowód społeczny, choć wciąż zubożała i umiastowiona szlachta odgrywała w jej łonie znaczną rolę. Zmieniły się zawody, wśród których znaczną rolę odgrywać zaczęły profesje techniczne. Zmieniły się funkcje inteligencji a częściowo też postawy inteligentów. Nie zmieniło się tylko jedno: społeczne i patriotyczne zaangażowanie, poczucie służby społecznej. W dobie powstań narodowych

Kordianowie próbowali nawiązać kontakty z ludem a rewolucyjni demokraci przewodzić mu w walce o obalenie stosunków feudalnych i o demokratyczną niepodległą Polskę. Teraz więzi z chłopami i robotnikami stawały się coraz częstsze. Pracowano dla ludu i z ludem w rozmaity sposób: tajna oświata i oświata narodowa w ogóle (Siłaczka), rozwój czytelnictwa ludowego, lecznictwo i opieka społeczna (Judym), praca gospodarcza u podstaw (spółki handlowe, kredytowe i kółka rolnicze), tajna w zaborze rosyjskim a jawna lub półjawna w austriackim i po części pruskim działalność rewolucyjna i niepodległościowa. Polscy inteligenci stali się współtwórcami ruchu ludowego i robotniczego, wnieśli do ruchów klas pracujących świadomość narodową, specyficzne umiłowanie wolności, idealistyczny altruizm, niepokorność i ducha opozycji wobec władzy. Jednocześnie jednak, zwłaszcza w Galicji (wbrew legendzie jednak nie tylko w CK Austrii) kształtował się specyficzny odłam inteligencji, urzędniczej i „służebnej”. W tym środowisku w wysokiej cenie była tytułomania, kwitło zarozumiałstwo, wielkopańskie wynoszenie się ponad lud, egoizm, oportunistyczny oportunizm i lizusostwo. Służebność polegała na uniżonej obsłudze burżuazji, ziemiaństwa i zaborczego aparatu państwowego, w tym również aparatu represyjnego. Między tymi dwiema grupami czy raczej typami inteligencji nie wznosił się żaden mur graniczny. Wręcz odwrotnie. W duszy niejednego inteligenta blisko sąsiadowały heroizm i oportunistyczny oportunizm. Stąd też chwiejność i wewnętrzne rozdarcie inteligencji i inteligenta. Jedno jeszcze warto odnotować. Mam na myśli wciąż wielką rolę pisarza: wychowawcy, inspiratora, przewodnika społeczeństwa i narodu. Jedną tylko wystąpiła różnica w porównaniu z okresem poprzednim: osłabła rola poezji i poetyckiego teatru (mimo Wyspiańskiego), wzrosło natomiast znaczenie prozy (Prus, Sienkiewicz, Reymont, Żeromski) i narodowego piarstwa historycznego.

Okres Polski odrodzonej stanowił dla inteligencji czas zwycięstwa, lecz bardziej chyba kryzysu i rozterek. Powstało wymarzone niepodległe państwo, a inteligencja nie całkiem umiała się z nim utożsamić, nie zrealizowało bowiem wielu jej postulatów społecznych, kulturalnych i moralnych. Rosła liczba inteligentów proletaryzujących się i bezrobotnych. Ci nierzadko występowali przeciw zastanej rzeczywistości, która nijak nie przypominała „szklanych domów”, przechodząc do opozycji a nawet komunistycznej. Natomiast część tych, co z ogromnym poświęceniem walczyli o niepodległość opierzyła się, wzbogaciła, porzuciła dawne ideały, związała z aparatem autorytarnego rządu, zoportunizowała. Pisarze nie bardzo umieli utrzymać dawny, po części praw-

dziwy, a po części urojony „rząd dusz”. Inteligencja uległa głębokim ideowym podziałom. Rosły nastroje ogólnej „niemożności” i frustracji. Niektórzy, wbrew demokratycznym tradycjom środowiska, oddali się całkowicie robieniu karier w służbie państwa, nie zaś społeczeństwa. Nie wyginęli wprawdzie społecznicy dawnego typu, lecz ich pole działania bywało coraz bardziej ograniczone. Ten obraz losu i postaw inteligentów doby Drugiej Rzeczypospolitej wydać się może malowany nazbyt ciemnymi barwami. Jest oczywiście prawdą, iż np. oddani społeczeństwu, ofiarnie pracujący w trudnych warunkach uczeni polscy, intelektualiści tego okresu, uczynili bardzo wiele dla rozwoju polskiej kultury. Ogromną i pozytywną rolę odegrali polscy nauczyciele, wychowując młode pokolenie Polski niepodległej na najlepszych wzorach patriotyzmu i społecznikostwa.

Wiele dawnych postaw inteligenckich odnajdujemy w okresie wojny, kiedy to tragiczne „pokolenie Kolumbów” zdawało swój dwudziestowieczny egzamin według programów z XIX wieku, rozczytując się przy tym w Mickiewiczu, Słowackim i Sienkiewiczu. Niemało cech i zachowań tradycyjnych zachowało się też w PRL. Nic w tym dziwnego, gdyż jest to formacja „protektoratowa” i totalitarna, w łonie której i przeciw której trwa walka o tożsamość narodową, o wolność i niepodległość.

Dawna inteligenckość nakłada się w okresie po 1945 roku na inteligenckość zupełnie nową. Bo też zmiany jakie przyniósł okres PRL są w odniesieniu do inteligencji ogromne. Inteligencja w ostatnim prawie czterdziestoleciu znacznie wzrosła pod względem liczebnym, uległa podziałowi na wyraźnie wyodrębnione podwarstwy (inteligencja techniczna i technokracja, inteligencja urzędnicza, inteligencja twórcza), zmieniła swój skład i funkcje, wewnętrzne proporcje profesjonalne, pochodzenie wreszcie.

Nie ulega wątpliwości, że obecna inteligencja jest ogólnonarodowa w sensie pochodzenia ze wszystkich klas, warstw i środowisk społecznych jak również znacznie ściślejszego niż dawniej zespolenia z tzw. klasami ludowymi. Nową cechą inteligencji, bodaj najistotniejszą, jest jej „upaństwowienie”. Nowe państwo zmierzało i zmierza do rozciągnięcia wszechogarniającej kontroli nad społeczeństwem i narodem. Udaje się to w niewielkim stopniu w odniesieniu do chłopów i „prywatnej inicjatywy” oraz Kościoła katolickiego, lecz w znacznej mierze w odniesieniu do robotników i inteligencji. Ostatecznie inteligent — obojętnie czy jest urzędnikiem, uczonym, artystą, nauczycielem lub inżynierem

— posiada status pracownika państwowego, co w istniejącym systemie polityczno-państwowym oznacza, iż podlega różnym, nieraz brutalnym i na ogół skutecznym naciskom. I tu dochodzimy do sprawy, moim zdaniem, kapitalnej. Otóż codzienna rzeczywistość, czyli upaństwowienie społeczeństwa, a także wieloletnia propaganda (nie należy się oszukiwać: w niektórych zakresach dość skuteczna) sprawiły, że nowe warstwy inteligencji „socialistycznej” stały się przyuczone, przyzlane, przystosowane, posłuszne, miękkie i oportunistyczne. Oficjalnie nazywa się to postawą realistyczną i rozsądną. W dobie kryzysów ujawnia się głucha dotąd i bierna niechęć do ustroju, lecz też i przywiązanie a raczej przyzwyczajenie do niego.

Paradoksem jest to, że nasza „upaństwowiona” inteligencja żywi uczucia „antypaństwowe”. Oto druga strona polskiego medalu, widoczna przede wszystkim w grupach, dla których wolność jest niezbędna jak tlen. Mam tu na myśli oczywiście tzw. inteligencję twórczą. Jej „antypaństwowość” (w nazewnictwie rządowym wicherzycielstwo, awanturnictwo i anarchizm) oznacza przede wszystkim stale ponawiane żądanie zwiększenia zakresu wolności słowa i szerzej — swobód politycznych w ramach istniejącego systemu. Wysuwano też postulaty idące znacznie dalej. W okresach kryzysów wstrząsających Polską Ludową, gdy różne klasy społeczne, przede wszystkim robotnicy, domagają się zasadniczych zmian, do zbuntowanej inteligencji twórczej dołączają inne warstwy inteligentkie, najszybciej i najchętniej studenci, najwolniej i najoporniej urzędnicy, żądając strukturalnych reform a nawet zupełnej zmiany ustroju.

Zmierzam do konkluzji. Inteligent w PRL jest inny niż ten z 1935 roku lub z 1910 roku, lecz jednak do niego trochę podobny. Ma duszę urzędnika i poety, służy totalitarnego państwa i wieszcz, głoszącego wolność bez granic. Co się zmieniło? Chyba proporcje. Otóż urzędnicza część duszy inteligenta jest znacznie większa niż ta irredentystyczna. I dalej. Dusza „służebna” nie ma prawie tradycji i antecedenencji (Galicja to przecież nie PRL), podczas gdy dusza „wieszczka” takową posiada i to od dawien dawna. Stąd właśnie a nie z wrodzonego reakcjonizmu, irracjonalizmu i tradycjonalizmu, nawiązywania, choć bynajmniej nie dosłowne, jak to imputuje oficjalna propaganda, do społecznikowskich, wolnościowych i patriotycznych tradycji dawnej inteligencji czasów rozbiorowych.

Mówi się często, że chwiejna i histeryczna inteligencja polska, zarażona romantyzmem i szlachetczyzną, łatwo zmienia poglądy, a nawet zdradza i przechodzi z jednego obozu politycznego do

drugiego. Tak jest w istocie, ale to głównie pozory. W rzeczywistości sprawa jest bardziej złożona. Aktywna część polskiej inteligencji zmienia koncepcje, idee, stronnictwa i partie od końca XVIII wieku aż po nasze dni, albowiem ma przed sobą ideał niepodległości totalnej, to znaczy polskiego państwa sprawiedliwego i doskonałego. Dla tego celu nieosiągalnego i utopijnego (bez utopii i wytyczania wielkich celów nie ma postępu) lecz koniecznego, bo przecież w ciągu ostatnich dwóch stuleci Polska była prawdziwie niepodległa łącznie tylko około 30 lat szukając gorączkowo każdej myśli, idei, koncepcji, która mogłaby okazać się realistyczna a zarazem cudotwórcza. Dlatego Marcinkowski był insurgentem a później organicznikiem, dlatego „Czerwoni” z 1863 roku stawali się pozytywistami a socjaliści Ozonowcami, dlatego Jerzy Andrzejewski z katolika stał się marksistą a później członkiem KOR-u, dlatego Konstanty Grzybowski był kolejno konserwatystą, demokratą i marksistą, dlatego Bronisław Gerek, jak wielu zetempowskich studentów wierzących, że ich romans z totalitaryzmem jest romansiem z wolnością, był komunistą, rewizjonistą a w końcu czołowym doradcą Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”.

Sprawa narodu: polski katolicyzm

Wiele cech polskiego katolicyzmu wywodzi się z czasów baroku i kontrreformacji, z XVII wieku. Wtedy to właśnie, po względnie otwartym i tolerancyjnym XVI stuleciu, katolicyzm staropolski nabiera charakteru religii walczącej, „graniczno-frontowej”, spełniającej rolę przedmurza, broniącej katolickiej Europy przed islamem, prawosławiem i luteranizmem. Jakie cechy polskiego katolicyzmu XVII i XVIII wieku wydają się najważniejsze? Po pierwsze, rzucający się w oczy ceremonializm, formalizm kultu, ozdobność, barwność a co za tym idzie powierzchowność i bezrefleksyjność. Po drugie, mocna wiara, nie wolna od dewocji i fanatyzmu. Po trzecie, silnie rozwinięty i zakorzeniony w masach kult maryjny. Po czwarte, poczucie bezwzględnej wyższości katolicyzmu nad innymi wyznaniem. Po piąte, niski poziom umysłowy i moralny duchowieństwa oraz jego wiedzy teologicznej. Po szóste, duży wpływ licznych zakonów na wiernych i kształt codziennego, „praktycznego” katolicyzmu.

Znany w XIX i XX wieku stereotyp Polaka-katolika ma swoje antecedencje w XVII i XVIII wieku. Ujawnia się ów narodowy katolicyzm polski zwłaszcza w poglądach i działaniach

ludzi Konfederacji Barskiej. Ciemnota i fanatyczna dewocja, m.in. maryjna, wiązały się u Barszczan z nietolerancją wobec niekatolików, konserwatywnym, „czysto polskim” republikanizmem szlacheckim i gwałtowną antyrosyjskością.

Oświeceniowy racjonalizm i reformatorskie dążenia elity szlacheckiej zderzyły się w ostatnich dekadach XVIII wieku z postawą i polityką Kościoła katolickiego, a ściślej większości duchowieństwa i hierarchii kościelnej. Pragnąca naprawiać i ratować państwo szlachta (z udziałem grupy duchownych wielkich zasług: Konarski, Kołłątaj, Staszic) miała przeciwko sobie Kurię Rzymską, która — chcąc zyskać sobie Prusy i Rosję jako sojuszników w walce z rewolucyjną Francją — nie sprzeciwiła się rozbiorem katolickiej Polski. Polska Targowica (o pozorny paradoksie!) w jednym podobna była do Baru: w eksponowaniu swego rzymskiego katolicyzmu. Nic dziwnego, że w dobie Insurekcji Kościuszkowskiej lud warszawski wieszał na latarniach biskupów-targowiczian. Nie przestał z tego powodu wierzyć, rozdzielał tylko katolicyzm od hierarchii kościelnej.

W dobie porozbiorowej polski katolicyzm (a więc i Kościół) stopniowo utożsamiał się z polskością cierpiącą i walczącą różnymi metodami o zachowanie narodowości i niepodległości państwa. Było owo utożsamianie procesem bolesnym, dramatycznym, skomplikowanym i nigdy nie zakończonym. Współczesna polityka i propaganda użytkująca historię sprowadziła rzecz całą do dwóch zawierające elementy prawdziwe, lecz w istocie fałszywych schematów.

Pierwszy, solidarystyczny, nacjonalistyczny i klerykalny, głosił, co następuje. Kościół, poza nielicznymi jego przedstawicielami, pozostawał zawsze ze swym umiłowanym katolickim ludem, popierał niepodległościowe aspiracje i dążenia narodu, zwalczał jedynie sprzeczne z zasadami wiary i moralności chrześcijańskiej, nie służące Polakom tendencje jakobińskie, laickie, radykalne, ateistyczne i socjalistyczne, a więc w istocie antynarodowe. Naród katolicki, owa wspólnota nieantagonistyczna, pozostawał zawsze z Kościołem i nigdy na nim się nie zawiódł. Prawdziwy Polak, to katolik. Kultura polska jest katolicka, katolicyzm więc broni nie tylko siebie, lecz Polski. Przeciw zaborcom Kościół bronił wiernych, ich języka, obyczaju i religii, a więc bronił Polski.

Drugi schemat, klasowy, laicki i antyklerykalny, streścić można następująco. W dobie zaborców hierarchia kościelna (poza nielicznymi jednostkami) i Watykan stały po stronie zaborców, zaś pewna część niższego, patriotycznego i postępowego kleru

związała się z radykalnym nurtem ruchu narodowego. Rola Kościoła, mającego swoje własne, niekoniecznie polskie interesy, a więc instytucji, która występowała przeciw ruchom społeczno-wyzwoleńczym i w znacznej mierze narodowo-niepodległościowym była generalnie negatywna. Kultura polska pozostawała zawsze pluralistyczna i tolerancyjna, a schemat Polak-katolik był fałszywy i szkodliwy. Naród polski, tradycyjnie wierzący, zawiódł się wielokrotnie na Kościele, nic też dziwnego, że narodził się i rozwijał ludowy antyklerykalizm, zwalczający wpływy kleru, sojusznika klas posiadających.

Rzeczywistość porozbiorowa, jak już wspomniano, była nader skomplikowana. W epoce powstaniowej głęboko wierzący i szukający w Kościele oparcia Polacy przeżywali gwałtowne i dramatyczne rozdarcia. Wieszczenie wadzili się i mocowali z Bogiem, potępiali politykę papieską, nieraz nawet próbowali oderwać się od Kościoła, by jednak powracać na jego łono. Jedni księża cierpieli i walczyli bohatersko w powstaniach, inni odwozili od nich wiernych. Jedni duchowni podporządkowywali się antypolskim rozkazom zaborczych władz świeckich i antyrewolucyjnym rozporządzeniom kościelnym, inni — nie bez przeszkód — angażowali się w walkę i w nie zawsze bezpieczne działania organiczne (głównie w zaborze pruskim), by ratować i umacniać to, co polskie. Mimo iż hasło Polak-katolik nie znajdowało całkowitego potwierdzenia w rzeczywistości, a nadto odpychało od ekskluzywnej polskości polonizujących się Żydów czy Niemców, nie mówiąc o ludziach niewierzących, których liczba na przełomie XIX i XX wieku była już zauważalna, to jednak łączność a nawet nierozdzielność polskości i wiary katolickiej okazywała się niejednokrotnie faktem. Mesjanizm polski był wszak w samej swej istocie chrześcijański. Orzeł biały i krzyż stały się łącznie symbolem Polski. Męczeństwo narodowe miało charakter religijny. Wiara pomagała przetrwać najgorsze. Wiele pieśni patriotycznych to pieśni religijno-patriotyczne, a może nawet bardziej religijne niż patriotyczne. Ale przecież jednocześnie — nie zapominajmy — pisano, a później i śpiewano „o cześć wam, książęta, hrabiowie, prałaci, za kraj nasz krwią bratnią zbrzydzany”.

Rozdarcia i próby łączenia tego, co z trudem mogło być scalone przetrwały okres powstań narodowych. W dobie rozwoju nowoczesnych, masowych ruchów politycznych gwałtownie narastały konflikty między różnymi grupami społecznymi a Kościołem. W ruchu ludowym byli klerykałowie i antyklerykałowie, w ruchu robotniczym też (nurt narodowo-chrześcijański i socjalistyczno-laicki). Nieraz dochodziło na tle politycznym, ale i religijnym

(nie bez ingerencji Kościoła) do walk bratobójczych: rewolucja 1905-1907 tam, gdzie sprzeczności społeczne były mniejsze, warstwy pośrednie mocne, inteligencja nieliczna a ucisk narodowy połączony z wyznaniowym silny (zabór pruski), wpływ Kościoła jako nosiciela solidaryzmu i wartości narodowych okazywał się przemożny. Większa rozdzielnosc polskosci i katolicyzmu i silniejsza laicyzacja cechowały zwłaszcza zabór rosyjski, gdzie ważna rola społeczna racjonalistycznie myślącej inteligencji nakładała się na gwałtowne konflikty klasowe. Jedno można było powiedzieć o katolicyzmie polskim w przeddzień pierwszej wojny światowej: był narodowy w tym sensie, że ogromna większość Polaków była wierząca (bardzo różnie, zależnie od środowiska i regionu), choć nie zawsze w zgodzie z poszczególnymi księżmi i z Kościołem jako instytucją. Uważała katolicyzm za istotny składnik poczucia narodowego. U wielu wiara pozostawała powierzchowna i ceremonialna (jak by powiedzieli współcześni latynoamerykańscy księża-rewolucjoniści, byliśmy gorliwymi katolikami, lecz wątpliwymi chrześcijanami). Polacy lubowali się w obchodach, odpustach i pielgrzymkach, których celem były przede wszystkim sanktuaria maryjne. Kult Matki Boskiej Częstochowskiej (ale i Ostrobramskiej) miał w sposób oczywisty charakter religijno-patriotyczny.

Rola polskiego katolicyzmu, czyli wiary zespolonej z ludowym patriotyzmem była znaczna w toku odradzania się niepodległej Polski, zwłaszcza w zaborze pruskim (powstania śląskie, powstanie wielkopolskie). W „czerwonym” Królestwie i częściowo w radykalno-chłopskiej Galicji sprawy miały się nieco inaczej. Znaczna siłę przedstawiały tam ugrupowania polityczne opowiadające się za laickością i rozdziałem państwa i Kościoła. Jednakże rok 1920 silnie zespolił polskosc i katolicyzm w walce przeciw Rosji i bolszewizmowi. Odtąd też Kościół uznał komunizm za swego wroga numer jeden. W środowiskach tradycyjnie katolickich uważano, iż Polak-patriota to katolik i aktywny antykomunista, przy czym komunizm traktowano rozciągle (żydo-komunista, żydo-mason, socjalista, „wiciarz”, ateista etc.).

Ryzykując pewne uproszczenie można powiedzieć, że w latach dwudziestych zarówno polski katolicyzm instytucjonalny jak ludowy wiązały się dość ściśle z polityczną prawicą i ruchami skrajnie nacjonalistycznymi. Zmiany następować zaczęły w latach trzydziestych. Wprawdzie Kościół nie zrezygnował z prób klerykalizacji państwa i nadal wiązał się z prawicą, lecz tradycyjny katolicyzm polski ulegał poważnym transformacjom. Przede wszystkim „obyczajowa” laicyzacja czyniła postępy, zwłaszcza w miastach. Jednocześnie masy ludowe (zwłaszcza młode pokolenie ro-

botników i chłopów i niemała część inteligencji) spoglądały w lewo, chłonąc „nowinki” marksistowskie o różnych treściach, nie wyłączając komunistycznych, a część inteligencji katolickiej zaczęła ulegać wpływowi nowych, demokratycznych nurtów katolicyzmu społecznego.

Wojna nie wstrzymała przesuwania się polskiego społeczeństwa na lewo. Zdyskredytowała nie tylko komunizm, lecz w znacznej mierze również prawicowe i skrajnie prawicowe kierunki polityczne do faszyzujących włącznie. Z tymi drugimi związana była wszak uprzednio niemała część polskiego „politycznego katolicyzmu”. Nie podważyło to jednak wpływów zmieniającego się Kościoła. Stał się on wspólnotą walczącą i prześladowaną, wsparciem i integralną częścią walczącego i cierpiącego narodu. Duchowni chwalebnie zdali swój egzamin religijny, obywatelski i narodowy, płacąc wysoką cenę, nierzadko najwyższą. I znów, jak w latach najgorszych klęsk czasów porozbiorowych, liczni Polacy znaleźli oparcie i nadzieję w wierze.

Po roku 1945 Polska jako jedyny wielki kraj katolicki znalazła się w bloku sowieckim. Było to doświadczenie nowe w skali światowej i niezwykle trudne. Państwo „demokracji ludowej”, laickie i w istocie swej antyreligijne, nie mogło jednak nie liczyć się z Kościołem (mimo zerwania konkordatu) i wierzącym w ogromnej większości społeczeństwem. Oczywiście miało w swych rękach aparat przemocy oraz monopol propagandy i wychowania, lecz początkowo — przed „okrzepnięciem” — nie starało się zbyt odwoływać do siły, choć o dalekosiężnym celu bynajmniej nie zapominało. W pierwszych latach po wojnie PPR dbała o pozory: kapelani wojskowi, przysięga religijna prezydenta Bieruta w sejmie, udział przedstawicieli władz w uroczystościach religijnych (Boże Ciało), wizerunek Matki Boskiej na sztandarze kompanii reprezentacyjnej Wojska Polskiego itd. Zarówno Kościół, przeciwny narzuconej Polsce władzy, jak społeczność katolicka patrzyli na te gesty z nieufnością, domyślając się, że to siła polskiego katolicyzmu zmusiła komunistów do ustępstw taktycznych, jak się miało okazać krótkotrwałych. Jednocześnie trwała wojna domowa, w której podziemie eksponowało bardzo silnie hasła religijno-narodowe. Znaczna część duchowieństwa popierała opozycję podziemną oraz legalną (PSL), jakkolwiek sympatyzujące z Mikołajczykiem władze kościelne, co naturalne, potępiały bratobójczą walkę i wzywały do zgodnej odbudowy kraju.

Pokonanie opozycji pod koniec lat czterdziestych umożliwiło władzy przejście do ofensywy przeciw Kościołowi, do intensyw-

nej laicyzacji społeczeństwa i stopniowej ateizacji szkolnictwa. Katolicy, wyłączwszy organizacje dyspozycyjne i całkowicie podporządkowane PZPR („PAX”), stali się obywatelami drugiej kategorii, pozbawionymi jakichkolwiek możliwości wpływu na życie publiczne. Prawa Kościoła ograniczano i podjęto prześladowania, których najważniejszym symbolem było uwięzienie prymasa Polski, Stefana Wyszyńskiego. Ogromna presja wywierana na Kościół dała pewne wyniki. Część episkopatu zaczęła jej ulegać. W latach 1953-1954 hierarchia bliska była podporządkowaniu się dyktatowi państwa. Nie doszło do niego dzięki postawie większości duchowieństwa i niezłomności pozbawionego wolności prymasa. Kościół odniósł niewątpliwe zwycięstwo w 1956 roku, zmuszając władzę do istotnych ustępstw. Po Październiku jednak — mimo kolejnych prób ograniczania praw Kościoła i katolików świeckich — aparat partyjno-państwowy nie powrócił już do polityki drastycznych prześladowań. Kościół z próby lat 1949-1956 wyszedł silniejszy niż przedtem. Państwo nie mogło się z nim nie liczyć i nie brać pod uwagę ogromnej bazy społecznej, jaką dysponował. W latach siedemdziesiątych, zwłaszcza zaś po wyborze papieża Polaka i wizycie Jana Pawła II w Polsce, stało się jasne, że Kościół reprezentuje i uosabia poglądy, pragnienia, dążenia i nadzieje znacznej większości Polaków.

Po drugiej wojnie światowej polski katolicyzm ludowy (mam tu na myśli wierzniacę mas katolików świeckich) uległ znacznym przeobrażeniom. Początkowo, aż po pierwsze lata sześćdziesiąte, zachowało się w nim wiele elementów tradycyjnych i konserwatywnych. Kościół, rozumiany jako instytucja i hierarchia oraz Kościół jako wspólnota wiernych przechowywał tradycje niepodległościowo-narodowe i tradycje chrześcijańskiego a więc dominującego nurtu kultury narodowej. Ten katolicyzm tradycyjny, często powierzchowny, spoglądający w historię umarłą, nieraz nietolerancyjny po dawnemu, nie stworzył jeszcze tego, co można by nazwać nowym i nowoczesnym, wychylonym w przyszłość projektem społeczno-moralnym, emocjonalnym i intelektualnym. Ów projekt zaczął się rodzić wraz z przewrotem, jakim był II Sobór Watykański (1962-1965). Stopniowo, zwłaszcza w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, następuje pogłębienie polskiego życia religijnego, a zarazem swoista rekonkwista duchowa indyferentnej części społeczeństwa. Stary, nasiąknięty dewocją i formalny katolicyzm odchodzić zaczyna w przeszłość. W ostatnich kilkunastu latach nie zanika bynajmniej duch narodowy i patriotyczny, tak ważny od dawna w polskim katolicyzmie, lecz zaczyna grać ogromną rolę czynnik wyzwolenia społecznego, wyzwolenia pracy,

wolności i godności jednostki w ogóle, dążenie do prawdy, sprawa budowy sprawiedliwości gospodarczej i społecznej. Jest to zmiana zaiste rewolucyjna. Ona to sprawiła, że dawne określenia i etykiety (tradycyjny, prawicowy, konserwatywny, postępowy) powoli tracić zaczynają sens. Polski tysiącletni katolicyzm rodzi się na nowo, jako organizacja i wartość moralna staje się ogromną siłą społeczną, narodową, polityczną.

O polskim charakterze narodowym

Właściwie pisałem o tym już niemało na poprzednich stronicach tego szkicu. O cechach narodowych i charakterze Polaków można zresztą dyskutować w nieskończoność. Na tym miejscu ograniczę się jedynie do kilku luźnych uwag, będących rodzajem zamknięcia rozważań części drugiej.

Doprawdy trudno się powstrzymać przed kolejnym nawrotem do charakterystyki cech europejskiej zachodniości i wschodniości i naszego miejsca na kulturowej i mentalnej mapie Starego Kontynentu. Ponieważ — jak się rzekło — jesteśmy „przejsiowii”, a więc w pewnym sensie podwójnie zdeterminowani. W naszym życiu politycznym i społecznym, kulturze i mentalności czerpiemy lub raczej nasiąkamy z obu stron. Zachód to model sposobu życia i stosunku do niego oparty na indywidualizmie, wolności i demokracji, Wschód to kolektywistyczna równość o populistycznym zabarwieniu, hierarchiczność i autorytaryzm. Dziś, gdy od blisko czterdziestu lat jesteśmy instytucjonalnie na Wschodzie, w strefie hierarchiczno-urzędniczo-feudalno-autorytarnej, tym głośniej krzyczymy, iż jesteśmy zachodni do szpiku kości. A tymczasem jak bardzo i równocześnie kochamy swoisty egalitaryzm populistyczny i tytuły, stopnie, rangi, spetryfikowane dystanse, „czyny”, a nawet zgoła orientalne okadzania i kadzenia. Razi nas ogromnie rytuał parady wojskowej na Placu Czerwonym, ale nie mniej nas irytuje antyrytualna defilada nie bardzo idących w krok żołnierzy.

Nasze zachowania i kompleksy, wynikłe w niemałym stopniu z wciąż przeze mnie podkreślanej „pośredniości”, przypominają mi postawy Mulatów w znanym mi świecie antylskim. Oni podziwiają Europejczyków, zazdroszczą białym ich statusu, posiadając zresztą sporo ich cech, a wywyższają się nad karaibskich czarnych, do których ich zaliczają biali, a utożsamiać się z Afrykanami nie mogą, bo ci bardzo starannie ich od siebie odróżniają. Znow sytuacja „przejsiowa”.

Polacy mają o sobie dość wysokie mniemanie. Uważają siebie za odważnych i dumni są z tego. Chwalą się nawet daleko posuniętą, nieraz infantylną brawurą. Inna sprawa, że wyróżniają się raczej hartem i odwagą (odpornością, wytrzymałością) fizyczną niż cywilną. Są na ogół zaradni, sprytni i — gdy chcą — robotni (to jednak nie to samo co mrówcza pracowitość). Do ich zdolności manualnych i zmyślności (umiejętności „kombinowania” tzw. sposobem) nawiązywało gierkowskie hasło: Polak potrafi. Śmiano się z niego trochę, lecz łechtało ono nieco miłość własną. W głębi serca uważano, iż częściowo odpowiada rzeczywistości. Zarozumiałstwo, rozpychanie się łokciami, „zadawanie szyku” a nawet pycha łączyły się u nas i łączą z różnymi kompleksami niższości, lepiej czy gorzej ukrywanymi. Są to kompleksy zacofania, braku systematyczności i zmysłu organizacji, nieumiejętności wykorzystania sprzyjających warunków dla osiągnięcia pełnego sukcesu, niedostatku wytrwałości. Inteligenci zwłaszcza, lecz przecież nie tylko oni, popadają czasami w nastroje chwilowej niemożności i chorobę stałego nieudacznictwa (zrozumiałe to właściwie, gdyż w naszych dziejach ostatnich stuleci wiele się nie udawało, a niewiele udawało naprawdę). Zdarza się nawet samobiczowanie w stylu rosyjskich inteligentów i topienie trosk w alkoholu. Umiemy się — zwłaszcza ludzie miastowi — dość łatwo załamywać, lubimy albo wielkie sukcesy, albo szybko od razu rwiemy szaty, taplamy się w rozpacz i męczeństwie, bo oto nastąpiła całkowita klęska. Wielu z nas lubi ryzykować i oddawać się hazardowi, dosłownie i w przenośni. W polityce kosztuje nas to zazwyczaj bardzo drogo.

Nasi „wychowawcy” z kierownictwa PRL od długich lat wmawiają nam, iż Polacy słuchają serca, a nie rozumu, że dla nich emocje zawsze są ważniejsze od rozsądku. W ramach kolejnych normalizacji uczą nas realizmu, bardzo zresztą specyficznego. Czy lekcje te są potrzebne?

Umieliśmy i umiemy być gospodarni, systematyczni, oszczędni, potrafimy kalkulować i liczyć. Zapewne cechy te nie rozkładają się równomiernie ani pod względem chronologicznym, ani społecznym, czy regionalnym. Wydaje się, iż umiemy być mieszczchańskimi realistami w wymiarze indywidualnym czy drobnogrupowym, natomiast znacznie mniej w skali ogólnospołecznej czy narodowej. Potrafimy być bardzo rozrzutni (dawny pański „gest”?) a także łatwo marnotrawić nasz i innych dorobek. Chłop polski, na pewno zresztą nie tylko on, jest uparty, cierpliwy i wytrwały, lecz cechy te nie wydają się ogólnonarodowe.

Znaczna część społeczeństwa, pod wpływem cech szlachecko-inteligenckich ale i specyficznych losów historycznych, nie lubi zadowalać się małym, raczej rzuca się wciąż do zrywów w myśl maksymy: wszystko albo nic („albo triumf, albo zgon...”). Cienimy wartości emocjonalne, symbole apelujące z natury rzeczy do uczuć, do tradycji, do sentymentów, a nawet do intuicji. Chłodna refleksja nie jest nam obca, lecz przychodzi nam trudniej niż uniesienie, zapamiętanie, zapalenie się. Wysoko stawiamy imponderabilia, zasady, pryncypia. Czy cechy te, wskazujące iż bardziej ważne jest dla nas serce niż głowa, nie podlegają zmianom? Częściowo tak. Historia PRL (zwłaszcza ostatnie parę lat) wykazała dowodnie, iż potrafimy być w sprawach zasadniczych, o znaczeniu ogólnospołecznym, trzeźwi, roztropni, zgodni, opanowani i nie awanturniczy. Potrafimy być, lecz nie zawsze jesteśmy. Przecież w latach 1980-1981 niemało znaleźć można w ruchu „Solidarności” politycznej nieroztropności, nieostrożności, braku opanowania, jałowych i szkodliwych sporów i walk grupowych. Bo też wciąż jeszcze jesteśmy „niezrównoważeni”, zdolni do gwałtownych zrywów i porywów, nawet podlegających swoistej autokontroli, lecz nadal nawiązujących do romantycznych tradycji myślenia sercem.

Kontynuując dotychczasowe rozważania powrócić wypada do starego i aktualnego, niestety, dylematu o wielu nazwach ale podobnym sensie: powstańcy i organiczni, rewolucjoniści i reformiści, buntownicy i realści, czy może w końcu pokorni i niepokorni. Nie idzie tu o przykładanie do obu członów wymienionych przeciwstawień poszczególnych cech narodowych w całej ich zmienności, lecz raczej o ukazanie tego, że nie tylko są one nierozzerwalnie z tym dylematem związane, ale wynikają zarówno z wewnątrzpolskich sytuacji społecznych i świadomościowych, jak z uwarunkowań zewnętrznych. Należy sobie jasno powiedzieć jedno. Naród polski przetrwał ostatnie dwieście lat jako naród rewolucyjny, w stanie permanentnego buntu i insurekcji. To determinuje wiele jego cech. Skoro Polacy po trzecim rozbiórce nie zechcieli ulec i dać się w krótkim czasie zgermanizować i zrusyfikować, a tak przecież było, to skazali się na rewolucyjność. Oczywiście, że cechy rewolucyjnego narodu nigdy nie obejmowały i nie obejmują wszystkich, lecz charakteryzują twórczą i aktywną część narodowej wspólnoty. Liczebność tej części rosła stale w XIX a zwłaszcza XX wieku.

Wbrew temu, co się powszechnie głosi, Polacy są rewolucyjni tak samo wtedy, gdy spiskują i organizują lub raczej wszczynają powstania, jak wtedy, gdy prowadzą roboty organiczne

(trzeźwymi entuzjastami nazwał organiczników Stefan Kieniewicz). I w jednym i w drugim wypadku idzie o zasadniczą zmianę sytuacji społecznej i narodowej, o radykalne przeobrażenie istniejących struktur politycznych, o jakościową zmianę w układach międzynarodowych. I w jednym i w drugim wypadku szło się do więzienia, choć w pierwszym nierzadko na szafot. I w jednym i w drugim trzeba było odwagi, choć w drugim również rozwagi i wytrwałości. Zarówno powstańcy jak organicznicy należeli w Europie do „mniejszościowego” etosu nonkonformistów i kontestatorów. Prowadzili wojnę rewolucyjną, byli z zasady przeciw uładowanej i obojętnej Europie. Nie miało zasadniczego znaczenia, czy szli do ataku na bagnety w Olszynie Grochowskiej, czy też walczyli w Wielkopolsce przez sto lat „najdłuższej wojny nowoczesnej Europy”. W dziejach Polski nawet to, co gdzie indziej nazywa się reformizmem, jest w istocie swej rewolucyjne.

We Francji, Anglii lub Szwecji polityka, której probierzem wartości jest skuteczność, stanowi racjonalne działanie zmierzające do osiągnięcia celów w danych warunkach możliwych do osiągnięcia. W Polsce zmierza się do osiągnięcia celów teoretycznie nieosiągalnych. Ideał-utopia jest naszym drogowskazem. Typowe to dla myśli rewolucyjnej, typowe dla rewolucyjnego czynu. Wniosek prosty: cechą stałą polskiej polityki, a więc i cechą narodową jest idealizm, romantyzm i utopizm, czyli nieskuteczność. Czy rzeczywiście? Otóż niezupełnie. Polskie niby to naiwne i emocjonalne politykowanie okazało się zadziwiająco skuteczne. Pozwoliło nam istnieć jako narodowi, pozwoliło osiągnąć jeden raz to, co w „normalnych warunkach” musiało być uznane za nieosiągalne — niepodległość (1918) i kilka razy to, co trudno osiągalne — autonomię lub pół-niepodległość (1807, 1815, 1945).

Często się powtarza, zwłaszcza ostatnimi czasy, że cechą Polaków jest brak zmysłu politycznego i kultury politycznej. Otóż gdybyśmy byli „realistami” takimi jak obywatele państw ustabilizowanych i znajdujących się w korzystnych warunkach geopolitycznych, to nie byłoby naszego narodu. Prawdziwy „realista” w Polsce musi być kapitulantem. Może osiągnąć przetrwanie narodu ale bez duszy, ludu niewolników mówiących lepiej czy gorzej po polsku, państwa fasadowego, pozornej rzeczywistości narodowo-państwowej. Nic więcej. Potępienie polskiego irracjonalizmu politycznego, łkanie najuczciwszych nawet ludzi nad rozlewem polskiej krwi od 1794 roku po ofiary antypolskiej wojskowej kontrrewolucji 1981-1982 roku jest dowodem kiepskiej znajomości naszej historii i braku autentycznego politycznego realizmu.

Część trzecia:

REWOLUCJE POLSKIE 1944-1982

Polska u schyłku drugiej wojny światowej i po jej zakończeniu przeżyła trzy rewolucje. Dwie pierwsze nałożyły się częściowo na siebie i zderzyły gwałtownie na początku omawianego okresu, trzecia wybuchła w 1980 roku.

Wokół terminu i samego problemu rewolucji toczyły się i toczą nieustanne dyskusje. Nie sądzę, by mogły kiedykolwiek wygasnąć, zwłaszcza, że rewolucje ulegają ewolucji, przeobrażeniom, zmieniają formę i treści, a stanowią wszak trwałe składniki procesu historycznego, zrośnięte są ściśle z losem człowieka. Niektórych rewolucji w konkretnych sytuacjach można uniknąć, rewolucji w ogóle uniknąć się nie da. Rewolucja to przekleństwo i nadzieja, wołanie o lepsze życie i ponury cień śmierci, radość tworzenia i rozpacz niszczenia, żywioł i organizacja. Nikt o zdrowych zmysłach nie będzie negował ogromnej roli, jaką rewolucje odgrywają w życiu społeczeństw i narodów. Rewolucje stanowią ważki element destrukcji a zarazem konstrukcji życia społecznego we wszelkich jego przejawach.

Nie bawiąc się w formułowanie „ostatecznych definicji” warto jedynie zaproponować najogólniejsze określenie rewolucji. Jest ona mianowicie przyspieszoną (nieraz, lecz niekoniecznie, raptowną i gwałtowną), jakościową zmianą społeczno-polityczną i mentalno-psychologiczną, dokonywaną przez określone zbiorowości ludzkie, a zarazem porywającą je w kierunku nie zawsze przez nie przewidzianym i pożądanym. To określenie oczywiście niczego ostatecznie nie załatwia. Rewolucją zwykło się przecież nazywać każdy wielki i gwałtowny przewrót w życiu politycznym, a także bardziej rozciągnięty w czasie przewrót kulturalno-umysłowy i jeszcze bardziej skondensowany w czasie techniczno-ekonomiczny.

Marksściści kładą nacisk na społeczny charakter rewolucji, będącej radykalną zmianą klasy (warstwy) panującej przy użyciu przemocy, a więc również — i to koniecznie — zmianą w stosunkach produkcji i w nadbudowie prawnopañstwowej. Rewolucje stanowią przejście od niższej do wyższej formacji gospodarczo-społecznej, ale także — w obrębie jednej formacji — od jednego do drugiego etapu rozwojowego w ramach tego samego układu klasowo-politycznego.

Dodatkową trudnością w analizie wszelkich procesów rewolucyjnych jest to, iż granice między rebelią, zamachem stanu, puczem, powstaniem i rewolucją są zazwyczaj bardzo płynne. Badacz (ale często również zwykły zjadacz chleba) nie lubi spraw wielkich ale przegranych, toteż rewolucje pokonane, niespełnione, przerwane lub niedokończone bywają nader często uznawane za „niebyłe” lub nazywane kontrrewolucjami, rozruchami, ruchawkami lub buntami.

Zarówno marksiści jak nie-marksiści dzielą zazwyczaj rewolucje na dwie wielkie rodziny: społeczną (klasową) i narodową (niepodległościową, nacjonalistyczną). Poza nimi, jakby w cieniu pozostają przewroty umysłowe, religijne, obyczajowe czy technologiczne. Wspomniane podziały są, jak mi nie mam, niezwykle uproszczone i praktycznie rzecz biorąc nie odpowiadają niezwykle bogatej i skomplikowanej rzeczywistości. Zwłaszcza w XX wieku trudno dostrzec rewolucje o łatwo definiowalnej bazie społecznej, o jednym głównym celu, o jednej motywacji, czy to klasowej, czy też narodowej.

Mówiąc o miejscu i znaczeniu rewolucji w historii powszechnej i narodowej nie sposób nie wspomnieć o ich implikacjach oraz przyczynach psychologicznych i moralnych. Bo rewolucja ma siłę oczyszczającą, stanowi indywidualną i zbiorową *katharsis*, niesie siłę i znużenie pełne goryczy. Co leży u jej narodzin w ludzkich sercach i umysłach? Głębokie przekonanie, że zastana sytuacja jest nie do wytrzymania i utrzymania, że jest niesprawiedliwa a więc nieznośna moralnie. Duchowy, moralny bunt przeciw brakowi wolności, przeciw kłamstwu i obłudzie, przeciw gwałtowi, przeciw podziałowi na panów i poddanych, przeciw anormalnej normalności, rodzi postawy rewolucyjne. Bez nich nie może być rewolucji.

W ostatnich dziesięcioleciach historia i socjologia rewolucji drepczą w miejscu, nie potrafiąc starymi technikami badawczymi zanalizować i zrozumieć rewolucji współczesnych. Niezależnie od używanej metodologicznej busoli jesteśmy w Europie niemal wszyscy niewolnikami przeżytych schematów i patrząc na dawne wzory i doświadczenia uparcie zestawiamy ze sobą niezestawialne. Wciąż przecież odwołujemy się do dawnych klasowych modeli, do rewolucji francuskiej czy rosyjskiej, ich dylematów i mechanizmów, ich psychologii i dynamiki. Przywiązani jesteśmy do rzekomo niezmiennych następstw etapów, do tego również, iż rewolucje głoszące, że dokonują ich masy, są w istocie robione przez zdecydowane mniejszości. Wciąż dzielimy je na klasowe i naro-

dowe, co jest bezsensowne. I dlatego nie wiemy, jak zrozumieć i opisać rewolucje nowego typu, których jesteśmy świadkami lub nawet uczestnikami, rewolucje „większościowe”, narodowo-społeczne, w analizie których zawodzi kryterium klasowe. Rewolucje te wstrząsają Trzecim Światem lub wybuchają na peryferiach Pierwszego lub Drugiego. Wydobywają one na plan pierwszy, razem lub rozdzielnie, motywacje religijne, moralne, a nie tylko problem władzy, a także czynniki kulturowe a nawet filozoficzne.

Zderzenia dwóch rewolucji: 1944-1947

Wyzwolenie Europy spod okupacji hitlerowskich Niemiec i pokonanie Trzeciej Rzeszy przez wojska tzw. Wielkiej Koalicji nie było li-tylko gigantyczną i krwawą operacją wojskową. Stanowiło jednocześnie rewolucyjny zryw mas ludowych i całych narodów przeciw faszyzmowi i totalitarnej przemocy. Ludy Europy pragnęły głębokiej przebudowy struktur gospodarczo-społecznych i politycznych w duchu demokratycznym i socjalistycznym, jeśli nie wręcz komunistycznym. Jeśli użyć tradycyjnej, dziewiętnastowiecznej jeszcze formuły, Europa przesuwiała się na lewo. Wyzwolenie narodowe uważano za niepełne bez wyzwolenia społecznego. Znaczna część ludności ujarzmionej przez Niemcy części Europy odrzucała ideę restauracji porządków przedwojennych. Występowały jednak znaczne różnice regionalne. W niektórych krajach, zwłaszcza tych, które nie zetknęły się w latach 1939-1941 z agresją ZSSR i jego totalitarną dominacją, walka o niepodległość państwa i wolność narodu łączyła się nierozdzielnie z rewolucją komunistyczną typu sowieckiego, raz udaną i zwycięską (Jugosławia, Albania), kiedy indziej nieudaną i pokonaną (Grecja). Pewne istotne elementy rewolucji komunistycznej wystąpiły w dwóch państwach zachodnioeuropejskich, Francji i Włoszech. Partie komunistyczne tych krajów nie sięgnęły jednak zbrojnie po władzę, choć ich znaczenie polityczne w zradykalizowanych społeczeństwach było bardzo poważne. Przesunięcie ku lewicy, znacznie jednak słabsze, nastąpiło w Belgii, Holandii, a nawet Wielkiej Brytanii. Wszędzie występowały tendencje do ograniczenia roli wielkiego kapitału, opowiadano się za nacjonalizacją wielkiego przemysłu, planowaniem gospodarczym, rozszerzeniem bazy społecznej tradycyjnej demokracji parlamentarnej, zwiększeniem wpływu na rządy organizacji robotniczych, m.in. związków zawodowych, rozszerzeniem świadczeń socjalnych, reformą rolną w kra-

jach rolniczych i rolniczo-przemysłowych o pozostałościach feudalnych struktur agrarnych.

O ile w wymienionych wyżej krajach, a także w Czechosłowacji, przesunięcie na lewo oznaczało nierzadko przesunięcie aż do komunizmu, to rzecz się przedstawiała inaczej w krajach „kontaktowych” z ZSSR, których tragiczne doświadczenia praktyczne odpychały społeczeństwa od komunizmu (mam tu na myśli — z uwzględnieniem dość istotnych nieraz między nimi różnic — Polskę, Litwę, Łotwę, Estonię, Finlandię, a także Rumunię i Węgry). I tam występowała radykalizacja oraz żądanie reform społecznych i politycznych, co o tyle zrozumiacie, że wszystkie te państwa rządzone były przed wojną mniej lub bardziej autorytarnie, lecz była to „radykalizacja niekomunistyczna”, a czasem wręcz antykomunistyczna. Oczywiście, że i w tych krajach nastąpił relatywny wzrost wpływów komunistów, lecz bez poparcia zewnętrznego, przede wszystkim zbrojnego nie mogliby oni uzyskać nigdzie pozycji zbliżonej nawet do tej, jaką uzyskali w Jugosławii, Bułgarii, Italii czy Francji. O ile w latach 1944-1945 prestiż ZSSR i komunizmu był w kilku krajach zachodnioeuropejskich i bałkańskich ogromny, o tyle na styku z „realnym socjalizmem”, jak to się teraz mówi, minimalny. Godzi się jednak powiedzieć, że sterroryzowane przez niemieckiego najeźdźcę społeczeństwa Europy środkowo-wschodniej widziały w Armii Czerwonej siłę w znacznej mierze wyzwolenczą, kończącą z koszmarem hitlerowskiej okupacji i piekłem ludobójstwa.

Rewolucyjny charakter okresu poprzedzającego wyzwolenie ujawniał się zazwyczaj w dążeniu do szybkich strukturalnych zmian gospodarczo-społecznych i politycznych po odzyskaniu wolności. W niektórych wszakże wypadkach wyjątkowa „niecierpliwość rewolucyjna” zniewolonych narodów doprowadziła do organizowania po nowemu życia na oczyszczonych od okupanta terenach albo do wybuchu powstań zbrojnych, w toku których erupcji patriotycznego entuzjazmu towarzyszyła atmosfera radykalno-demokratyczna.

Jak na tym tle wyglądały sprawy polskie? Polska została nie tylko okupowana przez obcą armię, jak wiele innych krajów europejskich. Została pozbawiona niepodległości, poddana w 1939 roku podziałowi między sąsiadów, sterroryzowana dwiema okupacjami, a od 1941 roku jedną — niemiecką. Naród polski, spauperyzowany, zegalitaryzowany i sproletaryzowany, jak niewiele innych w Europie, utożsamiał się w znacznej mierze z ludem, z masami ludzi pracy. Jednocześnie państwo podziemne działało w

ramach autorytarnej konstytucji kwestionowanej przed wojną przez bardzo wielu i pod rządami kontynuującymi — przynajmniej formalnie — przedwojenny legalizm. Większość społeczeństwa pozostała wierna bez zastrzeżeń wobec władz RP, choć jednocześnie nie chciała powrotu do przedwojennego systemu politycznego.

Rząd RP w Londynie, opierający się na konstytucji z 1935 roku, nie był zwykłą kontynuacją władz naczelnych sprzed wojny. Jego polityczna baza uległa zmianie przez wprowadzenie do kierownictwa państwowego, tak na emigracji, jak i w kraju, stronnictw pozostających przed Wrześniem w opozycji. Prawda, że były to zarówno partie prawicowe (SN), jak centrum (SP) i lewicowe (ludowcy i socjaliści). Obserwatorzy i badacze nastrojów panujących w kraju w latach 1943-1944 stwierdzają jednomyślnie, że radykalizacja poglądów zarówno inteligencji, jak chłopów i robotników zaszła dość daleko. Można zaryzykować twierdzenie, że gdyby w połowie 1944 roku można było przeprowadzić wolne i demokratyczne wybory, bezwzględną większość uzyskali by ludowcy i socjaliści. A jednak liczni ludzie o lewicowych poglądach popierali sanacyjne pod względem politycznym kierownictwo Armii Krajowej. Czynieili tak dlatego, że AK była zbrojnym ramieniem Polski niepodległej, państwa nie uznającego rozbioru kraju w 1939 roku. Tak jak rewolucyjność narodowa w dobie rozbiorowej oznaczała walkę o restytucję niezawisłego państwa w granicach z 1772 roku, tak w latach drugiej wojny światowej przez rewolucyjny patriotyzm prawie powszechnie rozumiano wierność niepodległości a więc państwu polskiemu w granicach z 1939 roku. Podobnie jak w czasach zaborów rozumiano także, że odrodzone, niepodległe państwo będzie, że musi być sprawiedliwe i demokratyczne. Już sama niepodległość w polskich warunkach oznaczała rewolucję.

Władze Polski Podziemnej wiedziały dobrze o radykalizacji nastrojów społecznych i choć orientowały się też w antykomunistycznym nastawieniu znacznej większości opinii publicznej, lękały się stopniowego wzrostu nastrojów prosowieckich i propeprowskich. Mimo to ogłoszona 15 marca 1944 roku przez Krajową Radę Jedności Narodowej deklaracja „O co walczym naród polski” nie była li-tylko taktycznym posunięciem mającym zneutralizować wpływy PPR. Odzwierciedlała trafnie nastroje polityczne zarówno szerokich rzesz jak elit. Mówiła o odrodzonej Polsce jako o republice parlamentarnej (zakładało to milcząco przyszłą zmianę konstytucji z 1935 roku) i społecznej (reforma rolna, upaństwowienie wielkiego przemysłu, planowanie gospodarcze). Takie reformy w przyszłej odrodzonej Rzeczypospolitej

mogły się dokonać „po polsku” jedynie w niepodległym i demokratycznym państwie. Godzi się podkreślić, że zwłaszcza młoda inteligencja, ale również inne klasy i warstwy społeczne, wpatrzona była we wzory demokracji zachodnich. Również żołnierze Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie wrosli w demokratyczne stosunki Zachodu. Trudno przypuścić, by pogodzili się oni z anachronicznym, autorytarnym systemem OZON-u z końca lat trzydziestych. Hołdowano zasadzie podstawowej dla ogromnej większości społeczeństwa: „najpierw być, a później jak być”. Rewolucja narodowo- i społeczno-wyzwoleńcza musiała być przede wszystkim powstaniem narodowym, walką o niepodległość.

Rewolucją narodową i demokratyczną było Powstanie Warszawskie, a także próby powstańcze podejmowane przez AK i ludność cywilną na wschodnich terenach RP. Przyjrzyjmy się przede wszystkim Powstaniu Warszawskiemu. Mówi się często, że było ono skierowane militarnie przeciw Niemcom, a politycznie przeciw ZSSR i PKWN. Oczywiście, gdyż stanowiło rewolucję narodową, niepodległościową. Inaczej być nie mogło. Czy stanowiło też, jak Powstanie Listopadowe, rewolucję konserwatywną? Trudno na to pytanie odpowiedzieć, gdyż trwało krótko i przegrało. Wiadomo jednak, iż życie polityczne w euforycznie patriotycznej, powstańczej Warszawie było bujne, swobodne, demokratyczne, pluralistyczne. Ukazywała się prasa najróżniejszych kierunków politycznych do komunistycznej włącznie. Przy całej niechęci i nieufności wobec PPR i ograniczeniach stosowanych wobec AL i ogólniej zwolenników PKWN wolność polityczna w walczącej Warszawie kontrastowała z jej brakiem w „wyzwolonym” Lublinie. Rewolucja sierpniowa, nie mająca żadnych szans na zwycięstwo, ograniczyła się w praktyce do Warszawy. Upadła pod ciosami Niemców, opuszczona przez bezsilny Zachód i „zdale nie wykrwawiona” przez patrzącą na jej tragedię Armię Czerwoną (nie potępiam bynajmniej jej postawy, gdyż zezwolenie na sukces polskiej rewolucji niepodległościowej i demokratycznej, a więc w samej swej istocie antykomunistycznej, było sprzeczne z interesami ZSSR). W październiku 1944 roku upadła polska demokratyczna rewolucja niepodległościowa. Przez trzy następne lata trwała już tylko jej agonia: polityczne i zbrojne starcie z inną, komunistyczną rewolucją, inspirowaną i popieraną przez ZSSR. Historia tej agonii należy jednak bardziej do innej rewolucji.

W sprawie charakteru wydarzeń i przeobrażeń zachodzących w Polsce lat 1944-1948 (niektórzy ostatnią datę przesuwają na rok 1952 lub nawet 1955) wypowiediano się często i rozmaicie.

Różnorodność opinii sprowadzić można do dwóch dominujących. Pierwsza jest tezą „potoczną” i ogromnie rozpowszechnioną, druga „oficjalną”, obowiązującą w szkole i urzędzie.

Teza pierwsza: żadnej rewolucji komunistycznej, socjalistycznej czy „ludowej” nie było, a ustroj PRL został narzucony narodowi polskiemu siłą przez ZSSR, jest on zatem obcy. Władze Polski Ludowej były od początku mandatariuszami obcego mocarstwa. Zarządzają one w jego imieniu protektoratem o nazwie PRL. Jeśli nawet przyjąć, że powstanie Polski Ludowej było rewolucją, to stanowiła ona importowany towar. Polskie opakowanie artykułu sowieckiego mogło zmylić drobną część społeczeństwa polskiego, które zgodziło się z czasem narzuconą rewolucję uznać za swoją.

Teza druga: rewolucja ludowa była rodzimą, nawiązywała do własnych tradycji rewolucyjnych i patriotycznych, robiona była przez Polaków przy cennej pomocy internacjonalistycznego, sojuszniczego Związku Sowieckiego. Poparła ją wprawdzie zrazu tylko mniejszość Polaków (nie jest to wyjątek w dziejach rewolucji), ale reprezentująca najbardziej świadomych robotników i chłopów. Rewolucja, dokonana w imieniu najszerzych mas, była zrazu mniejszościowa, lecz później, w toku pozyskiwania sobie przez komunistów coraz szerszego poparcia społecznego, stała się ogólnonarodowa. W końcu PRL stała się jedyną, socjalistyczną ojczyzną wszystkich Polaków.

W moim przekonaniu obydwie tezy są nader schematyczne i nie odpowiadają skomplikowanemu przebiegowi wydarzeń i procesów zachodzących w Polsce w drugiej połowie lat czterdziestych naszego stulecia.

Rozpoczęta w 1944 roku rewolucja komunistyczna ukształtowała system ustrojowy funkcjonujący w Polsce do dziś. Zaplanowana w Moskwie, umożliwiona przez zbrojną obecność Armii Czerwonej na ziemi polskiej, kontrolowana na każdym jej zakęcie przez ZSSR, była jednak po części ruchem rodzimym, mającym własne, ludowe korzenie, nawiązującym do niektórych, słabych, lecz istniejących realnie tradycji rewolucyjnych, przewartościowych w duchu „narodowym” przez PPR. Rewolucja ta korzystała z ograniczonego, lecz autentycznego poparcia społecznego. Negowanie tego faktu nie pozwala na rzetelną analizę historii Polski Ludowej.

Komuniści polscy umiejętnie wykorzystali nastroje patriotyczne, antyniemieckie i egalitarystyczne, które tworzyły w całej niemal Europie atmosferę euforycznego „rewolucyjnego nacjonaliz-

mu". Manifest PKWN był przede wszystkim dokumentem programowym ruchu narodowowyzwoleńczego. Jego treści rewolucyjno-społeczne nie były wcale bardziej skrajne, „lewicowe” od tych, jakie zawierała deklaracja „O co walczy naród polski”. Dwie ścierające się rewolucje ubierały się w strój narodowy z mnóstwem patriotycznych ozdób. Różnica polegała na tym, że rewolucja „zachodnia”, demokratyczno-narodowa, miała za sobą znaczną większość społeczeństwa, lecz nie posiadała poparcia zewnątrz i nie mogła zbudować państwa. Rewolucja „wschodnia”, komunistyczno-„narodowa” miała za sobą małą mniejszość społeczeństwa, ale za to potężnego protektora i własny aparat wojskopolityczny, a więc państwo. To zadecydowało o jej zwycięstwie.

Rewolucja „ludowa” krztusiła się w latach 1944-1947 rozbuchanym patriotyzmem. Białoczerwone sztandary, narodowa i piastowska rodzimność, spleciona z gorącym antygermanizmem, Mazurek Dąbrowskiego, Boże coś Polskę i Rota, wszystko to miało podkreślić narodowe treści rewolucji, nie zaś jej treści klasowe, dość skrętnie początkowo ukrywane. Nie jest całą prawdą twierdzenie, że naród „nie dał się na to nabrać”, bo przecież orzeł bez korony, bo PPR „płatne pachołki Rosji”, bo berlingowcy a nie Wojsko Polskie itd. Społeczeństwo nasze było ogromnie zmęczone, stęsknione za własnymi symbolami narodowymi, za polską szkołą, polskim życiem publicznym i państwowym. Wartością stawały się nawet pozory polskości. W ogóle stwierdzić należy, iż władza pepeerowska, później pezetpeerowska, była socjotechnicznie sprawna w tym sensie, że słusznie (bo Polacy to lubią) przywiązywała sporą wagę do pozorów, do teatrum słowno-mimicznego. W życiu społecznym a zwłaszcza w życiu społeczeństw żyjących w systemach autorytarnych, etatystycznych i totalitarnych utrwalone i zrutyinizowane pozory zniewalają ludzi, zwłaszcza mniej świadomych. Pozory zaczynają uchodzić za rzeczywistość, pozory — na czas pewien — stają się rzeczywistością.

Cóż więc proponowała rewolucja komunistyczna pozytywne? Patriotyczną jedność w odbudowie państwa i kraju, antyniemieckość opartą o realną potęgę sowiecką z wydatnym przesunięciem granic Polski na zachód, reformy społeczno-gospodarcze w zasadzie dość powszechnie akceptowane (prawda że w innym kontekście ustrojowo-państwowym), a nie sprzeczne z „polskim indywidualizmem” (własność chłopska, drobna własność prywatna w przemyśle oraz handlu i usługach), uznanie prawa Kościoła, wielopartyjność i koalicyjność (też pozory, ale podobne do rzeczywistości przez przynajmniej parę lat).

Zwróćmy uwagę na jeden ważny fakt, który zaważył na nie-

chętniej ale zgodzie na sowiecką dominację i nie w pełni polską rewolucję: rozczarowanie do Zachodu, już drugie po 1939 roku. Zachód był wszak współbudowniczym Jałty i Poczdamu, Zachód zgodził się na „kierowniczą rolę partii” w Tymczasowym Rządzie Jedności Narodowej, Zachód przyjął milcząco do wiadomości sfałszowanie wyników referendum i wyborów sejmowych ze stycznia 1947 roku. Gorycz zawodu kazała niektórym, nie tak znów mało licznym, spojrzeć na rzeczywistość w duchu akceptacji protektoratu, choćby po to, by nie przelewać znów polskiej krwi bez szans na zwycięstwo, to jest wybicie się samotnie na niepodległość.

Rewolucja niepodległościowo-demokratyczna przegrała latem 1944 roku w starciu bezpośrednim z Niemcami a pośrednim z ZSSR i obozem PKWN. W toku agonii tej rewolucji (dobijała ją, korzystając z pomocy sowieckiej, ta druga, komunistyczna) zanikały w niej elementy demokratyczne, a pojawiały się szowinistyczne (gwałtowna rusofobia), antysemityczne (uzasadniane sporym wpływem w PPR i rządzie Żydów i Polaków żydowskiego pochodzenia), konserwatywne (niechęć do reform społecznych i oświatowych). Komuniści polscy ten nieukniony zwrot na prawo tępiętego i prześladowanego akowskiego podziemia skutecznie wykorzystywali, przeciagając na swoją stronę część starej, liberalnej i lewicującej inteligencji.

Kto organizował nową władzę i kierował rewolucją? Odpowiedź jest stosunkowo łatwa. Kierowała rewolucją wykształcona w ZSSR, nieliczna kadra polskich komunistów, w większości ludzi w mundurach. To był sztab polityczny wspomagany kadrowo i instruktażowo przez oficerów sowieckich i NKWD-owców. Budowa organów bezpieczeństwa i nowego aparatu państwowego była w znacznej mierze również — zwłaszcza w okresie lubelskim — wspólnym dziełem władz sowieckich i polskich komunistów (zarówno przybyłych z ZSSR jak byłych żołnierzy Armii Ludowej). Mam tu oczywiście na myśli szczyt hierarchii władzy. Im niżej, tym rola Polaków, nie zawsze kadrowych komunistów, często ludzi małej wartości, zazwyczaj zwykłych karierowiczów, była większa.

Przywódcy rewolucji stanowili w niemałym stopniu etos działaczy energicznych, pracowitych i pełnych poświęcenia. Mimo presji wzorów sowieckich i uzależnienia od siły protektora, bez którego nie mogliby utrzymać się przy władzy, rozwijali różne, nieraz oryginalne koncepcje rozwoju powstającej Polski Ludowej, spierali się o jej kształt. Orientowali się doskonale, że naród w znakomitej swej większości jest im wrogi lub niechętny. Toteż

ideologiczne i propagandowe wysiłki, zmierzające do zyskania sobie poparcia społecznego, uważali za znacznie mniej ważne od umocnienia aparatu władzy. Indoktrynacja mogła przynieść pozytywne efekty tylko wtedy, gdy kontrola nad narodem będzie zapewniona i ustabilizowana, gdy rozpocznie się na dobre proces upaństwowienia społeczeństwa. Gomułka wiedział świetnie (mawiał o tym w wąskim gronie), że ideologia, kultura, poglądy, programy, poparcie klas ludowych, to zwykłe faramuszkę, ozdóbki władzy. Partia marksistowsko-leninowska władzę, swoją oczywiście, nie zaś klasy robotniczej, stawia najwyżej na swych ołtarzach. Władza zaś, mawiał, to policja i wojsko.

Toteż traktowano priorytetowo milicję, bezpieczeństwo i wojsko. W sprawach aparatu represji i przemocy nic nie było „koalicyjne” (wielopartyjność to pozory dla chcących wierzyć w pozory), a wszystko pozostawało pod ścisłą kontrolą komunistów. Wiązało się to ściśle z kwestią częściowego choćby poparcia społecznego. Państwo komunistycznego typu zasadza się na rozbudowanym aparacie i to aparacie uprzywilejowanym. Przywileje przyciągały ludzi (były skromne, lecz wówczas ważne: trochę więcej odzieży, trochę więcej przydziałów żywnościowych i broń). Przywilejami trzeba było płacić za wyobcowanie, za niebezpieczeństwo utraty zdrowia i życia. I płacono. Czy jednak poczucie posiadania władzy i przywilejów stanowiło jedyną motywację poparcia nowego porządku? Czy przyłączano się do rewolucji, lub — jak wtedy mawiano — do obozu demokracji, walczącego przeciw reakcji, tylko dla doraźnych przywilejów? Z pewnością nie. Chłopi pragnęli ziemi, a ich część (niekoniecznie najbiedniejsza) mimo lęku przed kołchozami i bolszewizmem poparła nową władzę, a więc reformę rolną. Uczyniła to również część, także niewielka, klasy robotniczej.

Najgłębszy podział wystąpił wśród inteligencji. Wydaje się, wbrew różnym legendom, że z ilościowego punktu widzenia ta warstwa w stosunkowo wysokim procencie opowiedziała się za nowym porządkiem. Motywy były rozmaite: odezwały się tradycje liberalno-lewicowe, pozytywistyczno-społecznikowskie, patriotyczne. Niemala część inteligencji uległa atmosferze romantyzmu odbudowy i przebudowy. Dziwny to był romantyzm, raz odradzający zeszlówieczne tradycje „trzeźwych entuzjastów”, a więc pracy u podstaw, kiedy indziej rewolucyjny, zapatrzony w czerwony sztandar (pisał o tym Kazimierz Brandys w „Obronie Grenady”: sprawiedliwość społeczna, roztopienie się w ruchu mas, odindywidualizowanie, krwawa płachta powiewająca na samochodzie pancernym).

Dość znaczna część młodzieży, oszołomiona otwarciem się dróg awansu i to szybkiego (wojsko, milicja, wyższe uczelnie, aparat państwowy, miasto...), pociągnięta chęcią przeżycia niecodziennej przygody, poszła pod sztandary ZWM a później ZMP. Rozpoczął się, pełen wiary i fanatyzmu, poświęcenia i ogromnej pracy („Człowiek z marmuru”), załamań i wzlotów, okres romanisu młodego pokolenia z totalitaryzmem. Miał on trwać aż po rok 1955, choć załamywał się stopniowo już w latach 1953-1954. Partia nader umiejętnie wykorzystwała tę szturmową siłę rewolucji. To młodzież inteligencka, robotnicza i chłopska zetatyżowała siebie i ułatwiła władzy budowę upaństwowionego społeczeństwa. Prawda, że część tej młodzieży stała się bojową czołówką Października. Reszta jednak wrosła na dobre w różne podaparaty wielkiego aparatu, służąc systemowi obezwładnienia społeczeństwa i degeneracji gospodarki, zrobiła mniejsze lub większe kariery.

Aby ostatecznie umocnić swą władzę rewolucja komunistyczna musiała unicestwić rewolucję niepodległościowo-demokratyczną, którą już pokonała w 1944 roku a następnie podporządkować sobie opozycję legalną i „politycznych sojuszników”.

Likwidacja zbrojnego podziemia zajęła blisko trzy lata i kosztowała kilkadziesiąt tysięcy zabitych. Była to krwawa wojna domowa, mimo iż objęła na dobre tylko siedem województw, a więc niespełna połowę terytorium państwa. Rzuciła ponury cień na początki okresu powojennego i — jak to często bywało w najnowszych dziejach Europy (Hiszpania, Grecja) — poraziła społeczeństwo lękiem, stanowiąc przestrożę na przyszłość. Wszystkie następne, po 1947 roku, próby walki przeciw sowietyzacji i usiłowania liberalizacji systemu komunistycznego lub rozszerzenia zakresu swobód ludzkich i obywatelskich odzęgnywały się od bratobójczej wojny. Poznański czerwiec 1956 roku, rodzaj wyrosłego z demonstracji robotniczej powstania zbrojnego, był wyjątkiem. Nawet później, kiedy polska władza robotnicza strzelała do robotników, społeczeństwo nie próbowało odpowiadać przemocą na przemoc. Działo się tak nie tylko z uwagi na widoczną dysproporcję sił.

W latach 1946-1947 komuniści, umiejętnie wykorzystując liczne błędy polityczne i zadufanie we własne siły Polskiego Stronnictwa Ludowego, rozbili niezależny ruch ludowy, głównego reprezentanta większości społeczeństwa polskiego. Stosowano naciski, szantaże, zastraszanie, terror fizyczny, represje sądowe, fałszerstwa wyborcze. PSL okazał się — z perspektywy ponad

trzydziestu lat — kolosem na glinianych nogach. Jeszcze łatwiej poszło komunistom ze Stronnictwem Pracy.

Po likwidacji PSL (*de facto* w styczniu 1947 roku i *de iure* jesienią tegoż roku) na drodze do dyktatury monopartii pozostała PPR-owi do eliminacji tylko jedna siła polityczna, posiadająca jeszcze wpływ jeśli nie na władzę, to na opinię publiczną. Była nią Polska Partia Socjalistyczna. Proces jej likwidacji trwał nieco dłużej, a zakończył się faktycznie wczesną jesienią 1948 roku, formalnie zaś w grudniu tegoż roku. Koniec organizacyjno-polityczny będącej wszak sojuszniczką PPR „odrodzonej” PPS był nader pouczający. Można go właściwie nazwać autolikwidacją, choć cała operacja „skomunizowania socjalistów” była centralnie sterowana z Moskwy i odnosiła się do wszystkich państw demokracji ludowej. Autolikwidacji dokonali odstępcy w kierownictwie PPS i nasłane przez komunistów „wtyczki” w centralnych władzach partii socjalistycznej.

W sensie państwowo-politycznym rewolucja komunistyczna osiągnęła swe zasadnicze cele już w latach 1947-1948. Struktury gospodarczo-społeczne totalitarnego systemu komunistycznego zostały natomiast zbudowane w latach następnych (1949-1955).

Okolo 1952-1955 roku system komunistyczny w Polsce utrwalił się ostatecznie, wykazując cechy typowe dla wzorca sowieckiego, a jednocześnie ujawniając przymioty oryginalne i specyficzne. Niemal wszystko w tym systemie sprowadzało się i sprowadza do strukturalnej centralizacji dyspozycji ekonomicznych i politycznych w rękach aparatu partyjno-państwowego. Jak w każdym ustroju autorytarnym a tym bardziej totalitarnym, celem władzy jest upaństwowienie społeczeństwa. Centralne planowanie i zarządzanie gospodarką zmierza do zorganizowania i stałej kontroli społeczeństwa jako siły roboczej. Wbrew urzędowej propagandzie robotnik nie pracuje w zgodzie z autentycznymi motywacjami, w sposób racjonalny, w ramach logicznej i sprawnej organizacji, podporządkowanej prawom rozwoju gospodarczo-społecznego. Robotnik jako „urzędnik państwowy przy maszynie” jedynie wykonuje plan. System zarządzania rolnictwem ma w sobie wiele z ustroju feudalnego, tyle że rolę feudała gra państwo dysponujące wielkimi majątkami rolnymi, przymusem finansowym i zapleczem przemysłowym. Własność — tak jak przystało na feudalizm — jest podzielona.

Etatyzacja społeczeństwa obejmuje wszystkie dziedziny życia. Ludzie pozostający w okowach biurokracji są stale bombardowani scentralizowaną i intensywną propagandą rządową, co — z uwagi na zmasowanie i trwałość zabiegów „wychowawczych”

— daje pewne efekty w postaci pożądaných przez władzę postaw, reakcji i odruchów. Indoktrynacja i sterowanie społeczeństwem przez masową propagandę i upropagandowaną kulturę (radio, prasa, masówki i zebrania, wiece i szkolenia, a od połowy lat pięćdziesiątych TV) uzupełnia szkoła, wojsko i sieć organizacji zawodowych, społecznych, młodzieżowych i „politycznych” (stronnictwa koncesjonowane, Front Narodowy lub Front Jedności Narodu, prorządowe organizacje katolickie). Jedną z podstaw systemu jest nomenklatura partyjna (jeden z najważniejszych przejawów „przewodniej roli” PZPR) i opanowywanie różnych środowisk i komórek społecznych przez pracowników, agentów i współpracowników ogromnie rozbudowanego aparatu bezpieczeństwa.

W systemie PRL nie ma miejsca na życie polityczne. Władza nigdy nie miała mandatu społecznego i z reguły broniła się i broni przed jakimikolwiek wolnymi wyborami. Zrytualizowane „wybory” do sejmu i rad narodowych są fikcją i upokarzającą farsą. Głos opinii publicznej nie liczy się, lub z najwyższym trudem toruje sobie drogę, ledwie tolerowany lub kierowany na tory kontrolowanej „paraopozycji”, mającej spełniać rolę wentyla bezpieczeństwa. Rzeczywista polityka toczy się w ramach makro-systemowych, wyznaczanych przez centrum dominujące czyli Moskwę. Jest to pozbawiona skrupułów „wolnoamerykanka”, gra w niewielkich grupach w obrębie modelu oligarchiczno-koteryjnego. W tej grze instytucjonalną przewagę ma tzw. pierwszy czyli szef partii. Regułą jest arogancja niekontrolowanej władzy oraz niejawnosc rozgrywek wewnątrz rządzącej oligarchii. Zresztą trwale obowiązująca zasada jest następująca: niedojrzały naród należy wychowywać, a władza i tak wie lepiej. Naród powinien pracować, być posłuszny, manifestować i nie rezonować.

Co zaliczyłbym do specyficznych cech modelu politycznego PRL?

Po pierwsze, stały opór wciąż pluralistycznego społeczeństwa przeciw postrewolucyjnej, arbitralnej władzy a więc niepoddanie się narodu obezwładniającemu lękowi „ostatecznej normalizacji”.

Po drugie, periodyczne bunty (tzw. kryzysy) społeczeństwa, raz mające charakter bardziej polityczny, skierowany przeciw podstawom systemu wewnętrznego i systemowi zależności (1956, 1968), innym razem przeciw polityce gospodarczej i socjalnej oraz pogarszającym się warunkom życia (1970, 1976).

Po trzecie, siła i prestiż moralny ale jednocześnie polityczny Kościoła katolickiego, wobec którego partia musi iść na ustępstwa.

Po czwarte, zachowanie indywidualnego rolnictwa i miejskiego sektora prywatnego.

Po piąte, zachowanie przez władzę — z konieczności, nie z chęci — pluralizmu politycznego i kulturowego (nie w 100 % fasadowego).

Dziś Polska znajduje się w stanie głębokiego kryzysu. Zawaliło się niemal wszystko to, co Polacy uznawali za choćby skromne osiągnięcia okresu powojennego. Mam oczywiście na myśli pozytywne rezultaty rewolucji komunistycznej i dorobek PRL. Ostatnimi czasy, rzecz poniekąd zrozumiała, mówi się więc często o zerowym koncie komunistów po stronie „ma” i gęsto zapisanym po stronie „winien”. W tych nazbyt gorących ocenach nie bierze się pod uwagę dorobku, który jest dziełem nie partii (jak sama to stale głosi), lub tylko częściowo partii, lecz społeczeństwa. Pisanie historii PRL wyłącznie czarnym atramentem nie da w rezultacie historii prawdziwej.

Jedno nie ulega wątpliwości. Przesunięte na Zachód obecne granice Polski, stanowiące ramy terytorialne, w jakich żyje naród polski, są korzystne pod względem geopolitycznym, gospodarczym i komunikacyjnym (jedynym minusem jest przyłączenie do ZSSR północnej części dawnych Prus Wschodnich z Królewcem, a więc ziem, które — wystarczy rzut oka na mapę — stanowią logiczne uzupełnienie polskiego terytorium narodowo-państwowego). Są to — jak wiadomo — granice „jałtańsko-poczdamskie”, postulowane i broniące przez polskich komunistów. Krytycy terytorialnego kształtu PRL wysuwają dwie tezy. Pierwsza głosi, że nowe granice przytroczyły nas politycznym przymusem i nieustającą „wdzięcznością” do rydwanu sowieckiego i umocniły „protekcję” Moskwy. Druga, że straciliśmy odwiecznie polskie miasta: Wilno i Lwów. Pierwsza teza jest w znacznej mierze słuszna, lecz bez głębszego oddechu historycznego. Jest wszak w długotrwałym interesie Polski utrzymanie dzisiejszego terytorium państwowego. Teza druga, też słuszna w abstrakcyjnym założeniu, zawiera w sobie ogromne niebezpieczeństwo, nawiązując do czasu przeszłego dokonanego a nawet czasu zaprzęskiego. Gdyby miasta te powróciły do Polski, powróciłby też problem dawnych konfliktów narodowościowych. W naszym interesie leży, by Wilno — jak zawsze — pozostawało stolicą Litwy, lecz Litwy niepodległej, a Lwów miastem zaprzyjaźnionej z nami niepodległej i demokratycznej Ukrainy.

Repatriacja, zasiedlanie Ziemi Odzyskanych oraz odbudowa kraju i intensywna pierwsza industrializacja z lat pięćdziesiątych, wszystko to wiązało się z istną wędrówką mas ludzkich. Prze-

mieszczanie się terytorialne, a więc mobilność horyzontalna, wiązało się jak najściślej ze wzmożonymi kontaktami międzyrodzimi i międzyklasowymi, a więc mobilnością wertykalną. Dało to w rezultacie wzmożoną integrację narodu i egalitaryzację społeczeństwa. Polacy, jak nigdy dotąd, poznali się wzajemnie, odczuli wspólnotę losu, zadzierzgnęli więzy solidarności. Po unifikującej „szkole wojennej” przyszła „szkoła powojenna”. Owe „szkoły” przyniosły pewne nauki, które — mimo działań dezintegracyjnych prowadzonych przez totalitarne państwo — wydały w 1956 i 1980 roku owoce niechciane przez aparat PZPR: pogłębienie świadomości narodowej i wiarę społeczeństwa we własne siły, w swą podmiotowość.

Industrializacja i urbanizacja, mimo wszelkich nonsensów, błędów i ogromnych kosztów społecznych, przyniosła niemałe efekty, przeobrażając cały kraj. Nastąpił ogromny wzrost sił wytwórczych, prawda że często karygodnie marnowanych, i powstała nowa klasa robotnicza, wielka siła, która — choć przez większą część historii PRL niema — nie pozwoliła na totalne upaństwowienie i ubezwłasnowolnienie społeczeństwa.

Ogromne znaczenie miała też głęboka rewolucja oświatowa. Komuniści zaplątali się w dziedzinie kultury i oświaty w groźne dla nich a nierozwiązalne sprzeczności: nawiązali niewątpliwie do dobrych, socjalistycznych tradycji upowszechniania oświaty, rozwoju nauki i szerokiego dostępu do dóbr kultury, a jednocześnie starali się administracyjnie a raczej biurokratycznie i nakazowo sterować kulturą, indoktrynować edukację, ograniczać swobodę myśli i wolność druku, pętać środowiska naukowe i twórcze grubym powrozem cenzury. Nauka, literatura i kultura artystyczna rozwijały się jednocześnie dzięki władzy i wbrew niej, lecz to, co najwartościowsze, bardziej wbrew niż dzięki „państwu ludowemu”. Inteligencja, a zwłaszcza środowiska intelektualne w swej znacznej większości nie dały się „upaństwowić”, a często stały na czele ruchów oporu społecznego i narodowego.

U genezy Sierpnia

Kilka strukturalnych, głębokich przyczyn legło u genezy rewolucji sierpniowej 1980 roku. Jest oczywiste, że powodowały one również wybuchy niezadowolenia i kryzysu poprzedzające to, co rozpoczęło się latem 1980 roku.

Wyróżnić należy tu trzy najważniejsze przyczyny. Pierwsza to sprawa braku niepodległości (naród a ZSSR), druga to problem

konfliktów klasowych i szerzej społecznych (państwo a społeczeństwo), trzecia wreszcie to zagadnienia ideowo-moralne (hasła a rzeczywistość; słowa a czyny).

Znaczna większość starych komunistów polskich nie czuła żadnego związku z aspiracjami narodowymi i niepodległościowymi Polaków. Sytuacja ta uległa niewątpliwie stopniowej zmianie podczas drugiej wojny światowej i po jej zakończeniu. Rzecz w tym, iż PPR-owcy i PZPR-owcy jako jednostki bywali patriotami, podczas gdy partia jako instytucja pozostawała „ponadnarodowa” (oficjalnie: internacjonalistyczna), będąc częścią światowego ruchu komunistycznego z centrum w Moskwie. PZPR jako partia złożona z Polaków a zarazem integralna część „blokowego” systemu i ruchu komunistycznego rozrywana była sprzecznościami. KPZS dała polskiej partii mandat na rządzenie społeczeństwem polskim, a więc na pewien ściśle określony zakres jego autonomii. Lecz rządzić Polakami i PRL-em nie jest łatwo. Toteż w PZPR stale walczą tendencje jak najściślejzego podporządkowania się ZSSR i kopiowania jego metod systemowych oraz nurty „liberalne” i „narodowe”, które — pod wpływem nastrojów i żądań społeczeństwa — opowiadają się za maksymalną w naszych warunkach autonomią narodową. Walka ta trwa już długie lata, przy czym z reguły zwycięża tendencja „internacjonalistyczna”, przybrana coraz większą liczbą ozdób patriotycznych.

Polacy doskonale zdawali sobie sprawę, począwszy od 1947 roku, że bezpośrednia, frontalna i samotna walka przeciw ZSSR i podporządkowanej mu partii polskiej nie ma szans powodzenia. Biorąc pod uwagę geopolityczną sytuację Polski, potęgę protektora i światowe realia polityczne zaaprobowali z konieczności (i z goryczą w sercach) jej związek z Układem Warszawskim i RWPG. Wskutek przekonania do komunizmu a znacznie częściej z rozsądku, przystosowania, oportunistycznego, przyzwyczajenia i rezygnacji przyjęli też do akceptującej wiadomości podstawowe reguły, na jakich opiera się ustrój PRL. Zachowując jako marzenia lub perspektywiczny cel odzyskanie niepodległości, znaczna liczba Polaków, przyjąwszy za smutną rzeczywistość „realny socjalizm”, krytykowała jego konkretny kształt, jego aspekty odblaskowe, biernie zapożyczone lub narzucone, i starała się ów system maksymalnie spolonizować.

Polskie „uczulenie na niepodległość” sprawiło, że większość społeczeństwa (przynajmniej w okresie 1956-1981) uznawała rząd PRL i PZPR za instytucje polskie, z tym jednak, że za mało polskie, zbyt uległe i płaszczące się przed — jak to określono —

„wielkim bratem”. Uważano dość powszechnie, iż władza nie wykorzystuje w ramach istniejących warunków „ograniczonej suwerenności” wszystkich istniejących możliwości dla zaprezentowania swoich odrębnych — zgodnych z odczuciem społeczeństwa — poglądów w niektórych ważnych sprawach wewnętrznych i międzynarodowych.

Traktowanie władz naczelnych PRL jako świadomie i ochoczo podległych sąsiedniemu sojuszniczemu mocarstwu opierało się na smutnym doświadczeniu: komuniści stale gloryfikowali sowieckie osiągnięcia, a ultrakrytycznie oceniali własną, narodową historię i tradycję, nie licząc się z polskimi uczuciami i ambicjami. W szczególności społeczeństwo krytykowało nierównoprawny charakter handlu z ZSSR (sprawa węgla, ropy naftowej, statków pełnomorskich, żywności itd.), i nadrzędność decyzji ZSSR w sprawach kadrowych PRL (politycznych i wojskowych). Polacy żywili zasadnicze wątpliwości co do konieczności stałego i jednoznacznego popierania stanowiska i polityki ZSSR w każdej kwestii międzynarodowej. Propaganda oficjalna PRL głosi, że poza wielkimi mocarstwami wszystkie kraje świata mają obecnie w pewnej mierze ograniczoną suwerenność. Przeciętny Polak odpowiada na to, że chciałby takiej ograniczonej niepodległości, jaką posiada RFN lub Hiszpania, a nawet uważałby za korzystny status międzynarodowy takich państw jak Finlandia. Propaganda PZPR, mówiąca wiele o naszej niepodległości, jest sprzeczna z praktyką rządową. Powoduje to stałą irytację i frustrację społeczeństwa polskiego. Zauważmy, że w okresach relatywnej stabilizacji „władzy ludowej” zbliżamy się we wszystkim, co oficjalne (z frazeologią i ceremoniałem państwowo-ideologicznym włącznie) do niedościgniętego wzorca sowieckiego (w okresach tych głosi się hasło „stale pogłębiającej się, niewzruszonej przyjaźni polsko-sowieckiej”), podczas gdy w czasach naporu społecznego na władzę i żądania reform systemu podkreśla się w środkach masowej komunikacji naszą specyfikę i oryginalność (wtedy „przyjaźń” zastępowana jest często przez inną nazwę: „sojusz polsko-sowiecki”).

Dla ogromnej większości społeczeństwa niepodległość państwa i godność narodu to wartości najwyższe. Dla wąskiej elity władzy tak nie jest. Najwyższe kadry aparatu państwowo-partyjnego — jak głosi potoczna opinia — już stanowią zamieszkałą w Polsce część składową narodu sowieckiego, gotowe w razie zagrożenia ich monopolu władzy na przyjęcie każdej „bratniej pomocy” do zbrojnej włącznie.

Sprzeczność między postawą rządzącego aparatu państwowo-

partyjnego a znaczną większością społeczeństwa w kwestii niepodległości była jedną z najistotniejszych przyczyn niestabilności PRL i narastania narodowej rewolucji.

Drugą przyczynę jej wybuchu w 1980 roku stanowił splot konfliktów społecznych. Państwo zmierzało do upaństwowienia społeczeństwa, społeczeństwo zaś pragnęło uspołecznienia i demokratyzacji państwa.

Wspominałem już o przeobrażeniach społecznych w PRL, o nowej klasie robotniczej, o przemianach w łonie chłopstwa, o inteligencji. Do zrozumienia układów społecznych to jednak nie wystarcza. W ramach upaństwowianego społeczeństwa powstawały nowe pod względem funkcjonalnym warstwy oraz paraklasowe formacje społeczne, uprzywilejowane i półprzywilejowane. Zmieniały się też nieuniknienie zadania i miejsce w społeczeństwie klas starych. Tworzenie się nowych struktur i współzależności społecznych stało się nieuniknione w komunistycznym systemie społeczno-politycznym, a więc biurokratyczno-totalitarnym modelu socjalizmu.

Na samej górze piramidy społecznej mocno się usadowiła nieliczna (łącznie z rodzinami około 8 tysięcy osób) elita władzy, „burżuazja polityczna” lub lepiej klasa polityczna, bo w zasadzie jedyna, która prowadziła grę polityczną. Dość ściśle zamknięta, oligarchiczna w stylu działania, podzielona na grupy i podgrupy, nieraz skłócona, stoi — zjednoczona w potrzebie — na straży swych interesów klasowych. Przyzwyczyła się do gwarantowanego przez nomenklaturę (sam rdzeń „demokracji socjalistycznej”!) posłuchu ze strony średniego i niższego aparatu, stanowiącego kościec systemu, i do należnych przywilejów. Oznakami przynależności do *classe privilégiée* były kolejno: deputaty, „żółte fi ranki”, zachodnie samochody, koperty bez listu a z banknotami, luksusowe mieszkania o „nadstandardzie”, dacje, wille-pałace, tak indywidualne jak „zapołowe”, czyli przynależne do kasty. Oznaką zamknięcia się konfraterni decydentów, zwanych przez lud „właścicielami Polski Ludowej”, był dekret o przywilejach indywidualnych i rodzinnych wydany w 1972 roku, a określane często jako „feudalizacyjny”.

Oligarchia rządząca, coraz bardziej oderwana od szerokich rzesz społeczeństwa, mówiąca odrębnym językiem a raczej *slang*'iem, nie mogłaby wypełniać swych funkcji bez istnienia swoistej tkanki łącznej, to jest znacznie liczniejszej od oligarchii warstwy pośredniej (trudno określić jej liczebność, lecz wydaje się, że wchodziło do niej w latach siedemdziesiątych blisko milion ludzi, oczywiście z rodzinami), usługowej i posłusznej wobec

elity. Tak więc w ciągu paru dziesięcioleci ukształtowała się, a rozpanoszyła w latach siedemdziesiątych „socjalistyczna klasa średnia”. W jej skład weszły różne grupy: średni aparat partyjny, znaczna część aparatu państwowego (biurokracja polityczna, gospodarcza i związkowa), kadra wojskowa, aparat przymusu i represji (MO, SB), poważna część dyspozycyjnego środowiska dziennikarskiego i biurokracji naukowej.

Klasa średnia, mniej uprzywilejowana od wyższej, a znacznie bardziej ruchliwa, rekrutowała się z różnych warstw społecznych (spora część wywodziła się z chłopstwa) na zasadzie selekcji negatywnej. To w jej łonie formowały się klikki — często skorumpowane do szpiku kości i korumpujące z kolei robotników, chłopów i drobnych urzędników — dobrze urządzone, cyniczne, wrocie wszelkim innowacjom i jakiegokolwiek kontroli społecznej, konserwatywne, antyinteligentkie, szermujące sloganami populistycznymi. Poziom intelektualny i fachowy „socjalistycznej klasy średniej” przedstawiał się źle.

Zarówno w łonie klasy średniej jak elity nigdy nie brakło ludzi uczciwych, oddanych humanistycznym zasadom socjalizmu, rozumnych i świątłych. Stanowili jednak drobną mniejszość. Panująca zasada i praktyka przywództwa, hierarchiczności i dyspozycyjnego posłuszeństwa oraz selekcji negatywnej sprawiała, iż czynnikiem decydującym byli nie lepsi, lecz gorsi reprezentanci dwóch członów klasy rządzącej. W kraju szczytującym się wysoką kulturą wysocy funkcjonariusze partyjni i ministrowie mówią fatalnie po polsku, nieraz z nieuctwa, czasami celowo i świadomie, by podkreślić swój (jedyiny zresztą) związek z masami.

Nie kontrolowany demokratycznie przez społeczeństwo, niekompetentny a wysoce represyjny aparat państwa, popełniający oczywiste dla każdego, absurdalne błędy w polityce gospodarczej, społecznej i kulturalnej i w zarządzaniu państwem uważał się zawsze za uosobienie mądrości i za rzecznika interesów narodu, którego nie znał. Władza lekceważyła społeczeństwo a jednocześnie się go bała. Nader często rządzący traktowali społeczeństwo jak stado baranów. Z wzajemnością zresztą. Gdy władza mówiła „my”, udawała, że przemawia w imieniu i w interesie wszystkich, a w praktyce wypowiadała się tylko w imieniu własnym. Masy mówiły „my” o sobie, a na górze — coraz bardziej dalecy — byli „oni”.

Rosnąca przepaść między rządzonymi i rządzącymi, marnowanie wysiłku, rozumu i talentów robotników, chłopów i inteligencji przez nieudolne a zadufane w sobie, polegające na sile aparatu przymusu warstwy kierowniczej, rodziły głębokie urazy, antago-

nizmy, brak zaufania i w końcu obcość. Były to konflikty i sprzeczności brzemiennie wybuchem.

Trzecia z przyczyn Sierpnia, wynikająca bezpośrednio z dwóch pierwszych, dotyczyła sfery ideowo-moralnej. Sądzę, iż była ona niezmiernie ważna, ponieważ racje moralne ukształtowały w znacznej mierze oblicze, etos i atmosferę rewolucji 1980 roku. Niezrozumienie lub niedocenyenie roli czynników moralnych (nazywa się je często moralnością neoromantyczną) w kryzysie polskim lat siedemdziesiątych i w rewolucji oznaczało i oznacza niezrozumienie specyfiki polskiej historii bieżącej.

Elita władzy i klasa średnia uległy w latach siedemdziesiątych całkowitej „dezideologizacji”. Zresztą nie tylko ideologia, lecz wszelka ideowość traciła w tych warstwach na znaczeniu. Z prawdy i prawdomówności robiono sobie pośmiewisko. Na miejsce wartości ideowych przychodziła cyniczna deklamacja o „zaangażowaniu”. W hierarchii wartości humanistyczne idee socjalistyczne znalazły się na samym dole, jako niepotrzebny i niespójny zbiór pięknoduchowskich marzeń. Zastępował je nagi kult władzy i bogactwa. Styl życia i hasła powtarzane zrazu szeptem, później pełnym głosem, nawiązywały do ideałów i zachowań drobnomieszczańskich i „lumpenburżuazyjnych”. Starano się nimi zarazić klasy ludowe i czyniono to z pewnym powodzeniem. Zwłaszcza urzędników i robotników oplątano siecią „układów”, korumpowano, migotano przed oczami fałszywym blaskiem wzorców konsumpcyjnych.

W ten sposób budowano na fundamentach „małej stabilizacji” lat sześćdziesiątych struktury mentalności feudalno-hierarchicznego, typowo trzecioświatowego „konsumpcyjnego społeczeństwa niedorozwoju”. Nowobogactwo, demoralizacja i korupcja, zakłamanie i cynizm, snobizm i dygnitarstwo, pogarda „właścicieli Polski Ludowej” okazywana rodzimemu „plebsowi”, „robotom” i „ludkom”, kult stabilizacji budowany zastraszeniem, siłą lub przekupstwem, wystawność, pusta ceremonialność i ostentacyjny antyegalitaryzm, tępy nacjonalizm a nawet rasizm (głównie antysemityzm), wszystko to sprawiło, że znaczna część warstw rządzących, pielęgnując oficjalne marksistowskie doktrynerstwo i komunistyczną frazeologię, stawała się... groźną siłą antysocjalistyczną.

Komunizm w jego stalinowskiej wersji (jeśli w ogóle istnieje inna) wychowuje swego własnego grabarza. Powołując się na socjalizm, upowszechniając pisma socjalistyczne (nie wszystkie, to prawda), zaraża masy pracujące ideami socjalistycznymi. Lu-

dzie konfrontują totalitarną i antysocjalistyczną rzeczywistość „realnego socjalizmu” z wizją Marksa, z założeniami pięknych konstytucji „ludowych” a także w Polsce — z tradycją PPS i występują przeciw komunizmowi w imię socjalizmu. Nie jest to oczywiście szybkie przebudzenie ani też proces automatyczny. Deprawacja moralna, jaką niesie stalinizm w jego poststalinowskiej, łagodnej i konsumpcyjnej wersji, czyni znaczne spustoszenia (zasada „kombinowania” i dewiza „śmierć frajerom”). Mimo to pojawiają się, zwłaszcza wśród młodzieży, całkiem samorzutnie, idee i „odruchy” demokratyczno-socjalistyczne. W latach 1976-1980 nowego blasku nabrały w Polsce hasła wolności, równości, sprawiedliwości, godności człowieka, demokracji i samorządności.

Zaktywizowały ten słaby początkowo, samorzutny nurt moralnego odrodzenia demokratycznego i socjalistycznego, myśli i działania różnych grup opozycji demokratycznej. W samej PZPR zaczęli występować z krytyką systemu socjaliści, których nigdy z partii nie zdołano całkowicie wyeliminować. Myśl socjaldemokratyczna była też obecna w Komitecie Obrony Robotników, a następnie w KSS „KOR” (choć to organizacja wieloświatopoglądowa), w Towarzystwie Kursów Naukowych i w środowisku konwersatorium Doświadczenie i Przyszłość (DiP), w końcu w ruchu Wolnych Związków Zawodowych.

Drugim, silniejszym zresztą nurtem moralnego odrodzenia i zarazem moralnego protestu przeciw złu i kłamstwu w życiu społecznym i politycznym był katolicyzm. Mimo stosunkowo pozytywnego ułożenia stosunków między państwem i Kościołem katolicy polscy wciąż stanowili (nie licząc oczywiście koncesjonowanych prorządowych organizacji typu PAX) największą w PRL „mniejszość narodową”, obejmującą znaczną większość społeczeństwa. Wierzący i praktykujący Polak pozostawał w epoce Gierka typowym obywatelem drugiej kategorii, a więc zupełnie pozbawionym wpływu na życie publiczne, jeśli nie liczyć farsy wyboarów do sejmu, do których go nakłaniano z coraz mniejszym skutkiem, człowiekiem bez szans na awans w życiu publicznym i karierę polityczną.

Tymczasem reforma Kościoła, który zwrócił się bardziej niż kiedykolwiek ku ludziom z tego świata i podjął po nowemu sprawy społeczno-moralne, pobudziła myśl społeczno-katolicką i aktywność publiczną katolików w Polsce. Następował proces odrodzenia, a nawet rewolucji moralnej. Objęły one wrażliwą i coraz lepiej wykształconą młodzież, wpięrow studencką i szkolną, później robotniczą. Jednocześnie część środowisk katolickiej inte-

ligencji, skupionych wokół „Znaku”, „Więzi” i Klubów Inteligencji Katolickiej, powodowana troską o sprawy kraju i narodu, zbliżyła się do inteligencji o postawie laickiej, liberalnej i socjalistycznej. Wokół KOR-u, stanowiącego a raczej stojącego się wraz z innymi ugrupowaniami opozycji demokratycznej zorganizowaną elitą polityczną „opozycyjnego społeczeństwa”, tworzyć się zaczął szeroki ruch odnowy społeczno-moralnej. Katolicy wnieśli doń zarówno tradycyjne wartości chrześcijańsko-narodowe, jak świeże treści nowej myśli społecznej Kościoła. Ucieleśniali protest przeciw fałszowi i dwulicowości, proponowali pokojową walkę o prawa swoje i całego społeczeństwa, o prawdę w historii i w życiu publicznym, o moralne rygory w życiu narodu.

W czasie, gdy kraj staczał się w coraz głębszy kryzys, ukazujący moralną nicość i niesprawność ustroju oraz krach ekonomiczny systemu komunistycznego, a władza mimo to nie zaprzestała dąć w trąby propagandy sukcesu, ferment polityczny i protest moralny przeciw zastanej rzeczywistości osiągnął już zauważalny poziom. Wtedy to właśnie kardynał Karol Wojtyła został papieżem Janem Pawłem II. Powszechnie odczuto w Polsce ten wybór jako ogromną zmianę w życiu narodu, który zyskał duchowego przywódcę o ogromnym autorytecie. Wiara i nadzieja przestały być dla Polaków pięknym ale tylko odświeżającym hasłem. Stały się siłą. Wizyta papieża w Polsce stanowiła wydarzenie o ogromnej doniosłości. Znaczna większość społeczeństwa zrozumiała od czerwca 1979 roku, że — zjednoczona i solidarna — jest wielką potęgą, że „oni” są moralnym zerem, fasadą, że tak naprawdę są narodowi obcy. Polski naród stawał się po wizycie papieskiej duchowo niepodległy. Niebawem zapragnął rękami robotników sięgnąć po niepodległość pracy, po wolność narodu, po samostanowienie, po nadzieję na uspołecznienie państwa.

Revolucja 1980 roku

Wbrew potocznym mniemaniom o niemożliwości pisania historii bieżącej wobec braku dostępu do wielu źródeł i braku tzw. dystansu, dzieje rewolucji 1980 roku, a więc tego, co zaszło w Polsce w latach 1980-1982, napisać można i to nie tylko w konwencji opracowania kronikarskiego. Nie stawiam sobie jednak takiego zadania. Pragnę przedstawić jedynie garść refleksji a może raczej przyczynków do zrozumienia rewolucyjnego procesu ostatnich lat.

Dyskutowanie nad nazwą rewolucja w odniesieniu do tego,

co rozpoczęło się w lipcu-sierpniu 1980 roku uważam za niepotrzebne. Nawet dość liczni w „Solidarności” tradycjoniści, którzy rewolucję utożsamiają z brutalną przemocą, z marksizmem, komuną, barykadami, gilotyną i tym podobnymi rekwizytami, ci więc, co odzegnując się od lewicy mówią o sobie bardzo głośno, że są reformistami, pacyfistami, że kochają tylko ewolucję (!), a wzdrygają się na każdą myśl o rewolucji, już chyba wiedzą lub niezadługo zrozumieją, iż robili lub przeżywali rewolucję.

Wszyscy właściwie zadajemy sobie mnóstwo pytań, krtusimy się nimi, konstatujemy, że na niektóre nie ma lub jeszcze nie ma odpowiedzi, że na inne — przypominające kwadraturę koła — nigdy odpowiedzi nie będzie. Czym był ten ruch? Jaki był realny zasięg społeczny rewolucji? W jakiej dziedzinie najwięcej dokonała? W czym stała się nieodwracalna? Czy rzeczywiście rewolucja została pokonana i co to właściwie znaczy?

Nie warto mnożyć pytań. Przechodzę do uwag i refleksji, które pomoc mogą w sformułowaniu niektórych odpowiedzi.

Rewolucja 1980 roku wiele miała celów i wiele imion. Tak wielu ludzi widzi ją dziś, z bliskiej odległości. Przyjdzie jeszcze czas na próbę jej syntetycznej oceny, na ukazanie jej istoty. Teraz wymienimy jej imiona.

Była to od pierwszej chwili rewolucja robotnicza. Protest strajkowy w stoczni gdańskiej nie stanowił buntu socjalnego o rewindykacyjnym, ekonomicznym charakterze. W systemie komunistycznym, w upaństwowionej gospodarce każdy strajk ma z natury rzeczy charakter polityczny, kontestatorski, „antypaństwowy”. Od samego początku ruch rewolucyjny przyjął formę syndykalistyczną. Nie może dziwić, że rewolucja robotnicza, która starła się z „państwem robotniczym”, nabrała cech anarcho-syndykalistycznych. Wyrosła ze środowiska proletariackiego „Solidarność” nigdy nie odwoływała się tylko do robotników. (Zresztą u boku stoczniowców byli od początku intelektualiści). Niezależny związek mówił o ludziach pracy, o społeczeństwie (typowe dla anarcho-syndykalizmu przeciwstawienie: społeczeństwo — państwo), o narodzie (element znamieny i specyficznie polski, odwołujący się do ludu-narodu, nacji zależnej, pozbawionej suwerennego, niepodległego państwa). „Solidarność” budowała swą siłę jako swoiste „państwo związkowe”. Znamienne też, iż przyjęła strukturę terytorialną (regiony!), co normalne w anarcho-syndykalizmie, że na czoło wysunęła „święte” dla anarcho-syndykalistów słowo solidarność. Oznaczała ona braterską więź nie tylko robotników, lecz całego ludu, wszystkich pokrzywdzonych,

których gnębi potężny aparat państwowy. I wreszcie wiara Związku we wszechmoc strajku w ogóle (stąd jego nadużywanie), a strajku generalnego w szczególności (Stefan Żeromski pisał kiedyś — gdy był zafascynowany ruchem syndykalistycznym — o broni ostatecznej, „generalnej grewie”, owej francuskiej *grève générale* czy hiszpańskiej *huelga general*).

W łonie „Solidarności” żymano się na jakiegokolwiek przyznanie się związkowi do tendencji anarcho-syndykalistycznych, uważając, iż jest to woda na młyn rządowej propagandy, przedstawiającej związkowych ekstremistów jako anarchistów. Z uwagi na minimalną wiedzę społeczeństwa o anarchizmie a także udaną w tej sprawie indoktrynację komunistyczną (anarchia to chaos, bałagan, bezrząd, samowola, przestępczość, zerwanie wszelkich więzów społecznych i moralnych) niezależny ruch związkowy cofnął się, po części pod wpływem zawsze państwowotwórczego Kościoła, przed odwoływaniem się do anarcho-syndykalizmu. Symbole jednak pozostawił. Wypada się wszakże zastanowić, czy można skutecznie walczyć z monopolistycznym molochem państwowym odrzucając całkowicie myśl, praktykę i metody anarcho-syndykalizmu.

A więc rewolucja 1980 roku była robotnicza, ludowa i po części anarcho-syndykalistyczna. A skoro tak, to z natury rzeczy musiała być demokratyczna i samorządowa. Demokratyzm oznaczał jawność życia związkowego i politycznego, podejmowanie decyzji przez większość, działanie na wszystkich szczeblach w strukturach powstałych w wyniku wolnych, demokratycznych wyborów (inflacja głosowań w „Solidarności” rzucała się każdemu w oczy!). Ponieważ rewolucja nie chciała przemocy, lecz porozumienia, domagała się też jawności prowadzonych z władzami rokowań.

Tu należy się drobna uwaga leksykalna. Komunistyczny *establishment* nie może frontalnie zaatakować demokratyzmu i demokracji (wszak jest demokracji rzecznikiem, buduje i nieustannie pogłębia demokrację socjalistyczną). Dlatego termin demokracja pozostawia dla określenia własnej dyktatury, a dla określenia przeciwnika musi znaleźć termin zastępczy, bardzo zresztą w warunkach polskich wygodny: anarchia. A owa anarchia to wszak rozpasanie demagogicznych żywiołów, nawiązanie do złych tradycji szlacheckiej złotej wolności, to brak szacunku dla władzy i zgubna maniera patrzenia jej na ręce.

Była rewolucja 1980 roku ruchem odrodzenia moralnego, idealistycznym i po trosze utopijnym, przesiąkniętym treściami religijnymi i humanistyczno-socjalistycznymi, dążącym do brater-

stwa, solidarności, prawdy. Dlatego jej przywódca i symbol — Lech Wałęsa cieszył się autorytetem moralnym. Nie był i być nie mógł wodzem czy dyktatorem.

W okresie rewolucji mówiono zamiennie społeczeństwo lub naród. Nurt „modernizatorski” wolał termin społeczeństwo, „tradycjonalistyczny” zaś naród. Ten podział — wbrew pozorom i ludzkim skłonnościom do schematyzmu — nie pokrywa się (lub ostrożniej: niekoniecznie się pokrywa) z podziałem na nurt laicki i katolicki (socjaldemokratyczny? chadecki?) lub radykalny i umiarkowany, czy wreszcie reformistyczno-samoograniczający się i „insurekcyjny”. Wszystko to w końcu są rozważania nieistotne o tyle, że dla każdego jest jasne, że ruch rozpoczęty latem 1980 roku stanowił rewolucję patriotyczną, narodową, demokratyczno-niepodległościową, walczącą o podmiotowość i niezależność społeczeństwa-narodu-państwa. Od sierpnia 1980 roku po manifestacje z 3 maja lub 31 sierpnia 1982 roku rewolucja była biało-czerwona. Ktoś powiedział, że gdyby Polska była niepodległa, a jednocześnie rządzona po dyktatorsku lub wręcz totalitarnie i gdyby w takiej Polsce wybuchła robotnicza i demokratyczna rewolucja, to stworzona przez nią „Solidarność” miałaby emblematy czerwone, czarno-czerwone, zielone czy jakiegokolwiek inne. W warunkach istnienia PRL rewolucja musiała być biało-czerwona, narodowa. Znamienne, iż podczas rebelii 1956, 1968 i 1970 unosiły się ponad tłumami demonstrantów przemieszane dźwięki „Mazurka Dąbrowskiego”, „Międzynarodówki” i „Boże coś Polskę”. Po Sierpniu na ulicach polskich miast „Międzynarodówka” była już trwale nieobecna. Nastąpił okres odgrywania jej z taśm na oficjalnych uroczystościach.

Wiele mówi się i pisze o sprawie zasięgu społecznego (masowości) i przestrzennego rewolucji. Zaczniemy od ram geograficznych. Przyjmowano i przyjmuje się, iż rewolucja objęła całe terytorium PRL oraz Polonię. Czy rzeczywiście tak? Przecież na niektórych obszarach peryferyjnych, po drobnych miasteczkach i wsiach, rewolucja była ledwie obecna, a stare układy przetrwały prawie bez zmian. Rewolucja była rzeczywiście silna w wielkich ośrodkach przemysłowych i największych aglomeracjach miejskich. Zasięg geograficzny ruchu odpowiadał w praktyce zasięgowi społecznemu, ściślej kolejnemu przyłączaniu się do rewolucji poszczególnych klas, warstw i środowisk społecznych. Początkowo dominowała wielkoprzemysłowa klasa robotnicza i środowiska inteligencji twórczej, później stopniowo dołączały kolejno oddziały klasy robotniczej i „drobnej inteligencji”, w końcu chłopci. Do kręgów ludzi nie aktywnych zawodowo i mieszkańców małych

miast rewolucja właściwie nie dotarła, a w każdym razie nie objęła ich na dobre swymi wpływami.

„Solidarność” powtarzała stale, że reprezentuje liczbowo co najmniej trzy czwarte dorosłego społeczeństwa, a reprezentuje ideowo jeszcze większą część narodu. Władza uważała, iż tak nie jest, a po 13 grudnia 1981 roku wywodziła z coraz większym naciskiem, że właściwie NSZZ „Solidarność” nie była wcale potęgą, a od lata 1981 roku stale słabła. Jesienią 1982 roku — jak się oświadcza w środkach masowego przekazu — pozostały na scenie tylko grupy nieprzejednanych ekstremistów. Tezy rządowe są odzwierciedleniem klasycznych metod socjotechniki i historiozofii kontrrewolucji i restauracji. Oto lud, w gruncie rzeczy posłuszny, spokojny, porządny i popierający zastany, więc normalny ustroj a później — kiedy spadną mu łuski z oczu — normalizację, został otumaniony i oszukany przez spiskowe i mafijne grupki wicherzycieli, demagogów i polityków lub szaleńców nie dbających o prawdziwe interesy narodu. Niektóre z tych grupki były indoktrynowane i inspirowane przez obce, wrogie ośrodki, nieraz wręcz przez nie opłacane. Rzecz w tym, iż sprzeczne kwantytatywne szacunki sił rewolucji, mające po obu stronach charakter propagandowy, nie są w istocie tak bardzo ze sobą sprzeczne. Postaram się to wyjaśnić.

Rewolucja była z pewnością ruchem masowym i wieloklasowym. Cóż to jednak znaczy w praktyce? To, że w okresie najwyższego jej wzniesienia zaangażowało się w nią około miliona aktywnych, świadomych i zdecydowanych ludzi, którzy silnie oddziaływali na kolejny parumilionowy krąg osób przekonanych, lecz mniej już wciągniętych do ruchu i ośmio- czy dziewięćmilionowy krąg dalszy, złożony z „popierających pół-czynnie”. Dalej byli już ludzie mało rozbudzeni politycznie, lękliwi, zatroskani wyłącznie arcytrudną codziennością, niektórzy sympatyzujący biernie z najogólniej rozumianymi hasłami „Solidarności”, inni niechętni jej ze strachu, z oportunistycznym, z wieloletniego nawyku posłuszeństwa i przystosowania, albo po prostu wyczekujący „kto wygra”. Gdy rewolucja ponosi porażki, cofa się, z reguły szybko maleje liczba aktywistów, a kręgi popierające lecz mało zaangażowane zaczynają swą sympatię do przegrywającej sprawy głośić wprawdzie półgłosem, później szeptem, a wreszcie „dają się przekonać” realistom. Proces depolityzacji i prywatyzacji celów, zawsze popierany przez „realny socjalizm” rozszerza nieuchronnie swój zasięg w okresie odpływu rewolucji i sukcesów restauracji.

Wszystko to jest procesem naturalnym i w pewnym sensie powtarzalnym. Przecież gdy mówimy, że naród polski kilkakrot-

nie zrywał się do walki, organizując wielkie powstania narodowe, to uogólniając, co uprawnione, kłamiemy, gdyż to nie był nigdy — i być nie mógł — cały naród. W XIX wieku wszczyniała powstania i walczyła znikoma mniejszość społeczeństwa (może 2 %, może 3 %). Powstania te jednak obchodziły, dotyczyły i poruszały znaczną część narodu, mimo iż większość Polaków pracowała jak mogła najnormalniej, pragnęła spokoju i porządku, nieraz potępiała młodych zapaleńców i szaleńczych „czerwieńców”, choć po cichu z ruchem sympatyzowała, a nawet czasami jego uczestnikom pomagała. Niektórzy rodacy zachowywali lojalność wobec zaborczej władzy, a po klęsce powstań głośno już krzyczeli „a nie mówiliśmy” lub „nie było trzeba chwycić za broń”. Dość liczni jednak, dzięki garstce szaleńców, czuli się Polakami, byli z Polski dumni, wspominali bohaterów i przechowywali pamiątki powstańcze. Garstka nie poddawała się uczuciu rozpacz i rezygnacji.

Można stwierdzić, że rewolucja 1980 roku porwała — jak na warunki naszego czasu, położenia i wielkości zagrożeń — znaczny odłam narodu, a stała się nadzieją jego zdecydowanej większości, że jej aktyw, acz malejący w miarę upływu czasu, pozostał — w skali porównawczej — liczny, zahartowany i odporny na porażki.

„Solidarność” z pewnością reprezentowała poglądy, a zwłaszcza uczucia znakomitej większości narodu. Była uosobieniem społeczeństwa w jego nieufności do nieudolnej władzy, w jego odruchu repulsji wobec niesprawnego systemu gospodarczego i ucisku politycznego, w odrzuceniu zależności i pół-kolonialnego podporządkowania ZSSR. Wyrażała jego wolę budowy społeczeństwa bardziej sprawiedliwego i demokratycznego, pluralistycznego, samorządnego, jego marzenia o życiu w godności i prawdzie, pragnienie zyskania prawa do kontroli nad władzą, do wolności słowa i druku, do osiągnięcia niepodległości lub przynajmniej zwiększenia zakresu podmiotowości i suwerenności państwa. „Solidarność” pragnęła porozumienia i kompromisu z władzą, znając położenie narodu i pragnąc oszczędzić mu cierpień. Rewolucja była też stale ruchem samoograniczającym swoje żądania. Skrajne były jej słowa, nie czyni i plany.

Do oczywistych prawd należy stwierdzenie, że powstania i rewolucje robi młodzież lub szerzej ludzie młodzi, nie przekraczający granicy 30-35 lat. Prawda ta w odniesieniu do rewolucji sierpniowej, do „Solidarności”, sprawdza się — powiedziałbym — w dwójnasób. Rewolucja była młoda, bo robili ją przede

wszystkim ludzie młodzi. Była też młoda, bo jej świeżość moralna, zadziorność, otwartość i prawdomówność, wybujałość i fantazja, jej atmosfera, odjęły lat wielu ludziom średniego i starszego wieku, odmłodziły społeczeństwo. Prawda, że zraziły też nie mały odłam ludzi starych, zmęczonych i zgorzkniałych, często zasłużonych dla kraju, nieraz z od dawna przetrąconym kręgosłupem, tych, co już utracili wszelkie nadzieje i woleli ich nie mieć, załęcznionych i pragnących dożyć swych dni w spokoju za wszelką cenę. Do nich to skutecznie apelowała władza, wykorzystując zrećzenie starcze fobie i zawiści (stereotypowe okrzyki i hasła: „szczeniaki sobie za wiele pozwalają”, „porywają się z motyką na słońce”, „myśmy tyrali cały tydzień, a oni chcą mieć wolne soboty”, „nie szanują władzy, lekceważą ludzi starych i doświadczonych”, „myśmy walczyli, odbudowali kraj, a oni nam zarzucają, że wszystko robiliśmy źle i doprowadziliśmy Polskę do ruiny”).

Szturmową siłę rewolucji, a także — w 1982 roku — jej ariergardę, rdzeń oporu społecznego stanowili ludzie młodzi (w znacznej przewadze mężczyźni) w wieku od 16 do 30/35 lat. Była to — przypomnijmy — większość narodu i jego przyszłość. Młodzi nie chcieli być straconym pokoleniem nie zawinionego przez nich kryzysu, pragnęli więc zmian, by niepewna i ponura przyszłość stała się jaśniejsza. Jeśli jest mało chleba, myśleli, to niech przynajmniej będzie więcej wolności. W odniesieniu do młodego pokolenia uczniów, studentów, robotników, inżynierów, lekarzy, naukowców, twórców, w mniejszej mierze urzędników i chłopów, nie sprawdziły się żadne oceny, diagnozy i badania socjologiczne. Jeszcze w 1979 roku dość powszechnie uważano (może poza środowiskami katolickimi), iż młodzież jest totalnie konsumpcyjna, dyskotekowa, leniwa, wygodna, bezideowa, a nawet cyniczna. Rewolucja miała temu zaprzeczyć w sposób wyjątkowo dobitny.

I jeszcze jedno. Na postawy młodego pokolenia wpłynęły zabiegi wychowawcze reprezentujące dwa odrębne nurty. Pierwszy, rodzinny i „podziemny”, akowski i niepodległościowy, kontestatorski i buntowniczy (tradycje 1956, a zwłaszcza 1968 i 1970 r.), eksponujący solidarność w walce, insurekcyjność, konspirację, hart ducha i martyrologię. Drugi, oficjalny i para-oficjalny, szkolny, zbawidowski i wojskowy, często nacjonalistyczny (moczarsowski, nacjonal-komunistyczny), oferował swoiste wzorce aktywizmu, „walki o niepodległość i postęp społeczny” (filmy, akademie, szkolenia). Wbrew opiniom, że ważny był tylko nurt pierwszy, uważam, iż traktowane wybiórczo elementy nurtu drugiego nało-

żyły się na spłot treści i bodźców wyrażanych w dominującym nurcie pierwszym.

Pierwszoplanową rolę w rewolucji odegrała klasa robotnicza. Jest to sąd ogólny, nadto ogólny. Industrializacja w systemie komunistycznym, sam ten system w jego aspekcie państwowo-politycznym tworzy klasę robotniczą zróżnicowaną i robi wszystko, by klasę tę dzielić korporacyjnie i „stanowo”, a jedne jej środowiska przeciwstawiać drugim. Lecz nadrzędny wydaje się w ostatnim dziesięcioleciu podział na dwie klasy robotnicze. Pierwsza była nowoczesna, postępową i niezależną, „zachodnią”, druga zupełnie inna, tradycyjalna, o niższym poziomie wiedzy i świadomości, podporządkowana, „wschodnia”. Pierwsza klasa robotnicza zainicjowała rewolucję i stanęła na jej czele, druga przyłączała się do niej powoli, z oporami i załękaniem, a nieraz naprawdę potrzebowała wolnych związków zawodowych, druga nawet odnosiła się do niej z niechęcią. Pierwsza klasa robotnicza mogła się zadowolić lekko naprawionymi związkami branżowymi. Nie wysuwam tezy, że wszyscy członkowie „Solidarności” należeli do pierwszej klasy robotniczej, a wszyscy branżowcy do drugiej. A jednak ten podział był znamienity i sporo mówiący. „Solidarność” opierała się na wysoko wykwalifikowanych stoczniovcach, hutnikach i metalowcach, pracownikach przemysłu precyzyjnego i elektronicznego, w nieco mniejszej już mierze na górnikach. Branżowcy byli relatywnie silni w przemyśle włókienniczym, rolno-spożywczym, wszelkim terenowym i drobnym, zwłaszcza w budownictwie i wśród urzędników. Nie jest też rzeczą przypadku, że „stare związki” miały za sobą spory odsetek emerytów. Teza o dwóch klasach robotniczych, nowoczesnej i „zachodniej” z jednej, a tradycyjalnej i „wschodniej” z drugiej strony sprawdza się też w strukturze wieku. Starsza generacja robotnicza, mniej wykształcona i wykwalifikowana, a bardziej sterowalna przez władzę, reprezentowana była liczniej w przemysłach technologicznie mniej zaawansowanych, podczas gdy młoda przeważała w zakładach nowoczesnych.

Fundamentem rewolucji był sojusz robotniczo-inteligencki. Na cały przebieg ruchu, na działanie „Solidarności” ogromny wpływ wywierali ludzie ze środowisk inteligencji twórczej, katolickiej i laickiej, członkowie i sympatycy różnych grup opozycji demokratycznej z lat 1976-1980, a także ci, znacznie liczniejsi, którzy splekli z nią swe losy na dobre i na złe począwszy od sierpnia-października 1980 roku. Najściślej związali się z ruchem pisarze i artyści (przede wszystkim ludzie teatru i filmu), naukowcy (wyłączywszy nauki usługowe, związane z aparatem par-

tyjno-państwowym i urzędników od nauki), pracownicy wydawnictw, bibliotek i muzeów, czołowi dziennikarze i publicyści (większość przyłączyła się tylko chwilowo, co zresztą zrozumiałe, biorąc pod uwagę status żurnalisty w ustroju demokracji socjalistycznej), najwartościowisi z nauczycieli (stanowili oni mniejszość środowiska w wielkich ośrodkach miejskich, gdzie mniej oddziaływała dyspozycyjność i długotrwała selekcja negatywna).

Inteligenci i intelektualiści polscy nawiązali do chwalebnej dla społeczeństwa a nienawistnej i zatrważającej dla władzy tradycji sojuszu robotniczo-inteligenckiego, jaki zarysował się w 1956 roku i w latach 1976-1980, a którego boleśnie zabrakło w 1968 i 1970 roku. Klasa rządząca w ustroju „realnego socjalizmu” robi z reguły wszystko, co możliwe, aby nie doszło do porozumienia między podstawowymi klasami i środowiskami konfliktującymi i zrewoltowanymi: robotnikami i inteligencją. Ich porozumienie brzemiennie jest rewolucyjną burzą. Nie jest rzeczą przypadku, że po 13 grudnia 1981 roku siły czerwonej restauracji dokonały ogromnego wysiłku uwieńczonego sukcesem, acz nie na miarę zwycięstwa, aby odseparować klasę robotniczą od inteligencji. Podosycanie przez władzę nastrojów populistycznych, przede wszystkim antyintelligenckich, antystudenckich, antyintelektualnych wśród rzesz robotników i chłopów stanowi trwały dorobek organizatorów systemu „realnosocjalistycznego”.

Działalności inteligencji w ruchu można przypisać inspirację wielu reform oraz ważnych projektów zmian politycznych i gospodarczych. To prawda, że sfera wolności indywidualnych i społecznych była inteligentom najbliższa i dla nich najważniejsza. Nie jest natomiast prawdą, że hasłami robotniczymi i chłopskimi były chleb, równość i sprawiedliwość, a inteligenckimi wolność słowa, duku i religii. Nie jest też prawdą, że masy chciały chleba i poprawionego socjalizmu, a inteligenci dążyli do obalenia ustroju PRL według scenariusza zakładającego wpierw „demontaż państwa”, a później przejęcie władzy. W rzeczy samej inteligenci i intelektualiści nie zajmowali w rewolucji żadnej określonej, rzekomo im tylko właściwej pozycji. Wierzący i niewierzący, byli wśród „umiarkowanych”, a więc liderów nurtu ograniczającego rozmach rewolucji, a także wśród zdecydowanych „radykałów”. Znaleźć ich można było wśród skrajnych nacjonalistów, wśród liberałów, chrześcijańskich demokratów, w szeregach PZPR (praktycznie do 13 grudnia 1981 roku) i w grupach gwałtownie antykomunistycznych.

Najtrudniej jest określić rolę i miejsce chłopów polskich w ruchu rewolucyjnym lat osiemdziesiątych. Tak jak w 1956 roku

ruszyli najpóźniej, ale to zrozumiałe, wynikające z samej kondycji społeczno-psychologicznej rolników. Postawa rolników wobec Sierpnia jest niejednolita, zróżnicowana środowiskowo i geograficznie. W ich postawie wobec państwa komunistycznego można zresztą dostrzec wyraźne pęknięcie. Pamiętajmy o typowych drogach chłopskiego awansu, o tym, że znaczna część korpusu oficerskiego, niemały odłam dolnego i średniego aparatu partyjnego i państwowego wywodzi się ze wsi. Mundur i najwyższa (dobry król? władza liczą się wciąż na wsi. Masowe, zbiorowe, solidarne wystąpienie rolników przeciw totalitarnej władzy jest prawie niemożliwe. A jednocześnie chłop nie ufa władzy, a biurokracji wiejskiej i miasteczkowej nienawidzi, pragnie gwarancji swojej zagrożonej własności i to wysuwa jako swój główny postulat. Rewolucja wpisuje to hasło do swego rejestru żądań, ale nigdy go zbyt nie eksponuje. Nie wydaje się przypadkowe, że o ile nowy ruch młodzieżowy (organizacje szkolne, NZS) utożsamiał się w praktyce z „Solidarnością”, o tyle „Solidarność” wiejska (ściślej kilka zielonych „Solidarności”, bo tradycyjnie na wsi jedności nie było) z pracowniczą nigdy całkowicie się nie utożsamiała. Sojusz robotniczo-inteligencki stanowił rzeczywistość rewolucji, sojusz robotniczo-chłopski zdążył się tylko zarysować, nie stając się siłą cementującą społeczeństwo w jego trudnej walce.

Chłopski udział w ruchu nie ograniczał się do walki o ziemię. Domagano się samorządu, autentycznej spółdzielczości i realnego wpływu na terenową władzę. Rozbicie wiejskich klik i obalenie, a nawet osłabienie biurokracji nie było możliwe bez prawdziwego samorządu terytorialnego, stąd też żądanie nowego, demokratycznego systemu wyborów do rad gminnych. Wreszcie katastrofalne planowanie gospodarki rolnej, wyzysk podatkowy i zaniedbanie techniczne wsi kierowało gniew chłopów przeciw systemowi, który topił masę środków w PGR-ach i spółdzielniach produkcyjnych, a pomijał indywidualne rolnictwo, skazane perspektywicznie na zakładę. Wydaje się, że podobnie jak w przypadku nowoczesnej klasy robotniczej za „Solidarnością” i za rewolucją opowiedziała się przede wszystkim nowoczesna, światła, gospodarna i zamożniejsza część wsi. W tej jednak sprawie różnice regionalne były ogromne.

Trudno zrozumieć wydarzenia zachodzące w Polsce u progu lat osiemdziesiątych bez analizy roli w nich czynnika religijnego i Kościoła rzymsko-katolickiego. Już sama rewolucja nazwała się od początku moralną i chrześcijańską. I była nią z wiary i nadziei, z postawy i ducha, z filozofii, z zasady odrzucania przemocy i dążenia do porozumienia społecznego. Rozdzielmy jednak nie-

zmiernie ważną inspirację chrześcijańską (nie jedyną wszakże w ruchu „Solidarności”) od związku z Kościołem, rozumianym nie jako wspólnota wiernych, lecz jako instytucja. Ruch sierpniowy miał swego wielkiego duchowego przywódcę i patrona — Jana Pawła II. Był to patronat chrześcijański w najgłębszym tego słowa znaczeniu, a więc ludzki i ponadświatopoglądowy. Inaczej rzecz się miała ze sprawą ideowych i — powiedzmy otwarcie — polityczno-organizacyjnych związków rewolucji z Kościołem polskim. W okresie przed-grudniowym wydawać się mogło niekiedy, że „Solidarność” utożsamiała się całkowicie i bez reszty z Kościołem, a Kościół z „Solidarnością”. Rzeczywistość była bardziej skomplikowana. Związek, którego przewodniczący nosił w klapie marynarki wizerunek Matki Boskiej, nigdy nie stanowił świeckiego „dalszego ciągu” Kościoła, ani tym bardziej dodatku do episkopatu. Jeszcze większą rezerwę i dystans wykazywał Kościół, poświęcający przecież „solidarnościowe” sztandary i otwierając sympatyzujący z niezależnym związkiem. Kościół, wiekowy i bogaty doświadczeniem, pozostał ogromną niezależną siłą, mogącą działać dla dobra społeczeństwa również bez istnienia „Solidarności”. Związek, młody, niecierpliwy i niedoświadczony, też oczywiście mógł działać bez Kościoła, ale za cenę utraty dużej części swej siły. To była bardzo istotna różnica.

Kościół musiał być i był rozważny i ostrożny, „Solidarność” nie zawsze potrafiła być ostrożna, a często nie mogła być rozważna. Taka jest natura żywiołu. I jeszcze jedno. Kościół nie był nigdy, a zwłaszcza po 13 grudnia, jednolity. Podział — jak w dobie powstań narodowych — na radykalne w znacznej mierze duchowieństwo i umiarkowany episkopat był i pozostał faktem. Po wprowadzeniu stanu wojennego, a zwłaszcza w ostatnich miesiącach 1982 roku, pojawiły się rozterki i narastały u wielu ludzi, zwłaszcza młodych, wątpliwości co do postawy Kościoła wobec oporu społecznego. Trudno oczywiście mówić o jakimś strukturalnym, głębokim kryzysie we wzajemnych stosunkach. Ludzie zaangażowani w rewolucyjną walkę uczą się realnego spojrzenia na możliwości i zadania Kościoła, doceniają nieocenioną pomoc, jaką okazuje on prześladowanym i pokrzywdzonym, lecz sami wytyczają cele i metody swego działania.

Przez kilkanaście miesięcy, aż do grudnia 1981 roku, rewolucja rozwijała się i radykalizowała precyzując dawne postulaty i wysuwając nowe żądania. Wynikało to nie z porzucenia idei porozumienia. Po prostu głęboka reforma gospodarcza i polityczna po pierwsze, nie mogła być dokonana jednorazowo i po wtóre, na drodze „wmontowania” wolnych związków zawodowych w

strukturę totalitarnego państwa. Wzrost napięć stanowił też skutek stałego oporu, opóźniającego lub strategicznego, ze strony władzy. Piętrzące się wciąż nowe trudności na drodze do porozumienia (porozumienie to wiara w reformowalność systemu) wiązały się przede wszystkim z wyraźną już w lecie i na początku jesieni 1981 roku przegraną nurtu reformatorskiego (socjaldemokratycznego?) wewnątrz bloku władzy.

Decydującą rolę odgrywał czynnik zewnętrzny. Każda rewolucja w krajach bloku sowieckiego staje się problemem międzynarodowym. Tymczasem „Solidarność” stanowiła siłę krajową, narodową, pozbawioną bezpośredniego kontaktu z Moskwą. Przyjrzyjmy się trzem członkom postulowanego systemu porozumienia. W tryptyku „Solidarność” — Kościół — władza najsilniejszy w kraju składnik, to jest związek, mógł działać na arenie międzynarodowej tylko za pośrednictwem albo Kościoła, albo... władzy (poprzez reformatorski nurt w partii). Dwa pozostałe członki tryptyku stanowiły siły narodowe i zarazem ponadnarodowe, co sprawiało, że niezależny związek stał na pozycjach słabszego partnera. Kościół polski jest częścią Kościoła powszechnego, a zatem jego sfera działania, jego cele i interesy są krajowe i światowe zarazem. Podlega on też państwu watykańskiemu, prowadzącemu politykę globalną. O tym szeregowi i nie tylko szeregowi członkowie „Solidarności” często zapominali. Co się tyczy władzy, to jest ona po części polska (kierownictwo zależnego państwa i zależnego systemu społeczno-politycznego — mimo licznych ograniczeń — reprezentuje niektóre interesy narodowe), a po części stanowi sektor władzy centrum, czyli część, marginalną zresztą, *establishment*’u imperialnego. Władza w Polsce miała jak gdyby dwie dusze. W ciągu pierwszych miesięcy rewolucji istniały, niewielkie zresztą, szanse, że „dusza polska” okaże się silniejsza, później naciski Moskwy stały się coraz mocniejsze i dominować zaczęła „dusza imperialna”.

„Solidarność” nie wykorzystwała niewielkiej, to prawda, szansy i praktycznie nie poparła, jak by to nie było jej sprawą, reformatorskiego nurtu w partii (podobnie prowadziła sekciarską politykę wobec związków branżowych i zbyt protekcyjną — co było istotnym błędem — wobec autonomicznych). Rewolucja radowała się z rozkładu partii (członkowie PZPR), nie bardzo dostrzegając, iż wcale nie rozkłada się partia (aparatus partyjny i „nomenklaturowy” aparat państwowy). Działacze „Solidarności” sądzili, że ulega stopniowemu rozpadowi aparat przemocy, że się „polonizuje”, łączy z narodem, przestaje stanowić integralną część ogólnoobozowego systemu totalitarnego. Tymczasem

owa „polonizacja” i demokratyzacja objęła tylko drobną część aparatu partyjnego i część milicji, natomiast w praktyce nie dotyczyła Służby Bezpieczeństwa i wojska (oficerska i podoficerska kadra zawodowa).

Przygotowania do zgnięcia rewolucji i restauracji systemu (restauracja systemu nie oznacza — przypomnijmy — zwykłego powrotu do *status quo ante*) rozpoczęły się na przełomie sierpnia i września 1980 roku (proroczo to przedstawiło zakończenie filmu „Człowiek z żelaza”), a uległy intensyfikacji począwszy od lutego 1981 roku. Władza gotowa była do uderzenia już wczesną jesienią, liczyła jednak (nie bez racji), że czas pracuje dla niej: wyczerpanie „Solidarności”, spory wewnątrz jej kierownictwa (częściowo inspirowane i prowokowane), stępienie ostrza strajkowego, zmęczenie społeczeństwa ciężką sytuacją gospodarczą, przejście na stronę władzy znacznej części załężnionej „milczącej mniejszości”. Odsuwanie terminu rozpoczęcia wojny spowodowane było zapewne również tym, że projektowany zamach (przewrót w samym bloku władzy, odsunięcie aparatu partyjnego i doprowadzenie do hegemonii aparatu wojskowo-milicyjnego i administracyjno-państwowego) trzeba było starannie przygotować, a liczyć się należało z tym, że sowiecki protektor i zarazem inicjator akcji zmierzającej do likwidacji „Solidarności” nie we wszystkim poprze niezgodny z doktryną formujący się militarny komunizm (potencjalne niebezpieczeństwo nacjonal-komunizmu). Oczywiście jest jednak, że dla ZSSR plusey „załatwienia sprawy polskiej” bez interwencji, a przez generała Jaruzelskiego, znacznie przeważały nad minusami.

Kilka konkluzji

Polska klasa robotnicza i naród polski potrzebują rewolucji, która by dała ludowi pracującemu władzę lub przynajmniej zapewniła mu istotny na nią wpływ. Polacy są skazani na rewolucję. Musi ona stanowić ruch niepodległościowy, gdyż władza w Polsce jest podzielona, to znaczy jej część znajduje się w Warszawie a druga, ważniejsza, w centrum czyli w Moskwie. Rewolucja może mieć w wyobraźalnych a korzystnych warunkach międzynarodowych szanse sukcesu, lecz tylko wtedy, gdy będzie socjalistyczna w nowoczesnym, demokratycznym i antytotalitarnym a więc socjaldemokratycznym rozumieniu tego słowa. Przeobrażenia gospodarczo-społeczne będące skutkiem rewolucji komunistycznej lat czterdziestych i pięćdziesiątych są rzeczą daną i

zastaną. Nie wolno nam tego nie widzieć. Ale zarazem nie wolno nam łudzić się, że np. zetatyzowaną gospodarkę można „poprawić” na drodze albo reform formalnie uspołeczniających, albo reprivatyzacji. Przemysł polski po rewolucji niepodległościowej i socjalistycznej nie będzie ani starokapitalistyczny, ani komunistyczno-etatystyczny. Będzie realnie uspołeczniony, choć zapewne występować będą różne formy partycypacji, kontroli i własności.

Aby państwo było niepodległe, robotnicze i demokratyczne, musimy się wyrzec przebrzmiałych i szkodliwych, prawdziwie reakcyjnych snów nacjonalistyczno-imperialistycznych o „powrocie do Lwowa i Wilna”. Mimo iż PRL jest największym i najludniejszym w Europie protektoratem ZSSR, szanse Polski na zwycięską rewolucję niepodległościową i socjalistyczną przeprowadzoną w izolacji od naszych naturalnych sojuszników czyli Czechów, Słowaków i Węgrów bliskie są zeru, a i to niektórzy uważają za ocenę optymistyczną.

Po tej wyprawie w przyszłość powracam do naszej rewolucji 1980 roku. Była ona w swej istocie ruchem niepodległościowym, a więc „rewolucją historyczną”. Czasem mogło się wydawać, że mimo nowoczesnych haseł, jakie głosiła, wykorzystując niektóre doświadczenia ostatniego czterdziestolecia (przecież Samorządna Rzeczpospolita, gdyby dano rozwinąć i ukonkretnić jej mglistą wizję, byłaby to — po upływie lat kilku czy kilkunastu — niepodległa Polska nowoczesnego, demokratycznego socjalizmu!), wpatrzona była w jeden punkt odniesienia, a mianowicie Drugą Rzeczpospolitą. Widać to było z miesiąca na miesiąc wyraźniej. Z tradycji międzywojennych brano — m.in. za sprawą KPN, ale nie tylko niej — żywiołową i zawziętą antyrosyjskość, anachroniczny, ozonowoendecki antykomunizm i szerzej antylewicowość o zapachu naftaliny (jakże niewiele nawiązywało do tradycji PPS lub ruchu ludowego i próbowało je rozwijać z myślą o przyszłości), niechęć do wszystkich w praktyce sąsiadów, paramocarstwowe ciągoty. Było to dramatem naszej rewolucji, że zalewał ją polityczny tradycjonalizm, że ten tradycjonalizm mieszał się nieraz z narzuconymi nam w okresie PRL lub rozdmuchanymi przez władzę obsesjami i fobiami niezrozumiałymi dla nowoczesnych i demokratycznych społeczeństw Zachodu, takimi jak antysemityzm i młodonacjonalistyczna nieufność wobec sąsiadów. Sprawa wyboru tradycji w 1980 czy 1981 roku przypominała kwadraturę koła. Ponieważ rewolucja była przede wszystkim narodowa i niepodległościowa (dodawano też: chrześcijańska i „zachodnia”), więc gloryfikowano dawną Rzeczpospolitą zorientowaną na wschód i niosącą ku Azji płomień chrześcijańsko-zachodniej kultury (reak-

cja na szkolno-propagandową gloryfikację Piastów). Sławiono też jedyny w ciągu ostatnich prawie dwustu lat okres niepodległości — Drugą Rzeczpospolitą. Tymczasem mechaniczne powoływanie się na zmitologizowaną przeszłość i kopiowanie przebrzmiałych sytuacji nie było fortunne i ułatwiło władzy jej propagandową kontrofensywę. Znamienne, iż w odniesieniu do Dwudziestolecia nawiązywano najchętniej do niepodległego państwa i jego przywódców (przede wszystkim Piłsudskiego), pomijano natomiast to, że Druga Rzeczpospolita nie zrealizowała demokratycznych ideałów i wizji powstańców i rewolucjonistów z lat 1794, 1846, 1863 i 1905.

Polska rewolucja sierpniowa 1980 roku, gwałtownie wstrzymana siłą zbrojną w grudniu 1981 roku, przegrała — jako ruch masowy — w listopadzie 1982 roku, lecz klęski nie poniosła.

Polska od dwustu lat znajduje się w stanie cyklicznej, permanentnej rewolucji. Jest na nią skazana, by żyć. Powiedzą mi nasi współcześni realiści, pozytywiści, lojaliści, autonomiści, obrońcy substancji narodowej, powołując się na swych słynnych poprzedników, że odgrzewam dawne mity i wskrzeszam romantyzm polityczny i ducha insurekcyjnego. Dodadzą, że insurekcjonizm to szafowanie krwią i ponure widmo klęski, że to przecież czysta utopia, zwłaszcza na schyłku XX stulecia. Spróbuję odpowiedzieć. Bardzo często w naszej historii realizm okazywał się mało realistyczny, a insurekcyjny i utopijny politycznie romantyzm bardzo realistyczny. Mówienie o niepodległości Polski a tym bardziej walka o nią w roku 1796, 1832 czy 1890 to była czysta utopia. Ta utopia stała się w 1918 roku rzeczywistością.

W naszych warunkach narodowa polityka bez wielkiej wizji, bez ogromnego celu, bez wyobraźni, bez szaleńczej fantazji, bez utopii jest nierealistyczna. Dzisiejsi realiści wyrażają zgodę na sowiecki protektorat, na drastyczne ograniczenie wolności i brak demokracji, twierdząc, że w ten sposób zapewniają narodowi polskiemu przetrwanie. Czy nie obawiają się w głębi serca, że bez walki, bez rewolucji, za lat pięćdziesiąt istnieć będzie luźne zbiorowisko ludzi mówiących — i to słabo — po polsku, lecz że nie będzie narodu polskiego?

Polacy przetrwali w XIX wieku jako naród, a nie bezkształtna populacja po polsku mówiących Rosjan czy Niemców, i odbudowali swoje państwo. Stało się tak dlatego, że przegrywali, lecz nigdy się nie poddali, a więc nie ponieśli klęski. Aby przegrywać, być pokonanym a nie ulegać czyli nie ponosić klęski trzeba było podejmować kolejne próby powstańcze, przystępować

do walki bez perspektywy rychłego zwycięstwa. Zwyciężyć naprawdę może tylko ten naród, który pierwszej wielkiej klęski nie uzna — w przypiływie całkiem rozsądnych kalkulacji i realistycznych rozważań — za ostateczną.

Od dwustu prawie lat ponosiliśmy ogromne straty. Towarzyszyło nam widmo totalnej zagłady. Dowodem wielkiej dojrzałości polskiego społeczeństwa i umiejętności właściwego odczytania własnej historii jest to, że nie rezygnując z walki o swe prawa zrobiło wszystko, co w jego mocy, by rewolucja 1980 roku była bezkrwawa. Krew polała się dopiero po 13 grudnia 1981 roku, kiedy władza, pragnąc zdławić zryw wolnościowy Polaków, zaczęła — jak w 1956 i 1970 roku — strzelać do robotników.

Polacy są narodem rewolucyjnym, lecz rewolucja nie musi oznaczać ofiary i całopalenia. Odwadze musi towarzyszyć rozważa. Trwa walka o Niepodległą i Sprawiedliwą. Trudno powiedzieć, co nam przyniesie przyszłość. Mogą nas czekać bardzo ciężkie czasy. Musimy jednak iść ku realnej utopii, iść i padać, podnosić się i znów iść ku światłu. Żadna noc — ani ta całkiem czarna, ani ta rozświetlona blaskiem księżycy — nie trwa wiecznie.

Tadeusz ŁEPKOWSKI

WSPOMNIENIA

O. Remigiusz KRANC.

BYŁEM SKAZANY NA 10 LAT SYBERII (dok.)

W Magadanie na Kołymie

Tu zobaczyłem piekło na ziemi. Przejściowy barak, około 60 na 30 metrów, a w nim 10 tysięcy ludzi na stojąco. Sądny dzień. Strażnikami byli Tatarzy. Naszą grupę upchano jakoś w ten barak i z trudem drzwi zamknięto. Po pewnym czasie spostrzegam ze zdziwieniem, że oczy kilkuset więźniów spoczywają na mnie, pokazują mnie palcami. Co to ma znaczyć? Równocześnie przez tłum przeciska się w moim kierunku kilku osobników o twarzach zawodowych zbrodniarzy. Jeden stary, poważny Rosjanin, towarzysz podróży w pociągu i na statku szepce mi do ucha: świaszczennik — rozbiorą was z tego futra, zabiorą czapkę i okulary. A w razie oporu zamordują. — Zapomniałem całkowicie, że w tych warunkach wyglądam naprawdę na kapitalistę. Proszę Tatara-strażnika, by mnie wypuścił do WC. Na podwórzu rozglądam się za jakimś wolnym człowiekiem, aby mógł kupić ode mnie futro i czapkę. Sprzedałem je w łaźni za małą szklankę machorki i pół kilograma chleba. Dostałem też starą fufajkę i spodnie watowane. Z wyglądu już jestem upodobniony do nędzarzy sowieckich, jestem ich czło-

wiekem. Chleb zjadłem natychmiast, machorkę wysypałem do kieszeni, aby ją kiedyś wymienić na kawałek chleba. Przeszkadzają jeszcze tylko okulary. Ktoś w okularach bardzo im imponuje. Czują wobec mnie respekt, któregoś dnia jeden z oficerów wyciągnie je ode mnie. Po powrocie do baraku potencjalni bandyci, gdy zobaczyli mnie już w fufajce, rzucili się na mnie w poszukiwaniu pieniędzy za futro i czapkę. Rozrzućli machorkę po podłodze tak, że niewiele z niej skorzystali.

Najtragiczniejsze były apele rano i wieczorem. Na mrozie minus 40 stopni stało się gromadami, dopóki się nie doliczyli wszystkich. Stoję w szeregu, buty dziurawe mam zawinięte szmatami, z każdej strony wiszą troki. W pewnym momencie tłum zafalował do tyłu. Ktoś mi przystąpił na szmatę i upadłem. Nie miałem rękawic, wstając oparłem się gołymi rękami o śnieg. I skutek: wieczorem ręce spuchnięte, a rano na palcach, na części zewnętrznej długie wodniste pęcherze. Nie wiem co robić.

Tymczasem przydzielili nas do baraku, gdzie były prycze — gołe deski. Chcąc się dostać na piętro, chwyciłem się obu rękami poręczy. Na górnej pryczy już byli niektórzy, bijąc się o miejsce. Jeden z nich mimo woli stanął mi na rękach, rozgniatając pęcherze. Takiej „operacji” sam bym nie przeprowadził, bardzo mi ulżyło.

Dla ścisłości historycznej należy dodać, że ubrania nasze były „zmotoryzowane”. Pozostawione na pryczy same się poruszały — tyle było w nich wszy.

Pozostając w ustawicznym zaduchu, człowiek ma nieopisane pragnienie. Pozjadaliśmy śnieg na podwórku i poza ogrodzeniem w zasięgu ręki. Z utęsknieniem oczekiwaliśmy na łaźnię. Nadszedł wreszcie ten moment. Podprowadzono nas pod łaźnię na jakieś czterdzieści metrów. Mróz też ze 40 stopni. *Kazano się na polu rozebrać, wszystkie łachy wrzucić na stos i biegiem te czterdzieści metrów na golasa do łaźni.* Po sięściem niemyciu się łaźnia była wprost rozkoszą. Najpierw napiliśmy się wody do syta, przynajmniej po trzy litry. Kąpiel zwróciła nam pół zdrowia. Po niej dostaliśmy nowy ekwipunek: fufajkę, spodnie watowane, walonki wojskowe, koszule. Nasze stare umundurowanie razem z insektami spalono na stosie. Umieszczono nas w zdezynfekowanym baraku, gdzie czekaliśmy na dalszy etap, na Kołymę, na ciężką pracę w kopalniach złota.

Odżywiają źle. Osobiście nie mam nadziei, że tam dojedziemy.

Do kopalni złota

W końcu ruszamy autami ciężarowymi. Mróz: 40 stopni poniżej zera, auto okryte brezentem z piecykiem w środku. Jedziemy pięć dni, zatrzymując się w ciągu dnia w z góry przewidzianym łagrze, aby zjeść posiłek i zabrać drzewo do palenia. Noce spędzamy w napotkanych łagrach jako „intruzi”, bez prawa do pożywienia i odpoczynku. Z góry zapowiadają: chleba dla was nie ma, miejsc szukajcie sami. Przesiedzieliśmy w korytarzach lub w zimnej szopie. W dzień była w samochodzie stosowana rotacja miejsc, aby wszyscy sprawiedliwie mogli przez pewien czas zasiąść wokół pieca. W przeciwnym razie siedzącym przy burcie auta groziłoby zamarznięcie.

Zbliżając się do rzeki Kołymy, wjeżdżamy w tunele śnieżne wysokości czterech metrów. Utworzone one były ze śniegu odrzucanego z drogi. Śnieg w tych okolicach zaczyna padać 15 września i leży do 30 czerwca. Zimno. Niejednokrotnie mrozy osiągnęły minus 60 stopni, a „normalny” mróz 45 stopni to powszechność.

Dojechaliśmy do wyznaczonego nam obozu i dalej nie można już jechać autem, musieliśmy zejść z aut, gdyż droga dalsza między zaspami śnieżnymi była wąska. Przechodzić mogły tylko sanki zaprzężone w renifery.

Jesteśmy na miejscu. 14 tysięcy kilometrów od Polski. Głodni, przemarznięci, rzućni na tereny koła polarnego bez żadnej ludzkiej nadziei. Przyjechaliśmy około godziny 15-ej. Kierujemy się w stronę stołówki, ustawiamy się gęsiego. Kucharz pyta o numer brygady, nasz przewodnik podaje. Na to krótka odpowiedź: ten numer już otrzymał obiad. Okazuje się, że jakaś brygada podszyła się pod nasz numer i otrzymała po raz drugi miskę zupy. Idziemy do baraku po dwudniowym poście.

Łagier składa się z kilkunastu baraków w ogóle nieogrodzonych. Był to obóz nowy, musieliśmy go dopiero urządzić, tzn. ogrodzić drutem, nawet nie kolczastym. Nie dla ochrony, lecz dla oznaczenia naszego terytorium. Jak się później zorientowałem, nie było gdzie uciekać. Kto nie wytrzymał nerwowo i wyszedł z obozu, zamarzył na zaspie śnieżnej. Po godzinnym „odpoczynku” w zimnym baraku głodnych wypędzono nas do pracy przy grodzie obozu. Typowy syberyjski mróz, ziemia zamrznięta, łomu nie można utrzymać w rękach z braku sił, a co

dopiero wykuć otwór pod słup. Każdy stał na miejscu, drżał z zimna i czekał na śmierć.

Łotysze i Litwini doprowadzeni do rozpaczcy pracowali bez rękawic, z niezastłoniętymi uszami, z rozpiętymi fufajkami, aby jak najprędzej skończyć ze sobą.

Po kilku dniach otoczono obóz drewnianymi słupami, na których przyczepiono tylko dwa druty. Na wieży dla całego obozu był tylko jeden strażnik. Po cóż więcej? Nikt nie będzie uciekał. Wszyscy powoli wykończą się na skutek głodu, zimna i zabójczej pracy.

Zaczyna się właściwa praca na kopalniach złota. Trzeba zauważyć, że teren Kołomy jest cały złotodajny. Kopalnia odkrywkowa, niegłęboka: trzydzieści metrów. Byłem przerażony, równocześnie ciekawy jak się przedstawia praca przy złocie.

Ze Związku Sowieckiego można przywieźć rozmaite przedmioty wykonane ze złota, ale mało kto wie, jakim trudem, potem i nędzą są okupione.

Porządek dnia. Rano pobudka o 6-ej: gong i krzyk: „Podjom”. Moi najbliżsi sąsiedzi śpią. Wołam: „*Wańka! dawaj bystro! Wańka!?*” A Wańka śpi na wieki... „*Iwan! podjom!*” Iwan już się nie podniesie. Z głodu i wycieńczenia ludzie umierali nagle, bez bólu.

Toaleta ranna trwała krótko, bardzo krótko. Nie trzeba było ubierać się, spaliszmy stałe w ubraniu. Nie myliłmy się, bo było brak wody. Nie trzeba też ścielić łóżek, bo były gołe deski, bez żadnego siennika czy słomianej poduszki.

Na śniadanie kawałeczek chleba, miska zupy tzn. na wrzątek wsypana mąka. Czasem niesolona całymi tygodniami, gdyż jak obwieszczał komunikat, Amerykanie-imperialiści napadli na sowieckie okręty i zgrabili cały zapas soli.

Po śniadaniu apel przy bramie i wymarsz do kopalni brygadami. We mrozie, okutani po uszy.

Jak przedstawia się praca na nowo zakładanej kopalni? Przychodzi sowiecki geodeta z przyrządem i po spenetrowaniu terenu mówi uroczystie: tu. To znaczy na tym obszarze będzie największy procent złota. Tu opłaci się kopać. Na wskazanym miejscu wierci się kilka otworów i zakłada dynamit. Po wybuchu, zerwaniu pewnej masy ziemi, naszym obowiązkiem jest odwieźć ją na taczkach na odległość około 200 metrów. Ten manewr z wierceniem i zrywaniem ziemi powtarza się stale zaraz po uprzątnięciu przez nas ziemi. Z biegiem czasu pod ziemią tworzą się korytarze. Na zewnątrz rosną hałdy ziemi-

zmarzliny. Urobek ziemi z korytarzy wywozimy taczkami do wylotu korytarza, stąd zabiera ją wyciąg linowy. Na szczęście u nas taki wyciąg był, bo w innych kopalniach więźniowie wyciągali ziemię w taczkach, ręcznie na linach. Śmiem twierdzić, że piramidy w Egipcie przed dwudziestu kilku wiekami były budowane wyższą techniką. Niezwykle ciężką pracą było rozbijanie kilofami brył, które nie mogły pomieścić się na taczkach. Nie wiadomo, czy to glina, czy kamień. *Ziemia jest na czterdzieści metrów w głąb ziemi zamrznięta*. Pod ziemią nie było światła elektrycznego, przecież to dopiero koniec XX wieku. Za całe oświetlenie służyły „kopiłki”, tzn. puszki ze smarem, knot z waty — z własnej fufajki. Wyobraźmy sobie zagęszczenie powietrza na przestrzeni 6×6 metrów, wysokość półtora do dwu metrów — pracuje dziesięciu rozbijając bryły. Pali się na takiej przestrzeni 10 „kopiłek”, które kopcą jak kominy fabryczne. Nieco świeższego powietrza zaczerpnął człowiek, gdy odwoził taczki do wylotu korytarza. Po dziesięciu godzinach takiej pracy wracamy do łagru całkiem wykończeni. Miska zupy już bez chleba i „odpozynek” nocny. Rano to samo. Pracowało się na dwie zmiany. Zmiana nocna wyczerpywała więcej ze względu na to, że w ciągu dnia sen przerywały rozmaite awantury współwięźniów. Miarą zmęczenia niech będzie taki oto fakt: po kolacji po wyjściu na zmianę nocną pozostawało około 10-15 minut. Kładłem się na pryczy i zasypiałem snem kamiennym. Podobnie robili inni. Dopiero brygadier krzykiem „*po matuszkie*” przywoływał wszystkich do porządku. Wracało się rano kompletnie wyczerpanym, wprost do stółki. Tam godzinne wyczekiwanie na zupę i kawałek chleba. Bójki o pierwszeństwo przy okienku. I tak codziennie przez cały rok.

Codziennym utrapieniem było zdobycie możliwej łopaty, kilofa czy taczek: wszystkie połamane, zniszczone. A normę trzeba wyrobić. W przeciwnym razie pozbawiano człowieka racji chleba.

Dziesięć miesięcy pracowało się pod ziemią kopiąc i wywożąc urobek. Dwa miesiące letnie przeznaczało się na przepłukiwanie wydobytej treści. Wtedy bowiem pokazywała się konieczna do tego woda w rzece. Mówi się: miesiące letnie, ale i wówczas nie można było pożegnać się z fufajką. Na Kołymie jest 11 miesięcy zimy, a później już lato bez końca...

Płukanie zaczynało się sposobem mechanicznym. Montowano konstrukcję żelazną z wieloma metalowymi beczkami, które obracały się w rozmaitych kierunkach. Było tam długie

koryto metalowe wyścielone jakąś matą, na której położona była krata wysokości 15-20 centymetrów i potężna rura doprowadzająca wodę ze stawu. Razem z wodą płynęły wodorosty. Miałem pewnego razu nocną pracę przy sicie, które miało zatrzymywać wodorosty. Wyczerpany z sił zasnąłem. Woda przestała płynąć, bo zatkało się sito. Obudził mnie krzyk: Sabotaż! Sabotaż! Na szczęście skończyło się tylko na awanturze.

Taczkami podwożono treść do transportera podnoszącego złotodajną ziemię do dużego pojemnika. Bardzo silny prąd rozmywał piasek i glinę. Kamienie były odrzucane przez specjalną wyrzutnię. Rozpuszczoną treść transporter kierował na kratę. Złoto — mające ciężar właściwy większy niż piasek i glina — osiadało na macie, a wszystko inne spływało do rzeki. Na razie w korycie tu i ówdzie pokazywały się grudki złota. Za dużo było jeszcze ziemi, piasku. Dopiero ręczne przepłukiwanie zostało uwieńczone pożądanym skutkiem. Przychodzi człowiek wolny, nie więzień, z miską w towarzystwie uzbrojonego NKWD-sty, czerpie z koryta treść i w małym basenie i przez odpowiednie ruchy miską wypłukuje piasek czy glinę. Pozostaje czyste złoto, podobne do naszego najgrubszego, krystalicznego cukru.

Każda brygada w liczbie 35-40 osób musiała oddać do kantara sześć kilogramów złota na swej zmianie. Ale ile wynosił faktyczny stan, gdy każdemu wyższemu urzędnikowi coś po drodze „przykleiło się” do rąk? Tych urzędników zmieniano co rok, półtora ze względu na niepomyślny klimat. Tylko więźniowie byli do „końca”, czyli w większości do śmierci. Przy końcu kadencji każdy z tych urzędników „zapadał” na nogi, jakoś tak ciężko chodził. Okazywało się, że w obuwiu miał dwie podeszwy i tam krył złoto. W obcasach wiercili otwory i też sypali złoto.

Na Kołymie — jak mówiono — pracowało około 600 tysięcy ludzi. Znaczna z tego część w kopalniach złota, a inni przy konserwacji dróg, przy odgarnianiu śniegu. Oznakowanie drogi stanowiły żerdzie z wiechciem słomy na wierzchu. To były znaki, że tędy prowadzi droga. Brygady rozlokowane przy drogach zajmowały się usuwaniem zasp i stawianiem żerdzi. Wyobraźmy sobie, że z Magadanu do Elgeny czy Orotukanu nad rzeką Kołymą w prostej linii jest ok. 400 kilometrów — ile trzeba było trzymać obozów-brygad do odgarniania śniegu. O tym wie GUŁag (*Głównoje Uprawlenie Łagierami*).

Wyżywienie więźniów stanowiło 50 dkg chleba (ciasta!) plus dwa razy dziennie miska zupy i nic więcej. Oto co czeka

ludy świata, gdy Związek Sowiecki ogarnie swoją imperialną polityką ludność globu!!!

Mycie się co dziesięć dni w łaźni w wodzie stopionej z lodu. Bywało, że łaźnia niejednokrotnie bez mydła i wody, tylko pobieżna dezynfekcja łachów. Insekty żywe pozostawały w szwach i zagięciach fufajek i spodni.

Sianie w ubraniu i na gołych deskach: bez koca, poduszki (choćby ze słomy), w walonkach z obawy kradzieży. Na ścianie był grafik z wyszczególnieniem dziennych porcji żywności: 500 gram chleba, 5 gram tłuszczu rybiego do zupy, dwie miski zupy po 700 gram; 500 gram niewypieczonego chleba to w rzeczywistości niewiele. Nadto wydawało nam się, że tych 500 gram nie otrzymujemy. Rada w radę udaliśmy się do naczelnika z prośbą o skontrolowanie uczciwości obsługi kuchennej. Okazało się, że pod szalką gdzie kładziono chleb podwieszono ciężarek 150 gramowy, czyli w rzeczywistości otrzymywaliśmy po 350 gramów. Skradzione ilości dzielono między strażników, brygadierów i innych opryszków sowieckich. Przyznawano nam teoretycznie 5 g tłuszczu, a tu na zupie nie widać tych oczek, albo bardzo mało. Kucharz miał małą chochelkę-naparstek na drucie i szybko nabierał z kotła i wlewał każdemu podchodzącemu z miską. Znowu złodziejstwo sprytnie! Ta chochelka-czerpaczek zaklejona była chlebem-kitem. Po zanurzeniu w kotle tłuszczu zawsze było pełno, a w misce zupy niewiele znać było tłuszczu.

Pewnego razu poszliśmy do łaźni. Wody i mydła nie było. Zabrali więc tylko łachy do dezynfekcji tzw. suchej. Po kilkunastu minutach dają znać, że wszystko spaliło się. Mianowicie żelazna kabina pod którą palił się ogień przepaliła się, ogień objął nasze ubrania wiszące na hakach. Siedzieliśmy bez ubrań w ciepłej łaźni, a na dworze minus 20 stopni. Co dalej? Za chwilę przynieśli kilka fufajek i spodni. Kilku się ubiera i wraca do baraku. Tam rozbierają się i oddają ubranie innej grupie czekającej w łaźni. I tak po kilku razach jest nas komplet w baraku. A teraz ubrania zabierają całkiem, około stu więźniów zostaje w stroju adamowym. Siedzimy na pryczach jak jaskółki na drucie. Jak tu spać na gołych deskach? Strażnik na nasze pytanie: — czy musicie spać?, jutro na kopalnię nie pójdziecie. Co nas wasze sianie obchodzi... Po kilku dniach przynieśli jakieś łachmany, worki aby pod siebie podścielić. O ubraniach nic nie słyhać.

Inny obrazek z łagru. Przychodzi fryzjer, goli głowy i w ogóle wszystkie włosy, tzn. brody, wąsy itd. — bez mydła i w

dotadku przytępioną brzytwą. W pewnym momencie spostrzeża, że ukradziono mu jedną brzytwę. Niewiele myśląc woła: oddać, i od razu okłada golasów pasem do ostrzenia brzytw. Przy rozpalonym piecu stało nas kilku, grzejąc się w oczekiwaniu na kolejkę. Grupa więźniów uciekająca przed fryzjerem przycisnęła nas do gorącego pieca. Krzyk, wrzask, bójk. Następne golenie rano. Pieczenie skóry na rękach i na pośladkach. Jako jedyne lekarstwo na oparzelinę: bandaże — brudne gazety zabrane ze śmietnika.

Przyniesiono ubrania dla wszystkich. Nazajutrz gong i wołanie: „*Dawaj bystro na rabotu!*” Nas kilku poparzonych nie podnosi się. Ciągną za nogi. My tłumaczymy się, że nie możemy. „*Poczemu?*” — zdejmujemy spodnie, zrywamy gazety z poparzonych pośladków i pokazujemy. Odpowiadam — „*Po etomu*”. — „*No to otdychajtie!*”

Gdyśmy zobaczyli, że po zerwaniu gazety pozostaje opuchlina, czerwona rana, postanowiliśmy codziennie powtarzać ten eksperyment z chorobą. Udawało się to przez kilka dni. Zwolnieni z roboty. Wreszcie sowieci zabrali się za leczenie naszych ran. Dostarczyli jakąś maść i kawałek szmaty. Zrobiło się opatrunek i po paru dniach oparzelina ustąpiła i znowu dalsza katorga w kopalni. Wysoką cenę płacili ludzie, aby uwolnić się od tej niewolniczej pracy. Obcinali sobie palce siekierą, nie zapinali fufajek, aby się przeziębic na śmierć. Doprowadzeni do ostateczności wychodzili w nocy poza druty i szli bez celu. Znajdowano ich potem zamarzniętych w zaspie.

Jestem „felczerem”

Było to w listopadzie 1947 roku. Przychodzi do kamery naczelnik łagru, rozgląda się ciekawie, podchodzi do mnie i pyta: „*wy kakoj profesji?*” Mówię: pedagog. — „*No to choroszo, budietie wraczom rabotat'!*”, tzn. będziecie lekarzem. Był tam tzw. izolator, dwa nieduże pomieszczenia dla chorych. Ciężko chorych. Jedyнным lekarstwem była woda. Mój poprzednik nie dbał o chorych, to znaczy nie starał się o wodę, której trzeba było natopić ze śniegu i lodu. Ja powodowany miłosierdziem chrześcijańskim tego „lekarstwa” miałem zawsze pod dostatkiem. Do obowiązków felczera należało jeszcze wymyć dwóch podłóg co dwa dni. To była prawdziwa katorga: postarać się o ileś tam wody i drapać siekierą deski, bez żadnej

szczotki. Podjąłem się pracy w tym „szpitaliku” za podwójną porcję zupy. I zacznę leczyć.

Pewien ciężko chory Rosjanin błagał o wodę. Przynoszę mu i pozwalam pić do sytości. Za chwilę ta sama prośba. Pije do woli. Po raz trzeci: to samo. Myślę sobie: jeśli mu to sprawi ulgę — niech pije. Iwan napił się i... zasnął na wieki. Po dwu dniach przyjeżdża zdaje się felczer okręgowy, na inspekcję. Melduję, że człowiek zmarł. A on na to: „*Nie bezpokojisia, u nas duraków mnogo*” (nie martw się, u nas durniów dużo). Ale trzeba było robić sekcję zwłok. Położyliśmy zmarłego na podłodze, rozciąliśmy mu brzuch tuż pod klatką piersiową i szukamy przyczyny. Oczywiście nic nie robimy, tylko patrzymy. Po chwili felczer kończy słowami: „*Ni czorta nie najdiosz*”.

Takiego leczenia i takich sekcji mieliśmy wiele. Po wszystkim biorą zmarłego na brezent i niosą pod taki pagórek, gdzie już zdeponowano kilkadziesiąt (!) ciał. Nie grzebało się od razu, bo na mrozie można było przetrzymać ciała zmarłego dłużej. Od czasu do czasu szła brygada i robiła „porządek”. Zасыpywała ciała, ale niezbyt dokładnie, czasem wystawała ręka lub noga. Na tym terenie nie było żadnych zwierząt ani ptaków. Tylko ustawiczny mróz i nie groziła żadna epidemia.

Ale zdarzały się wypadki wyleczenia. Chory Iwan prosi o jakieś lekarstwo. Napił się wody, ale nic nie pomaga: dalej jęczy. Podaję mu na papierku trochę wapna ze... ściany. On, nie wiedząc co to jest, przyjmuje z wiarą i autosugestia leczy go! Był jeszcze inny sposób leczenia. Niektórzy chorzy zapadali w omdlenie i nawet tracili przytomność. Rozkładało się takiego chorego na ławie i biło go mocno po twarzy. I wstawał „zdrowy”.

Spotkanie brata — Polaka

W grudniu 1947 roku przyprowadzono do izolatora (szpitalika) kilku nowych więźniów. Trzeba było narznąć drzewa. Posyłam dwóch. Jeden z nich mówi: „nie mogę”. Po polsku! Na te słowa o mało nie zemdlałem. Po dwóch latach pierwszy raz słyszę polską mowę. Ucieszyłem się, że będzie bratnia dusza, towarzyszy niedoli. Umieściłem go w szpitaliku i w szczególny sposób zaopiekowałem się nim. To on dostawał parę łyżek wiecej zupy. Nazywał się Jan Ignatowicz, pochodził z Lidy.

Pewnego dnia znika z kamery i przynosi dwa różańce zrobione ze sznurka. Znalazł gdzieś kawał brezentu, wypruł nici,

skrecił sznurek i z niego zrobił różaniec. Był to z jego strony wielki wyczyn.

Po ogólnej komisji lekarskiej w szpitaliku Ignatowicza i mnie, chodzących jeszcze ale całkowicie wyczerpanych, skierowano do specjalnych baraków „na oddech” (odpoczynek). Różaniec nosiliśmy na szyi, a w czasie łaźni czy kontroli w ustach. W krótkim czasie Ignatowicz zmarł. Została mi po nim pamiątka — różaniec, który do dzisiaj skrzętnie przechowuję.

Po drugiej komisji lekarskiej, którą przeprowadziły lekarki-Zydówki, zostałem skierowany na całkowity odpoczynek w baraku dla *dochodiagow*, to jest — dla umierających. Leżało tam kilkudziesięciu całkowicie wyczerpanych. Przypadło mi miejsce na przyczę piętrowej. Z głodu przychodziły takie zawroty głowy, że nie można było zrobić kilku kroków, a cóż dopiero zejść z piętrowej przyczy. Schodząc z konieczności, spadaliśmy bezwładnie na ziemię. Jako ludzi nieproduktywnych odżywiano nas raz na dzień i to w sposób dla obsługi bardzo wygodny: o godzinie 23-ej za dzień kończący się i zaraz o 1-ej po północy na dzień bieżący. I tak stale, rytmicznie. Na skutek takiego odżywiania umierały dziesiątki ludzi dziennie. Każdy leżał na swej przyczy, dzień i noc czekając na swoją śmiertelną kolejkę.

Na dosyć wąskiej przyczy leżałem wespół z Tatarzem. Byliśmy tak dopasowani do siebie ze względu na szczupłość miejsca, że obydwaj równocześnie zmienialiśmy pozycję. O Tatarach mamy swoje tradycyjne, historyczne pojęcie. Ale ten był człowiekiem wyjątkowym. Był uprzejmy, grzeczny; nazywał się Kurmaszow Ibrahim Safirowicz. Przez cały dzień odmawiał swój mahomekański różaniec. Mają oni różaniec złożony z jedenastu paciorków, które oznaczają jedenaście największych przymiotów Bożych: najświętszy, najlepszy, najsprawiedliwszy itd. Mają ustaloną kolejność tych przymiotów i odpowiednie modlitwy i akty strzeliste.

Z początkiem czerwca 1948 roku, w czasie naszego przebywania w śmiertelnych barakach przychodzi strażnik z papierami i woła: „Kranc Remigiusz Iwanowicz!” Myślę: wołaj sobie bez końca i udaję że śpię. Czego mogę się już po nich spodziewać? Sytuacja przecież beznadziejna. Lada dzień wyrzucą mnie pod tak zwaną „sopkę” na składowisko trupów. Strażnik myśląc że więzień zbiegł, pobiegł po spis i zaczął wszystkich weryfikować. Przychodzi do mnie: „*Kak familia? — Nu... Kranc... nu słyszysz... towariszcz, dawaj bystro w kantor!*”.

Przychodzę z wielkim trudem do kancelarii, a w niej nie

ma żadnego urzędnika. Na stole porozrzucane papiery. Na jednym z nich adnotacja: „*Kranc Remigiusz Iwanowicz na swobodę*”. Nie dałem temu wiary.

Na wolność

Zdarzały się wypadki, że urzędnik nie mając konwoju lub środków lokomocji mówił więźniowi: pójdiesz na ten czy tamten oddział, tam wydadzą ci zezwolenie zwolnienia z łagru. Biedak poszedł, a po przybyciu wpadał z powrotem w szpony NKWD. W kantorze czekam długo.

Przychodzi wreszcie naczelnik i komunikuje z wielką emfazą, że za godzinę mam być gotowy do drogi. „Pójdziecie z drugim na odcinek 17-ty, a tam już wam powiedzą, co będzie z wami dalej”. Odcinek 17-ty był oddalony od naszego łagru może o 8 kilometrów. Temperatura była około zera (pamiętajmy, że to miesiąc czerwiec). Owinąłem nogi szmatami, nadziałem kalosze. Dostaliśmy po kawałku chleba i „bumagę” (zaświadczenie-dokument) na drogę. Co kilka kroków robi się nam słabo. Siadamy. Kilometr pokonujemy w przeciągu 30-40 minut. Były takie momenty, że nas całkiem siły opuszczały. Postanowiliśmy zostać na drodze: albo zabierze nas mało spodziewane auto, albo spokojnie umrzemy do rana. Zrobiliśmy jeszcze kilkanaście kroków. Patrzymy ze zdziwieniem: na drodze leży nieduży ptak, jeszcze krwawiący. Na Kołymie nie ma flory ani fauny. Na taką zdobycz zabiły żywiej nasze serca i przybyło trochę sił. Mój towarzysz chowa w zanadrze cenny łup, który mamy w bezpiecznym miejscu, w jakimś lasku oskubać i zjeść na surowo. Wtem z krzaków wypada dwóch strażników z wielkim krzykiem: gdzie nasz ptak? Zabraliście? A my z całym przekonaniem zaprzeczamy. Zrobili rewizję, zgubę odszukali, a mojemu towarzyszowi po twarzy tym krwawiącym ptaszkiem dali parę razy, że aż był czerwony od krwi.

Po tych emocjach idziemy dalej. Doszliśmy do celu chyba po pięciu godzinach. Na miejscu nie było dla nas przydziału chleba, a więc o cieniutkiej zupce udaliśmy się na spoczynek. Drugi dzień, też bez chleba, przeleźliśmy na pryczy. Na trzeci dzień naczelnik komunikuje, że jedziemy w daleki etap. Ulokowali nas dwóch na platformie auta ciężarowego, bez żadnej słomy, bez jakichkolwiek szmat. Jedziemy po wertepach, kamieniach, trzymamy się burty auta, a kości nasze dzwonią po platformie. Ujechaliśmy ok. 60 km i zatrzymaliśmy się w czy-

stym polu. W dzień zatrzymujemy się tylko kilka razy dla odpoczynku kierowcy. Na noc zajeżdżamy do napotkanego łagru dla przenocowania i nabrania paliwa. Odżywianie fatalne: miska zupy i kawałek chleba na cały dzień.

Na trzeci dzień jazdy zatrzymujemy się w polu przy grupie ludzi wykonujących jakieś prace ziemne. Kierowca poszedł do nich na pogawędkę, a my pozostajemy na platformie auta. Wtem przychodzi do nas kobieta i pyta: może byście coś zjedli? Skinęliśmy tylko głowami, bo z braku sił nie było ochoty na rozmowy. Przynosi po chwili dwie duże miski zupy mieszanej i dwa duże kawałki chleba. Oczom naszym nie wierzymy. Po trzech i pół latach autentyczna zupa i chleb do sytości! A dawniej było tylko jedno pragnienie: najść się choćby raz chleba do sytości i umrzeć. A tu nie tylko chleb. Po tym posiłku perspektywa śmierci już się nieco oddaliła, a zaczęła powracać nadzieja na poprawę losu. Po dwu dniach dalszej jazdy (a więc jazda znad Kołymy do Magadanu trwała pięć pełnych dni), w czasie której głodowaliśmy, bo otrzymywaliśmy tylko rację więzienną — dotarliśmy wreszcie do Magadanu.

Tutaj na powrót do Europy zgrupowano kilkuset więźniów. Poddano nas też szczegółowym badaniom lekarskim. Przeprowadzono ścisłą selekcję: na nadających się do podróży i na kandydatów do trumny. Ja, o zgrozo — zostałem zaliczony do tej drugiej grupy. Trzeba było użyć wszelkich sposobów: prośby, kłamstwa, interwencji innych, aby być umieszczonym na liście pierwszej. Interwencje zdobywało się kawałkiem chleba, odmawiając go sobie. Zostałem uznany za zdolnego do podróży, zdaje się przez wstawienictwo lekarek-Zydówek. Kilka razy spotkałem się z objawami życzliwości z ich strony w stosunku do Polaków.

Gdyby mnie ominęła ta okazja do powrotu, trzeba by było złożyć swoje kości na sowieckiej ziemi, tu na Syberii. Na „nie-ludzkiej ziemi”, którą propagandziści cynicznie określają „gościnną ziemią radziecką”.

W Magadanie załadowano nas na statek towarowy i płyniemy na...

Sachalin

Umieszczono nas tuż pod pokładem, w kabinie z jako tako możliwymi pryzami, a najważniejsze — z dostępem do powietrza. Obsługa statku — aby sobie ułatwić pracę — zapo-

wiedziała, że racje żywnościowe będą wydawane na trzy dni z góry. Na dzień wypadało dwie miski po pół litra zupy i 50 dkg chleba. Po otrzymaniu pełnej, trzydniowej racji, w pierwszym dniu każdy zjadł do 1,5 kg chleba; przez następne dni żył tylko zupą. W naszych warunkach — w ustawicznym głodzie, niedożywieniu — było nie do pomyslenia, aby ktoś z nas zdobył się na podzielenie chleba na trzy dni... W tym stanie rzeczy pierwszy z trzech dni był dniem pełnego żywienia, ale tylko przed południem. Następne dni były czasem bezmyślnego leżenia i majaczenia skutkiem osłabienia. Tak upłynęło nam 10 dni podróży statkiem przez Morze Ochockie i Japońskie do...

Władywostoku

Nie zdawałem sobie sprawy, kiedy minął ten czas. Był czerwiec. Prawie przez osiem dni był sztorm. Może niewielki, ale statkiem kołysało, a przy naszym osłabieniu zdawało nam się, że lecimy w przepaść.

Po przybyciu do Władywostoku odprowadzono nas do przejściowego obozu, zarządzono apel i pobieżne badanie stanu zdrowia. Przeglądu dokonują dwie lekarki-Żydówki.

„*Wy kakoj nacjonalnosti?*” — „*Polak*” — odpowiadam. „*Nu, dawajcie w hospital*” (czyli na lepsze warunki bytowe). Poszedłem na izbę przyjęć, mówiąc, kto mnie skierował. Kierują mnie na kwarantannę, potem łaznię i do szpitala obozowego. Wskazali mi — o dziwo — łóżko z siennikiem i poduszką z sianem, nawet z jakimś prześcieradłem-szmatą.

Po obu stronach leżą Litwini. To znaczy więźniowie po „wyzwoleniu” Litwy przez ZSSR. Zauważyłem, że podchodzi do nich co jakiś czas jakaś kobieta, rozmawia z nimi, coś im wręcza. I mnie wreszcie pyta po rosyjsku, jakiej jestem narodowości i na ile lat skazany. Gdy usłyszała, że jestem Polakiem, przedstawiła się po polsku że jest Litwinką, że przed wojną pracowała w Wilnie. Ja z kolei mówię, że jestem księdzem katolickim. Co za radość! Jak się cieszą, oni też są katolikami.

Litwinka ta, oczywiście więźniarka, pracowała w tym szpitalu jako krawcowa.

Zaczynają się dla mnie lepsze czasy. Nie brakuje mi już ani zupy, ani chleba. Chodzi teraz tylko o to, aby jak najdłużej pozostać w warunkach szpitalnych. Kombinuję jak dobrze już doświadczony katorżnik. Rano o 5-ej i wieczorem o 17-ej roznoszą termometry. Aby być zakwalifikowanym do liczby cho-

rych, trzeba się wykazać podwyższoną temperaturą, tzn. rano 38 stopni, a wieczorem 39. Nic łatwiejszego: potrzeć o koc aż do 40 stopni, później obniżyć. Ten manewr powtarzam z właściwym skutkiem przez dwa tygodnie. Nadszedł czas wypisania ze szpitala i dalszej podróży w nieznaną.

Z kilkuset więźniów wyselekcjonowanych zostało do dalszej podróży tylko 56 osób. Wykąpano i umieszczono nas w barakach przejściowych. Mieszkamy tu trzy tygodnie. Niestety na więziennych racjach, tzn. 300 gram chleba i dwie miski zupy po pół litra. Było tak, że wyżywienie podawano więźniom podchodzącym do okienka. Głód podsuwa pomysł kombinowania więcej zupy tzw. lury. Zbliżyłem się do okienka w czapce spuszczonej na oczy, drugi raz — aby kucharz nie poznał — bez czapki, trzeci raz z podwiązaną szmatą wokół głowy i wreszcie z obwiązaną szyją. Dostałem cztery miski.

Oto do czego doprowadzić może ludzi najbardziej dalekich od oszukiwania system zniewolenia, system rzekomo przodującego i „najbardziej sprawiedliwego ustroju”.

Wreszcie komunikują nam, że jedziemy do Europy. Jeszcze nie jestem pewien, czy na uwolnienie, czy też na powtórne śledztwo. Pamiętam, że droga z Charkowa do Władywostoku trwała 38 dni w zamkniętych wagonach. Perspektywa takiej drogi z powrotem wcale mnie nie cieszyła.

Wydają prowiant na całą podróż: 16 kg chleba, 80 dkg ryby, 80 dkg cukru. Jeszcze nie byłem taki bogaty od stycznia 1945 roku! Magazyn, gdzie otrzymaliśmy prowiant był oddalony od łagru około 300 m. W drodze powrotnej do swej kamery, usiadłszy przy drodze — dźwigamy wielki ciężar jak na nasze siły — zjedliśmy chleba aż do sytości, bardzo dużo. A przed nami miesięczna droga. Ale o tym nikt nie myśli. Jak smakują ryby, a cukier! Pragnienie zostało zaspokojone.

Nakazano złożyć swoje worki z chlebem w kącie wagonu, w którym mamy jechać. Była tam już duża beczka z wodą. Nam kazano jeszcze pozostać na zewnątrz wagonu dla odebrania instrukcji. Gdy pociąg zaczął manewrować, dopinać inne wagony, woda chlustająca z beczki zamoczyła nasz prowiant. Zauważyliśmy to dopiero później.

W kierunku Europy

Umieszczono w wagonie 56 osób, w tym zdaje się 18 kobiet. One to natychmiast przegrodziły wagon. Ze swoich spółnic

zrobiły parawan i wciągnęły na swoją stronę naczynie niewymowne. Kryzys. Zajęliśmy swoje miejsca. Ja w kącie wagonu, aby w razie potrzeby inni nie musieli chodzić po mojej głowie, gdy zajdzie potrzeba fizjologiczna.

Pociąg jedzie bez przerwy po tych przestrzeniach 3 — 5 godzin, nim spotka jakiś przystanek czy stację. Gdy chodziło się „na lekko”, nie było żadnego problemu. Drzwi nie były zamknięte na hak czy drut i łatwo się odsuwały. Ale *de grubis* nie pójdziemy do toalety damskiej. Niektórzy odczuwają rewolucję w żołądku po czterech kilogramach chleba zjedzonego naraz. Jakie wyjście? Konieczność jest matką wynalazków. Wycięliśmy otwór w podłodze i WC gotowy.

Od czasu do czasu pociąg zatrzymywał się, więc można było pójść do lasu „na zające”.

Każdy odebrał swój worek z żywnością i ze zgrozą skonstatawał, że chleb jest przemoknięty. Po kilku dniach zaczął pleśnieć. Odrzucaliśmy kawałki całkowicie nie do użytku, a inne na pół zepsute konsumowaliśmy z apetytem.

Jedziemy przez Chabarowsk, Czytę, Irkuck, Krasnojarsk, Nowosybirsk, Omsk. Nie mamy już nic do jedzenia, zaczynamy sprzedawać fufajki i spodnie. Zawsze znajduje się kupiec, za otrzymane ruble kupujemy zsiadłe mleko i cebulę. Poza tym nic nie było, zwłaszcza chleba. Tak przeżyliśmy kilka dni. Po wyczerpaniu się zasobów pieniężnych odczuwamy prawdziwy głód. Zaczynamy rebelię. Nie wstajemy przez cały dzień z podłogi wagonu i wołamy wszyscy jednogłośnie: „Naczelnik, chleba!!!”. Przychodzi z następnego wagonu — bo tam zakwaterował się konwój. Tłumaczy, że sam ma tylko przeznaczony przydział dla siebie. Wypędza nas na spacer. Wychodzą wszyscy, ja leżę w kącie i nie ruszam się. Podchodzi do mnie: „*Wychadzicie na progulku!*” — „*Ja nie pojdu, ja bolnoj!*” — odpowiadam. On na to: „*Pojdiesz w izolator*”. W izolator, to znaczy do kamery karnej. Czyż mnie, wytrawnego Sybiraka, można przestraszyć izolatorem, gdy już przez dwa dni nic nie jadł?

Na drugi dzień, gdy pociąg stanął na stacji, naczelnik konwoju wypędza nas na spacer. Ja znów nie wychodzę. Zjawiło się dwóch żołnierzy z konwoju, biorą mnie pod ręce, wyprowadzają z wagonu, prowadzą wzdłuż pociągu, ledwie powłóczę nogami. Na mnie przecież skóra i kości.

Na jednym z wagonów napis „IZOLATOR”. Podnoszą mnie na rękach i włączają do środka. Oczom swoim nie wierzę. Był to wagon dla konwoju. Jest tu naczelnik, kilku żołnierzy, trzy kobiety. Jak się później zorientowałem, nasz konwój stanowili

naczelnik i dwóch żołnierzy. Inni żołnierze i kobiety to „medycy”, opiekujący się ludźmi w innych wagonach. Mieli nas dowieść żywych za wszelką cenę. Przewożono — jak mówili — w 80-ciu wagonach ludzi spod Władywostoku na Ukrainę.

Po krótkich pytaniach — kiedy urodzony, jaki zawód, imiona rodziców etc. — wskazano mi miejsce na pryczy przykrytej kożuchem i podano kolację, jeszcze jakieś proszki. Na drugi dzień podają do jedzenia to, co sami mieli. Nie pojmuję takiej odmiany losu.

Minęliśmy już Nowosybirsk, Omsk, Swierdłowski, Ural. Gdy pociąg zatrzymał się na jakiejś stacji, konwojenci wybiegli na herbatę. Razu pewnego zostałem w wagonie sam z naczelnikiem konwoju. Pytam się, dokąd właściwie jedziemy? Na Kołymie naczelnik łagru złośliwie powiedział, że jadę na powtórne śledztwo. Ten odpowiada: Na wolność, do domu!

A ja: w takim razie strzelaj, naczelnik. Gdy przyjedziemy do Polski, musisz obowiązkowo odwiedzić mój dom. Ojciec mój jest bardzo bogaty, ma folwark, kilkadziesiąt sztuk bydła, koni, nierogacizny. A on na to: „*A dziewuszki jest?*” Ja: „*Oczeń krasiwyje*”. Że to wszystko przypadło do gustu naczelnikowi, okazało się po przybyciu do wagonu konwojentów. Dał im rozkaz: gdy tylko pociąg stanie na jakiegokolwiek stacji, macie zawsze coś kupić dla chorego Polaka. To polecenie wzięły sobie do serca te trzy kobiety. Zawsze miałem herbatę i parę ciastek.

Nabierałem sił. I tak dojechaliśmy przez Kujbyszew i Penzę do Charkowa. Tu dołączyłem się do swej grupy więźniów, w której wszyscy byli nadzy, gdyż wymienili na chleb fufajki i spodnie. Dano im natychmiast jakieś ubrania, by uniknąć wstydu, że w takich warunkach wiozą ludzi.

Przez „pomyłkę” z Charkowa zawieziono nas do Mińska na Białorusi, gdzie na dworcu kolejowym przesiedzieliśmy dwa dni. Następnie przez Berezę Kartuską przybyliśmy na nową polską granicę — do Brześcia. Przez cały czas jestem pod troskliwą opieką naczelnika konwoju, który przynosi od czasu do czasu herbatę i coś z pieczywa. Ale to wszystko ze względu na przyszłe przyjemności.

W Brześciu

W Brześciu na stacji kolejowej finguje chorego i komunikuję naczelnikowi konwoju, że o własnych siłach nie dojdę do

punktu zbiorowego. Zatrzymuje auto ciężarowe i rozkazuje zawieść mnie do punktu obozu przejściowego dla powracających z Sybiru. Obóz ten był pod zarządem sowieckim z obsługą jeńców niemieckich, a przeznaczony dla repatriantów polskich. Staaliśmy piątkami pod bramą. Po sprawdzeniu personaliów — wpuszczają nas na podwórze. Mój naczelnik konwoju po przekazaniu naszych akt pozostał na zewnątrz, nie wpuszczony na teren obozu. Popatrzył na mnie żałośliwie, żegnając się ze wszystkimi obiecanymi przyjemnościami.

Na podwórzu spotykam całe setki wolnych Polaków, oczekujących na załatwienie formalności przed przekroczeniem polskiej granicy.

Po przedstawieniu się, pierwsze zdanie z ich strony: Ksiądz odprawi nam Mszę św. Ja jak Piotrowin mam odprawić Mszę św. w szczególnych warunkach. Wino i hostię przyniósł z kościoła parafialnego w Brześciu przekupiony żołnierz sowiecki. Poza tym do Mszy św. nie ma nic. Kobiety uszyły coś w kształcie stuły i tak w klatce schodowej odprawiam Mszę św. na zwykłym stole przykrytym szalem. Za kielich służyła zwyczajna szklanka. Wszyscy rzucili się na kolana.

Tutaj można było widzieć prawdziwe objawy wiary ludzi, którzy przez kilka lat nie mieli okazji uczestniczyć w Ofierze Eucharystycznej. Radość w oczach i płynące łzy mówiły wiele.

Aby nie mieszkać w jakimś brudnym baraku, po Mszy św. próbuję dostać się do szpitala. Zgłaszam się do izby przyjęć do lekarza dyżurnego. Okazało się, że jest nim Niemiec, w tym wypadku towarzysz niedoli. Skierował mnie do sali, gdzie leżało kilku jeńców niemieckich, w moim odczuciu całkiem zdrowych. Ratowali się w ten sposób od ciężkiej pracy. Wszystkich jeńców niemieckich odsyłano do odbudowy zniszczonych miast sowieckich. Do obsługi sali szpitalnej przydzielona była siostra, też Niemka. Skończyły się czasy głodu. Oprócz dwóch skromnych posiłków szpitalnych otrzymywałem od tej siostry kilka razy dziennie czarną kawę słodzoną i chleb do sytości. Moi towarzysze podróży przechodzili kwarantannę w gorszych warunkach.

Nadszedł wreszcie czas przekazania nas władzom polskim. Myśleliśmy, że te przyjmą, powitają z radością wracających zesłańców. A tu wielka, przykra niespodzianka. Za stołem zasiadło paru oficerów „polskich”, niektórzy z nich o rysach niepolskich... Sprawdzili personalia i ulokowali nas w pociągu, w którym przez Terespol dojechaliśmy do Białej Podlaskiej.

Po krótkim pobycie w szpitalu i odbyciu kwarantanny pojechałem do Krakowa. Tu już inny świat. Ale znowu do szpitala,

bo kompletnie wyczerpany organizm, awitaminoza itd, itd. Lekarze myśleli, że nie przeżyję. Dzięki Bogu skończyło się wszystko pomyślnie.

O. Remigiusz KRANC

■

Autor powyższych wspomnień — zapewne niekompletnych — zmarł dość nieoczekiwanie po krótkiej chorobie mając 66 lat, 5 stycznia 1977 r. Pochowany na Rakowicach w Krakowie.

Publikacja niniejsza ukazuje się bez wiedzy i zgody ewentualnych spadkobierców śp. ojca Křanca, którzy nie są nam znani.

ARESztOWANI I UKARANI

RELACJA DZIAŁACZA „SOLIDARNOSCI”

z dn. 31.8.83

Tego dnia w kościele parafialnym odbyła się msza, a po mszy przeszliśmy na (...), gdzie ułożyliśmy krzyż z kwiatów pod pomnikiem (...) i śpiewaliśmy „Boże coś Polskę”. Cała manifestacja trwała dokładnie tyle, ile trwa odśpiewanie tej pieśni, czyli nie dłużej niż 3 minuty. Zaraz potem ludzie zaczęli się rozchodzić. Milicjantów nie było widać w ogóle. Potem się okazało, że w tłumie było sporo esbeków w cywilnych ubraniach. Zostałem w tyle z moją siostrą, która też była oskarżona rok temu z dekretu o stanie wojennym i przesiedziała w więzieniu (...) dwa miesiące. Staliśmy przy krawężniku, zaraz przy ulicy, i nagle ni z tego ni z owego poczułem, że mi ktoś wykręca ręce do tyłu, na plecy. Usłyszałem tylko „milicja”, w mgnieniu oka zatrzymał się przy krawężniku samochód i bez żadnych ceregieli wrzucili mnie do środka. Siostra zaczęła mnie przytrzymywać, chciała mnie wyrwać z ich rąk, ale ją zaraz wsadzono do drugiego samochodu. Wyrwała się, tak że nawet walnęła głową o dach, i już siedzieliśmy w dwóch osobnych samochodach. Później jeszcze jednego naszego znajomego wsadzili koło mnie. Zawieźli nas na komendę do aresztu, bez słowa uzasadnienia zamknęli nas w celach. Później się okazało, że moja teściowa, szwagier, czyli mąż mojej siostry, oraz siostra

szwagra — przy czym muszę zaznaczyć, że oboje rodzeństwo, tj. szwagier i jego siostra są prawnikami — wszyscy w trójkę poszli na komendę, aby dowiedzieć się, dlaczego w ogóle zostaliśmy zatrzymani. Rezultat był taki, że wszyscy troje zostali zatrzymani. Było to tak, że najpierw jeden z esbeków zaofiarował się, że ich podwiezie do aresztu, więc oni poszli z nim do jego samochodu, a oni ich wszystkich zamknęli w areszcie. Po 24 godzinach przewieźli nas wszystkich — było nas w sumie około 10 osób — na kolegium. Ja z siostrą dostałem największą grzywnę z tych wszystkich, którzy tam w tym dniu byli, bo po 15 tysięcy. Inne kobiety dostawały po 5 tysięcy, z tym, że dla mojej teściowej oskarżyciel — był nim chorąży milicji — żądał miesiąca aresztu. Oczywiście musieliśmy zapłacić, bowiem termin płatności był natychmiastowy. Zamienność na te piętnaście tysięcy miała wynosić 75 dni aresztu, więc trzeba było zapłacić w ciągu trzech dni. Oczywiście wszyscy założyliśmy później rewizję do kolegium wojewódzkiego, z tym że wobec kobiet oskarżyciel publiczny, czyli ten milicjant, żądał podwyższenia grzywny. Wtedy, na tym kolegium, spotkałem się z jednym swoim znajomym, który ma czwórkę dzieci i szedł akurat do miasta, do apteki z siatką na zakupy i receptami, i wtedy właśnie go zwinęli. Dowiedzieliśmy się później, że była formalna łapanka i zwiniali nawet przypadkowych ludzi. Pomimo że im pokazywał te recepty, na zdjęciach robionych przez SB w czasie manifestacji nigdzie go nie było, to jednak dali mu 10 tysięcy grzywny. Ale jemu kolegium wojewódzkie w czasie rewizji zmniejszyło grzywnę o 5 tysięcy. Mnie i siostrze grzywny pozostawili bez zmian, czyli wyrok utrzymali w mocy, jednej z kobiet też utrzymali w mocy, natomiast wszystkim pozostałym podwyższyli grzywny o 5 tysięcy. W sumie na naszą rodzinę (ja — 15 tys., teściowa — 10, siostra szwagra — 10, moja siostra — 15, szwagier — 5 tys.) wypadło 55 tysięcy złotych za „udział w nielegalnym zgromadzeniu”. Na kolegium świadkowie milicjanci twierdzili, że milicja wzywała do rozejścia się, co było bzdurą, nikt z tego 250-osobowego tłumu nie słyszał żadnych wezwań. Zeznania świadków nie zgadzały się zresztą ze sobą, m.in. twierdzili oni, że dwóch milicjantów krzychało, aby się rozejść w trakcie śpiewania „Boże coś Polskę”, kazali nawet tym świadkom to narysować, a z tego rysunku wynikało, że milicjant, który rzekomo słyszał wezwania do rozejścia się, był po przeciwnej stronie ulicy, w odległości 200 metrów od wzywających, a oddzielony był od nich śpiewającym tłumem i przez ten śpiewający tłum rzekomo to wszystko słyszał. Nato-

miast naszym kobietom podwyższono grzywny rzekomo dlatego (tak twierdzono na kolegium odwoławczym), „że udały się na komendę, aby tam manifestować”. Konsekwencje tego dnia były dla nas takie, że zarówno szwagier jak i jego siostra, ci prawnicy, do tej pory nie mogą znaleźć pracy.

WYWIAD PRZEPROWADZONY PRZEZ (...)
Z DZIAŁACZEM NASZEGO ZAKŁADU JANUSZEM K.
W PAŹDZIERNIKU 1983 R.

Pytanie: — Czy mógłbyś opowiedzieć o Twoim aresztowaniu i traktowaniu na komendzie?

Odpowiedź: — Zatrzymano nas na podstawie zeznań pewnego kapusia, który teoretycznie niby pracował z nami, a później okazało się, że jest zwykłym kryminalistą, i on im zdawał regularnie raporty. Mieliliśmy akurat takiego pecha, że się do nas przyplątał, no i z początku sprawiał nawet dobre wrażenie. Zwinęli mnie z samego rana — to była niedziela 21 lutego 1982 r. Z początku zaczęły się głupie gadki: że „Solidarność” to, tamto, coś o mojej żonie, która była przewodniczącą Komisji Zakładowej „S” w swoim zakładzie, ale zaraz zaczęło się „konkretne” przesłuchanie; wpadła jakaś ekipa — było ich w pokoju chyba z pięciu czy sześciu — i zaczęli mi zadawać takie chaotyczne pytania typu „co robiłeś”, „przyznaj się, i tak wszystko wiemy” itd. Właściwie nie wiadomo było, do czego się przyznawać, bo początkowo nie stawiali żadnych konkretnych zarzutów. Ja z początku zgrywałem głupka; opowiadałem im głupoty i sam się z tego śmiałem. W pewnym momencie kazali mi się położyć na krześle, mówiąc, że zaraz dostanę pałkę, na co ja im odpowiedziałem, że są niepoważni, jeśli myślą, że sam im się położę, że musieliby mnie położyć siłą. Wtedy kazali mi stanąć pod ścianą. Nie wiedziałem z początku, o co im chodziło, ale stanąłem, a wtedy taki jeden, K. się nazywa, zawiesił na szafie marynarkę mówiąc, że to po to, „aby ci się krzywda nie stała, jak tam polecisz”, wziął tęgi zamach, taki sierpowy, ale zdążyłem zasłonić się ręką, tak że niewiele mi właściwie zrobił. Wtenczas oni się oburzyli: „Toś ty taki?!”, kazali mi z powrotem siadać na krześle, jeden z nich wkręcił kartkę papieru do maszyny i zaczęli spisywać dane personalne:

imię, nazwisko itd. W pewnym momencie poczułem uderzenie w okolicę ucha, uderzenie zmiotło mnie z krzesła, a gdy już doszedłem do siebie, okazało się, że mam ręce przykute do krzesła, do nóg pod oparciem. Wtedy jeden z nich, który okazał się chyba „etatowym” oprawcą, a którego oni tytułowali „kierownikiem”, niejaki pan S. oraz pan C. zaczęli zadawać pytania, na które ja zaprzeczałem, mówiłem że nie nie wiem, wtedy oni wyciągnęli protokół zeznań tego kapusia, i mówią: „Słuchaj Jasiu” — bo cały czas zwracali się do mnie tak, po imieniu, mimo że protestowałem — „mamy tutaj zeznania twojego kolegi”. Wówczas jeszcze nie wiedziałem o kogo chodzi, myślałem, że są to zeznania kogoś z moich kolegów, o których nie wiedziałem jeszcze wówczas, że też już siedzą. Wtedy oni mówią tak: „My ci tutaj, Jasiu, będziemy czytali po linijce; powiesz ‚tak’ — to wszystko w porządku, a powiesz ‚nie’ — to masz w mordę”. No i zaczęli czytać pierwszą linijkę. Ja oczywiście mówię „nie”, a on jak mnie huknął, to razem z krzesłem poleciałem na podłogę. Spadłem na plecy. I tak czytali mi po linijce ten protokół. Poleciałem na podłogę jeszcze parę razy, więc pamiętam ten protokół najwyżej do piątej lub szóstej linijki, bo potem to już byłem półprzytomny, więc coraz częściej zacząłem mówić „tak”. Tak wyglądało „przesłuchanie”. Później, jak mnie rozkuli, kiedy mi zdjęli kajdanki, do celi musiało mnie dwóch zaprowadzić, bo byłem tak zbity, że nie byłem w stanie utrzymać się na nogach. Muszę ci jeszcze powiedzieć, że w trakcie tego przesłuchania oni cały czas pili. Cały czas psioczyli, że to niedziela, ładna pogoda, słoneczny dzień, a oni muszą tutaj siedzieć „przez takiego skurwysyna jak ja”. W pewnym momencie zaczęli składać się na wódkę, któryś z nich polecał ją kupić, oczywiście chyba na melinie, bo przecież była niedziela i żaden sklep nie był otwarty, i tak cały czas pili, bili mnie i byli coraz bardziej pijani, tak że potem to już były z nich bydłeta, zataczające się na nogach. Na koniec zaczęli mnie kopać, czego ja już dokładnie nie pamiętam, bo byłem półprzytomny, pamiętam tylko, że jak potem wypuścili mnie do ubikacji, zacząłem sikać, to mi krew leciała z moczem. Wątpię, aby mi ta krew leciała od tego spadania z krzesła, chyba musieli mi dobrze dokopać po nerkach, tylko że ja już tego bardzo nie czułem. Gdy już odprowadzili mnie do celi, to miałem od tego czasu już względny spokój, tyle tylko że jeszcze mnie brali na zdejmowanie odcisków palców i inne formalności. Czasem rozmawiał ze mną taki dobry pan, który rzekomo „żałował mnie”, mówił mi, że „po co mi to wszystko,

lepiej się przyznać i mieć spokój”. Oni podsuwali mi takie zeznania, którymi mogłem obciążyć innych, a formułowali je nie tylko na podstawie tego, że mieli pewność iż ja o tych rzeczach wiem, ale też na podstawie przypuszczeń, że mogę o pewnych rzeczach wiedzieć. Pytali o wywieszenie sztandaru „S” w hali, o organizację strajku na początku stanu wojennego itd.

Po pięciu dniach z pięcioma innymi kolegami przewieziono nas do więzienia wrocławskiego. Inni byli niezgorzej pobici; na twarzy wprawdzie nie było tego tak bardzo widać, bo oni sprytnie bili przeważnie otwartą ręką, ale nerki to mieli wszyscy poodbijane, kopali też w brzuch. Potem — nie wiem dlaczego — wpakowali mnie z jednym tylko kolegą do samochodu i wywieźli do Legnicy, na Komendę Miejską MO, gdzie w areszcie siedzieliśmy jeszcze osiem dni, tak długo, aż w końcu doszliśmy po tym pobiciu do siebie i ślady pobicia zniknęły. Oczywiście przez cały ten czas nie dopuścili do nas żadnego lekarza, ani do mnie ani do kolegi, który przez tyle dni nic nie jadł, bo co wziął do ust, to wszystko zwymiotował. Nie wiedziałem dokładnie, w której celi on siedzi, ale dowiedziałem się tego od innych więźniów, że nic nie je. Jego bili szczególnie, bo przyjął taktkę całkowitego zaparcia się. Na wszelkie pytania odpowiadał „nie”. Przeprowadzili przedtem konfrontację, wprowadzili mnie do pokoju, gdzie on już siedział i zapytali go, czy mnie zna. On odpowiedział, że nie i w tym momencie dostał pięścią w głowę tak, że wyrócił się z krzesłem na podłogę; obskoczyło go pięciu milicjantów i zaczęli go kopać, a ten, co mnie wprowadził, dosłownie wywłócił mnie siłą z pokoju, złapał mnie za kołnierz i szarpnął do tyłu, wylądowałem na ścianie w korytarzu. I wtedy to właśnie skopali go tak po brzuchu, że przez wiele dni nie mogłem przyjmować posiłków.

Pytanie: — *Czy nie mieliście żadnego badania lekarskiego?*

Odpowiedź: — Nie było jakiegoś specjalnego badania, tyle tylko, co zazwyczaj się robi przy przyjmowaniu do aresztu śledczego, robią to w stosunku do każdego więźnia. Jak nas przewieziono z powrotem do więzienia we Wrocławiu, takie badanie przeszedłem, choć trudno to nawet nazwać badaniem. Ale i tak wtedy nie mieliśmy już żadnych zewnętrznych śladów bicia, bo od momentu tego pobicia siedzieliśmy trzy dni na komendzie na Psim Polu, potem osiem dni w Legnicy, więc minęło sporo dni, zanim zobaczył nas lekarz. Jeden z tej mojej piątki miał trwałe uszkodzenie słuchu, bo w czasie bicia pękł mu bębenek w uchu.

Pytanie: — *Mówiłś przedtem, że w czasie służby wojskowej skierowano Cię do jednostki specjalnej. Czy mógłbyś nam udzielić dokładniejszych informacji?*

Odpowiedź: — Jest to jednostka warszawska, która w stolicy zajmuje się ochroną centralnych instytucji MON-u. Ma wprawdzie w nazwie WSW, ale z tego co wiem, nie podlega WSW. Dowódca tej jednostki jest szefem ochrony MON-u. Głównym zadaniem jednostki jest ochrona Sztabu Generalnego, gabinetu ministra, Wojskowych Zakładów Kartograficznych, ważnych obiektów wojskowych. Ale jednostka ta służy jeszcze do innych zadań specjalnych. Zawsze wydawało mi się, że są to zadania typowe dla ZOMO, coś w rodzaju walki z tłumem; wyposażeni są w tarcze, które znajdują się w magazynach, potężne pałki, o wiele dłuższe, twardsze i grubsze niż pałki zomowskie, miotacze gazu, nawet składane pałki „teleskopowe” albo takie, z których wylatuje kawałek kauczuku, w środku którego znajduje się ołów; służy to do łapania ludzi, gdy ktoś ucieka, robi się po prostu takiego zawijańca i zwalnia się z puszki, to leci, owija się na nogach, później zwalnia się sprężyna i to się zaciska. Do tej jednostki wybierano ludzi kierując się kryteriami sprawnościowymi, albo takich, którzy już wcześniej zadeklarowali chęć pozostania w wojsku, na zawodowego. Ta jednostka mieści się przy Sztapie Generalnym, a strukturalnie podlega departamentowi wojskowemu MSW. Dodatkowo spełnia ona ochronę oficjalnych gości lub różnych osobistości wojskowych, zabezpiecza kontrolę terenu przy różnego rodzaju konferencjach, np. Układu Warszawskiego. Z tego co wiem jest to jedyna jednostka tego typu w całym Układzie Warszawskim, tak że nawet za granicą, na poligonach, gdzie są prowadzone próby z nową bronią, ta jednostka zapewnia ochronę. Jeśli chodzi o uzbrojenie w broń palną, to każdy żołnierz tej jednostki ma dwie lub więcej sztuk broni na stanie; każdy ma KBK AK lub KBK KS, poza tym każdy ma PM 63, tzw. „raka”, poza tym hełm, a oprócz tego kask, pałkę, kombinezon skórzany, którego właściwie się nie używa. Ćwiczenia odbywają się w ten sposób, że jedna grupa pozoruje „tłum”, a druga go rozpędza. Przypuszczam, że taktyka walki w tym wypadku nie różni się od taktyki stosowanej przez ZOMO. Jeśli chodzi o ćwiczenia, to podobnie jak ZOMO — tworzenie kordonów, usuwanie ludzi z ulicy, zamykanie ulic z dwu stron, rozpraszanie tłumów. Widziałem także w tej jednostce tzw. „ściany głośnikowe”, ale nie wiem jak to się właściwie nazywa w wojskowej termino-

logii. Są to głośniki dające specyficzny impuls dźwiękowy o potężnej sile uderzenia, choć nie czuło się ani podmuchu ani wstrząsu, ale takie jakby uderzenie. Następował potężny huk, po którym zbijało z nóg. Sam się o tym przekonałem, gdy nam demonstrowano skuteczność tego uderzenia, choć nie wiem, na co oni to trzymali; chyba na wypadek najgorszego, bo w mieście raczej nie miało to zastosowania, gdyż spowodowałyby to olbrzymie straty w szybach albo murach starszych budynków.

Pytanie: — Czy dyscyplina tej jednostki różniła się czymś od zwykłych formacji?

Odpowiedź: — Tak, tu już były wyraźne różnice, m.in. polegały one na tym, że przełożony może użyć siły fizycznej wobec podwładnego, czyli po prostu uderzyć go w przypadku „opieszalego wykonywania rozkazu”. Nie mówię tu w ogóle o odmowie wykonania rozkazu, bo to momentalnie łączy się z prokuratorem wojskowym i wyrokiem. Ogólny charakter jednostki można porównać do oddziałów gwardyjskich w sowieckiej armii, tzn. szkolenie wszechstronne, choć w zasadzie ta jednostka była jednostką piechoty. W czasie wojny zamienia się ona po prostu w oddział żandarmerii polowej. Przyjmowano do niej ludzi mających powyżej 180 cm wzrostu, wagi ok. 78 kg. Było wśród nas wielu ludzi wyróżniających się brutalnością charakteru, wielu było po wyrokach kolegium orzekającego, a nawet po wyrokach wojskowych do dwóch lat, głównie za pobicia.

Pytanie: — Czy zdarzały się jakieś wypadki w czasie służby lub ćwiczeń?

Odpowiedź: — Zdarzały się. Jeden z moich kolegów zginął — został zastrzelony, ja byłem ranny nożem. Poza tym ta straszna dyscyplina powodowała dużo wypadków. Był np. taki wypadek, gdy jeden z żołnierzy poszedł na lewiznę przebrany w cywilne ciuchy, poszedł po prostu na wódkę, no i wartownik w drodze powrotnej zauważył go i zastrzelił. Ale takie rzeczy zdarzają się we wszystkich jednostkach. Na terenie tej jednostki znajduje się też ciekawe pomieszczenie, specjalna sala, w której odbywają się „spotkania przy zamkniętych drzwiach”. Sala ta jest zabezpieczona przed możliwością podsłuchu, bowiem ściany są ekranowane, parkiet, szyby i story wykonane są ze specjal-

nych, metalizowanych zasłon. Nam nigdy nie mówiono co tam jest, ale i tak każdy wiedział, że odbywają się tam spotkania na najwyższym szczeblu Układu Warszawskiego. W każdym razie wtedy, kiedy w tej sali jest spotkanie, na terenie jednostki ustawia się specjalne „patrole wewnętrzne”, które kontrolują cały teren. Nikt nie ma wówczas prawa zbliżyć się do tego budynku na odległość 50 metrów; gdyby ktoś się zbliżył, to w tym momencie, bez względu na to, kim jest — czy oficer zawodowy, czy żołnierz, czy cywil — patrol ma obowiązek go zatrzymać. Patrole są natomiast kontrolowane przez zawodowych oficerów ochrony.

RELACJA MATURZYSTY Z ARESZTOWANIA I INTERNOWANIA (Wrocław, maj 1982)

Maturzysta: — Zaczęło się to wszystko od mszy w dniu 1 maja. Po mszy udaliśmy się z kolegą w kierunku domu, a ponieważ nie zdjęliśmy znaczków „S”, zostaliśmy zatrzymani i odwiezieni na komendę. Siedzieliśmy tam mniej więcej dwie godziny i czekaliśmy na rozprawę przed kolegium orzekającym za noszenie tego znaczka. Po dwóch godzinach przewieźli nas na kolegium, gdzie dostaliśmy po 2.300 zł grzywny. W wyroku stwierdzono, że „znaczek Solidarności nie został zarejestrowany w sądzie, wobec czego nie wolno go nosić”. Ja zapytałem, czy wszystkie znaczki, które są noszone przez ludzi, były rejestrowane w sądzie, ale to nic nie pomogło. Potem przewieźli nas z powrotem na komendę, mimo że przewodniczący kolegium obiecał, że po rozprawie zostaniemy wypuszczeni. Po jakiejś godzinie siedzenia w celi wywołali mnie, uderzając mnie z tyłu, po prostu ten ubek chciał mnie zmusić, abym wbiegł na górę, na pierwsze piętro, na czworakach. Skopał mnie po drodze, w końcu jakoś dobrnąłem na to pierwsze piętro, i tam z miejsca od razu mnie stłukli pałkami, pięściami, i dopiero po tej „procedurze” zaczęło się przesłuchanie. Chcieli mi wmówić, że organizuję jakieś siatki młodzieżowe itd., że kolportujemy różne ulotki; pokazywali mi takie ulotki i mówili, żebym sobie wybrał którą chcę, i że im chodzi tylko o to, abym podpisał protokół. Ja oczywiście nie chciałem się zgodzić, więc następowała dalsza „obróbka”. Dwukrotnie zrzucali mnie ze schodów, odbijali mi pięty w ten sposób, że kazali mi klęczeć na biurku.

dwóch mnie trzymało, a trzeci bił pałką po piętach, i cały czas ironizowanie, prymitywne straszenie. Jeden z tych funkcjonariuszy przypalał mnie zapalniczką, taki sobie „żart” zrobił, wyciągnął zapalniczkę i zaczął mnie przypalać na szyi; akurat była taka sytuacja, że ten drugi złapał mu rękę i powiedział „nie przesadzaj” czy coś w tym rodzaju, ale trochę tego ognia już poczułem. Byłem już tak pobity i zmaltretowany, że było mi wszystko jedno, nic już właściwie nie czułem...

Agencja Informacyjna „S”: — *Ile miałeś wtedy lat?*

Maturzysta: — Dwadzieścia. Mojego kolegę też bili; po trzech godzinach, gdy mnie wzięli do innego pokoju, słyszałem przez ścianę, że jego też tam biją, bo słyszałem jego krzyki. Po godzinie bicia wprowadzili go do pokoju, ja w tym czasie siedziałem w kajdanach, przypięty do takiego metalowego krzesła, spisywali moje personalia, a ja nie wiedziałem, że jego z tyłu wprowadzili i twierdzili, że ja zeznaję przeciwko niemu i żeby on zobaczył jak „śpiewam”, jak to oni stwierdzili. Po prostu chcieli go wziąć „pod pic”, wyprowadzili go do tego drugiego pokoju, ale właśnie przez to, na szczęście, on usłyszał dalsze „łomoty”, jak mi mówił potem, znaczy, że mnie dalej biją, czyli że mu to wszystko razem jakoś nie pasowało, więc w efekcie mimo wszystko w to nie uwierzył...

AI „S”: — *Czym Cię bito?*

Maturzysta: — Pałkami, zwykłymi i „szturmowymi”, przy czym do wyboru dano mi pałkę białą lub czarną; ja im powiedziałem, że chcę czerwoną, to wtedy mnie uderzył stołkiem w głowę, przewróciłem się na taką metalową szafę...

AI „S”: — *Kopali Cię?*

Maturzysta: — Później mnie już nie kopali, tylko na początku, jak wychodziłem, a tak to bili pięściami. Chcieli żebym wstawał; ja wstawałem po każdym takim uderzeniu i z powrotem byłem powalany, taką sobie zabawę zrobili i śmiali się cały czas. Bili mnie wszędzie, nie przebierali, nie robili im to po prostu różnicy, czy biją po głowie, czy po nogach, bili gdzie popadło. Miałem sweter, to potem sweter mi kazali zdjąć, bo stwierdzili, że mniej boli. Potem mnie rozebrali

i wrzucili do celi, było tam bardzo zimno; powiedzieli, żebym trochę pomarzył, to zmięknę, ale to niedługo trwało, z jakiegoś pół godziny. Później z powrotem mnie wzięli, ale sytuacja już się wtedy zmieniła, już byli grzeczni, już było widać, że zapadła decyzja komendanta o zwolnieniu mnie z komendy w tym dniu i po prostu było widać już jakąś asekurację z ich strony. Jeden z nich nawet przed samym wyjściem wziął mnie na stronę i zaczął się tłumaczyć, że to nie on w tym wypadku decydował, że miał odgórne decyzje, że on to musi robić, że on też ma dzieci, pracuje itd., że mógłby być moim ojcem i takie różne. Jeszcze chciałem przypomnieć, jakie to oni mają te swoje ubeckie metody: a więc gdzieś mniej więcej po godzinie tego bicia panowie z pałami wyszli i wszedł ten ich „ojciec” ubecki i zaczął mi mówić: „Słuchaj, ale to są skurwysyny, oni będą cię już wciąż maltretować, już się od nich nie wydostaniesz, tak już jest, że jak ktoś się tu dostał, to nie ma prawa stąd wyjść, ty słuchaj, mnie jest cię żal, bo ty jesteś młody, masz małe dziecko, ale ja cię spróbuję stąd wyrwać, choć wiem, że twoja sprawa jest już przegrana”, i cały czas mi bajeruje w ten sposób, że jeżeli mu podam jakiegokolwiek fakty, to on po prostu skierując podejrzenia na kogo innego, a mnie postara się z tego wyciągnąć. Ja oczywiście nie odezwałem się ani słowem, więc on wyszedł, zaraz wrócili panowie z pałami i od nowa bicie. Więc wtedy już zostaliśmy wypuszczeni razem z kolegą, to znaczy on wyszedł wcześniej, a ja po godzinie; kazali mi jeszcze siedzieć i czekać, chcieli częstować mnie kawą itd.

AI „S”: — *I na tym się skończyło?*

Maturzysta: — 8 maja przyjechali po mnie do domu, było ich chyba dwunastu lub dziesięciu, już nie pamiętam dokładnie, w każdym razie po jedną osobę przyjechała cała banda. Do środka weszło sześciu, a jeszcze czterech czy też sześciu czekało na korytarzu. Potem nas zawieźli wszystkich na sygnalach do Krakowa, tam posiedzieliśmy jeszcze trzy godziny w celach. Wprowadzili nas później do takiej świetlicy, a potem przewieźli wszystkich w Bieszczady. Był taki moment, kiedy nam powiedzieli, że nas wywożą „na białe niedźwiedzie” i faktycznie zauważyliśmy, że jedziemy w tamtym kierunku. Jechaliśmy w więźniarkach, było nas w jednej przegródce dwanaście osób, a na ziemi była rozlana benzyna, było jej bardzo dużo, chyba że trzy centymetry nad podłogą, tak że buty mieliśmy wszyscy kompletnie zmoczone i ten odór był nie do wytrzymania, a oni

nawet nie chcieli zatrzymać się żeby przewietrzyć, wiadomo dlaczego, no i cały czas utrzymywali, że jedziemy na „białe niedźwiedzie”. I tak jechaliśmy w te Bieszczady, w nocy dotarliśmy w końcu na miejsce, wysadzili nas; nie wiedzieliśmy gdzie jesteśmy, część już naprawdę myślała, że jesteśmy w Związku Radzieckim, byliśmy niesamowicie zastraszeni, mimo że na początku próbowaliśmy dowcipkować; widzieliśmy tylko druty kolczaste i nic więcej. Ale wprowadzili nas za te druty, światła się zapaliły, usłyszeliśmy śpiewy i wiedzieliśmy już, że to nasi witają nas w ten sposób w obozie. To był obóz w Łupkowie, dwa kilometry od Arłamowa, koło granicy rosyjskiej.

AI „S”: — *Ile czasu tam spędziłeś?*

Maturzysta: — Dwa miesiące.

AI „S”: — *A jak Was tam traktowano?*

Maturzysta: — Trudno właściwie powiedzieć, jak nas mieli traktować, bo właściwie bali się wchodzić na teren obozu. Tu raczej można by opowiadać, jak my ich traktowaliśmy. Oni bali się bardzo — to było widać na każdym kroku. Pilnowali nas bardzo, były dwie akcje przeprowadzone przez ZOMO, próbowali „rozkurzyć” obóz, ale to im się nie udało. Powodem była jakaś znaleziona gazetka. Można powiedzieć, że obóz w Łupkowie był całkowicie przez nas opanowany. Spotkałem się tam z wieloma wspaniałymi ludźmi.

AI „S”: — *Znasz nazwiska tych ludzi, którzy Cię bili na komendzie w Tarnowie?*

Maturzysta: — Tak. To byli P., K. i C. Stopni nie pamiętam. Dowiedziałem się później, że ci trzej panowie to specjaliści od pały. Chyba sierżanci. Pałali straszną nienawiścią.

AI „S”: — *Czy zgłosiłeś się potem do lekarza w celu obdukcji?*

Maturzysta: — Nie, nie byłem, po prostu wtedy mi to odradzano. Na komendzie pokazywali mi wtedy jakieś dokumenty, że niby już w lutym miałem być internowany, ale chyba były one fikcyjne.

RELACJA Z ARESZTOWANIA DZIAŁACZA „S”
ZAKŁADÓW AZOTOWYCH W TARNOWIE
(lat 27, pseudo *Chemik*)

Chemik: — W wolną sobotę 27 lutego 1982 r., była to godzina 13.00, weszło do mnie do domu czterech panów w cywilu oraz jeden w mundurze. Zrobili mi pobieżną rewizję; pech chciał, że akurat w szufladzie znaleźli jeden egzemplarz biuletynu z Małopolski, więc zaraz wzięli mnie do samochodu. Gdy jechaliśmy, już miałem przedsmak emocji, które mnie czekały, bo jeden z nich zaczął ten biuletyn przeglądać i znalazł tam taki wierszyk o milicjantach, który zaczyna się chyba tak: „Kto ty jesteś — świnia mała” itd., no i wtedy zaczęło się; „ty skurwysynu, ty dopiero zobaczysz” i tak w tym stylu, więc gdy przywieźli mnie na komendę, to już z nastawieniem „zobaczysz, co my zaraz z tobą tutaj zrobimy”. Jeden mi mówił, że nie wyjdę stąd żywy, że „wyjdę przez komin, ale żywy raczej nie”; w kącie stała taka metalowa szafa, więc on zawiesił na tej metalowej szafie marynarkę, żeby się nie pobabrać za bardzo i cały czas słyszę, jak oni mówią do siebie, zastanawiają się głośno przy mnie, czy już przynieść to wiadro z wodą, aby mnie lać, czy jeszcze nie. Stałem na środku pokoju i zaraz zaczęły się pytania, skąd mam ten biuletyn. Było ich sześciu, ja sam jeden stałem na środku pokoju. Z początku chodzili cały czas koło mnie luźno, aż wtem posypał się na mnie grad ciósów z przodu, z tyłu, po prostu, który z nich miał ochotę, to sobie uderzył. Trwało to z pół godziny i wtedy właśnie dostałem w to swoje lewe oko pięścią i znów odkleiła mi się siatkówka...

Biuletyn Informacyjny „S”: — *Czy pogorszenie się wzroku w tym oku nastąpiło właśnie po tym biciu?*

Chemik: — Nie, bo tę wadę miałem już wcześniej; byłem po udanej operacji i oko miałem już właściwie zaleczone, bo przecież leczyłem się sporo lat i ten mój pan profesor doszedł do wniosku, że jest na tyle zaleczone, że już lepiej się nie da, ale po tym biciu, po tym uderzeniu w oko, w jednym momencie wróciło to z powrotem. Zadawali mi pytania w stylu „czy mam zdrowe nerki”. Więc ja mówię, że zdrowe, „no to nie

będziesz miał zdrowych” — i pięścią w nerki. Później wyszli, a wszedł taki dobry esbek, dobry był, bo nawet papierosem częstował, brał „na zaufanie”, mówił mi „no widzisz, i po co ci to”, albo „porozmawiamy sobie tylko w dwójkę — nic poza nas nie wyjdzie” itd. Nic mu z tego nie wyszło, więc poszedł, tamci wrócili i od nowa to samo; bicie, na razie rękami, wszędzie, po głowie, w twarz, w brzuch, w nerki. Cały czas teksty w stylu: „No co, skurwysyny, zmieniło się, porządziliście trochę, teraz znowu my”. Miałem wtedy dość bujną brodę i nagle jeden z nich mówi: „Popatrz, jaki z niego skurwysyn, jest podobny do Gwiazdy”, a drugi na to: „Zaraz go zmienimy”. No i wziął taki długi nóż kuchenny i zaczął mi ciąć brodę i wąsy, to znaczy chwycił tak po kosmyku i ciął. Ale drugi wpadł na jeszcze lepszy pomysł; ja stałem, on ustawił za mną krzesło i wszedł na nie, złapał mnie za wąsy i ciągnął do góry, tak że byłem wyprostowany jak struna, a ten drugi z przodu bił mnie w żołądek i w piersi, tak że nie mogłem się ani zasłonić, ani skulić przed ciosami. Potem znowu inna zabawa; cały czas się wściekali o ten wierszyk, bo to przecież do nich był adresowany; wprawdzie nie byli zbyt inteligentni, ale intencje jednak wyczuli, więc postawili krzesło, przewiesili mnie przez nie tak, że miałem wypięte pośladki, wyciągnęli z szafy dwie pałki: białą i czarną, i zapytali którą chcą dostać. Na to ja, że mi to obojętne. No więc zaczęli mnie bić w ten sposób, że zaczęli ten wierszyk sylabalizować: każda sylaba — uderzenie pałką z całej siły, zza głowy, w pośladki. Nie wiem już, ile było tych uderzeń — dwadzieścia czy trzydzieści, w każdym razie coś koło tego. Potem było bicie pałkami w pięty; odbywało się to w ten sposób, że musiałem się położyć na podłodze na brzuchu, jeden mi usiadł na plecach, buty miałem ściągnięte, no i zarobiłem kilkadziesiąt uderzeń w pięty.

BI „S”: — *Czy przez cały ten czas od momentu aresztowania bili Cię?*

Chemik: — Tak, na okrągło od tej trzynastej aż do szóstej chyba, i cały czas pytania, skąd mam ten biuletyn, czy znam moich „wspólników” Jacka i Adama, czy od nich coś dostawałem, czy coś robiłem dla nich i tak w tym stylu. I tak na przemian robili ten cyrk, że oni wychodzili, a w ich miejsce przychodził ten „dobry”. W końcu zapisali te moje zeznania, przy których upierałem się od samego początku, że dostałem biuletyn od jakiegoś człowieka w pociągu. Wtedy już mnie prze-

stali bić. W czasie tego bicia to kilka razy robili w mojej obecności „ściopy” na alkohol, jeden z nich wychodził po wodę i cały czas pili...

BI „S”: — *Czy można powiedzieć, że byli pijani?*

Chemik : — Pijani to może nie byli, ale na dobrym gazie. Jak sobie już tak dobrze podpili, to zaczęli mi grozić bronią; jeden z nich wyciągnął pistolet, bawił się nim niby tak, od niechcenia, potem przykładał mi go do głowy...

BI „S”: — *Miałeś pewność, że był nabyty?*

Chemik : — Nie, tego nie mogłem widzieć, ale skoro wyciągnął go z kabury i odciągnął kurek...

BI „S”: — *Czy grozili Ci wręcz, że Cię zabiją?*

Chemik : — Cały czas mi powtarzali, że nie wyjdę stamtąd żywy, że wezmą mnie na Zakłady Chemiczne i wrzucą w jakiś zbiornik chemiczny, że się rozpuszczę i śladu po mnie nie będzie, że jak już jestem w ich rękach, to jestem „załatwiony”. I cały czas dodawali, że trzy lata mam pewne. Więc gdy już zapisali te moje zeznania, to wtedy zaprowadzili mnie do celi. Następnego dnia rano wzięli mnie z celi, wsadzili do samochodu i zawieźli pod dom. Nie byłem skuty kajdankami, więc ten jeden odstąpił tylko kaburę, że jak tylko spróbuję uciekać, to będą strzelać. Wprowadzili mnie do domu i zrobili rewizję, taką szczegółową, i znaleźli dosyć sporo materiałów; plakaty, które kiedyś były rozlepiane w Tarnowie, biuletyny z Małopolski... Później znowu na przesłuchanie, bez bicia, czasem mnie tylko w głowę czymś rąbnęli, „żebym sobie przypominał”...

BI „S”: — *A jak się zwracano do Ciebie?*

Chemik : — Głównie „ty skurwysynu”, ani razu nikt nie odezwał się do mnie normalnie. Zdawałem sobie cały czas sprawę z tego, że jestem w ich rękach i że mogą ze mną zrobić wszystko, że nie istnieje żadne prawo, bo przecież ich żadne prawo nie obowiązuje. A więc te kolejne przesłuchania były już spokojne. Moi koledzy też już wtedy byli zatrzymani, przeprowadzono konfrontacje z nimi, bowiem były duże rozbieżności

w zeznaniach ; w sumie przyznałem się do rozdania kilku numerów biuletynu wśród załogi. Zupełnie niezgodne z prawem było to, że na komendzie w Tarnowie trzymali mnie dłużej niż 48 godzin, bo od soboty do środy, czyli w sumie pięć dni, dopiero później wręczyli mi nakaz aresztowania, mimo że już w poniedziałek zawieźli mnie do prokuratora, i ten prokurator mnie przesłuchiwał. Nakaz aresztowania miał datę właściwą, tzn. po upływie 48 godzin od chwili zatrzymania.

BI „S”: — *Nie myślałeś o tym, aby poskarżyć się prokuratorowi?*

Chemik: — Nie miałem żadnej swobody wypowiedzi, bo jeden z tych ludzi, którzy na komendzie mną się „opiekowali” był obecny przez cały czas na przesłuchaniu u prokuratora, a ja sobie przecież zdawałem sprawę z tego, że wrócę z powrotem tam do nich, na komendę, i że oni będą wiedzieli, co mówiłem, tak że u prokuratora nie wspominałem nawet o biciu, bo przecież mogłem za to jeszcze więcej oberwać. W środę przewieźli mnie do aresztu śledczego do Rzeszowa, gdzie momentalnie zgłosiłem się do lekarza więziennego, który w mojej obecności zapisał w kartotece, że przybyłem z tarnowskiej komendy MO, wyszczególnił wszelkie obrażenia, a więc sińce na pośladkach, na plecach, rozbite oko itd. W Rzeszowie siedziałem dwa tygodnie. Posadzili mnie do celi nie z chłopakami z „S”, tylko z kryminalistami, ale to byli dość porządni ludzie, tak że nie spotkało mnie z ich strony nic złego, nawet przeciwnie. Po tych dwóch tygodniach zawieźli nas w trójkę do Krakowa na Montelupich. W dniu przyjazdu, a było to gdzieś w połowie marca, zaraz przesłuchiwał nas prokurator wojskowy B., który prowadził tę naszą sprawę i jemu właśnie zgłosiliśmy fakt pobicia nas na komendzie w Tarnowie. Zainteresował się tą sprawą, a potem przyszedł do mnie podprokurator właśnie w tej sprawie i przesłuchiwał mnie dokładnie na tę okoliczność. Powiedział wtedy, że będzie wytoczona sprawa o wymuszanie zeznań i pobicie. Po miesiącu od chwili aresztowania mieliśmy rozprawę; za udowodnione doręczenie dwóch egzemplarzy biuletynu podziemnej „Solidarności” zostałem skazany na półtora roku. Założyliśmy rewizje. Na Montelupich siedziałam gdzieś do 10 maja, potem przewieziono nas do Raciborza, gdzie siedzieliśmy na oddziale izolacyjnym; tam gdzie siedziała „Solidarność”, miejsc już nie było. Cele były dwuosobowe, strasznie małe, dwóch więźniów nie mogło swobodnie przejść obok siebie. W sumie zostałem

skazany w pierwszej instancji z art. 48, tj. za rozpowszechnianie fałszywych informacji, natomiast rewizja zmieniła mi zarzut na art. 46, czyli kontynuowanie działalności i zbiła mi wyrok do 8 miesięcy. Z Raciborza przewieziono nas następnie do Strzelec Opolskich. Nie będę opisywał tamtejszych warunków, bo i tak wszyscy wiedzą, że były bardzo ciężkie. Pewnego dnia przewieziono całą naszą trójkę z powrotem na Montelupich. Domyślaliśmy się, że dotyczy to sprawy tych milicjantów, którzy nas bili w śledztwie, bo kilkakrotnie odwiedzał nas ten wojskowy prokurator, który tę sprawę prowadził.

BI „S”: — *Czy były jakieś próby zatuszowania tej sprawy? Czy na przykład nakłaniano Was, abyście wycofali zeznania przeciw tym milicjantom? Nie było takich prób?*

Chemik: — Ze strony tego prokuratora nie. On naprawdę sprawiał takie wrażenie, jakby się rzetelnie interesował tą sprawą. I że jej po prostu nie odpuści. Dopiero później, jak już wyszedłem, były takie próby. Bo na Montelupich siedziałem w sumie jeszcze dwa miesiące i stamtąd już wyszedłem na wolność. Gdy wyszedłem na początku września, dostałem wezwanie do krakowskiej Prokuratury Wojskowej. Jeździłem do tego Krakowa przez cały tydzień, dzień w dzień. Była przeprowadzona z tymi milicjantami konfrontacja, chodzi o tę trójkę najbardziej aktywną. Myśmy ich oczywiście rozpoznali, no i sprawa zaszła już tak daleko, że prokurator, który tę sprawę prowadził został zmieniony i zaczął tę sprawę prowadzić ktoś inny.

BI „S”: — *Na czym polegała taka konfrontacja?*

Chemik: — Wprowadzono nas do pokoju, w którym siedziało już kilku mężczyzn w cywilnych ubraniach, no i ten prokurator poprosił o wypowiedzenie się, czy któregoś z nich poznaję i kto to jest. No więc powiedziałem: „To jest pan ten i ten, który robił to i to”. W pewnym momencie jeden z tych milicjantów uniósł się gniewem, odezwał się do mnie przez „ty” i zaprzeczył, mówiąc, że wcale tak nie było. Ale ten prokurator zaraz go usadził, powiedział mu: „To nie jest Pański kolega”. Poza tym przypomniał mu, że nie ma teraz głosu i tak dalej. Ale tego prokuratora zmienili. W międzyczasie byliśmy wszyscy trzej jeszcze raz zatrzymani na 48 godzin i tam na komendzie znów spotkaliśmy się z tymi ludźmi, którzy nas wtedy przestuchiwali. Było to w październiku, gdy było akurat święto

milicji i SB, i tym razem też byli podpici i mieli do nas pretensje, że niby kłamujemy. Pamiętam słowa jednego z nich, które do mnie powiedział: „I ty to nazywasz biciem? Jak byłem młodszy, to wtedy naprawdę biłem. A teraz to już nie mam tyle sił”. I wtedy nam sugerowali, żeby się z tej sprawy wycofać. Ze nam „dobrze radzą”, że przecież mieszkamy na miejscu, w Tarnowie, i że przecież w każdej chwili będziemy mogli znów się spotkać u nich na komendzie. Jeszcze jeden z nich mi powiedział: „Przecież wiesz, że któryś z moich chłopaków może cię zająbać w każdej chwili”. Po pewnym czasie dostaliśmy z Prokuratury Wojskowej takie pismo o umorzeniu śledztwa w tej sprawie „z braku świadków i dowodów”. Lekarz więzienny, który przecież na moich oczach zapisywał w książce to wszystko, co stwierdził w czasie oględzin śladów bicia, potem na śledztwie powiedział, że ta książka zginęła i że nie przypomina sobie takich szczegółów, jakie my podajemy. A z pewnością by pamiętał, bo „na takie rzeczy jest szczególnie uczulony”. Było to o tyle dziwne, że przecież o tym biciu myśmy dużo opowiadali już na naszej rozprawie, gdzie na sali byli świadkowie, komplet sędziowski, nasze rodziny, więc może właśnie dlatego, że oni chcieli pokazać, że jednak jest w Polsce jakaś sprawiedliwość, jakaś praworządność, więc może dlatego właśnie oni z początku rozpoczęli dochodzenie.

OBOP

RELACJA DZIAŁACZKI NSZZ „SOLIDARNOŚĆ” TARNOWSKICH ZAKŁADÓW AZOTOWYCH Z OKRESU STANU WOJENNEGO (lat ok. 50, pseudo *Drukarz*)

Drukarz: — Gdy mnie aresztowali, zapowiedzieli mi, że absolutnie nie wolno mi powtarzać niczego z tego, co u nich słyszałam. Ja jednak od razu odpowiedziałam im, że mogę być pewni, że będę mówić wszystko komu się da, co tylko wiem, dlatego uprzedziłam ich, aby uważali, jeżeli nie chcą, abym jakichś ich tajemnic nie zdradziła.

Zostałam internowana o godzinie za piętnaście pierwsza w nocy z 15 na 16 grudnia. Nie pozwolono mi zabrać ani grzebień, ani papierosów, ani nawet jednego grosza, tylko dowód

osobisty, czyli tak jak stałam. Przez trzydzieści sześć godzin trzymali mnie tu w Tarnowie, przesłuchując co godzinę przez mniej więcej trzy godziny. Interesowała ich cała działalność, którą rzekomo miała objąć abolicja, no bo niczego innego nie było. Szczególnie interesowali się przebiegiem samego wybuchu wojny, tzn. co się działo w niedzielę i w poniedziałek, kiedy byliśmy na terenie zakładu. Oczywiście człowiek był przygotowany na taką okoliczność, więc odpowiednia legenda była. Przez trzydzieści sześć godzin nie dostałam nawet szklanki wody...

OBOP: — *Czy przeprowadzili w Pani domu rewizję?*

Drukarz: — Nie, w domu rewizji nie było, natomiast tutaj, na komendzie, zrewidowali mnie dokładnie, przydzielili mi kobietę, która nawet każdy szew dokładnie obejrzała, rozebrali mnie do naga, stałam tylko w majtkach. Później przesłuchiwał mnie zastępca komendanta i cały czas prawił mi najrozmaitsze złośliwości na temat mojej działalności, to znaczy redakcji naszego pisma zakładowego...

OBOP: — *Co Pani w tym piśmie robiła?*

Drukarz: — Trzy razy w miesiącu drukowano moje artykuły, w których zamieszczałam nie tylko informacje z regionu, ale także cykle poetyckie i historyczne, które opracowywałam wspólnie z koleżanką. Później polecono nam wydawanie zakładowego biuletynu, gdzie zamieszczaliśmy własne uwagi dotyczące pracy na terenie naszego zakładu, różnego rodzaju nieprawidłowości, z podawaniem nazwisk, atakując nie tylko dyrekcję, ale także władze partyjne. I to właśnie zarzucano nam w czasie śledztwa. Najcięższym zarzutem jaki mi postawiono było stwierdzenie, że jest szczytem bezczelności wysyłanie im, tzn. na komendę, naszych biuletynów. Ja rzeczywiście osobiście kilka numerów zaadresowałam i wysyłałam im, m.in. w dniu milicjanta wysłaliśmy im numer z życzeniami dla tych funkcjonariuszy MO, którzy nie splamili munduru. Więc oni stwierdzili, że to była bezczelność. Pan komendant stwierdził też, że u nich także są wykształceni ludzie. To pierwsze przesłuchanie trwało chyba do trzeciej godziny, następnie odprowadzono mnie do celi, odebrano mi płaszcz, mimo że był zimno, kazali mi nawet buty ściągnąć, rzucono mi kawałek brudnego, ohydneho koca, oczywiście bez materaca. W celi siedziałam sama, byłam zresztą jedyną wówczas zatrzymaną kobietą. Po pół godzinie —

następne przesłuchanie. Tym razem siedziało już trzech gorylków i znowu zażądali, aby im szczegółowo opowiedzieć, jak się zaczęła moja działalność w „Solidarności”. Protokołowali to, notowali wszystkie szczegóły od września 1980 roku, potem znów pytali o 13 grudnia, następnie kazali to podpisać. Ja podpisałam tylko do 13 grudnia, dalej już nie, powiedziałam im „nie ma głupich”, mogliby mi coś dopisać. Potem znowu do celi. Dali mi spokój chyba godzinę, półtora, przyniesiono w takim ohydny garnku jakąś lurę plus pajdę chleba grubości 10 cm i na tym 2 cm smalcu, oczywiście człowiek czegoś takiego nie jadł, rzuciłam jeszcze garnkiem do tyłu i omal nie trafiłam tego, który mnie namawiał, żeby jeść — tak bardzo się tym wszystkim zdenerwowałam. Potem znów na górę. I tak było parę razy. W nocy — około dziewiątej — przewieziono mnie do Krakowa. Powiedziano mi, że jestem internowana. To internowanie trwało tydzień, przy czym siedziałam w celi 25. Dlaczego to mówię: otóż byłam internowana tydzień. Potem, jak mnie aresztowano, siedziałam niedaleko, w celi 36. Siedziałam z dziewczynami z informacji i propagandy regionu Małopolska. W zasadzie można powiedzieć, że strażniczki były względnie uprzejme, a my oczywiście cały czas żądałyśmy stosowania wobec nas regulaminu dla internowanych. Warunki miałyśmy nienajgorsze: w zasadzie było to więzienie przejściowe, z którego rozwożą później do innych więzień. Nasze okno wychodziło na podwórze i widziałyśmy tylko ptaki, próbowałyśmy nawet karmić gołębie, czego nam zabraniano. Po tygodniu — była godzina ósma czy dziewiąta — przychodzi strażniczka i mówi, że mam wszystkie rzeczy zabierać, bo idę. Okazuje się, że mam być puszczona do domu. Nie bardzo mi się chciało w to wierzyć, ale skoro mi każą zdawać te wszystkie materace, miski i tym podobne rzeczy, oddają depozyt, to myślę sobie, coś się dzieje, i faktycznie — otwierają się te główne odrzwia więzienne, jest takie podwórze, gdzie są jeszcze biura więzienne, później brama, która jest stale otwarta, i okazuje się, że wychodzę s a m a... Więc myślę sobie: „Boże, to ja jednak jestem wolna!”. Byłam bez grosza przy duszy, więc chyba będzie trzeba iść na piechotę. Ledwo wyszłam za bramę, stoi fiacik. Drzwi otworzyli — prosimy. Nie wiedziałam, o co chodzi, byli w cywilu, tylko legitymacją mi machnął pod nosem, okazało się, że to jest jakiś kapitan Służby Bezpieczeństwa. Myślałam, że jeszcze gdzieś będą mnie wieźli w Krakowie na przesłuchanie, ale nie — prosto do Tarnowa. Dojechaliśmy między jedenastą a wpół do dwunastej, oczywiście bez śniadania. Epitety, jakie

usłyszałam, to nasze radio i telewizja mogą się schować: „kurwa” co drugie słowo, w końcu się wściekłam i sama im naubliżałam. Właściwie to z początku było spokojnie, tylko wabliżo jedno takie bydlę i zaczęło bluzgać, jednym tchem wypowiadać różne niestworzone rzeczy na „Solidarność”, więc mu przypomniałam zasadę, że leżącego się nie kopie i jeszcze nazwałam go bydlakiem. „Pani się nas nie boi?” — zdziwili się, a ja odpowiadam: „nie”. „Przecież my bijemy”. To ja: „Na razie jeszcze nie. Wiem, że ubecy bili, a czy esbecy będą, to się dopiero okaże”. I znów bez odrobiny jedzenia, bez szklanki wody tak mnie trzymali gdzieś do godziny trzeciej, ja się denerwowałam, bo nie wiedziałam, czego ode mnie jeszcze chcą i po co mnie tutaj przywieźli. W końcu powiedzieli mi, że prokurator czeka. Przyszedł prokurator: kazał mnie dowieźć na godzinę pierwszą, a przyszedł o wpół do czwartej. Zakomunikował mi, że jestem aresztowana...

OBOP: — *To był wojskowy prokurator?*

Drukarz: — Nie, bo ja nie stawałam przed sądem wojskowym, tylko cywilnym, z artykułu 46. Jedyna prośba, jaką miałam do prokuratora, to żeby mnie poczęstował papierosem, bo zobaczyłam, że ma otwartą paczkę Sportów. Oczywiście odmówił, a ja się poczułam, jakby mnie ktoś w pysk strzelił, bo jedyną rzeczą, o którą mogłam ich poprosić był papieros. Dopiero zlitowała się nade mną sekretarka, która kupiła je za własne pieniądze i gdy prokurator wyszedł, podała mi paczkę. Przesłuchanie trwało około trzech godzin, później odczytano mi protokół, w którym wiele rzeczy było innych niż to, co mówiłam: te okoliczności, które mogłyby świadczyć na moją korzyść, zostały pominięte. Odmówiłam podpisania, mówiąc im, że tak długo nie podpiszę, dopóki poprawki nie zostaną naniezione. Więc wprowadzili te poprawki, lecz ja nie zwróciłam uwagi na to, że zapisane one były na osobnej kartce. Później, gdy odczytywano moje zeznania, tej kartki oczywiście już nie było. Później, to znaczy w czasie procesu. Po przesłuchaniu czekaliśmy jeszcze pół godziny, podjechał taki wielki więzienny wóz „sala gimnastyczna”, nie, przepraszam, pomyliłam się: „salą gimnastyczną” jechałam, gdy nas internowali, natomiast tym razem wieziono nas z dwoma kolegami Nysą, skutych kajdankami. Tych dwóch kolegów zostawili w Tarnowie, a mnie zawieziono z powrotem do Krakowa. Dojechalśmy o drugiej w nocy. Tam konsternacja, bo już mnie wykreślono z rejestru,

nie byli przygotowani na to, że trzeba będzie wypełniać wszystko na nowo. I tak siedziałam. Akt oskarżenia wręczono mi 23 grudnia, a proces zaczął się 6 stycznia. Było nas 6 oskarżonych. Efekt był taki, że nas uniewinniono. Oczywiście prokurator wniósł rewizję nadzwyczajną. Sąd Najwyższy wyrok uchylił i z miejsca zostaliśmy poinformowani przez naszych adwokatów, że prokurator wystąpił z wnioskiem do sądu o nakaz tymczasowego aresztowania — było to 3 lutego. Poradzono nam, że jedynym wyjściem jest schronienie się w szpitalach. Poświęciłam się, bo moi chłopcy się wstydzieli, więc zdecydowałam się sama pójść do szpitala dla nerwowo chorych. Było to tzw. leczenie nocne, tzn. o dziesiątej wieczorem przychodziłam do szpitala psychiatrycznego, a o ósmej rano wychodziłam. W każdym razie pomogło: powołano biegłych sądowych, zostałam pouczona, jaką mam ciężką depresję i jak mam ją eksponować, lecz sąd nie przyjął tego wniosku. W sumie mieliśmy aż dziewięć rozpraw, druga była dopiero w czerwcu i proszę mi wierzyć, że kosztowała mnie dużo więcej nerwów niż pierwsza. Nie wiem, czy było to celowe, ale prokurator prowadził ten proces w tak ohydny sposób, że byliśmy wszyscy przekonani, że trzy lata to minimum, jakie możemy dostać. Mało tego — każdy świadek, który zeznawał, był szczególnie traktowany przez prokuratora oraz przewodniczącego sądu, którzy kazali przy każdym notować protokolantce, że nie da się ze świadkiem rozmawiać „ze względu na niski poziom inteligencji”. Każdy świadek był tak załatwiany. Wyjątek stanowili świadkowie partyjni. Prokurator był paskudny, przez cały czas pozwalał sobie na różne złośliwości, więc i my, jako że odpowiadaliśmy z wolnej stopy, zaczęliśmy sobie pozwalać na różne dogaduszki. W ostatnim dniu przed ogłoszeniem wyroku przewodniczący sądu powiedział, że odczyta opinie milicjantów, które mogą mieć decydujący wpływ na wyrok. Nie wiedział, że komendant i jego zastępca zostali już zdjęci ze swych stanowisk. Oczywiście jeden poszedł na zasłużoną emeryturę, a drugi został szefem ZOMO gdzieś w okolicy Tarnowa czy Dębicy. Opinię podpisywali ubecy, którzy w śledztwie bili moich dwóch synów, może więc Pani sobie wyobrazić, jaka to mogła być opinia. Z tych opinii mogłam się dowiedzieć, że jestem niezwykle niebezpieczna dla państwa, że sama jedna mogłabym obalić rząd, naruszyć sojusz ze Związkiem Sowieckim itp. Jeden tylko plus przytoczono na moją korzyść, mianowicie to, że nie nadużywam alkoholu; zresztą moi koledzy mieli podobne opinie. Narada sądu trwała jakieś dwie czy trzy godziny. W końcu zapadł wyrok uniewinniający. Byliśmy

tym niezmiernie zaskoczeni, bo tok prowadzenia procesu absolutnie tego nie rokował. Oczywiście — znowu rewizja nadzwyczajna prokuratora, ale tym razem Sąd Najwyższy już nas nie uniewinnił, lecz umorzył sprawę. Tak więc proces odbył się ze względu na „wysoką szkodliwość czynu”, jakim był strajk w Zakładach, natomiast umorzono sprawę ze względu na jego „małą szkodliwość”. Wypuścili nas. Ale później zaczęły się ciągle wezwania na komendę, zatrzymania. 31 sierpnia ubiegłego, czyli 1982 roku kazali mi wziąć urlop, a w czasie urlopu przyszli, zabrali i oczywiście znowu przesłuchania; przed 1 maja jeden syn zdołał uciec, a drugi siedział 48 godzin. Mnie puścili po 4 godzinach, bo wszystkie cele mieli zapchane i nie mieli gdzie baby wsadzić.

OBOP: — Czy Pani wróciła na swoje dawne stanowisko pracy?

Drukarz: — Tak, wróciłam do pracy, zmienił mi się szef, w dziale, w którym pracuję nie ma ani jednego partyjnego i ani jednego rządowego związkowca. Wprawdzie wróciłam na to samo stanowisko, ale nie dostaję żadnej konkretnej pracy, siedzę beczynnie i dostaję za to pieniądze. Jest tego niewiele, bo mam bardzo niską pensję, najniższą ze wszystkich, ale za to pracy nie mam żadnej. Demonstracyjnie rozkładałam książkę na biurku i filiżankę z kawą, aby wszyscy widzieli, co robię. Co dalej ze mną zrobią — nie wiem. Przez cały czas dyrektor mnie wzywał, wzywał też mojego szefa, stawiając mi zarzuty, że byłam tu albo tam; pytają o mnie, na które wydziały chodzę, bo przedtem przeprowadzałam kontrole materiałowe. Ile razy wchodzę na teren zakładu, muszę się meldować, bo teraz posadzili mnie za biurkiem w biurowcu administracyjnym, który mieści się poza bramą. Mojego szefa wręcz zmuszali, aby znalazł pretekst do wyrzucenia mnie, a on na to odpowiadał, że nie widzi powodu, więc jemu właśnie zawdzięczam, że tu zostałam. Dopiero teraz mam już nieco roboty, bo sekretarka poszła na urlop macierzyński, więc siedzę w sekretariacie i przyjmuję te głupie papierki, a jestem przecież inspektorem od kontroli materiałowych i instruktorem zawodu. Oczywiście telefony w biurze na podsłuchu.

OBOP: — A jak wygląda obecnie sytuacja w Pani zakładzie pracy?

Drukarz: — Zbyt dużej orientacji nie mam, bo musi Pani wiedzieć, że mi bardzo mało pozwalają chodzić po terenie zakładu, ale wydaje mi się, że atmosfera jest dość bojowa, chociaż ludzie się boją. Boją się, bo jak był strajk w maju, to strasznie dużo ludzi powyrzucali z pracy.

OBOP: — *A jak wygląda produkcja w Waszym zakładzie?*

Drukarz: — Z tych wiadomości, które do mnie dotarły wynika, że lada moment zakład się rozleci z powodu braku surowców, nie mówiąc już o aparaturze, która po prostu się rozsypuje.

OBOP: — *Kto z Pani rodziny prócz Pani został aresztowany?*

Drukarz: — Starszy syn był aresztowany i wypuszczono go po ośmiu miesiącach, darując mu jedną trzecią kary, a to dzięki adwokatowi, który miał powiązania z „Solidarnością”. Drugi syn 1 maja poszedł ze mną na mszę świętą, wszyscy mieli przypięte znaczki „Solidarności”, wychodząc z kościoła zdjeliśmy je, bo wszystko dookoła było obstawione, a mój chłopak zapomniał. Chodził wówczas do szkoły, był w klasie maturalnej, nie doszedł do domu. Zaczęliśmy go szukać, chodzić na milicję i pytać, co się z nim dzieje. Okazało się, że jak go wzięli o godzinie dziesiątej, tak taksówkarz go przywiózł o wpół do piątej. Był w stanie makabrycznym: nie można było znaleźć miejsca na głowie, żeby guza nie było, pupa czarna, pięty, plecy, wyglądał strasznie, a taki pobity uczył się jeszcze do matury, bo go prosiłam, żeby się uczył, ale dwa dni przed maturą, w sobotę o godzinie wpół do siódmej, internowali go i wywieźli do Łupkowa w Bieszczady. Mój mąż leżał wtedy w szpitalu po operacji żołądka, synowa miała powikłania poporodowe, i ja zostałam samiuteńka z trzytygodniowym dzieckiem. Gdy ich prosiłam, żeby go zostawili, bo matka tego dziecka jest w szpitalu, więc nie mogą zabierać ojca, bo zostaną sama z dzieckiem, a też jestem chora, to mi odpowiedzieli: „Jak się Pani nie będzie mogła dzieckiem zająć, ani sąsiedzi, to oddamy je do Domu Dziecka”.

Kazimiera LENKSZEWICZ

WSPOMNIENIA BELWEDERSKIE

*Jadwidze Piłsudskiej-Jaraczewskiej
i jej Dzieciom — poświęcam.*

Napisano tomy o Józefie Piłsudskim jako wodzu, polityku i konspiratorze. Moim zamiarem jest dać świadectwo jego stosunku do rodziny i dziecka. Upoważnia mnie do tego dwuletnie, codzienne uczestnictwo w życiu dostojnego mieszkańca Belweduru. W belwederskim przedszkolu uczyłam młodszą córkę Marszałka, Jagodę Piłsudską.

Przedszkole powstało w ramach ogólnopolskiej akcji Szkoły Rodziny Wojskowej. Zainicjowana przez Aleksandrę Piłsudską i prowadzona pod jej protektoratem akcja zaowocowała siecią szkół stopnia podstawowego, zakładanych nawet w odległych garnizonach. Ułatwiało to kontynuowanie nauki dzieciom, przy przeniesieniu ojca na inną placówkę. Szkoły odznaczały się niezależnym i demokratycznym statusem oraz wysokim poziomem nauczania. Uczęszczały do nich dzieci oficerów i podoficerów wszystkich stopni. Opłaty za naukę były zróżnicowane proporcjonalnie do uposażenia rodziców. Samowystarczalność szkół wydatnie odciążała skromny budżet młodego państwa polskiego.

Gdy przekraczałam w piękny dzień wrześniowy 1927 roku bramę pałacu belwederskiego, czułam, że zaczynam najpiękniejszą przygodę mego życia. Była to moja pierwsza praca po ukończeniu seminarium nauczycielskiego. Przedszkole mieściło się na parterze, w narożniku prawego skrzydła pałacu, w 2-pokojowym pomieszczeniu wydzielonym z apartamentu Marszałkostwa. Wchodziło się przez pierwszy balkonik do małego korytarza zamienionego w szatnię. Obok mieścił się duży pokój do zajęć, z kominkiem i lustrem w złożonych ramach. Przy czterech kwadratowych stołach było miejsce dla 16 dzieci. W klasie miałam zamiast szafy piękną, staroświecką komodę ze złocistego jesionu. W jej głębokich szufladach przechowywaliśmy materiały do nauki i prac szkolnych. Wielce dogodnie było bliskie sąsiedztwo kuchni. Korytarzykiem przechodziło się do narożnego salonu, którego duże oszklone drzwi otwierały się na park belwederski. Salon był naszą salą rekreacyjną. Prócz wielu zabawek i innych przedmiotów stał tam jesionowy szpinet, na którym akompanio-

wałam śpiewowi dzieci. Z salonu widać było stare kasztany i okrągły klomb z kampaniulami, ulubionymi kwiatami Marszałka. W słoneczne dni nieraz się tam przechadzał. Szara sylwetka na tle białoróżowo-ciemnoliliowej gamy klombu.

Przedszkole przylegało bezpośrednio do gabinetu Marszałkowej. Stało tam jasne, czechotkowe biurczko, przy którym pani Aleksandra zajmowała się rachunkowością i administracją szkółki. Na górze znajdował się osobisty apartament Józefa Piłsudskiego, złożony z sypialni i gabinetu do pracy. Obok, w głównym budynku mieściła się adiutantura Marszałka. W tym czasie adiutantami byli płk Wenda, mjr Grocholski i por. Vacqueret. Część przeciwległego skrzydła pałacowego zajmowało mieszkanie płk. Piątkowskiego. Po upływie roku i wyprowadzeniu się poprzedniego lokatora tam właśnie zostało przeniesione przedszkole. Wówczas przybyła druga nauczycielka, Janina Czabanowska.

Jakkolwiek podobne przedszkola wojskowe istniały w kilku innych punktach Warszawy, w Podchorążówce, kasynie garnizonowym oraz na ulicy Przejazd i Żoliborzu, placówka którą obejmowałam miała szczególny charakter. Lokalizacja szkółki wynikała z troski Aleksandry Piłsudskiej o jej młodszą córeczkę Jagodę, która była dzieckiem skłonny do zaziębień i łatwo zapadającym na zdrowiu. Jak wiem, było to jedyne ze strony Marszałkostwa odstępstwo od zasady równości. Nawet wtedy, gdy lekarz córek Piłsudskiego, prof. Michałowicz proponował, by dla podreperowania zdrowia wysłać dzieci na południe Europy, Marszałek nie zgodził się. Stwierdził wówczas krótko: „Muszą być zdrowe w tych samych warunkach, co pozostałe polskie dzieci”.

Wracam jednak do mego pierwszego dnia w przedszkolu. Oczekiwała mnie Marszałkowa i kilkanaście matek z dziećmi, którymi miałam się opiekować. Wśród nich była Jagoda Piłsudska, w tym czasie bardzo podobna do ojca. Miała jego oczy i sposób patrzenia. Obcięte w prostą grzywkę włosy przypominały krzaczaste brwi Marszałka. Po krótkiej rozmowie zostałam sam na sam z dziećmi*. Odtąd przez następne 2 lata dni w szkółce wypełnione były rozlicznymi zajęciami. Trwały one 5 godzin dziennie. Plon tej działalności zebrałam w pracy pt. „Upodobania dzieci w wieku przedszkolnym”.

* Pozostałe dzieci w przedszkolu to: Bożena Dąbska, Zuza Wieniawa-Długoszowska, Andrzej Chrzanowski, Stefan Hołowko, Jerzy Laskowski, Stefan Maruszewski, Hanna Mozołowska, Stefan Rakowski, Bolesław Rupert, Halina Stetkowska, Adam Szostak, Bronisław Wirski, Andrzej Wrotnowski, Zbigniew Wójcik (syn ulubionego przez Marszałka wachmistrza z ochrony Belwederu), Wanda Żuromska i Andrzej Żwirko.

Dzieci przychodziły pieszo do przedszkola. Tylko jedno dziecko przywożono wolantem, zaprzężonym w pułkowe konie. Budziło to zastrzeżenia Marszałkowej, która będąc bardzo skromną, nigdy nie zdecydowałaby się żądać podobnych usług dla własnych córek. Dzieci w przedszkolu jadały przyniesione za sobą posiłki. W pogodne dni bawiliśmy się na tarasie, obok klombiku z fontanną. Panowała bardzo rodzinna atmosfera. Wszystkie dzieci i ich rodzice znali się od dawna. W gromadce miałam aż trzech chrześniaków Marszałka, który chętnie trzymał dzieci do chrztu. Było nam dobrze razem. Kiedyś jedno z dzieci prosiło, ażebym przyniosła mój kalendarz. Zdumiona dowiedziałam się, że chce wyrwać wszystkie czerwone kartki, aby zajęcia w przedszkolu odbywały się bez niedzielno-świętecznych przerw!

Wielką atrakcją dla dzieci i dla mnie była osoba Marszałka. Widok jego nigdy nam nie spowszechniał. Dzieci codziennie czekały w oknach, gdyż Piłsudski około południa zwykł był iść do GISZ-u. Marszałek szedł zawsze sam. Nikt mu nie asystował na tej około 300-metrowej trasie. Jeżeli w ogóle była jakaś ochrona, to tak dyskretna, że nigdy jej obecności nie udało mi się zauważyć. W szarej maciejówce wychodził przez główne drzwi Belwederu i trzymając ręce w kieszeniach, szedł wolno przez wąski trotuar, między zagrabionym żwirem. Przechodnie ustępowali miejsca, kłaniając się z szacunkiem. Potem wielu stało z odkrytymi głowami, długo patrząc za oddalającym się Dziadkiem.

Umiłowanie wolności uzewnętrzniało się u Marszałka nawet w sposobie ubierania. Nie ściśnięty pasem, nigdy w krawacie. Pod niebiesko-szarą kurtką nosił podobny w kolorze, luźny golf. Tylko raz jeden, gdy wyjeżdżał na obrady Ligi Narodów do Genewy, widziałam Piłsudskiego w ubraniu cywilnym. Miał na sobie ciemną jesionkę, szary kapelusz i również szary, ciepły szalik, nonszalancko zarzucony przez ramię.

W lecie, gdy wychodziliśmy na zajęcia w parku lub na tarasie, Marszałek, siedząc na balkonie swego apartamentu, godzinami obserwował dzieci. Gdy nie miał zajęć, schodził do nas. Wówczas nieodmiennie miałam gardło ściśnięte tremą i wzruszeniem. Wielkość jego onieśmiała mnie. Nieraz mnie zachęcał, ażebym ścięła i wzięta trochę kwiatów. Nigdy nie odważyłam się tego uczynić. Zaciągając z wileńska, nazywał mnie — „Panną Kazymirą”. Ulubionym jego powiedzeniem był zwrot: „Dziewczynki spódnicy się trzymają, ale z chłopcami to gorzej!”. Radość wielka, „do sufitu” jak mówiły dzieci, gdy przechodząc czasem przez przedszkole zapowiadał, że przyjdzie do naszego kina. Dyspono-

waliśmy ofiarowanym przedszkolu przez firmę Pathé-Baby aparatem projekcyjnym i kilkunastoma filmami z Haroldem Lloydem, Charlie Chaplinem oraz Flipem i Flapem. Dzieci doczekać się nie mogły przyjscia Marszałka. Zasiadał wygodnie, brał na kolana poszczególne dzieci, cieszył się filmem i jeszcze bardziej radością dzieci.

W przedszkolu, poza normalnym rytmem świąt, mieliśmy dwie szczególnie wielkie uroczystości. Były to imieniny Aleksandry i Józefa Piłsudskich. Marszałek, jeżeli tylko był w Warszawie, zawsze znajdował wtedy czas, ażeby przyjść do nas. 19 marca 1927 był chory, ale nie mógł sobie odmówić przyjemności widzenia dzieci. Przyjął naszą gromadkę w swoim apartamencie, leżąc w łóżku. Dzieci garnęły się do niego, deklamowały wiersze i śpiewały. Była i ulubiona piosenka o kasztance i druga, ze słowami — „Ani na nim mundur aksamitny, ani pas go zdobi lity, słucki! W szarej burce, lecz duchem błękitny, jedzie borem brygadier Piłsudski!”. Wyrażnie wzruszony, dziękował za kwiaty i wykonane dziecięcymi rączkami prezenty.

Drugi raz byłam w apartamencie Marszałka zupełnie nieoczekiwanie i bez zapowiedzi. Przyczyniła się do tego Jagoda. Małutka czekając na matkę i swoją starszą siostrę Wandzię, uczącą się wówczas w szkole w gmachu Podchorążówki, musiałaby zostać sama. W dniu tym służba była także nieobecna. Żał mi było zostawić dziecko samo. Postanowiłam czekać z nią na powrót domowników. Nagle, w trakcie zabawy, Jagoda zaproponowała — „Chodźmy do tatusia!”. Długo wahałam się, gdyż dla niej był to ukochany ojciec, ale dla mnie wielkość. Dziecko jednak nalegało, poszłam więc z nią przez adiutanturę, gdzie darząc mnie zaufaniem, nie pytano nawet dokąd idziemy. Weszłyśmy po mahoniowych schodach, którymi przed stu laty w noc listopadową biegli podchorążowie, a które, drewniane i nigdy nie zmieniane, przy każdym kroku straszliwie skrzypiały. Weszłyśmy do dawnej sypialni w. księcia Konstantego. Marszałek zupełnie nie zdziwiony moim nagłym zjawieniem się, uśmiechnął się przyjaźnie. Pomimo że przerwałyśmy jego ulubionego pasjansa, wyrażnie ucieszył się Jagodą. Wziął ją na kolana. Naprawdę nie wiem, co do mnie wówczas mówił, tak byłam wzruszona. Na stole, obok rozłożonych kart, stała szklanka bardzo mocnej herbaty. Wizyta była krótka, Jagoda dostała w prezencie stare karty. Na pożegnanie przytulił ją serdecznie i potem zeszyliśmy na dół.

Apartament Marszałkostwa był umeblowany niewyszukanymi sprzętami. Dzieci i oni sami skromnie ubrani. Pamiętam, jak pewnego razu Jagoda zapytała, dlaczego mają tylko po jednej,

białej sukience do wyjścia, podczas gdy inne dzieci mają ich kilka. Matka odpowiedziała — „Widzisz Jagódka, za to biedne dzieci dostają wiele nieodczownych im rzeczy”. Marszałkowa miała na myśli Dom Dziecka, prowadzony przez dr. Janusza Korczaka i panią Falską, jak również Towarzystwo „Kropla mleka”, gdzie osobiście społecznie pracowała.

Piłsudscy mieli tylko dwoje służby, kucharkę Adelcię i ordynansa Władka. Oboje pochodzili z okolic Wilna i byli dumni, że pracują w domu Marszałka. Stale uśmiechnięta Adelcia wspólnie gotowała. Mistrzowsko robiła tort z razowego chleba, ulubiony przysmak Piłsudskiego. Zawsze znajdowała czas, aby pomóc dzieciom przy śniadaniu. Opiekowała się także dużą skrzynią z gliną do modelowania, która musiała mieć odpowiednią wilgoć, i myła nasze deski modelarskie. Ordynans Władek, dobre chłopczyko niskiego wzrostu, miał wieczne kłopoty z owijaczami. Spełniał on poza zwykłymi obowiązkami pewną misję specjalną. W wielkiej tajemnicy zwierzył mi się, że regularnie co miesiąc chodzi na pocztę na rogu ulic Flory i Bagateli, skąd na polecenie Piłsudskiego wysyła znaczną część miesięcznej gaży marszałkowskiej dla Uniwersytetu Batorego w Wilnie.

W ciągu lat, podczas których codziennie patrzyłam na życie rodziny Marszałka, byłam coraz bardziej pod wrażeniem prostoty i skromności ich obojga. Marszałek pomimo nawału pracy pamiętał o wszystkich datach związanych ze świętami rodzinnymi. Jeżeli tylko dysponował czasem, jechał starym cadillakiem z dziewczynkami na Bracką, do domu towarowego braci Jabłkowskich. Tam osobiście pomagał Jagódce i Wandzi wybierać zabawki. Pamiętam że raz, na imieniny Jagody, po zakupieniu dla niej prezentu pojechaliśmy po południu kolejką do Sulejówka. Oczekujący nas tam Marszałek sam zapalał ogienek w dziecinnej kuchence-zabawce, a potem długo bawił się z nami w chowanego. Skorzystałam z zaproszenia i spędziłam tam noc. Byłam szczęśliwa. W pogodne dni chodziłam z dziećmi na spacer do parku Łazienkowskiego. Dzieciarnia bardzo lubiła te wyprawy. Marszałek często spacerował w cieniu starych lip, na tarasie od strony Łazienek. Było widać, że intensywnie wtedy myślał. Plecy jego garbiły się, robiły się okrągłe. Bałam się, że czeka go ciężka choroba. Płot żelazny, mocny i wysoki, odgradzał park belwederski od Łazienek.

Jagoda była dobrym dzieckiem, bez żadnych fanaberii. Smutno mi było, gdy wraz z większością dzieci we wrześniu 1928 opuściła przedszkole, zaczynając naukę w gmachu Podchorążówki. Do przedszkola napłynęły nowe dzieci. Zajmowałam się nimi

przez następny rok. Jesienią 1929 ja także pożegnałam szkołę belwederską, rozpoczynając pracę w szkole w Podchorążówce. W tym okresie, do 1932, moje kontakty z Belwederem ograniczały się do towarzyszenia dzieciom w zabawie na terenie parku pałacowego. Wszystkie dzieci naszej szkoły otrzymały, na osobiste życzenie Marszałka, ten wyjątkowy przywilej. Zwyczajem stały się comiesięczne zebrania w pałacu belwederskim. Uczestniczyłam w nich wraz z personelem nauczycielskim szkół wojskowych Warszawy. Zebraniom przewodniczyła Marszałkowa. Wówczas poznałam bliską jej przyjaciółkę i współpracownicę, sędzinę Bolesławę Grzędzińską, oraz ówczesną kierowniczkę szkoły na Przejazd, Janinę Dunin-Wąsowicz, która zajmowała się klubem weteranów powstania 1863. Pamiętam dobrze ich strój. Granatowe mundury z białymi wypusteczkami i płaskie rogatywki z czarnymi, lakierowanymi daszkami.

Po raz ostatni byłam w Belwederze i widziałam Dziadka w ów pamiętny dzień majowy 1935. Rabaty pełne kwiatów, wspaniała zieleń parku i nieprzebrane tłumy cichych i smutnych ludzi, pragnących oddać Mu ostatni hołd. W obitym kirem salonie belwederskim stała otwarta trumna. Dla nas wszystkich był to czarny dzień.

Wspaniałe lata spędzone w Belwederze stały się dla mnie źródłem siły do przetrwania wojenno-obozowej gehenny. Mąż mój zginął w Dachau. Ja, uratowana przez szwedzki Czerwony Krzyż z Ravensbrück, nie wróciłam do kraju. Osiedliłam się w Szwecji. Przysłała starość, która zabrała wiele szczegółów, nazwisk i ludzi.

Postać i twarz Józefa Piłsudskiego żyją jednak niezmiennie w mojej pamięci. Czas je oszczędził. Wizerunek wielkiego człowieka utrwalaony w świadomości młodej nauczycielki. Marszałek kochał dzieci. Gdy patrzył na nie, twarz miał łagodną, śmiał się, a siwe oczy stawały się niebieskie. Widziałam to wiele razy.

Kazimiera LENKSZEWICZ

Sztokholm, październik 1983

KSIĄŻKI

Emanuel HALICZ

HISTORYK A ŚWIADOMOŚĆ NARODOWA

Recenzowanie pracy prof. Kieniewicza nie jest rzeczą łatwą z uwagi na to że w 25 pozycjach zamieszczonych w tomie, które ukazywały się jako przemówienia, polemiki i eseje w ciągu ostatnich 25 lat, zawarta jest olbrzymia ilość problemów i zagadnień dyskusyjnych, do których niełatwo ustosunkować się w jednej recenzji.

Tom jest raczej subiektywnym wyborem spośród dużo większego zasobu szkiców, jakie autor publikował różnymi czasy. Można w nich szukać konkretnych informacji o historii politycznej i społecznej Polski porozbiorowej albo też o warunkach pracy historyka w PRL i stanie nauki historycznej. Ale jak pisze autor w przedmowie, można też tom potraktować jako ciąg wypowiedzi i świadectwo ewolucji postawy jednego z wielu historycznych pisarzy, którzy wraz z społeczeństwem przeżywali pamiętne lata 1968-1981. Ten aspekt znalazł swój wyraz w układzie książki, ściśle chronologicznym, a nie rzeczowym. Taki układ może wyculić czytelnika na r o z w ó j poglądów autora, ale nie ułatwia śledzenia opinii autora na istotne problemy związane z historią Polski porozbiorowej.

Pragnę ograniczyć się do omówienia tylko niektórych problemów, które wydają mi się najistotniejsze z punktu widzenia naukowego i politycznego.

Są to:

- 1) rodowód inteligencji polskiej i jej miejsce w procesie walk narodowo-wyzwoleńczych i rozwoju kultury oraz świadomości narodowej.
- 2) Drogi do niepodległości w 1918 roku.
- 3) Stan nauki historycznej i miejsce nauki historycznej w PRL.

Jeśli chodzi o pierwszy z problemów, to należy stwierdzić, że już w 1946 roku w artykule na łamach *Tygodnika Powszechnego* przedrukowanym obecnie i otwierającym recenzowany tom, Kieniewicz podjął problem rodowodu inteligencji polskiej, polemizując z tezami prof. J. Chałasińskiego z jego rozprawy „Społeczna genealogia inteligencji polskiej” (1946) i z jego główną tezą o szlacheckim pochodzeniu i tradycjach naszej inteligencji.

Prof. Kieniewicz wysuwał obiekcje pod adresem sformułowań Chałasińskiego, które wydawały mu się jednostronne, brał w obronę warstwę inteligencji przed atakami, jakie ją spotykały ze strony kół wówczas radykalnych. Dowodził wtedy, że inteligencja wywodziła się z różnych klas społecznych, z drobnej szlachty, mieszczaństwa, z cudzoziemców, z Żydów, w mniejszym stopniu z chłopów, a w drugiej połowie XIX wieku wchłonęła wielu bankrutów z ziemiaństwa, ale jednocześnie wzrósł dopływ elementów rzemieślniczych i chłopskich.

Kieniewicz przyznaje, że inteligencja ówczesna przyswoiła sobie wiele z kultury obyczajowej szlachty polskiej oraz przejęła wraz z odpowiedzialnością za losy narodu umiłowanie narodowej przeszłości. Nie przejęła natomiast ideologii szlachty polskiej. Wręcz przeciwnie. Jej ideologia kształtowała się właśnie w walce z prymatem szlacheckim i wypisała na swych sztandarach hasła równości stanów, poświęcenia i pracy dla ludu. Dobrze się stało, że ta pozycja z 1946 roku, która wytrzymała próbę czasu, znalazła się w tomie.

Kwestia rozwoju świadomości narodowej i społecznej w XIX wieku oraz jej odbicie w historiografii znajdują się w centrum zainteresowań autora. Do jego tekstów można by jednak dorzucić kilka uwag, wskazujących, jak bardzo skomplikowany i wielostronny to problem. Chodzi zwłaszcza o to, w jaki sposób elementy klasowe wpływały na rozwój świadomości narodowej poszczególnych warstw, zwłaszcza chłopstwa.

Przy rozważaniu tej problematyki prof. Kieniewicz bierze za punkt wyjścia Polskę porozbiorową. Wydaje mi się, że ramy czasowe należałoby rozszerzyć: problem świadomości narodowej obejmuje w Polsce także epokę Oświecenia, aby wspomnieć choćby działalność Staszica, Kuźnicy Kołłątajowskiej czy ruch patriotyczny datujący się od lat 1760-tych. Nieprzypadkowo T. Łepkowski zatytułował swą pracę „Polska — narodziny nowoczesnego narodu 1764-1870”.

Wydaje mi się, że rozwoju świadomości narodowej polskiego chłopstwa nie da się podzielić na trzy etapy — do 1830 r., do 1846 r. i po uwłaszczeniu — i że nie można traktować tego złożonego procesu jako czegoś odbywającego się niemal równocześnie we wszystkich trzech zaborach. Tylko oddzielne badanie każdego rejonu każdego z zaborów może dać pewne wyniki, na podstawie których uda się być może dojść do ogólniejszych wniosków. Chłopi mieli silne poczucie odrębności w stosunku do zaborców — odrębności religijnej (w dwu zaborach), językowej i obyczajowej. Z drugiej strony należy zbadać, jakie postępy czyniła austriacko-habsburska i rosyjska świadomość państwowa wśród chłopów właśnie w drugiej połowie XIX wieku, po uwłaszczeniu. W Galicji np. dychotomia postawy procesarskiej i antyszlacheckiej przekształciła się w dychotomię świadomości pro-habsburskiej i proaustriackiej z jednej i antypolskiej z drugiej strony. Stosunkowo dużo pisze o tym w swych pamiętnikach Witos na przykładzie chłopów galicyjskich, którzy m.in. odnosili się z ogromną nienawiścią do „Moskali zza Wisły”, czyli do zamieszkałych tam chłopów. Miarą świadomości państwowej chłopstwa zachodniej części Kongresówki były żywe na początku pierwszej wojny światowej sympatie dla wojsk rosyjskich, traktowanych jako „nasze”, i nieufność do Legionów Piłsudskiego.

S. Kieniewicz zwraca uwagę, że należy rozróżniać między świadomością *n a r o d o w ą*, występującą z różnym nasileniem zarówno u trójlojalistycznej szlachty jak i u niepiśmiennego chłopca (choć przejawiającą się inaczej), a świadomością *p o l i t y c z n ą*, charakteryzującą niezaprzeczalnie tylko część narodu. Prof. Kieniewicz ma też rację, plasując nasilenie rozwoju świadomości politycznej na początku XX wieku.

Świadomość polityczna, której najwyższym przejawem była dążność do niepodległości państwa, była zwykle mglista i niejasna i występowała w społeczeństwie z różnym nasileniem. Sprawy te są trudne do ścisłego naukowego wyjaśnienia. W każdym

razie — dodajmy — wszystkie kierunki polityczne XX wieku dążyły do odzyskania Polski historycznej, Rzeczypospolitej narodów. Dopiero w 1919 roku Julian Marchlewski (przebywający wówczas w Rosji) wysunął program Polski etnograficznej, ale wiązało się to z polityką Rosji Sowieckiej wobec Polski.

O wiele prostszy jest moim zdaniem proces rozwoju świadomości społecznej polskiej klasy robotniczej, chociaż w porównaniu z podobnymi procesami w krajach ościennych i on napotykał z uwagi na sytuację polityczną i gospodarczą na ziemiach polskich na dodatkowe przeszkody. W dwóch referatach wygłoszonych w środowisku akademickim S. Kieniewicz porusza problem dróg wiodących do odzyskania niepodległości w 1918 roku. Chociaż istnieją pewne różnice akcentów między pierwszym referatem, wygłoszonym w 1968 roku i drugim, datującym się z 1978 roku, zasadniczy tok rozumowania jest podobny. Nie są to już rozważania nad tym, czyj udział w odrodzeniu Polski był większy, obozu legionowego czy narodowej demokracji. Autor dystansuje się też od tezy, przypisującej rewolucji Październikowej decydującą rolę w odrodzeniu niepodległej Polski i odrzuca uproszczone twierdzenia i polemiki na temat zewnętrznych i wewnętrznych przyczyn odrodzenia Polski. Zwłaszcza w drugim referacie, zatytułowanym „Utrata państwowości i drogi jej odzyskania” próbuje zanalizować polskie koncepcje dróg — w liczbie mnogiej — do odzyskania niepodległości. Wymienia najbardziej typowe z nich — od ugody z jednym z zaborców, prób dyplomatycznych na zachodzie Europy, opozycji legalnej, czynu zbrojnego, powstań narodowych, rewolucji społecznej, udziału Polaków na barykadach rewolucji pod hasłem „za naszą i Waszą wolność” po wkład rzeczników pracy organicznej.

Lelewelewskie pytanie „Polska — ale jaka?” nie zniknęło z pola widzenia wszystkich działaczy niepodległościowych. I w istocie rozwiązanie któregośkolwiek ze spornych problemów politycznych i granicznych nie mogło w 1918 roku zadowolić całej polskiej opinii publicznej i całego społeczeństwa.

Zdaniem Kieniewicza należy skończyć z uprawianą w PRL przez wiele lat wyłącznie negatywną oceną Polski międzywojennej i pamiętać o tym, jak wielkie historyczne znaczenie miało dla narodu polskiego odzyskanie niepodległości. Inna sprawa, jak ta historyczna szansa została z punktu widzenia jednostek, grup, klas społecznych czy narodu wykorzystana.

Podpisując się pod powyższymi тезami, mam jednak wątpliwości, czy problem odzyskania niepodległości należy ograniczać

do wypadków związanych z listopadem 1918 roku. Wydaje mi się, że M. Handelsman miał rację, gdy postulował rozszerzenie badań nad procesem odbudowy państwa aż po 1920 względnie 1921 rok. Polska wprawdzie „wybuchła” w 1918 roku, ale natchmiast po jej powstaniu zawisło nad nią śmiertelne niebezpieczeństwo i chyba nikt nie ma wątpliwości, że gdyby nie wielki zryw narodu w obronie odzyskanego państwa i „cud nad Wisłą”, stałaby się ona ponownie częścią „Wielkiego sąsiada”. Zasadniczą więc kwestią jest pytanie, „w jaki sposób społeczeństwo z przedmiotu bezwolnego polityki obcej przekształciło się w podmiot twórczy własnych losów”. Ten problem łączy się ściśle ze sprawą rozwoju świadomości narodowej i przełomu, jaki dokonał się we wszystkich klasach społecznych w tych latach i nie należy go pomijać.

Lenin i przywódcy państwa sowieckiego w postawie państwa polskiego walczącego przeciwko wkraczającej na teren Polski Armii Czerwonej widzieli przejaw nacjonalizmu polskiego, my zaś przejaw wielkiego patriotyzmu, którego przywódcy sowieccy nie chcieli zrozumieć. Ale jak się ten proces w tak krótkim czasie dokonał, należałoby zbadać.

I wreszcie dochodzimy do ostatniego wielkiego problemu poruszonego w pracy Kieniewicza, do miejsca historyka i historii Polski w procesie kształtowania świadomości narodowej. Wydaje się, że dla autora, jak dowodzi zresztą sam tytuł pracy, jest to problem centralny.

W zamieszczonych w tomie referatach swych i przemówieniach na ten temat autor nawiązuje do pięknych tradycji nauki historycznej w Polsce i wskazuje, na wielu przykładach, jak służyła narodowi, zwłaszcza w okresie niewoli. Rozważania na temat roli historii podsumowuje słowami Franciszka Bujaka:

„Żadna nauka nie przysposabia człowieka tak do orientowania się w życiu... społeczno-gospodarczym, społeczno-kulturalnym i społeczno-politycznym, jak właśnie historia. Pomagając do ustalenia związku tego, co jest, z tym, co było, służy nam historia do określenia stanu rzeczy i naszego w nim położenia, co jest podstawą niezbędną do racjonalnego ustosunkowania się do bliźnich i do kierowania swym postępowaniem. Człowiek może zrozumieć, czym sam jest i czym są warunki jego bytu, najlepiej (a może jedynie tylko), jeżeli zda sobie sprawę i skąd się to wszystko wzięło i skąd sam pochodzi. Gdy pozna rodowód, czyli genezę ludzkości i jej kultury, narodu i państwa, swego stanu i zawodu. Czyli gdy pozna historię...” (str. 176).

Zdaniem autora i w PRL ma historia do spełnienia wielką rolę. Ale czy ją spełnia?

Autor dostrzega wielkie osiągnięcia nauki historycznej w kraju, ale widzi też jej cienie i akcentuje trudności, na jakie napotyka ze strony biurokracji, partii i rządu. *Magistra vitae* w intencji rządzących ma spełniać rolę *ancillae*, tj. służebnicy. Tymczasem historia zbyt jaskrawo spreparowana przestaje być wiarygodna, ostrzega Kieniewicz. Nauka przeszłości, jeśli ma wychowywać, nie może ślebiać. Trzeba przypomnieć, że — jak uczy nas okres okupacji — interes narodu nie powinien być absolutem, że istnieją wartości nadrzędne.

Profesor Kieniewicz przytacza przykłady bezmyślnych ingerencji cenzury w prace historyków. Pisanie o najnowszej historii staje się wskutek tego niemożliwe. Trzy zwłaszcza kategorie problemów napotykają na przeszkody: historia aktualnego obozu rządzącego, historia polityczna (a po części też gospodarcza) PRL, historia stosunków polsko-sowieckich, a niekiedy też polsko-rosyjskich. Dodajmy do tego historię politycznych poprzedników PPR, czyli KPP, zwłaszcza ostatniego okresu jej istnienia, i wiele — dodajmy — za wiele problemów z lat 1939-1945, dotyczących zwłaszcza polityki ZSSR wobec Polski i Polaków i sprawy polskiej w tych latach.

Przeszkody mogą być oczywiście dwojakie: brak dostępu do źródeł, co jest zrozumiałe, i poważniejsze, a mianowicie powoływanie się rządzących na to, że rozważanie wielu problemów godzi w polską rację stanu. Skrępowanie naszej historiografii najnowszej rzuca zdaniem Kieniewicza cień na całą naszą twórczość naukową i nadwężyło już zaufanie społeczeństwa do nauki historycznej jako takiej. Ingerencje władz stawiają historyka w trudnej sytuacji moralnej i zawodowej. Jedni piszą i przemawiają pod dyktando mocodawców. Inni w granicach istniejących możliwości polemizują z urzędowymi tezami. Większość stara się trzymać tematów bezpiecznych.

„Czy mamy pisać to, co będzie dobrze widziane (przez kogo), czy to, co nam wynika ze źródeł?” — pyta autor. Radzi „ustalać fakty możliwie precyzyjnie, ale w zakresie ocen zachować powściągliwość, pozostawiając czytelnikowi swobodę wyboru osądu. *In dubiis libertas*” (str. 317).

Prof. Kieniewicz włączył się aktywnie w nurt domagający się zmian m.in. w polityce kulturalnej w kraju. Wystąpił w obronie prawdy historycznej, potępił tych, którzy świadomie fałszują historię i źródła i zniekształcają prawdę o naszej rzeczywistości.

W referatach swych prof. Kieniewicz zwraca uwagę na potrzebę większego niż dziś zainteresowania historią powszechną. Apeluje o nową syntezę historii kultury polskiej, która zastąpiłaby wielką syntezę A. Brücknera.

„Kto wie, czy przyszłość przedmiotu historii, odrodzenie zainteresowań historycznych nie leży właśnie w szerszym uwzględnianiu problematyki kulturalnej?” (str. 227).

„Jeżeli nasze wypowiedzi na temat historii ojczyzny okażą się podyktowane nie przejściową modą ani oportunizmem, nie osobistymi urazami czy ambicjami, nie pogonią za popularnością i karierą, ale prawdziwą troską o sprawy narodu — wówczas dopiero wolno nam będzie ufać, że nasze słowa trafią do serc i do sumienia”.

W tej materii niczego ani dodać, ani ująć nie można.

Zgadzam się też z tym, że mamy w kraju plejadę wybitnych i utalentowanych historyków i że spod ich piór wyszło wiele cennych monografii i innych prac. Ale z drugiej strony nie sposób nie podkreślić, że w dziedzinie syntez dorobek jest nikły. Nie ilościowo, ale jakościowo. Bo jakże w tych warunkach pisać syntezę historii politycznej, jeśli każdy prawie problem dotyczy stosunków z naszymi sąsiadami? Ingerencje zaś cenzury dotyczą nie tylko stosunków z sąsiadem wschodnim, ale także stosunków z sąsiadem zachodnim. Czy można pisać prawdę? Czy można np. nasze stosunki z Niemcami przedstawić tak, jak to zrobił J. J. Lipski w swym obiektywnym eseju „Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy”, wydanym w NOW-iej i w *Kulturze*?

A ze spraw wewnętrznych. Czy przejdzie przez Urząd Kontroli Prasy rozprawa, która w sposób naukowy oświetli sprawy narodowościowe, nawet jeśli dotyczyć one będą przeszłości, a co dopiero PRL?

Wielki ferment jaki objął kraj w latach Solidarności i olbrzymi wolny ruch wydawniczy odegrały doniosłą rolę w upowszechnieniu prawdy historycznej, zwłaszcza w zakresie dziejów najnowszych. Obawiam się, że teraz będzie jeszcze trudniej dotrzeć z oficjalnie wydawanymi pracami historycznymi do serc Polaków, jeśli właściciele PRL nadal będą w bezwzględny sposób ingerować w prace historyków i dławić każdy przejaw myśli, który uznają za niezgodny z linią PZPR.

Obawiam się też, że sytuacja uczciwych historyków będzie w przyszłości jeszcze trudniejsza niż była w poprzednich okresach.

Emanuel HALICZ

ŁĄCZNOŚĆ WALCZĄCEJ WARSZAWY

Autor niedawno wydanej w kraju książki*, inż. Kazimierz Malinowski, słusznie podkreśla, że w wielu opracowaniach dotyczących AK (jak na przykład „Polskie Siły Zbrojne” tom III, Borkiewicz, Kirchmayer) rola łączności, a szczególnie tak ważnej w wypadku AK łączności radiowej, była pomijana. Jednak nie ma chyba racji sugerując, że działo się to z powodu braku dokumentów, bo na przykład autorzy III tomu „PSZ” mieli dostęp do całego archiwum Oddziału Specjalnego Sztabu Nacz. Wodza, które posiada najwięcej danych, dotyczących tego zagadnienia. Przypuszczam, że powody leżą gdzie indziej, a mianowicie, żeby pisać na te tematy, nie tylko trzeba znać zjawiska techniczne i metody ich wykorzystania, ale też trzeba je umieć przedstawić w sposób zrozumiały dla ludzi nie obeznanym ze sprawami technicznymi, co nie jest wcale takie proste.

Mówiąc o tych sprawach w czasie Powstania Warszawskiego nie można było pominąć okresu poprzedniego, któremu autor słusznie poświęcił nieco ponad jedną trzecią swej książki.

Malinowski oparł się w dużej mierze na ustnych i pisemnych relacjach uczestników omawianych wypadków. Poza tym korzystał ze zbiorów prywatnych, a w szczególności własnych, gdyż będąc w Szefostwie Łączności Okręgu Warszawskiego ZWZ a potem AK, był z tymi sprawami bezpośrednio związany. Natomiast o ile chodzi o źródła archiwalne, to korzystał jedynie ze zbiorów Instytutu Historii PAN, bo widocznie inne, a w szczególności partyjne, nie były mu dostępne. Krajowe publikacje wykorzystał w poważnym stopniu, bo przecież w Warszawie przez prywatne kontakty można dostać prawie wszystko to, co zostało wydane na Zachodzie. Osobiście jestem zaszczycony tym, że autor kilkakrotnie powołuje się na moje opracowanie o łączności radiowej Sztabu Nacz. Wodza w przededniu Powstania Warszawskiego z *Zeszytów Historycznych* nr 6.

Środowisko techniczne ma dar tworzenia własnych, znanych jedynie w niewielkim zamkniętym gronie zwrotów, szybko zapomina, że to tylko wewnętrzny sposób porozumiewania się i wychodzi z tymi zwrotami na zewnątrz, dziwiąc się, że nie są one dla szerszego świata zrozumiałe. Książka tu omawiana nie jest wolna od tego rodzaju niedoskonałości. Nie sposób na przykład domyślić się, czym były „stacje przekąźnikowe”, których tragicz-

* Kazimierz Malinowski, *Żołnierze łączności walczącej Warszawy*, Instytut Wyd. PAX, Warszawa 1983.

ne losy zostały opisane na str. 183. Czy to były radiostacje, czy centrale telefoniczne, czy też ośrodki łączników roznoszących wiadomości?

Podobnie jedynie wtajemniczeni mogą wiedzieć, jaka była różnica między liniami telefonicznymi „niebieską” i „czerwoną” (str. 164). Czytelnik może też długo głowić się nad określeniem „połączenia telefoniczne na sieci wyprostowanej” (str. 150). Również przysłowiowego konia z rzędem temu, kto zrozumie co znaczą następujące określenia: „RAC — międzynarodowy skrót krótkofalowy [osobiście nie spotkałem się z tym skrótem — Z.S.S.]: przydzwięk sieci, spowodowany zbyt mało skutecznym filtrowaniem, ... który był łatwy do goniometrowania i w konsekwencji ułatwiał Niemcom wykrywanie konspiracyjnych radiostacji” (str. 76).

I tu dochodzimy do następnej sprawy, a mianowicie w jaki sposób Niemcy zwalczali polskie Wandy, czyli podziemne radiostacje. Malinowski naświetla to zagadnienie nieco obszerniej, omawiając różne metody niemieckiego działania i polskiego przeciwdziałania. Pierwsze Wandy były zainstalowane w podziemnych schronach, ale Niemcy dość szybko wprowadzili metody goniometrycznego namierzania i pomimo niedokładności tej metody, szczególnie w mieście, wkrótce ustalili podejrzane budynki. W zamiarach goniometrycznych dopomagały znacznie samoloty.

Na początku 1941 roku zaczęto stosować metodę ruchomych radiostacji. Polegało to na tym, że łączniczka przenosiła aparaturę na nowe miejsce, potem zgłaszał się telegrafista i uruchamiał radiostację, a po skończonej pracy związał ją i łączniczka przenosiła ją na nowe miejsce. Jednocześnie miejsca pracy wyznaczano coraz częściej na przedmieściach Warszawy. Słaba strona tej metody polegała na tym, że aparaturę trzeba było przetransportować w czasie, kiedy zaalarmowane patrole goniometryczne i patroli policji poszukujące radiostacji były w pobliżu miejsca pracy radiostacji, a poza tym na przedmieściach namierzanie było łatwiejsze, a ukrycie aparatów trudniejsze. W tej sytuacji zaczęto tworzyć dla przekazywania długich i dlatego niebezpiecznych do nadawania meldunków i raportów okresowych ośrodki radiowe poza Warszawą, pod osłoną oddziałów partyzanckich. Ośrodek taki istniał m.in. w Górach Świętokrzyskich pod opieką oddziału partyzanckiego „Ponurego” (por. Jan Piwnik). Jednocześnie nadawanie w samej Warszawie zostało ograniczone do 20 minut, a na przedmieściach do 60 minut.

W 1943 roku Niemcy zorganizowali w całym kraju kilka centrali podsłuchowych (w Warszawie taka centrala znajdowała się w gmachu YMCA). Działały one tak sprawnie, że na przykład w Warszawie w 5 do 7 minut po rozpoczęciu nadawania kierunek z którego radiostacja nadawała był już przez Niemców ustalony i ekipa złożona przeważnie z dwóch samochodów z goniometra-

mi i z wozów policyjnych gotowa do wyjazdu. Ta udoskonalona metoda spowodowała dalsze straty wśród łącznościowców, wobec czego wprowadzono nowy system, a mianowicie podzielono funkcje na odbiorcze i nadawczo-kwitujące. W samej Warszawie niektórzy telegrafisci, przeważnie w swoich prywatnych mieszkaniach, jedynie odbierali (po kilku na raz, w celu uniknięcia poprawek) telegramy, które centrala w Barnes Lodge pod Londynem nadawała „w ciemno”. Natomiast radiostacje, które kwitowały tak odebrane telegramy i nadawały swoje własne, znajdowały się na przedmieściach Warszawy pod zbrojną osłoną. Jednocześnie wprowadzono trzy okresy w pracy tych radiostacji: okres bezpieczny — czas potrzebny na przybycie ekipy policyjno-namiarowej na teren, gdzie znajdowała się radiostacja; okres zagrożenia — uprzedni czas przedłużony o kwadrans, i okres pełnego zagrożenia.

Metody te okazały się skuteczniejsze niż uprzednie, bo nawet w wypadku gdy niemiecka załoga wkroczyła na teren, na którym była radiostacja, nie znaczyło to jej „nakrycia”, bo silna i dobrze uzbrojona osłona składająca się niekiedy z kilkunastu żołnierzy była w stanie zmusić Niemców do odwrotu. Niekiedy zbrojne osłony radiostacji przyjmowały postawę aktywną i urządziły zasadzkę na nadjeżdżającą ekipę namiarowo-policyjną.

Wkrótce zastosowano tzw. „system fortepianu”, który polegał na tym, że w godzinę po rozpoczęciu pracy przez jedną Wandę na jednym końcu miasta, zaczynała pracować inna Wanda na drugim końcu miasta, co dezorientowało Niemców, tym bardziej, że system ten nie powtarzał się według jakiegoś ustalonego schematu. Powstanie warszawskie zdeorganizowało niemiecki system zwalczania Wand do tego stopnia, że o ile przed powstaniem w rejonie Warszawy najpóźniej w 45 minut po rozpoczęciu nadawania zjawiał się w pobliżu niemiecki oddział namiarowy, o tyle w czasie Powstania na przedmieściach nie objętych walką Wandy mogły pracować do dwóch godzin i dłużej nie molestowane przez Niemców. Opisując niektóre oblawy na radiostacje i niektóre „wpadki”, autor niestety nie podaje nawet w przybliżeniu, ile obsługa stacyjnych straciła Warszawa przed wybuchem Powstania. Nie wspomina także o wyłączaniu przez Niemców na chwilę prądu w poszczególnych dzielnicach w czasie nadawania stacji, w celu ustalenia miejsca jej położenia, co podobno Niemcy stosowali, choć może nie w samej Warszawie.

Jeszcze jedna dziedzina została w tej książce wyjaśniona, a mianowicie metoda przekazywania depesz z KG do radiostacji. Malinowski pisze, że w kancelarii KG, którą kierowała przez cały czas mjr Janina Karasiówna (teozofka, podobnie jak gen. Karaszewicz-Tokarzewski, który ją zaangażował w 1939 roku), istniało Biuro Szyfrów, na czele którego stała Hanna Malewska. Z tego biura łączniczki przносиły telegramy do Centrali Przekaznikowej, gdzie decydowano do której radiostacji inne łączniczki dany

telegram miały dostarczyć już w zaszyfrowanym stanie. Podobną drogę, ale w odwrotnej kolejności, odbywały telegramy odebrane. Trzeba tu podkreślić, iż w procedurze tej dany telegram przechodził do rąk Wojsk Łączności dopiero po przybyciu do Centrali Przekaznikowej, bo funkcja szyfrowania nie podlegała Wojskom Łączności, a Kancelarii KG. Metoda ta była niekiedy fatalna w skutkach. Na przykład w momencie wybuchu Powstania, kiedy poruszanie się łączniczek stało się w poważnym stopniu niemożliwe lub bardzo ryzykowne, radiostacje rozrzucone po mieście jeżeli nawet zdołały nawiązać kontakt z lokalnym dowódcą powstańczym, nie mogły przekazywać do Barnes Lodge jego telegramów (i w ten sposób skontaktować go z dowództwem Okręgu lub Kom. Gł.), bo nie znały szyfru. A szyfrantki z centralnego Biura Szyfrów zdołano przed wybuchem Powstania wysłać jedynie do radiostacji przy Kom. Gł.

Autor opisuje żywo i plastycznie wypadki z 31 sierpnia i 1 lipca 1944. Podkreśla, że dowódcy łączności AK (płk dypl. Pluta-Czachowski i ppłk Uszycki) dowiedzieli się o decyzji rozpoczęcia Powstania dopiero około godziny 10-tej rano 1 sierpnia. Potwierdza również, że radiostacja przydzielona na poczekaniu powstańczemu mp KG w fabryce Kamlera została umieszczona przez adiutanta gen. Bora-Komorowskiego w pokoiku-kantorku, z którego nie mogła nawiązać łączności z centralą Sztabu Nacz. Wodza w Barnes Lodge z powodu żelbetonowej konstrukcji budynku. W tym miejscu trudno powstrzymać się od zacytowania kpt. inż. Kosarskiego z 2-go Korpusu:

„W armii brytyjskiej rozmieszczenie sztabu na obranym miejscu postoju zaczyna się od wyznaczenia pomieszczenia dla ośrodka łączności, najbardziej odpowiedniego dla tego celu, nie tylko ze względów technicznych, lecz i wymogów sprawności oraz wygody pracy sztabu. ... W polskim wojsku rozmieszczenia sztabu nadal dokonywał kmdant kwatery głównej. W rezultacie ośrodek łączności rzadko kiedy znajdował się w odpowiednim miejscu. Zwykle wbrew żądaniom kompetentnego oficera łączności spychany bywał do miejsc gorszych. Praca sztabu w konsekwencji wcale nie doznawała usprawnienia”. (11 Batalion Łącz., praca zbiorowa, str. 64).

Chociaż odległość z Włoch do Warszawy jest duża, tradycje były jednak silniejsze, z tym, że w fabryce Kamlera w dniu rozpoczęcia powstania nie było nawet żadnego oficera łączności, a jedynie trzech sierżanci — Miłosz, Kowalski i Kowalczyk. Wiadomą jest rzeczą, że dopiero następnego dnia, kiedy trzech sierżanci wraz z radiostacją przenieśli się do innego budynku, zdołali oni nawiązać łączność radiową z Barnes Lodge. Ale w dalszym ciągu pozostaje tajemnicą, dlaczego Bór-Komorowski w swoich wspomnieniach („Armia Podziemna”, Londyn 1952, str. 120) pisze o braku części radiowych, przy których zdobywaniu

w nocy z 1 na 2 sierpnia poległo dwóch ludzi. Malinowski uniknął wypowiedzi na ten temat. Czyżby nie znał wspomnień Bora?

Autor pisze również o tym, co działo się w drugim rzucie KG w gmachu sądów na ul. Leszno, w dniu 1 sierpnia. Tam też historia powtórzyła się, gdyż tak jak we wrześniu 1939 była radiostacja, ale brakowało szyfru (Biuro Szyfrów KG nie przysłało tam szyfrantek). Wobec tego dowódca łączności technicznej KG ppłk Uszycki, który znajdował się tu w drugim rzucie, nakazał nadanie do Barnes Lodge tekstem otwartym depeszy następującej treści:

„Już walczyliśmy. Flaga biało-czerwona powiewa nad Warszawą”
(str. 170).

W Barnes Lodge depesza ta została odebrana o godzinie 8-ej wieczorem 1 sierpnia i z miejsca przekazana dalekopisem do Oddziału Specjalnego Sztabu Nacz. Wodza. Ale gen. Tatar, któremu ten Oddział podlegał, zatrzymał tę wiadomość dla siebie. W ten sposób ani polskie władze w Londynie, ani też świat nie dowiedzieli się 1 sierpnia, że powstanie w Warszawie już wybuchło.

Te wypadki znane były już przedtem i sądziłem, że zamieszanie wynikało głównie dlatego, że łącznościowcy zostali zawiadomieni dopiero o godzinie 10-ej rano 1 sierpnia, że „walka o Warszawę” rozpocznie się tegoż samego dnia. Sądziłem również, że rozgardiasz był wynikiem pośpiesznie zaimprovizowanego przystosowania planów „powstania powszechnego” (przypuszczałem, że były one przygotowane gruntownie) do potrzeb uprzednio nie planowanej „walki o Warszawę”. Tymczasem dowiedziałem się teraz, z pracy Malinowskiego, że w ramach planów „powstania powszechnego” łączność radiowa pomiędzy dowództwem Okręgu Warszawskiego i jego oddziałami, które miały walczyć na terenie miasta, w ogóle nie była przygotowana. Dopiero 31 lipca 1944 łącznościowcy Okręgu Warszawskiego zdecydowali zwrócić się następnego dnia do Szefostwa Łączności o uzyskania zezwolenia na użycie centrali w Barnes Lodge pod Londynem w celu pośredniczenia w korespondencji radiowej z oddziałami rozrzuconymi w mieście. Ma się rozumieć, było już na to za późno po wybuchu walk i dowództwo Warszawskiego Okręgu nie miało łączności radiowej z podległymi mu oddziałami. Malinowski wyjaśnia, iż istniejący rozkaz o bezpośredniej łączności radiowej oddziałów warszawskich „nie był jednak dotychczas skonfrontowany z aktualnymi możliwościami Dowództwa Wojsk Łączności, z powodu braku czasu” (str. 159). Trudno uwierzyć, żeby przez kilka lat okupacji i przygotowań do „powstania powszechnego” zabrakło czasu na sprawdzenie, że w warunkach okupacyjnych nie było możliwości bezpośredniej komunikacji radiowej obejmu-

jącej teren Okręgu Warszawskiego. Za te niedociągnięcia dowódcze musiały potem płacić swoim życiem łączniczki.

Na początku września 1944 było już całkiem jasne, że Powstanie niczego więcej nie dokona i kiedy już Niemcy uznały prawa kombatanckie AK, dowództwo Powstania rozpoczęło pertraktacje kapitulacyjne. Ale kiedy układ był już gotowy, Związek Sowiecki wkroczył niespodziewanie na arenę, co zrozumiano w Warszawie jako pewną nadzieję i zerwano pertraktacje kapitulacyjne. Ale Sowietom nie chodziło o ratowanie Powstania, a jedynie o jego przedłużenie i to im się w pełni udało. Walki trwały przez następne cztery tygodnie i ileż osób wymienionych przez Malinowskiego zginęło właśnie w tym okresie. Osobiście sędzę, że decyzja dowództwa warszawskiego zerwania rokowań z Niemcami, licząc na pomoc sowiecką, była równie wielkim nieporozumieniem jak rozpoczęcie walki.

Malinowski pisze o komunikowaniu się Warszawy z Pragą w tym okresie. Przedstawia te sprawy, o tyle o ile można w kraju, obiektywnie.

Wreszcie na zakończenie muszę z przyjemnością stwierdzić, iż pomimo wszystkich usterek, o których mówiłem i które pominąłem, należą się autorowi prawdziwe gratulacje, że po przeszło 30-tu latach życia w świecie komunistycznym potrafił napisać książkę wolną od nacisków. Należy to uważać za jego wielkie osiągnięcie.

Z. S. SIEMASZKO

24 marca 1984

OKRUCHY HISTORII

Tadeusz WYRWA

Z DZIEJÓW RZĄDU POLSKIEGO W ANGERS (listopad 1939 - czerwiec 1940)

Siedzibą nowego rządu polskiego, utworzonego jesienią 1939 roku we Francji, była z początku ambasada w Paryżu, mieszcząca się wówczas przy rue Saint-Dominique. Premier francuski, E. Daladier, postanowił przenieść rząd polski do Angers, miasta oddalonego o 296 km od Paryża w kierunku południowo-zachodnim. W tym celu, dnia 9 października 1939 roku, Daladier wystosował pismo do swojego ministra spraw wewnętrznych, G. Mandela, w którym podał, niezbyt dokładnie, skład rządu polskiego we Francji, oznajmiając, że miasto Angers zostało przewidziane na tymczasową siedzibę tego rządu i zapytywał ministra, co o tym sądzi. Następnie Daladier pisze, że powierzył ambasadorowi Noëlowi przestudiowanie wszelkich kwestii dotyczących zainstalowania i funkcjonowania ministerstw i urzędów polskich we Francji oraz kroków, jakie w związku z tym trzeba będzie przedsięwziąć¹.

Decyzja Daladier wprowadzona została w życie bez dużej zwłoki. Dnia 22 listopada 1939 roku przyjechał do Angers gene-

1. Niniejsze opracowanie oparte jest głównie na dokumentach z *Archives Départementales de Maine-et-Loire* w Angers, oraz z Archiwum Instytutu Polskiego i Muzeum Im. Gen. Sikorskiego w Londynie.

rał Sikorski i cywilne władze rządu, a 2 grudnia przybył prezydent Raczkiewicz. W Paryżu pozostała jednak znaczna część agend rządowych, przede wszystkim resorty władz wojskowych, przeniesione do Angers dopiero w marcu 1940 roku, co też ułatwiło generałowi Sikorskiemu — w ciągłych rozjazdach między Angers i Paryżem — sprawowanie funkcji premiera i naczelnego wodza.

Nie wiadomo, co skłoniło Daladiera do wyboru Angers na siedzibę rządu polskiego we Francji. Przepuszczalnie był to prosty przypadek, choć sam fakt umieszczenia rządu w prowincjonalnym mieście, z dala od Paryża, gdzie pobierane były decyzje odnośnie prowadzenia wojny, przypadkiem nie był.

Przyjęcie rządu polskiego w Angers było serdeczne, o czym pisała wtedy prasa francuska i polska.

Prezydent Raczkiewicz przyjechał do Angers (ściślej na stację Tréllazé niedaleko od Angers) dnia 2 grudnia 1939 roku.



Nie wszystko jednak przedstawiało się w różowych kolorach. Zaraz na początku, kiedy nowoutworzony rząd polski znajdował się jeszcze w Paryżu, władze francuskie stanęły przed dość kłopotliwym problemem zapewnienia bezpieczeństwa członkom tego rządu, zagrożonym podobno również i przez własnych rodaków. Dość ciekawy dokument na ten temat znajduje się w Angers. Oto jego treść:

KOPIA

Nr pisma 2317

Paryż 13 października 1939 r.
Bardzo pilne

Gabinet ministra spraw zagranicznych
do gabinetu ministra spraw wewnętrznych.

Dotyczy ochrony członków rządu polskiego.

„Listem Nr 2272 z 6 tego miesiąca (*listu, o którym mowa nie znalazłem w archiwum — T.W.*) miałem zaszczyt podać do wiadomości, że terroryści polscy byłiby zdolni targnąć się na życie prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej i członków rządu polskiego, który ukonstytuował się we Francji. Równocześnie prosiłem Was, żebyście zechcieli podjąć kroki celem zapewnienia bezpieczeństwa Panu Raczkiewiczowi i polskiemu ministrom.

Według tego co zostało mi zasygnalizowane, środki zastosowane przez policję, przynajmniej w pobliżu polskiej ambasady,

gdzie mieszka prezydent Raczkiewicz i gdzie są umieszczone biura pana Zaleskiego, ministra spraw zagranicznych, wydają się niewystarczające. Otóż prezydent Rzeczypospolitej Polskiej i członkowie nowego rządu polskiego są wystawieni na liczne niebezpieczeństwa. Agenci hitlerowscy, agenci sowieccy i ukraińscy, wśród których, jak wiadomo, znajduje się pewna ilość znanych terrorystów, nie są jedynymi, których zamiary trzeba uprzędzić. W samym środowisku polskim znajdują się osobnicy, którzy — według mniemania, jakie panuje w otoczeniu polskim — mają być zdolni do zorganizowania uprowadzeń.

Dlatego też sądzę, iż winniem na Was nalegać, ażeby zostały bezzwłocznie przedsięwzięte odpowiednie środki. Środki te winny się rozciągać na ambasadę Polski, na kancelarię tej ambasady (rue de Talleyrand), na Hotel d'Albany, gdzie będą się mieścić biura generała Sikorskiego i na prywatne mieszkania członków jego rządu.

Nadto, trzeba będzie im zapewnić ochronę w ich poruszaniu się z jednego miejsca w drugie, specjalnie panu Zaleskiemu, tak samo jak i generałowi Sikorskiemu, który szczególnie może być wzięty na cel.

Jest samo przez się zrozumiałe, że wyżej wymienione sugestie winny być również zachowane wtedy, kiedy przywódcy polscy udadzą się do Angers i tam zamieszkają”.

Podpisał: *Hoppenot*

Wraz z kopią tego listu dyrektor gabinetu służby bezpieczeństwa z ministerstwa spraw wewnętrznych zalecił, pismem z dnia 16 października 1939 roku, prefektowi departamentu Maine-et-Loire wzmocnienie ochrony członków rządu polskiego, którego siedzibą miało być miasto Angers.

Na ten sam temat znajduje się w archiwum pismo porucznika Chevallier, oficera łącznikowego przy rządzie polskim w Angers. Pismo to, z dnia 3 stycznia 1940 (*w dacie pomyłono rok, pisząc 1939*), skierowane było do prefekta Maine-et-Loire w Angers. Prefektem był wówczas p. Ancel.

W piśmie tym Chevallier podaje, że w mieście Angers znajduje się siedem ministerstw rządu polskiego. Następnie pisze:

„Każde ministerstwo domaga się, za zgodą pana Perrier, naczelnego kontrolera bezpieczeństwa publicznego (*contrôleur général de la sûreté nationale*), dozoru w dzień i w nocy, tak na zewnątrz, jak i na wewnątrz”. Dalej Chevallier zaznacza, iż stan policji i żandarmerii francuskiej nie jest wystarczający, ażeby zadośćuczynić żądaniom rządu polskiego i proponuje sprowadzenie do Angers kilkudziesięciu żandarmów polskich. Podobnie

też myśli jeśli chodzi o dozorowanie rezydencji prezydenta i członków rządu, znajdujących się w okolicy Angers, które mogłyby być strzeżone przez straż polską. (Można tutaj wyrazić jedynie zdziwienie, że do podobnego wniosku nie doszli Polacy).



W archiwum miasta Angers znajdują się również dwa pisma cytowanego wyżej porucznika Chevallier, oficera łącznikowego przy rządzie polskim. Oba pisma dotyczą cenzury poczty i są adresowane do prefekta departamentu Maine-et-Loire.

Pierwsze pismo jest z dnia 15 stycznia 1940 roku.

„Mam zaszczyt — pisze Chevallier — przedłożyć panu krótkie sprawozdanie z przeprowadzonego przeze mnie dochodzenia tak u dyrektora poczty (doręczanie listów), jak i w urzędzie kontroli poczty w Angers, celem ulepszenia funkcjonowania tego organizmu wobec przechodzącej przez niego poczty Polaków.

I. Doręczanie poczty jednostkom polskim

Dzisiaj, dnia 15 stycznia 1940 roku o godzinie 18-ej, udałem się w towarzystwie kapitana Boudier, ażeby zorganizować doręczanie poczty ludziom z różnych jednostek polskich.

Polscy żandarmi
Polska straż przy prezydencie
Polski batalion
Oddział podchorążych.

Projekt będzie opracowany przez kapitana Boudier i skierowany do dyrektora departamentu, który zadecyduje o jego zastosowaniu. Wszystkie trudności wydają się być usunięte.

II. Kontrola poczty

Następnie spotkałem porucznika Piffre, ażeby uregulować najbardziej delikatną część zadania: kontrolę dużej ilości korespondencji przychodzącej obecnie codziennie ze wszystkich stron do Angers lub też wysyłanej w różne części świata.

Porucznik Piffre domaga się w pierwszym rzędzie trzech lub czterech tłumaczy z języka polskiego.

Na tych trzech czy czterech tłumaczy jeden tylko winien móc czytać listy drażliwe, trzej pozostali ograniczą się do bieżącej i niewdzięcznej pracy odnośnie polskiej poczty wojskowych, kwaterujących w Sainte-Gemmes (*miejscowość leżąca na peryferiach Angers — T.W.*).

Porucznik Piffre ma zamiar nawiązać kontakt z hrabią Mors-
tinem (*w tekście francuskim jest Morchstin i nie wiem, czy cho-
dzi o Morstina czy Morsztyna — T.W.*), komendantem straży

prezydenta w Pignerolles, ażeby otrzymać do nadzorowania listę osób podejrzanych.

Wówczas będzie on mógł zacząć pożytecznie pracować nad masą poczty, która obecnie wymyka się wszelkiej kontroli.

Poczta, bardzo teraz ograniczona, poddana ocenie, wykazuje u Polaków kwaterujących w Angers dobre samopoczucie, które jest jednak gorsze od znakomitego samopoczucia naszych oddziałów północno-afrykańskich.

Polacy okazują się niezwykle wymagający, sądzą że są gorzej traktowani — jeśli chodzi o wyżywienie i urządzenie kwater — niż oddziały francuskie, przy których się znajdują.

Środki, jakie dano mu do dyspozycji (*mowa o por. Piffre — T.W.*) są bardzo ograniczone i co dotyczy tłumaczy, to dotychczas miał ich dwóch.

Pierwszy, magister literatury pięknej fakultetu paryskiego, urodzony w Kijowie (Rosja), okazał się na pierwszy rzut oka giętkim i inteligentnym; dalszy ciąg próby był dla niego bardzo nieprzychylny i wymagał napisania listu Nr 154 do naczelnego komendanta 9-go Okręgu (list w załączeniu), oraz jego zastąpienia (*listu Nr 154, o którym jest tutaj mowa, w archiwum nie ma — T.W.*).

Drugi tłumacz, robotnik rolny, czytający po polsku i po ukraińsku, wydaje się być dobry ale nieokrzesany i w każdym razie niezdolny do oceny poczty bardziej drażliwej.

Wobec ogromu pracy, która zwiększa się każdego dnia, porucznik Piffre zwrócił się do pułkownika Artchmsky (*nazwisko zniekształcone w tekście francuskim; chodzi przypuszczalnie o Arciszewskiego — T.W.*) w Sainte-Gemmes, który ma mu dostarczyć podchorążego Polaka, z zawodu inżyniera.

To rozwiązanie wydaje się nam niezwykle niebezpieczne i mogące stwarzać w przyszłości bardzo przykre incydenty. Podchorąży ten, gdyby był nawet doskonały, będzie oceniał teksty pod polskim kątem widzenia; będzie miał pokusę, a może i obowiązek, uprzedzić bezpośrednio szefów jednostek polskich o zebranych ocenach i informacjach, dając je lub nie Francuzom do wykorzystania. Ludzie będą o tym wcześniej czy później uprzedzeni, będą używane fortele i kontrola stanie się dużo mniej użyteczna i skuteczna.

Kontrola pocztowa będzie jedynie „donosicielstwem pocztowym”, nawet w wypadku gdy wyznaczony podchorąży nie odkryje potrzeb swojej służby, naszych własnych tajemnic i środków mogących udaremnić kontrolę.

Konkluzja

Wydaje się nam konieczne posiadanie w Angers ogólnej kontroli pocztowej, bardzo surowej dla wszystkich cudzoziemców przebywających w Angers (ambasady, konsulaty, etc.) i szczególnie dla organizacji polskich (wojskowych i cywilnych).

Trzeba, bez najmniejszej zwłoki, w celu skompletowania doskonalej, ale mało licznej ekipy:

a — tłumacza angielskiego

b — wyborowego tłumacza polskiego

c — trzech tłumaczy polskich zadowolających (*satisfaisants*).

Czterej tłumacze z języka polskiego; winni nimi być Francuzi, Szwajcarzy lub Czesi (*ci ostatni są w tekście podkreśleni — T.W.*), lecz nie Polacy.

Personel kontroli pocztowej winien przebywać odosobniony w ekipie, a nie rozpraszać się każdego wieczora na różne jednostki kwaterujące w Angers. Nie powinien on, szczególnie gdy chodzi o tłumaczy polskich, być w kontakcie poprzez przydział z jednostkami polskimi.

Jeśli chodzi o materiał oddany do jego dyspozycji, to porucznik Piffre pragnie otrzymać trochę udoskonalonych przyborów pozwalających otwierać bez śladu niektóre listy”.

Drugie pismo porucznika Chevallier do prefekta departamentu Maine-et-Loire jest z 1 lutego 1940 roku. Oto jego treść:

„Porucznik Piffre, przewodniczący kontroli pocztowej, przyszedł dzisiaj, 31 stycznia 1940 roku, o godzinie 14.30 i powiadomił nas, że liczne listy polskie były wysyłane z podwójną kopertą lub kartą przeznaczoną do przesłania adresatom zamieszkałym we Włoszech lub na Węgrzech. Chodzi o przesyłanie na tereny okupowane przez Niemców (Polska, Czechosłowacja), a czasem do samych Niemiec.

Do dnia dzisiejszego porucznik Piffre zadowalał się sprawdzaniem treści w sposób mocno niekompletny i daniem zezwolenia na wysyłkę poczty. Sytuacja ta jest niewątpliwie poważna, gdyż nie chodzi o kartki, lecz o listy w których mogą być wysyłane wszelkie dokumenty.

Trzeba by zniszczyć te listy i zobowiązać wszystkich członków kolonii polskiej do używania specjalnych pocztówek wysyłanych za pośrednictwem Międzynarodowego Biura Czerwonego Krzyża w Genewie. Piszemy dzisiaj, 1 lutego, żeby umówić spotkanie z majorem Stibloskim (*w tekście francuskim jest Stiblosky — T.W.*). Zostaliśmy powiadomieni, że listy wysyłane przez Daranseskiego, 40 rue Devansayes à Angers, nie są wewnątrz podpisane tym samym nazwiskiem i wydają się co najmniej podejrzane. Listy przychodzące z Polski adresowane do kapitana Skarbka (*w tekście francuskim jest Sharbek — T.W.*), kapitana policji polskiej w Pignerolles, są przychylnie dla Niemiec i wychwalają sytuację w nieprzyjacielskim kraju.

Porucznik Piffre domaga się w biurze Perriera listy podejrzanych Polaków, którzy winni być poddani specjalnemu nadzorni”.



Innego rodzaju dokumenty dotyczące tego okresu znajdują się w Instytucie Sikorskiego w Londynie. Trudny to będzie dla historyka okres do możliwie wszechstronnego opracowania, zwłaszcza stosunków polsko-francuskich, na których w dużym stopniu zaciążyły wewnętrzne stosunki wśród samych Polaków. Piszę „będzie”, bo nikt chyba nie podjął się jeszcze napisania historii polskiego rządu we Francji. Uczestników i świadków jest coraz mniej, dokumentów również i wiele przemawia za tym, że tak Francuzi jak i Polacy nie wszystko chcieli przechować w archiwach, stąd duże luki gdy chodzi o sprawy bardziej drażliwe.

Jednym z dokumentów, znajdujących się w archiwum Instytutu Sikorskiego, jest sprawozdanie z rozmowy z francuskim ministrem Anatolem de Monzie. Nie wiadomo już dzisiaj, z jaką osobistością polską Anatole de Monzie toczył tę rozmowę. W archiwum prezesa Rady Ministrów znajdują się dwa egzemplarze tego sprawozdania. Na marginesach pierwszego z nich gen. Sikorski i prof. Kot zrobili odrębne uwagi. Następnie sprawozdanie to zostało w całości przepisane. Uwagi Sikorskiego i Kota zostały ponumerowane w miejscach, w których były zrobione i przepisane wszystkie razem po treści całego sprawozdania, w formie w jakiej np. napisany jest artykuł z odnośnikami podanymi na końcu. Najpierw jednak kilka słów o samym ministrze de Monzie.

Anatole de Monzie (urodzony w 1876, zmarł w 1947 roku), adwokat, dziennikarz, wielokrotny poseł, senator i minister różnych resortów, polityk liberalno-lewicowy, autor kilku książek, w latach 1938-1940 był ministrem robót publicznych. Sprawy polskie nie były mu obce już przed wojną. W 1923 roku miał spotkanie z Piłsudskim, o którym pisze w swojej przedmowie do książki o Marszałku Piłsudskim, w języku francuskim (P. Bartel, „Le Maréchal Piłsudski”, Płon, Paryż 1935). Nie wiem jakie utrzymywał kontakty z rządem polskim we Francji. Ze sprawozdania wynika, iż był proszony o przewodniczenie jakiemuś zebraniu francusko-polskiemu, czemu odmówił.

Na sprawozdaniu napisana jest ręcznie data 23 lutego 1940 roku, ale nie wiadomo czy jest to data odbytej rozmowy, czy ostatecznie ustalonej treści sprawozdania z uwagami w odnośnikach, treści następującej:

ROZMOWA Z MINISTREM DE MONZIE

„Przykro mi odmawiać. Moment jest dla mnie źle wybrany. Mówiłem Sikorskiemu. Ten się nawet poważnie uraził. Dlacze-

goście tego zacnego Paderewskiego znowu pokazali narodom (1). Wszak już Clemenceau ironizował o 'degradacji, jaką jest dla wirtuoza polityka'. I to posiedzenie Rady Narodowej w Paryżu! (2). Przecież nie jesteście u siebie. Daladier będzie miał wkrótce tego dosyć.

A te wasze kłótnie, czyż sądzicie, że to do nas nie dochodzi? (3). Zaczynacie się zachowywać jak u siebie w domu. Kiedy Belgia nie miała już skrawka własnej ziemi i schroniła się do nas (*podczas pierwszej wojny światowej — T.W.*), czyż były jakieś różnice pomiędzy Cartonem de Viart a Vandervelde? Zniknęły wtedy wszystkie partie polityczne, a u was? Robicie jakieś porachunki osobiste, które mnie zwłaszcza, który uważałem Marszałka Piłsudskiego za wielkiego człowieka, specjalnie brzydzą. Powracacie do stosunków sprzed 1926 roku.

A czyż nie jest skandalem, że idziecie teraz wprost pod komendę Benesza? (4). Byłem jednym z tych, którzy bronili was po Monachium, tłumacząc żeście musieli wziąć Cieszyńskie. Jak obrzydliwe jest więc teraz dla mnie całkowite podporządkowanie się wasze planom Benesza.

Zaczynam tracić wiarę w potrzebę odbudowy Polski jako państwa niepodległego. Niech powstanie, ale związane jakimś zewnętrznym czynnikiem z innymi (5).

Wasze wojsko — to samo! Politykuje i bić się nie chce (6). Kiedy zaproponowaliśmy wam wysłanie waszych oddziałów i waszych statków do Finlandii, odmówiliście. Wiemy jaki duch panuje w Coëtquidan i gdzie indziej. Jak tylko żołnierze będą na froncie, to powyrzelają znieawidzonych oficerów, którym przypisują porażkę w Polsce. Jeszcze dwa miesiące takich stosunków i wszelkie uczucia sympatii dla Polski zginą wśród nas (*seront désaffectés*). Nie, naprawdę nie zgodzę się na przewodniczenie zebraniu francusko-polskiemu.

Wie o tym Daladier, wiedzą i inni, wie sztab. Potomkowie dawnych emigrantów — tak, to wiem — święta rzecz, ale polityka to znowu inna rzecz. Może Delbos nie będzie miał tych zastrzeżeń.

Czekam na wizytę takiego szlachetnego Polaka jak minister Arciszewski, któremu Beck bardzo dokuczał (7). Zrobimy z nim przegląd sytuacji, który mi może wiele wytłumaczy. Nie mogę zrozumieć, dlaczego Piłsudski nie jest reprezentowany w rządzie, bo wszak ten nieszczęśliwy Koc, którego nie mogliście nie wziąć, bo uratował pieniądze, nie jest istotnym wyrazicielem przyjaciół i uczniów Marszałka. Sosnkowski przyszedł znacznie później (8).

Tak, zapewne, każdy chłop polski, każdy żołnierz polski to bohater, ale dowództwo? (9). Nieprawdą jest, że Francja namawiała Polskę do wojny. Tak o mnie mówią w Niemczech, ale ja, który jedyń z rządu przyjeżdżałem przed wojną do Polski, ani słowa o tym nie rzekłem. Proszę darować szczerłość, byłem taki zawsze. Może się mylę, ale waszą rzeczą jest tego dowieść”.

Na końcu sprawozdania, w nawiasach, jest jeszcze zdanie rozmówcy polskiego: „Rozmowa przerywana moimi uwagami trwała 45 minut”.

Następnie są odnośniki, o których była już mowa:

„1. Paderewski wybrany jednomyślnie przez Radę ma olbrzymie stanowisko moralne w Kraju. Jego wystąpienie zostało przyjęte przez cały świat anglosaski. Specjalne wrażenie wywarło w Ameryce, co nie jest chyba obojętne dla aliantów. Twierdzenie, że się poważnie uraziłem jest nieściste (gen. Sikorski).

Paderewski jest dla Polaków symbolem oparcia się i przyjaźni z Francją. Posiedzenie Rady Narodowej było największą reklamą gościnności francuskiej i np. w Ameryce wywarło głębokie wrażenie najkorzystniejsze dla Francji. Chyba nikomu nie zaszkodziło (prof. Kot).

2 Rada Narodowa odbyła swe pierwsze posiedzenie w Ambasadzie, a więc na terytorium polskim. Odbyło się za wiedzą Rządu francuskiego (gen. Sikorski).

3. Kłótni żadnych nie ma. Są być może intrygi beckowców, którym niektórzy Francuzi ulegają (gen. Sikorski).

Żadnych kłótni poza odcięciem się od sprawców kłęski i ludzi Becka. O Piłsudskim, któremu Niemcy trzymają — i nie bez racji — honorową wartość i przed trumną w Krakowie i przed Belwederem w Warszawie — lepiej zachować taktowne milczenie. Nie dawać ucha intrygantom, którzy się w Kraju pokazać nie mogą (prof. Kot).

4. Skąd ta wiadomość? Co za styl? Nieprawda! (gen. Sikorski).

5. Niedopuszczalne w ustach francuskiego ministra. Jesteśmy przecież w przymierzu. Zaatakować ten ustęp mocno a spokojnie (gen. Sikorski).

6. Kłamstwo! Przeciw użyciu wojska tylko Piłsudscy agituja, głosząc, że Francuzi chcą Polaków wyzyskiwać jak kolorowych (prof. Kot).

7. Arciszewski jest użyty, ale niestety z jego nazwiskiem i w Rumunii i w Polsce wiąże się wspomnienie polityki antyfrancuskiej (prof. Kot).

8. Jak to nikt nie jest reprezentowany? A w Radzie Narodowej jest co najmniej 4 Piłsudczyków. Zastrzec się przeciw mieszanii się tak brutalnemu w nasze sprawy wewnętrzne (gen. Sikorski).

9. Dowództwo było dotąd w ręku Piłsudczyków. Pan de Monzie jest nielogiczny. Ulega nieskoordynowanym impulsom (gen. Sikorski)”.



W tym samym prawie czasie, bo 14 lutego 1940 roku, gene-

rał Kukiel pisał do generała Sikorskiego: „Co do skarg francuskich na Polaków nie widzę na nie rady. Nakazane kartki do rozdawania między przybywających opracujemy i wydrukujemy. Nowe rozkazy zbędne (w poprzednich wszystko powiedziane), ale trzeba będzie przypomnieć i kazać ponownie przeczytać.

Nie jest może aż tak bardzo źle. Razimy Francuzów tym, że istniejemy. Mam w tej chwili ohydny list (podpis nieczytelny) z urąganiem, że pełno młodych Polaków na tyłach 'czy tylko krew francuska ma płynąć'. To się zmieni, gdy się dowiedzą, że nasi się biją. Szkoda, że cała 1 dywizja piechoty nie odchodzi do Finlandii...”.



Niezbýt pomyślnie układały się stosunki między naszym rządem i prasą polską we Francji. Dnia 3 marca 1940 roku, generał Sikorski miał w Angers konferencję prasową, podczas której oświadczył:

„Proszę Panów, dzisiejsze posiedzenie jest dla nas bardzo przykre, ponieważ muszę poruszyć nieprzyjemne sprawy.

Kwestię działalności naszej prasy omawiałem osobiście z premierem Daladier.

Dotychczasowe doświadczenie jest bardzo smutne. Prasa nasza nie stoi na wysokości zadania, a przecież dociera także do wojska, które jest naszą ostatnią nadzieją, które utrzymać musimy, to jest naszym obowiązkiem, obowiązkiem wszystkich. Pisma nasze docierają do Niemców, wykorzystują oni z nich każdą wygodną dla siebie wiadomość. Przez Niemcy docierają także do Kraju.

Nie mogę tolerować gorszącej polemiki pomiędzy pismami. *Wiarus* bezustannie atakuje *Narodowca*, *Narodowiec* *Wiarusa* itd.

Niemcy potrafią wyciągnąć wszystkie te wyjątki, które im służą przeciwko nam...

Postawieni wobec tych faktów Francuzi reagują energicznie. Cenzura domaga się położenia kresu tej polemice, jeżeli zaś nie — będzie działać cenzura francuska w Paryżu. Według obliczeń cenzorów francuskich, przy stosowaniu takiej metody cenzury, trzeba liczyć cztery dni opóźnienia w wydawaniu tych pism.

Prasa, która się ukazała na terenie Paryża też nie stoi na wysokości zadania. Znowu jest w niej partyjniactwo to samo, które doprowadziło Polskę do kryzysu. A przecież elementarną zasadą powinno być najdalej idące zjednoczenie narodowe.

ODPIS LISTU DO PŁK. J. RZEPECKIEGO

Sanatorium Wonieść, 5 września 1956 r.
Oddział w Splawiu

Panie Pułkowniku!

Ostatnio włączył się Pan w pełne światło jupiterów politycznych. Rozreklamowany udział w obchodzie rocznicy Powstania, w Komitecie Budowy Pomnika Poległych w Walkach o Warszawę i w obradach Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Narodowego, ponadto publikacja prasowa w najpoczytniejszym tygodniku *Po prostu*, wspomnienia powstaniowe w *Nowej Kulturze*, wreszcie apel Pana Pułkownika w *Życiu Warszawy* do byłych żołnierzy AK — te wystąpienia świadczą m.in. o tym, że dzisiaj może i chce Pan działać politycznie.

Mnie w tej sytuacji interesuje szczególnie mocno jeden problem. Mianowicie zagadnienie tych ludzi, o których pisze Pan krótko w *Życiu Warszawy*, że „jeszcze nie wszyscy odzyskali wolność”. O ile się orientuję, liczba byłych żołnierzy armii konspiracyjnej siedzących do dzisiaj za kratami jest znaczna. Męczą się, cierpią, niszczeją — wraz z rodzinami. Ta grupa więźniów, o jakiej piszę, pozostaje nadal nieobecna w życiu dlatego przede wszystkim, że była niegdyś posłuszna — każdy na swój sposób — Pańskim rozkazom, nakazom, apelom, wpływom czy kapitałowi żołnierskiego długoletniego wychowania, które Pan prowadził w AK i w założonym przez siebie WIN-ie.

Wydaje się być jasne, że za los tych żołnierzy Pan ponosi w pewnej mierze odpowiedzialność. I to nawet za tych, którzy — wbrew Pańskim późniejszym decyzjom — zostali wciągnięci w tryby aparatury, nikt — poza zupełnie szczególnymi przypadkami — nie może mieć o to pretensji do dowódcy. Ale gdy żołnierz leży pogruhotany na pobojowisku wtenczas, gdy huraganowy obstrzał już minął, a dowództwo nie uruchamia wszystkich środków dla ściągnięcia rannego w azył szpitala — jest źle. Taka teza obowiązuje nawet wówczas, gdy dowódca zdjął już dawno mundur i rozwiązał swój oddział lub słusznie zmienił kierunek marszu.

Znam Pana, byłem przez VI Oddział Sztabu AK wychowywany i wiem, że rozumuje Pan na pewno tak samo, czy też podobnie. Wiem również, iż starał się Pan w ubiegłym okresie swego pobytu na wolności wyciągać podległych sobie niegdyś ludzi z więzień. Zgadzałem się, że trudno było w przeszłości osiągnąć w tym zakresie poważniejsze rezultaty, mimo kilku sukcesów.

Ale dzisiaj?... Dzisiaj sytuacja sprzyja. Stwierdza Pan „u naszych byłych przeciwników politycznych wielki zasób dobrej woli”. Wyrazem tego klimatu jest Pańska żywa działalność wspomniana wyżej przeze mnie. Istnieją niewątpliwie warunki pozwalające na przerzucenie wszystkich Pańskich „rannych” z destrukcyjnego terenu więzień w lazaret wolności. Nawet tych, którzy wbrew zaleceniom Pana poszli dalej ścieżką winowską, nawet tych, co się od Pana tak czy inaczej odwrócili. Nawet tych, co Pana potępiają w głąsy cel więziennych, lub co potępił Pana w trakcie przewodów sądowych.

Nie chodzi mi tu tylko o płk. Niepokólczyckiego czy kpt. Kwiecińskiego, siedzących bodajże od 10-ciu lat w więzieniu. Ale również o tych licznych szeregowych bez głośniejszych nazwisk, którzy poszli, zawołani Pańskim rozkazem winowakim lub Pańskim wychowawczym wpływem akowskim, w akcję za-

kończoną długoletnim wyrokiem. Ot, np. znany mi osobiście szewc Tobiła z Sieradza wkroczył na śliską ścieżkę wywiadu akowskiego, czy też winowskiego, w roku 1945 działał w Bezpieczeństwie na rzecz konspiracji, dostał dożywocie, siedział w ciężkich warunkach, zniszczył się fizycznie, a jeszcze dzisiaj perspektywa dwóch lat więzienia gniecie go boleśnie i dalej dewastuje rodzinę, tragicznie doświadczoną jego uwięzieniem.

Niewątpliwie myśli Pan o tych „rannych” i jakoś stara się o pomocne rozwiązanie tego nabrzmiałego problemu. Ale poza zdawkowym, cytowanym wyżej urywkiem artykułu w *Życiu Warszawy*, społeczeństwo — o ile trafnie sędzę — nie słyszy głośniejszych interwencji Pana i innych byłych naszych przywódców, wolnych dzisiaj, na rzecz podwładnych, którzy nie „przeżyli” (jak Pan pisze w *Życiu Warszawy*), ale przez y w a j ą n a d a ł, konkretnie, w więzieniu, „wielką tragedię” akowską.

Czy można znaleźć skuteczną formę, czy formy, działań Pana na rzecz więźniów, o których piszę? Jestem pewien, że tak. Jeśli się jest słuchanym, drukowanym, goszczonym przez Front Narodowy, jeśli się apeluje publicznie do swych kolegów, jeżeli odgrywa się aktywną rolę polityczną, słowem jeśli się jest w pełni wolnym — to (w dzisiejszych warunkach i przy Pańskiej głębokiej znajomości metod zwracania się do ludzi w najrozmaitszych układach sytuacyjnych) na pewno tak.

Porzucając płaszczyznę moralno-żołnierską, na której opieram nie przewodnią tego listu, chciałbym zwrócić uwagę na aspekt skuteczności politycznej ostatniego etapu Pańskiej żywej działalności. Zapytuję sam siebie, jakimi przesłankami Pan się kieruje w zamiarze, aby ostatni Pański apel: „brać pełny udział w pracy” chwycił b. akowców (a myślę i winowców oraz grupy pochodne), gdy przeciętny adresat tego apelu nie stwierdza, aby Pan walczył dotychczas głośno, publicznie i wytrwale o los swych żołnierzy, przebywających dotychczas w więzieniu. Tacy przeciętni adresaci mogą myśleć: „usłuchałem winowskiego apelu płk. Rzepeckiego — osiadłem; usłuchałem apelu płk. Rzepeckiego o ujawnienie się — osiadłem. Zostawiono nas 'rannych' na polu bez pomocy. Czy mogę teraz usłuchać trzeciego z rzędu apelu?” Zastanawiam się wobec tego, czy technika likwidowania skutków poprzednich apelów, czy brak widocznych usiłowań Pana w tym kierunku nie przesłania adresatom merytorycznie słusznych elementów ostatniego Pańskiego apelu, czy nie zniechęca Pan dalej adresatów do swych koncepcji? Przypuszczam, że tak.

Ale te ostatnie moje uwagi nie są najważniejsze. Ważne jest jedno: Pan winien, moim zdaniem, robić wszystko, aby wyciągnąć swoich „rannych” na opiekuńcze, lecznicze i coraz bardziej rozświetlające się tereny wolności.

Łączę wyrazy szacunku

(—) *Kazimierz MOCZARSKI*

WSPOMNIENIA GEN. JÓZEFA KUROIPIESKI (fragment)

Zamieszczamy fragment wspomnień generała Józefa Kuropieski, które ukazały się w numerze 2-3 Wojskowego Przeglądu Historycznego

morde panikarzy i zrobić z nimi porządek, inaczej skompromitują nas doszczętnie. Prezydent jest również zgorszony i domaga się zrobienia z nimi porządku. Nie należy uważać na stanowiska i szarżę. Major Borkowski ustnie Panu Generałowi poda więcej o tym szczegółów.

Mnie osobiście ani energii ani odwagi cywilnej nie brak. Gdybym mógł się Panu Generałowi w obecnym ciężkim momencie przydać i Mu dopomóc w tym zadaniu, przynajmniej w utrzymaniu porządku i naszej godności, stałbym do dyspozycji na jakimkolwiek odcinku. Wie Pan Generał, że mam zimną krew, nie boję się i wysoko stawiam honor, więcej na pewno niż życie.

Proszę mną dysponować w jakiegokolwiek akcji czynnej, włącznie do prostego żołnierza i wysłania na front. Nie jest to frazes, ale moje głębokie po namyśle postanowienie. Proszę mną dysponować.

Ściskam Drogiego Generała i proszę Boga, by Wam dopomógł w obecnej historycznej dla całej ludzkości chwili. Oddany — Ks. Kaczyński”.

W związku z tym listem, generał Sikorski wydał 22 maja okólnik następującej treści: „Stwierdzam, że w tych ciężkich i niebezpiecznych chwilach jakie przeżywamy obecnie, zachowanie się niektórych osób stoi poniżej godności i honoru Polaków.

Powodowany troską o nasze dobre imię desygnuję księdza Prałata Kaczyńskiego do stłumienia wszelkich objawów paniki i defetyzmu, wśród Polaków przebywających na terenie Angers.

Równocześnie upoważniam księdza Prałata Kaczyńskiego do zawieszenia w urzędowaniu każdego urzędnika, do dyrektora departamentu włącznie, siejącego zamęt i zachowującego się w sposób ubliżający godności narodowej oraz do przedstawienia wniosków, mających rozstrzygnąć o ich dalszych losach. Osoby nie pełniące funkcji urzędowych, a zachowujące się niegodnie odsyłane będą wprost do specjalnych miejsc odosobnienia. Ta sama kara zastosowana być może, po krótkim śledztwie przeprowadzonym z ramienia Prezydium Rady Ministrów, przez komisję specjalną wyznaczoną przez Pana Ministra Kota, w stosunku do urzędników państwowych”.

Ks. Kaczyński odpowiedział gen. Sikorskiemu listem z 28 maja:

„...Dziękuję za nominację, która wywołała niepokój głównie w sferach sanacyjnych. Różne rzezimieszki z dawnego reżimu jak szczury w niebezpieczeństwie przywędrowały do Angers. Oni

to głównie są siewcami paniki, podrywając jednocześnie zaufanie do naszych sprzymierzeńców. Zarządzenie Pana Generała opamiętało wielu tchórzów, którzy zaczynają nawet przybierać pozę ludzi niezłomnych i kandydować na bohaterów. Uważam, że nie należy odwoływać okólnika Pana Generała. Ma on znaczenie prewencyjne i będzie wykonywany, gdy tego zajdzie potrzeba. W razie niemożliwości porozumienia się z Panem Generałem będą w kontakcie z prof. Kotem i nic bez porozumienia uprzedniego z nim nie uczynię”.



Dnia 14 czerwca Niemcy zajmują Paryż. W tym samym dniu rząd polski opuszcza pośpiesznie Angers i udaje się do Libourne, miasteczka w pobliżu Bordeaux. Generał Sikorski znajdował się wówczas w strefie frontowej i stracił kontakt z rządem, wierząc dłużej niż należało w zwycięstwo Francji. Kumulacja przez Sikorskiego stanowisk naczelnego wodza i premiera okazała się zgubna.

Gmach, w którym mieściły się w Angers polskie biura prezydium Rady Ministrów i ministerstwa spraw zagranicznych, został zburzony 28 lat po wojnie. Na frontowym murze nowego budynku — pod numerem 72 Boulevard Foch — umieszczona jest tablica pamiątkowa z napisem: „W tym miejscu, w Hôtel de la Morinière, zburzonym w 1973 roku, przebywał, od 22 listopada 1939 do 12 czerwca 1940 roku² Rząd polski generała Sikorskiego na wychodźstwie. Angers i departament Maine-et-Loire w hołdzie męczeńskiemu Narodowi polskiemu, który prowadził bohaterką walkę z najeźdźcą, i Armii polskiej, która biła się na wszystkich polach walki drugiej wojny światowej”.

Tadeusz WYRWA

Rozmawiał Zdzisław BAU

ROZMOWY NA TEMATY SPRZED 40 LAT

Ludwik Seidenman i Stefan Gacki są naocznymi świadkami dramatycznych wydarzeń związanych z zerwaniem przez Stalina

2. W rzeczywistości rząd polski opuścił Angers 14 czerwca.

stosunków dyplomatycznych z rządem polskim w Londynie. W krytycznym 1943 roku wchodził on w skład ambasady polskiej w Kujbyszewie. Obaj znajdują się teraz w Stanach Zjednoczonych.

Adwokat Seidenman jest w zarządach i honorowym radcą prawnym najważniejszych instytucji polonijnych w Nowym Jorku jak Instytut Józefa Piłsudskiego, Polski Instytut Naukowy i Bratnia Pomoc. Stefan Gacki jest dziennikarzem, publicystą i poetą, który współpracuje z nowojorskim *Nowym Dziennikiem*.

W rozmowach z nimi wróciliśmy do tematu sprzed 40 lat, który ze względu na swoje znaczenie historyczne nie stracił na aktualności.

Zdzisław B A U : — *Panie mecenasie, wróćmy do owych dni: gdzie zaskoczyła Pana wiadomość o zbrodni w Katyniu?*

Ludwik SEIDENMAN: — Byłem wtedy w Moskwie, to był kwiecień 1943 roku. Byliśmy tam jeszcze z kilkoma kolegami poczynając gdzieś od połowy marca 1943 roku.

Z.B.: — *Jak to się stało, że Pan był w Moskwie, kiedy ambasada była wówczas w Kujbyszewie?*

L.S.: — W końcu grudnia 1942 roku Romer pojechał do Londynu na dłuższą konferencję z rządem generała Sikorskiego w celu ustalenia wytycznych dalszej polityki wobec Rosji Sowieckiej. Sytuacja się zaostrzała; jasne było, że należy oczekiwać nowych komplikacji. Ambasador Romer przebywał w Londynie dosyć długo, mniej więcej do początku albo połowy marca 1943 roku, po czym zdecydował, że wróci wprost z Londynu do Moskwy i zarządził, żeby z ambasady w Kujbyszewie przyjechała wybrana przez niego ekipa celem pomagania mu w negocjacjach, które miał wszcząć z rządem sowieckim. W skład tej ekipy wchodził: radca Aleksander Mniszek, pierwszy sekretarz ambasady i kierownik działu opieki społecznej Stefan Gacki, Zofia Żółtowska — szef-rantka i sekretarka, Natalia Aszkenazy, *attaché* do spraw kontaktów z innymi ambasadami Sprzymierzonych Narodów i ja w charakterze radcy prawnego ambasady. W tym składzie pojechalismy, zdaje się że w połowie marca, do Moskwy, i byliśmy tam aż do chwili, kiedy zaskoczyła nas, jak i cały świat, rewelacja o Katyniu.

Z.B.: — *Jak Pan się wtedy dowiedział o tym: z gazet czy z radia?*

L.S.: — Zdaje mi się, że dowiedzieliśmy się o tym z dwóch stron, przez telefon ambasady w Kujbyszewie, która miała szyfrowy kontakt z Londynem, oraz z radia i z komunikatów w prasie sowieckiej. Nie sądzę, abyśmy dostali wiadomość bezpośrednio z Londynu. Wprawdzie mieliśmy, jak wspomniałem, szyfrantkę, ale mam wrażenie że z szyfrów korzystaliśmy tylko jednostronnie, to znaczy, że nadawaliśmy — prawdopodobnie przy pomocy ambasady angielskiej albo amerykańskiej — wiadomości do Londynu, ale nie przypominam sobie, abyśmy dostawali bezpośrednie wiadomości z Londynu.

Z.B.: — *Jakie było wrażenie po tej wiadomości i czy przeczuwano już wówczas w ambasadzie, że to doprowadzi do kryzysu i do zerwania stosunków?*

L.S.: — Sprawa była ogromnie dramatyczna i właściwie rzeczy rozwijały się bardzo szybko, z dnia na dzień. Trudno było przewidzieć taką czy inną reakcję rządu sowieckiego. W cztery dni po ogłoszeniu rewelacji przez Niemców rząd generała Sikorskiego zwrócił się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Szwajcarii z prośbą o zbadanie tej sprawy. To spowodowało zerwanie stosunków dyplomatycznych. Decyzja Sikorskiego została podjęta pod zupełnie zrozumiałą presją opinii publicznej, bez konsultowania z nami. Ambasador Romer nie miał możliwości wypowiedzenia się, jak należy się zachować w tej sprawie.

Z.B.: — *Gdyby Sikorski wówczas konsultował Romera, to co by było? Co by Romer mu wówczas powiedział? To mogą być naturalnie tylko przypuszczenia, no ale...*

L.S.: — Trudno na ten temat spekulować. Faktem jest, że dla rządu sowieckiego była to niesłychana kompromitacja i nie wiadomo, na co by poszli, gdyby im się tej kompromitacji zaoszczędziło, ale z drugiej strony są pewne wartości, które nie nadają się do żadnych negocjacji, do żadnych przetargów. Katyń należał właśnie do takiej kategorii i trudno było spodziewać się, abyśmy mogli iść tu na jakiś kompromis. Mogliśmy jednak prosić rząd sowiecki o takie czy inne wyjaśnienia, co by oczywiście na dłuższą metę prawdopodobnie nie zmieniło sytuacji, tym bardziej, że uważaliśmy już wówczas, że do zerwania stosunków z jakiegoś powodu dojdzie, bo rząd sowiecki dążył do tego żeby mieć wy-

jaśnioną sytuację. Byliśmy w pewnym sensie dla niego obciążeniem. Chodziło o sprawę granic wschodnich, o sprawę tzw. terenów zachodniej Białorusi i zachodniej granicy Ukrainy, które były okupowane przez Rosję Sowiecką i Rosja domagała się, ażeby rząd polski uznał te zabory, na co zgodzić się nie mogliśmy. Poza tym było jasne, że dla rządu sowieckiego nie jest to już tylko problem wschodnich kresów Polski, to jest problem przyszłej Polski. Jaka ona ma być: niezależna, sprzymierzona z aliantami zachodnimi, czy satelicka, całkowicie w tej czy innej formie podległa Rosji Sowieckiej. Dla ZSSR byłoby prawdopodobnie wygodne, gdyby mogli zdobyć uznanie rządu londyńskiego dla swoich kroków w stosunku do Polski, ale trudno im było liczyć, że rząd polski da się do tego zmusić, chociaż presja angielska i amerykańska były dosyć silne.

Z.B.: — *A w czym wyrażała się ta presja i sygnały, że rząd sowiecki chce wyjaśnić sytuację i szuka jakiegoś pretekstu?*

L.S.: — Jeżeli chodzi o mój resort rady prawnej, to sprawa była wyjątkowo jasna. Jak Panu może wiadomo, rząd sowiecki od 1 grudnia 1941 roku zajął stanowisko, że obywatele narodowości ukraińskiej, białoruskiej i żydowskiej, pochodzący z terenów włączonych do Rosji jako Zachodnia Ukraina i Zachodnia Białoruś, nie mieli prawa do obywatelstwa polskiego, a byli obywatelami sowieckimi. To było dosyć znane zagadnienie. Spodziewaliśmy się — i z tym ambasador Romer pojechał do Londynu w grudniu 1942 roku — iż rząd sowiecki rozciągnie to stanowisko również na obywateli narodowości polskiej pochodzących z tychże terenów, gdyż dopiero to byłoby konsekwentnym podejściem do tej całej sprawy, to jest do uznania tych terenów za włączone do Rosji Sowieckiej; tak się też stało. W czasie kiedy ambasador Romer był w Londynie i referował te sprawy przysłała nota rządu sowieckiego, bodajże z 14 stycznia, w której koncepcja obywatelstwa sowieckiego została rozciągnięta na obywateli polskich. Ponieważ nie byliśmy skłonni do kompromisu, należało przypuszczać, że tak czy inaczej stosunki z nami ulegną pogorszeniu; że to przyjmie tak dramatyczny charakter, jak to się stało po ujawnieniu zbrodni katyńskiej — tego oczywiście nikt nie mógł przewidzieć.

Z.B.: — *Ostatnie pytanie: czy były kontakty między ambasadą w Kujbyszewie a polskimi komunistami, którzy wówczas znajdowali się na terenie Związku Sowieckiego?*

L.S.: — To mi daje możność opowiedzenia dosyć ciekawej historii. Na ogół wiadomo, że Stalin prowadził dwutorową politykę. Jeżeli chodzi o sprawy polskie, miał w przygotowaniu inną ekipę Polaków, tzw. Związek Patriotów Polskich, ulokowany w Saratowie pod kierownictwem Wandy Wasilewskiej. Ale mało kto wie, że byli ludzie nie tylko wśród polskich komunistów, ale nawet w łonie rządu sowieckiego, który uważali, że jednak na razie lepiej byłoby dojść do porozumienia z rządem Sikorskiego. Jeżeli chodzi o polskich komunistów, kierunek ten reprezentowała pani Helena Usijewicz, Polka z Łodzi, która wyszła za mąż za Białorusina, literatka, dziennikarka, komunistka należąca do tzw. starej gwardii z 1918 roku, jedna z nielicznych, które przeżyły. Otóż Helena Usijewicz prowadziła z nami rozmowy na temat, jak dojść do jakiegoś kompromisu właśnie w sprawie granic wschodnich. Oficjalnie tych rozmów nie można było prowadzić. Rozpoczął je z ramienia ambasady bodajże Ksawery Pruszyński, później prowadził je Teodor Parnicki, ale raczej tylko na płaszczyźnie kulturalno-oświatowej, a następnie ja zostałem wydelegowany do tych funkcji. Helena Usijewicz cieszyła się w Moskwie poparciem generała Aleksandra Szczerbakowa. Był to kierownik polityczny Czerwonej Armii — osobistość bardzo wysoko postawiona. Właśnie w oparciu o jego autorytet Usijewicz starała się doprowadzić do kompromisu z rządem Sikorskiego. Może przyczynił się do tego fakt, że — o ile mogłem się zorientować — Helena Usijewicz po prostu czysto po kobiecemu nie cierpiała Wandy Wasilewskiej. Bynajmniej tego nie ukrywała. Kiedy wybuchła sprawa Katynia, zatelefonowała do mnie, żeby natychmiast przyjść do jej prywatnego mieszkania. Zostałem ją w stanie niesłychanego wzburzenia. — Musicie coś zrobić, żeby natychmiast rozproszyć wszelkie wątpliwości — powiedziała. — To jest niemiecka propaganda. Jeżeli tego nie zrobicie, okaże się, że ja, że my postawiliśmy na złego konia. Czy pan zdaje sobie sprawę, co to znaczy w naszym systemie postawić na złego konia? — Rozumiałem jej zdenerwowanie, ale trudno mi było jej wytłumaczyć, że rząd polski nie może pod tym kątem widzenia prowadzić swojej polityki. Zresztą zdarzenia wyjęły całą tę sprawę spod naszej kontroli. Przypomina mi się, co opowiadał ambasador Romer o okolicznościach doręczenia noty zrywającej stosunki. Ambasador Romer był wtedy u Mołotowa z Mniszkiem; Mołotow przeczytał mu tę notę, która w naszym rozumieniu zawierała elementy obraźliwe, i podsunął ją, ale ambasador Romer odmówił przyjęcia. I tak ta nota była przesuwana po stole od jednego do drugiego i w końcu ambasador Romer wyszedł nie zabierając

jej. Została później doręczona przez umyślnego, a mnie przypadło w udziale telefoniczne zawiadomienie radcy Zawadowskiego, który był *chargé d'affaires* w Kujbyszewie, o zerwaniu stosunków i uprzedzenie go, aby podjął wszystkie kroki ostrożności. Liczyliśmy się z tym, że NKWD może wejść na teren ambasady, ale to nie nastąpiło.



Z.B.: — *Panie Stefanie, jak była zredagowana ta nota, którą wręczono ambasadorowi Romerowi?*

Stefan GACKI: — Wręczył ją Mołotow, ale muszę powiedzieć, że dotyka Pan jednej z najbardziej interesujących kwestii. Mianowicie ostatnie zdanie noty brzmi mniej więcej (mówię w tej chwili z pamięci), że rząd sowiecki jest zmuszony do zerwania stosunków z rządem polskim. Chodziło o słowo „zerwanie”. Po polsku było ono przetłumaczone na „zerwanie”, w tekście angielskim też użyto słowa „zerwanie”, ale my otrzymaliśmy notę w języku rosyjskim i nasz rzeczoznawca od języka rosyjskiego, Teodor Parnicki, zwrócił uwagę na to słowo, które po rosyjsku oznacza „przerwać” lub „zawiesić”. Były więc dyskusje, krótkotrwałe zresztą, o co naprawdę Rosjanom chodzi. Ja osobiście nie wykluczam, że zostawili lekko uchylone drzwi. Gdyby reakcja Zachodu na zerwanie stosunków była bardzo stanowcza i bardzo daleko idąca, być może powiedzieliby, że tylko przerwali a nie zerwali i że za jakiś czas można będzie do tej sprawy powrócić. Oczywiście bieg wypadków był zupełnie inny. Zachód raczej nalegał na rząd polski, a przede wszystkim na generała Sikorskiego, żeby traktował to delikatnie; naturalnie, nic to nie pomogło.

Z.B.: — *W jakich warunkach nastąpił wyjazd ambasady z Kujbyszewa. Jak to było?*

S.G.: — To była bardzo szczególna podróż. Nie wiem ile jest kilometrów od Kujbyszewa do Aszchabadu w Turkmeńskiej Republice, ale prawdopodobnie gdzieś około kilku tysięcy. Mieliliśmy 5 czy 6 wagonów osobowych. Wagon ostatni był zajęty przez NKWD, które nas pilnowało. Była tam również kuchnia, mogliśmy sobie gotować. Cała ambasada wsiadła do tego pociągu w Kujbyszewie. Podróż ta była o tyle szczególna, że na całej drodze nie spotkaliśmy absolutnie żywej duszy. Zatrzymywaliśmy się na

wielu stacjach dla nabrania wody, czy dla dostawy węgla — wszędzie było pusto. Widzieliśmy tylko przez okna, że z tyłu stali półkolem żołnierze, NKWD i ludność miejscowa, która przyszła prawdopodobnie, żeby gdzie pojechać, czy coś załatwić. Zapewne stację otwierano dla ludności po odejściu naszego pociągu. Trzeba przyznać, że to nielada wyczyn, żeby taki przejazd zorganizować na przestrzeni kilku tysięcy kilometrów...

Rozmawiał Zdzisław B A U

W ROCZNICĘ INWAZJI...

The Times z 22 marca 1984 zamieścił następującą notę:

(...) Słów kilka o stosunkach między gen. Montgomery a Polakami. To co sam Montgomery na ten temat mówi jest zupełnie niewiarygodne dla każdego, kto współpracował z polskimi siłami zbrojnymi podczas wojny (ja sam byłem oficerem łącznikowym z I Polską Dywizją Pancerną w czasie kampanii we Francji, Belgii, Holandii i Niemczech).

W toku swych dziejów Polacy wstawili się wyjątkową, niekiedy przesadną uprzejmością. Jednak ich stosunki z Montgomeryem były od początku złe. W swych wspomnieniach „Od podwoły do czołgu” gen. Maczek, dowódca I Dywizji Pancernej, tak opisuje pierwszą inspekcję Montgomery’ego:

„Nie mogłem połączyć się z początku, czy ‘kpi’, czy ‘o drogę pyta’, gdy rzucił pytanie, jakim właściwie językiem mówią Polacy u siebie w Polsce — po niemiecku czy po rosyjsku”.

Po Jalcie, kiedy Alianci byli zmuszeni przyjąć żądania Stalina, domagającego się niemal połowy terytorium Polski, najwyższe dowództwo brytyjskie zaczęło się obawiać, czy można nadal ufać, że Polacy będą lojalnie walczyli.

Montgomery zaprosił Maczka na lunch. Maczek powiedział mu, że pochodzi ze Lwowa, który ma zostać oddany Rosjanom.

Na to Montgomery przerwał mu z uśmiechem: „W takim razie wszystko się świetnie składa, będzie Pan teraz sowieckim generałem”.

Maczek odpowiedział lodowato: „Jakkolwiek trudno nawet zestawiać te dwa stosunki: armii polskiej do sowieckiej i armii brytyjskiej do amerykańskiej, co by powiedział Pan marszałek, gdybym w replice ofiarował mu stopień generała w armii amerykańskiej?” Montgomery poczerwieniał.

Podczas wizyty kwatery głównej polskich sił zbrojnych w Bredzie zimą 1944-1945 feldmarszałek Montgomery został udekorowany polskim krzyżem *Virtuti Militari* piątej klasy! Trudno się dziwić w tych okolicznościach!

Michael THOMAS
Hamburg

ODPIS LISTU DO PŁK. J. RZEPECKIEGO

Sanatorium Wonieść, 5 września 1956 r.
Oddział w Splawiu

Panie Pułkowniku!

Ostatnio włączył się Pan w pełne światło jupiterów politycznych. Rozreklamowany udział w obchodzie rocznicy Powstania, w Komitecie Budowy Pomnika Poległych w Walkach o Warszawę i w obradach Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Narodowego, ponadto publikacja prasowa w najpoczytniejszym tygodniku *Po prostu*, wspomnienia powstaniowe w *Nowej Kulturze*, wreszcie apel Pana Pułkownika w *Życiu Warszawy* do byłych żołnierzy AK — te wystąpienia świadczą m.in. o tym, że dzisiaj może i chce Pan działać politycznie.

Mnie w tej sytuacji interesuje szczególnie mocno jeden problem. Mianowicie zagadnienie tych ludzi, o których pisze Pan krótko w *Życiu Warszawy*, że „jeszcze nie wszyscy odzyskali wolność”. O ile się orientuję, liczba byłych żołnierzy armii konspiracyjnej siedzących do dzisiaj za kratami jest znaczna. Męczą się, cierpią, niszczeją — wraz z rodzinami. Ta grupa więźniów, o jakiej piszę, pozostaje nadal nieobecna w życiu dlatego przede wszystkim, że była niegdyś posłuszna — każdy na swój sposób — Pańskim rozkazom, nakazom, apelowi, wpływom czy kapitałowi żołnierskiego długoletniego wychowania, które Pan prowadził w AK i w założonym przez siebie WIN-ie.

Wydaje się być jasne, że za los tych żołnierzy Pan ponosi w pewnej mierze odpowiedzialność. I to nawet za tych, którzy — wbrew Pańskim późniejszym decyzjom — zostali wciągnięci w tryby aparatury, nikt — poza zupełnie szczególnymi przypadkami — nie może mieć o to pretensji do dowódcy. Ale gdy żołnierz leży pogruhotany na pobojowisku wtenczas, gdy huraganowy obstrzał już minął, a dowództwo nie uruchamia wszystkich środków dla ściągnięcia ранnego w szpitala — jest źle. Taka teza obowiązuje nawet wówczas, gdy dowódca zdjął już dawno mundur i rozwiązał swój oddział lub słusznie zmienił kierunek marszu.

Znam Pana, byłem przez VI Oddział Sztabu AK wychowywany i wiem, że rozumuje Pan na pewno tak samo, czy też podobnie. Wiem również, iż starał się Pan w ubiegłym okresie swego pobytu na wolności wyciągać podległych sobie niegdyś ludzi z więzień. Zgadza się, że trudno było w przeszłości osiągnąć w tym zakresie poważniejsze rezultaty, mimo kilku sukcesów.

Ale dzisiaj?... Dzisiaj sytuacja sprzyja. Stwierdza Pan „u naszych byłych przeciwników politycznych wielki zasób dobrej woli”. Wyrazem tego klimatu jest Pańska żywa działalność wspomniana wyżej przeze mnie. Istnieją niewątpliwie warunki pozwalające na przerzucenie wszystkich Pańskich „rannych” z destrukcyjnego terenu więzień w lazaret wolności. Nawet tych, którzy wbrew zaleceniom Pana poszli dalej ścieżką winowską, nawet tych, co się od Pana tak czy inaczej odwrócili. Nawet tych, co Pana potępiają w głąbzy cel więziennych, lub co potępił Pana w trakcie przewodów sądowych.

Nie chodzi mi tu tylko o płk. Niepokólczyckiego czy kpt. Kwiecińskiego, siedzących bodajże od 10-ciu lat w więzieniu. Ale również o tych licznych szeregowych bez głośnych nazwisk, którzy poszli, zawołani Pańskim rozkazem winowskim lub Pańskim wychowawczym wpływem akowskim, w akcje za-

kończoną długoletnim wyrokiem. Ot, np. znany mi osobiście szewc Tobała z Sieradza wkroczył na śliską ścieżkę wywiadu akowskiego, czy też winowskiego, w roku 1945 działał w Bezpieczeństwie na rzecz konspiracji, dostał dożywocie, siedział w ciężkich warunkach, zniszczył się fizycznie, a jeszcze dzisiaj perspektywa dwóch lat więzienia gniecie go boleśnie i dalej dewastuje rodzinę, tragicznie doświadczoną jego uwięzieniem.

Niewątpliwie myśli Pan o tych „rannych” i jakoś stara się o pomocne rozwiązanie tego nabrzmiałego problemu. Ale poza zdawkowym, cytowanym wyżej urywkiem artykułu w *Życiu Warszawy*, społeczeństwo — o ile trafnie sędzę — nie słyszy głośniejszych interwencji Pana i innych byłych naszych przywódców, wolnych dzisiaj, na rzecz podwładnych, którzy nie „przeżyli” (jak Pan pisze w *Życiu Warszawy*), ale przeżywają nadal, konkretnie, w więzieniu, „wielką tragedię” akowską.

Czy można znaleźć skuteczną formę, czy formy, działań Pana na rzecz więźniów, o których piszę? Jestem pewien, że tak. Jeśli się jest słuchanym, drukowanym, goszczonym przez Front Narodowy, jeśli się apeluje publicznie do swych kolegów, jeżeli odgrywa się aktywną rolę polityczną, słowem jeśli się jest w pełni wolnym — to (w dzisiejszych warunkach i przy Pańskiej głębokiej znajomości metod zwracania się do ludzi w najrozmaitszych układach sytuacyjnych) na pewno tak.

Porzucając płaszczyznę moralno-żołnierską, na której opieram nic przewodnią tego listu, chciałbym zwrócić uwagę na aspekt skuteczności politycznej ostatniego etapu Pańskiej żywej działalności. Zapytuję sam siebie, jakimi przesłankami Pan się kieruje w zamiarze, aby ostatni Pański apel: „brać pełny udział w pracy” chwycił b. akowców (a myślę i winowców oraz grupy pochodne), gdy przeciętny adresat tego apelu nie stwierdza, aby Pan walczył dotychczas głośno, publicznie i wytrwale o los swych żołnierzy, przebywających dotychczas w więzieniu. Tacy przeciętni adresaci mogą myśleć: „usłuchałem winowskiego apelu płk. Rzepeckiego — osiadłem; usłuchałem apelu płk. Rzepeckiego o ujawnienie się — osiadłem. Zostawiono nas 'rannych' na polu bez pomocy. Czy mogę teraz usłuchać trzeciego z rzędu apelu?” Zastanawiam się wobec tego, czy technika likwidowania skutków poprzednich apelów, czy brak widocznych usiłowań Pana w tym kierunku nie przesłania adresatom merytorycznie słusznych elementów ostatniego Pańskiego apelu, czy nie zniechęca Pan dalej adresatów do swych koncepcji? Przypuszczam, że tak.

Ale te ostatnie moje uwagi nie są najważniejsze. Ważne jest jedno: Pan winien, moim zdaniem, robić wszystko, aby wyciągnąć swoich „rannych” na opiekuńcze, lecznicze i coraz bardziej rozszloneczniające się tereny wolności.

Łączę wyrazy szacunku

(—) Kazimierz MOCZARSKI

WSPOMNIENIA GEN. JÓZEFA KUROIPIESKI (fragment)

Zamieszczamy fragment wspomnień generała Józefa Kuropieski, które ukazały się w numerze 2-3 Wojskowego Przeglądu Historycznego

(...)

Nie pamiętam już dokładnie, ale bodaj jeszcze pod koniec września otrzymałem wiadomość o przyjeździe do Warszawy płk. Maksymiliana Chojeckiego, mego następcy na stanowisku *attaché* wojskowego w Londynie. Dowiedziałem się wówczas od niego o wartko płynącej repatriacji. Uwzględniając już ostatnie planowane transporty mniemałem, że z samej Wyspy wróci do kraju ponad 100 tys. ludzi, nie licząc tych, którzy wrócili transportami kolejowymi z Italii jeszcze w 1945 roku i później z Niemiec. Ciekawe, że liczba rezygnujących z pozostania w Polskim Korpusie Przysposobienia i Rozmieszczenia (PKPR) zbliżała się już do 9 tys. Przewidywał, że wielu jeszcze, oprócz już zgłoszonych, opuści PKPR w przyszłym roku.

Mnie najbardziej interesowały informacje o działalności gen. Tatara, płk. Nowickiego i ppłk. Utnika. Wszyscy mieli już konsularne paszporty jako pracownicy ambasady polskiej w Londynie. Z pieniędzy pozostających w dyspozycji gen. Tatara (o których uprzednio mówiłem) przed dwoma laty stracono sumy zdeponowane przy 1 DPanc. w Neppen (2,5 mln dolarów), z tym że zdołano około 400 tys. dolarów przekazać do Belgii. Całością tej kwoty dysponował gen. Stanisław Kopański. Bezwrotnie utracono również depozyt pozostawiony z rozkazu gen. Tatara na terenie Watykanu przez płk. Hańczę (prawdziwe nazwisko Marian Dorotycz-Malewicz) u księdza prałata Waleriana Meyszowicza, nie poinformowanego, co zawiera pozostawiona u niego paczka. Po zabójstwie płk. Hańczy, o czym było wśród polskich emigrantów głośno, zaniepokojony prałat udał się z wręczonym mu kiedyś depozytem do sztabu 2-go Korpusu i pozostawił go w II oddziale sztabu gen. Andersa. Reszta pieniędzy, znajdująca się w dyspozycji gen. Tatara, była przede wszystkim wykorzystywana na zakup instrumentów i urządzeń potrzebnych do wyposażenia laboratoriów w kraju. Między innymi dla laboratorium prof. Lubranowicza, dla laboratorium chemicznego prof. Urbańskiego, laboratorium fizycznego prof. Pieńkowskiego w Warszawie (dla którego kupiono 3 mikroskopy) i ostatnio dla prof. Henryka Niewodniczańskiego w Krakowie oraz dla pracowni prof. Walerego Goetla. Dzięki kontaktom gen. Tatara zdołano uzyskać 50 tys. dolarów od Polonii amerykańskiej na kupno radu dla pracowni prof. Kapuścińskiego. Chojecki przypuszczał, że realizacja znanych mu i zgłoszonych już potrzeb będzie kosztować około miliona dolarów.

Pewne sumy były przekazywane do kraju bezpośrednio w gotówce w dolarowych banknotach. Wiadomo było płk. Chojeckiemu, że pewną kwotę zabrał ze sobą gen. Tatar, kiedy wyjeżdżał do Warszawy w lipcu 1947 roku. Wizyta generała w kraju była dokładnie omówiona z Chojeckim w Londynie. Ustalono, że generał ma być przyjęty przez kogoś bardzo miarodajnego, by z kolei podpisać umowę stanowiącą o warunkach jego dalszej pracy i działalności na terenie Wielkiej Brytanii. Według Chojeckiego gen. Tatar odbył rozmowę z gen. Spychalskim i z jego rąk otrzymał Komandorię Orderu Polonia Restituta. Następnie miał spotkanie z ministrem Eugeniuszem Szyrem, z którym m.in. omawiał budowę Domu Żołnierza w Warszawie, jako fundacji imienia gen. Grota-Roweckiego. Z racji współudziału gen. Tatara w akcji niesienia pomocy realizowanej w kraju za pośrednictwem „Caritasu” odwiedził w Krakowie księcia metropolitę Sapiechę. Czy i o czym rozmawiał z Mikołajczykiem, Chojecki nie wiedział. Pytałem o to dlatego, by się przekonać, w jakim stopniu miałem rację w czasie swej rozmowy w ubiegłym roku w Paryżu z Wacławem Komarem, kiedy przewidywałem, że

gen. Tatar nie wycofa się ze swej akcji nawet w wypadku przegranej Mikołajczyka. A w chwili rozmowy z Chojeckim było już kilka miesięcy po wyborach, z których Polskie Stronnictwo Ludowe wyszło jedynie z dwudziestu kilku mandatami poselskimi.

Ponadto dowiedziałem się od Chojeckiego o ostatecznych losach Funduszu Obrony Narodowej. O jego posiadaniu i zdeponowaniu na Ealingu generał nigdy mi nie mówił, ani też długo nie wspominał o nim memu następcy. Dopiero po dokładnej informacji uzyskanej przez Chojeckiego od Utnika i naleganiach tego ostatniego, by się upomnieć również o FON, Chojecki zapytał generała, co się z tym funduszem dzieje. Gen. Tatar oświadczył wówczas, że traktuje to jako wiano, które pragnie przekazać Rzeczypospolitej w chwili przyjazdu do kraju. Owa rozmowa jakby przesądziła o dalszych losach FON. Ale przekazanie go stanowiło nie byle jaką trudność, ponieważ samo złoto ważyło 320 kg. Całość funduszu zdeponowanego na posesji zajmowanej przez generała mieściła się w 11 skrzyniach, z których 3 zawierały złote monety, w pozostałych 8 były sztaby złota i kosztowności. Już wywiezienie owych skrzyń (amunicyjne skrzynie angielskie) choćby do attachatu musiało się odbyć niepostrzeżenie. Dla pierwszego i najcenniejszego transportu wykorzystano pogrzeb gen. Lucjana Żeligowskiego, którego trumna zawierała niezwykle ładunek, podobnie jak skromne z wyglądu bagaże czcigodnego generała. Zwłoki gen. Żeligowskiego po przewiezieniu do Warszawy zostały pochowane w Alei Zasłużonych na Powązkach. Reszta funduszu przewędrowała pocztą dyplomatyczną jeszcze w 1947 roku. W rok później w polskiej ambasadzie w Pradze gen. Wacław Komar wręczył przybyłemu umyślnie na tę okazję do Czechosłowacji płk. dypl. Stanisławowi Nowickiemu Order Polonia Restituta V kl., a płk Chojecki wręczył Marianowi Utnikowi w Londynie dyplom z awansem na pułkownika. Chojecki wspominał, że pewna suma w dolarach została skradziona przez niejakiego Sobolewskiego, urzędnika MSZ, bodaj konsula działającego na terenie Luksemburga, zaproponowanego do akcji wywiezienia pieniędzy przez ambasadę polską w Paryżu. Sobolewski pieniądze podjął i uciekł z nimi do Hiszpanii.

(...)

SPIS TREŚCI

Radek Sikorski: <i>Człowiek z zewnątrz. Rozmowa z Normanem Daviesem</i>	3
Norman Davies: <i>Granice Polski w czasach najnowszych</i> ..	12
Paweł Morga: <i>KOR — szkoła wolności</i>	48
Tadeusz Łepkowski: <i>Myśli o historii Polski i Polaków</i> ..	66
Cz. I: <i>Długie trwanie</i>	66
Cz. II: <i>Geneza współczesności i dzisiejszości</i>	81
Cz. III: <i>Rewolucje polskie 1944-1982</i>	118

WSPOMNIENIA

O. Remigiusz Kranc: <i>Byłem skazany na 10 lat Syberii (dok.)</i>	155
<i>Aresztowani i ukarani</i>	172
Kazimiera Lenkiewicz: <i>Wspomnienia belwederskie</i>	195

KSIĄŻKI

Emanuel Halicz: <i>Historyk a świadomość narodowa</i>	201
Z. S. Siemaszko: <i>Łączność walczącej Warszawy</i>	208
	239

OKRUCHY HISTORII

Tadeusz Wyrwa: <i>Z dziejów rządu polskiego w Angers</i> (listopad 1939 - czerwiec 1940)	214
Zdzisław Bau: <i>Rozmowy na tematy sprzed 40 lat</i>	227
W rocznicę inwazji (list Michaela Thomasa do redakcji <i>The Times'a</i>)	233
Kazimierz Moczarski: <i>List do płk. J. Rzepeckiego</i>	234
<i>Wspomnienia gen. Józefa Kuropieski</i> (fragment)	235

Achévé d'imprimer le 21 mai 1984
sur les presses de l'Imprimerie Richard, 24, rue Stephenson, Paris 18^e,
Dépôt légal : 2^e trimestre 1984.
N^o d'imprimeur 6417

